

Współczesna historia Romea i Julii, miłość i zbrodnia  
osadzona w małomiasteczkowych realiach,  
inspirowana najwspanialszą  
historią miłosną wszech czasów.

KATARZYNA ZYSKOWSKA-IGNACIAK  
WOJCIECH CHMIELARZ

# KOMA

FILIA

KATARZYNA ZYSKOWSKA-IGNACIAK  
WOJCIECH CHMIELARZ

# K O M A

FILIA

(...)

*Aż dnia pewnego biorą pochodnie,*

*w pochód ruszają, brzydcy i głodni.*

*„Chcemy Romea – wrzeszczą dziewczyny –*

*my na Kamienną już nie wrócimy”.*

*„My chcemy Julii – drą się chłopaki –*

*dajcie nam Julię zbiry, łajdaki”.*

*Idą i szumią,*

*idą i krzyczą,*

*amor szmaciany płynie ulicą...*

*...Potem znów cicho,*

*potem znów ciemno,*

*potem wracają znów na Kamienną.*

*– Kochankowie z ulicy Kamiennej,*

*Agnieszka Osiecka*

## 1.

### *Lekarstwo działa. Pocałunek śmierci[1]*

Szum.

Wszystko wydaje mi się szumem. Przeciąglým i narastającym.

Słyszę nierówne bicie własnego serca. Słyszę, jak przez sieć żył przelewa się krew. Zawodzenie syreny i wrzaski obcych ludzi. Bliskie i odległe zarazem. Docierają do mnie, niczym przez dźwiękoszczelną szybę. Trzask drzwi. Stukot kauczukowych kółek toczących się po wyłożonej płytkami podłodze, szybkie kroki, westchnienia aparatury – medycznej? – której złowrogi zaśpiew wibruje, zaś poszczególne akordy nakładają się na siebie, tworząc kakofonię. Zapach choroby i środków do dezynfekcji. Pod powiekami niepokojąco pulsuje światło. Jak z dyskotekowego stroboskopu. Tak przyjemnie z nim płynąć. I płynąć z tym szumem.

Czy to znaczy, że umarłam? Umieram?

Czy to znaczy, że coś poszło nie tak, plan zawiódł?

Szpital nie był w nim przecież ujęty. Szpitala miało nie być wcale. Tymczasem właśnie tu się znalazłam. Wiem to i nie wiem. Na pewno. Wszystko jest trochę nierealne, rozmyte, sztuczne jak teatralne dekoracje, jakbym znalazła się w jednym z tych banalnych seriali o lekarzach, które kiedyś oglądałam z nudów. Nieważne...To było przed. Teraz ciasne uniwersum zamknięte w moim ciele rozwarstwa się, rozpływa. Ktoś krzyczy: „Ewa, pani Ewo!”. Ktoś się głośno zastanawia: „Długo jest nieprzytomna?!”. Ktoś ordynuje: „Płukać, intubować, zgłębnik, szybko, szybko...!”.

To do mnie? O mnie?

Może powinnam im powiedzieć, że tu jestem, że wszystko słyszę, wiem i czuję, lecz jakoś nie chce mi się gadać. A może nie mogę? Członki mam jak z waty, to co na zewnątrz – ciało, szpital, ludzie w kitlach – przelewa się we mnie powoli, jak lepki waniliowy budyń. Jego gęsta masa wszystko zakleja. Zasklepia mi wargi, knebluje je bezsilnością. Zresztą dobrze mi tu. Dobrze tu, gdzie jestem.

Przyjemnie, chociaż ktoś mną szarpie, rozbiera. Zrywa ze mnie ubrania. Dlaczego? Czy powinnam się wstydzić? Skończyłam czterdzieści jeden lat, czas wypłukuje resztki młodości z komórek mojej skóry, piersi opadają, brzuch staje się wiotki, chociaż ćwiczę, dbam o siebie, walczę ze wskazówkami i czasami nawet myślę, że wychodzę z tej walki zwycięsko. Ale to tylko myślenie życzeniowe, czas nie zwalnia. Aktu obumierania nie da się powstrzymać w nieskończoność. Bruzdy, zmarszczki, rozstępy, przebarwienia. Niedyskretny blask świetlówek na pewno eksponuje niedoskonałości. Wydobywa na światło dzienne artefakty przemijania. Pozwala, żeby wszyscy zobaczyli to, czego wolałabym nie pokazywać. W moim wieku ciału służy wyłącznie ciepły płomień świec i lampka wina odbierająca ostrość spojrzeniu. A tu ani świec, ani chianti, a oni ściągają ze mnie wszystko. Zrywają. Bez pardonu. Wstydzę się? Nie, jednak wcale się nie wstydę. Tu i teraz nagość nic nie znaczy. W ustach czuję coś twardego, plastikowego, duszącego. Kiedy to we mnie wkładali, odruchowo kasłałam. Przeszył mnie krótki, ostry ból. W gardle zasyczały rozgrzane węgle kaleczonych błon śluzowych.

Poddaję się wszystkiemu, co się ze mną dzieje, co ze mną robią. Niech robią... To nie ma najmniejszego znaczenia. Nie istnieje nic przed tą chwilą i nie istnieje nic poza nią. I ja sama też w pewnym sensie nie istnieję. Jakby mnie tu nie było, albo jakby było trochę mniej...

Są za to tamte oczy.

Bardzo wyraźne, niebieskie. Pruski błękit – tak zwykłam określać ich kolor. Chłodny. Chłodne spojrzenie. Paradoksalnie to wspomnienie mnie rozgrzewa. Rozpala od środka. Jest głęboko we mnie, wbite pazurami w podświadomość. Niepokoi i koi – jednocześnie. I on jest ze mną, jest przy mnie. On...?

Chociaż w głowie wciąż szum, krzyk, a w gardle chłód plastiku, w przełyku i dalej miękki gumowy dren, a w żołądku coś zaczyna bulgotać złowieszczo, jak przy zasysaniu ostatnich kropli drinka przez słomkę z dna szklanki. Wsuwanie rurki intubacyjnej we wnętrze ciała przypomina trochę gwałt – gwałt przez usta – odziera mnie z intymności, jest nieprzyjemne, bolesne. Nic już ode mnie nie zależy.

Położyli mnie na boku, chyba po to, żebym się nie zadławiła tym, co zaraz ze mnie wypłynie. Niewygodnie mi w tej pozycji, czuję się zbrukana, poniżona, jest mi zimno, skaj, którym obity jest stół, klei się do mojej skóry. I nikogo to nie obchodzi. Zresztą ów dyskomfort doprawdy nie jest ważny, nic nie jest ważne, tylko... Tamte oczy? Z jakiegoś powodu, którego już nie potrafię sobie przypomnieć, myśli wciąż uciekają w ich kierunku.

Tymczasem przez moje ciało przelewa się fala ciepła. Rzeka torsji. Rwąca. Wirywa mi trzewia. Przywraca do rzeczywistości. Powietrze przesycza odór wymiocin, a ja na moment otwieram szeroko oczy, by po chwili znowu zanurzyć się pod powierzchnię ciemności połyskującej złowrogo, smoliście.

„Ewa... Pani Ewo... Jeszcze trochę”.

Dajcie mi spokój. Po co oni tak krzyczą?

Woda. Ciepła woda wypełnia mnie od środka. Rozdyma mnie. Mogłabym przysiąc, że zaraz coś mi w środku pęknie. Mój brzuch przypomina balon. Prezerwatywę w śmigus-dyngus; napełnioną ciepłą wodą i przetrawioną treścią żołądka.

I znowu wstrząsa mną spazm. Rzygowiny płyną po brodzie. Fizyczność jest taka paskudna. Niezbyt finezyjna – nazbyt ludzka. Dlaczego nie pozwalają mi zachować godności? Niechby jej pozorów jedynie. Dlaczego nie dadzą mi spokoju?

Dajcie mi spokój. Mam dość!

Nie dają. Męczą mnie. Pastwią się.

Na co to wszystko? Mam dość!

Tortura trwa w nieskończoność.

Trwa...

...

Wreszcie cisza. Wyciągają obce ciało z mojego ciała, wszystkie te rurki, dreny, plastik. Teraz już boli tylko trochę. Znośnie. Nieznośnie. Teraz jestem pusta w środku. Bardzo pusta. I wolna. Przekładają mnie na plecy. Wprawdzie już śpię, lecz zaraz zasnę jeszcze głębiej. Odpocznę. Jestem śmiertelnie zmęczona. Zapadam się głęboko w słodkie, miękkie nic. W pruskie spojrzenie. W jego spojrzenie. W niego. Jeszcze na chwilę.

[1] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Jerzy S. Sito, Polskie Media AMER.COM SA, Poznań 2002.

## 2.

*Dzień ten fatalny więcej takich wróży;*

*Gdy się raz zacznie złe, zwykle trwa dłużej[2].*

Powoli dochodzi dziewiąta, lecz skąpana w strugach deszczu ulica nadal świeci pustkami. Wzdłuż niej, w precyzyjnym urbanistycznym szyku, przypominając klocki domina, wyrasta szpaler czteropiętrowych bloków. Osiedle Wyzwolenia. Niegdyś zadbane, z placami zabaw i przystrzyżonymi trawnikami, należało do huty szkła, stanowiąc zaplecze mieszkaniowe dla pracowników. Po upadku zakładu przeszło w zarząd miasta i zaczęło popadać w ruinę, zmieniając się w przytulisko dla bezrobotnych malkontentów, którzy od dwudziestu pięciu lat, szukając sensu istnienia na dnie butelek, przerzucają odpowiedzialność za życiową porażkę na „tego złodzieja Balcerowicza”. Kto miał trochę oleju w głowie i jakiegokolwiek zaskórniaki, już dawno stąd prysnął na inne osiedla, w inne rejony miasta. Tym, którzy zostali, robak wykojenia wyżera mózgi i wątroby. Place zabaw rozkradziono na złom, trawniki zasłały butelki i psie kupy, a od śmierdzących uryną klatek po zmroku lepiej trzymać się z daleka. Nastroje mieszkańców i ich stosunek do świata idealnie oddaje krzykliwe graffiti widniejące na jednym z bloków, które głosi, że „wszystko to chuj”.

W tym niezbyt wesołym miejscu, w drzwiach jednej z klatek, pod eternitowym daszkiem, pojawia się kobieta. Niestara, choć zmęczona życiem, prawdopodobnie jest grubo po czterdziestce, a może i nie. Trudno stwierdzić. Przed laty musiała być bardzo atrakcyjna. Dzisiaj, przez mocny makijaż, zbyt krótką wyzywającą sukienkę i przepalony farbą blond włosy, wygląda ordynarnie, tanio, ale też – w pewien specyficzny sposób – smutno. Jak typowa dzidzia-piernik, zdetronizowana królowa balu, przechodzona cheerleaderka porzucona przez kapitana drużyny. Z jej wyzywającym *emploi* gryzie się okazałych rozmiarów medalik z Matką Boską spoczywający na pełnym dekolcie. Kobieta ma podpuchnięte oczy, jakby dzisiejszej nocy nie spała albo za dużo wypiała. A może

jedno i drugie? Umalowane na różowo usta zaciska w niesmaku. Krzywi się na widok kaskad chlustających z rynien. Ogarnia pustym spojrzeniem spływającą deszczem ulicę. Przez zasłonę wody świat wydaje się jeszcze bardziej odpychający, nieprzyjazny, nieostry. Czubki drzew uginają się pod naporem wiatru. Chodnikiem meandruje dzika rzeka petów i śmieci. Przy studzienkach tworzą się obwódki z brudnej piany. Kobieta ogląda ów odstręczający spektakl z wyraźnym zniechęceniem. Chyba nie ma ochoty ruszać się spod klatki. Robi krok w tył, w stronę drzwi. Może jednak się rozmyśli i przeczeka załamanie pogody w środku? Łapie za klamkę, zastyga. Zatrzymuje się w pół gestu, w pół kroku. Waha się. Gęsta pokrywa chmur, które szczelnie wypełniają niebo, nie daje nadziei, że ulewa szybko ustanie. Niby czerwiec, a pogoda zupełnie do niczego. W telewizji mówili, że to front ze Wschodu – jak zwykle wina ruskich, którzy jak nie mgłę, to ulewę na ciemżony naród polski sprowadzają – i że to co najmniej do jutra potrwa.

Ale ona wie swoje. To nie żaden pogodowy front, lecz potop. Prawdziwy boski potop. Gniew Najwyższego, który postanowił oczyścić to brudne miejsce z grzechu. Zmyć kurewstwo, które rozpleniło się w mieście, a szczególnie w tej dzielnicy. Ona to wie! Usłyszała w błogosławionym radiu z piernikowego miasta – miej je, Panie, w opiece – jedynym miejscu, gdzie jeszcze głoszą prawdę. Powiedzieli, że deszcz szybko nie minie, gdyż źle się dzieje w Narodzie Wybranym, więc Bóg litościwy ma swój plan!

Szkoda tylko, że zaczął go realizować właśnie dziś – nielitościwie i zupełnie bez pomyślunku – bowiem koliduje z jej własnym. A ona musi wyjść!

Diabli nadali.

Musi! Nie ma sensu dłużej zwlekać. Wzdycha więc, podnosi medalik do ust, całuje go z nabożnym szacunkiem, znacząc różowym stygmatem szminki, po czym otwiera parasol i opuszcza suche miejsce. Lawirując pomiędzy kałużami, szybko mija osiedlowy skwer i dociera do ulicy. Zmierza w stronę parku, oddalając się tym samym od centrum miasta i zostawiając za plecami Osiedle Wyzwolenia.

Przed nią rozpościera się teraz aleja klonowa. Aleja... Jednak drzewa tu mizerne, przykurczone, rachityczne, smutno zwieszają swe korony nad ulicą. Kobieta idzie szybko, nie rozglądając się na boki. Wokół wciąż żywego ducha. Jest sobotnie przedpołudnie, wiadomo, że wszyscy jeszcze na kacu leżą w chałupach. Jeźdźnią przemykają jedynie pojedyncze samochody. Jakieś kilkunastoletnie audi o pordzewiałych progach pobekuje przedśmiertnie wyziewami trawionego oleju – sprawia wrażenie, jakby w każdej chwili miało się rozpaść – i dostawczak z zakładów mięsnych Gołębiewskiego, oklejony wyblakłymi zdjęciami reklamowymi kiełbas i szynek, i radiowóz wracający z patrolu. Ale przechodniów brak. Ulewa przegoniła z parkowych alejek matki z wózkami, dzieciarnię, zazwyczaj palącą ukradkowo w krzakach, a nawet najtrwalszy element krajobrazu – meneli.



Po kilku minutach kobieta opuszcza park. Wzdłuż ulicy zaczynają wyrastać domy jednorodzinne. Wszystkie na jedno kopyto, upačkane niemodnym cementowym barankiem. *Vis-à-vis* wznosi się gmach powiatowej komendy policji – to właśnie on stanowi jej cel.

Kiedy dociera na miejsce, jest trochę przemarznięta, a w jej czarnych szpilkach z imitacji skóry chlupocze woda. Jednak nie od razu wchodzi do środka. Przystaje przed schodami, pod daszkiem, tuż obok ustawionej w kącie popielniczki – zanim przestąpi próg komendy, nim powie, co ma powiedzieć i zrobi, co należy zrobić, musi koniecznie zapalić, uspokoić się, ochłonać. To grzech zabijać rakotwórczym dymem ciało dane przez Stwórcę, lecz czasami jak człowiek musi... Dlatego i tym razem On na pewno jej wybaczy, wszak sytuacja jest wyjątkowa.

Próbując zapanować nad drżeniem dłoni, kobieta dobywa z torebki paczkę chesterfieldów i zapalniczkę. Wsuwa papierosa do ust i szybko go przypala. Zaciąga się. Delektuje się gryzącym smakiem tytoniu. Dym wypełnia jej płuca spokojem. Kobieta pali niespiesznie, wsłuchując się w krople uderzające o daszek nad wejściem. Patrzy w głąb ulicy. Tam, gdzie kończą się domki jednorodzinne, wyrasta żółto-czerwona hala sieciówki o nazwie „Owada”. Na parkingu sporo samochodów, widocznie coś rzucili w promocji. Po tym, jak zamknięto kino – ponoć nie opłacało się, bo teraz to wszystko w telewizji – hipermarket stanowi ostatni bastion życia miasta. Dalej, za blaszaną halą, już tylko resztki opuszczonej huty – ceglane kominy, baraki, dawny budynek biura, wybebeszony ze wszystkiego, co cenne, pozbawiony szyb, a nawet metalowych futryn. Na zarosniętych wysoką trawą szynach wąskotorówki nadal stoją pojedyncze wagoniki, które okazały się zbyt ciężkie, aby je ukraść.

I wreszcie pola. Pola po horyzont. Koniec miasta. Koniec świata. Koniec Alei Wyzwolenia.

Kobieta uśmiecha się drwiąco na myśl o nazwie ulicy. W zasadzie popękany wąski asfalt, obsadzony po obu stronach rachitycznymi klonami, tyle samo ma wspólnego z aleją, co i z wyzwoleniem. Nigdy nie przedefilowała tędy żadna armia, w pokazie siły nie przejechały czołgi, nie załopotwały na wietrze flagi biało-czerwone i nikomu nie zakręciła się w oku łza wzruszenia na dźwięk Mazurka Dąbrowskiego. Chociaż, jak głosiła plotka: zaraz po wejściu czerwonoarmistów do miasta w czterdziestym czwartym, dowództwo urządziło sobie w jednym z domów stojących przy parku tymczasową kwaterę, a w niej ostrą popijawę. Samogon łał się wiadrami. Rozbawieni chłopcy w samych gaciach – chociaż byli i tacy, którzy twierdzili, że widzieli ruskich z gołymi dupami – płasali do dźwięków harmoszki, obłapiając przy tym miejscowe dziewczuchy. Niespotykana dotąd w bogobojnym mieście sodoma i gomora musiała się skończyć karą boską, czyli ciężkim kacem. I tak, na cały kolejny dzień, przyjaciele zza Buga zalegli pokotem w przydomowym ogródku, pomiędzy szczypiozem i boćwiną, oraz

bezpośrednio na ulicy. Wtedy jeszcze Parkowej. Zaraz po wojnie, na cześć zwycięskiej armii, i aby przypochlebić się nowej władzy – a może z powodu prowincjonalnych kompleksów miejscowych prominentów, którzy marzyli, żeby z zabitej deskami dziury zrobić metropolię – zwyczajna ulica zamieniła się w aleję. Aleję Wyzwolenia! Kocie łby zalano asfaltem, posadzono drzewa. A ponad dwie dekady później, aby dodać miejscu powagi i splendoru, pobudowano dodatkowo przyczółek lokalnej praworządności – komendę milicji.

Niestety klony, pieczolowicie podlewane i nawożone przez bezpańskie burki, nie zdołały się rozrosnąć i zasłonić potworka wzniesionego bez polotu i fantazji w czasach gierkowskiej prosperity. Toteż przysadzisty budynek straszy z daleka kratami w oknach i poszarzałą elewacją, tu i ówdzie poznaczoną ciemniejszymi smugami zacieków. Na domiar złego, po latach do istniejącego gmachu dokleiono przybudówkę. Szpetny nowotwór błyszczy teraz od frontu szkłem i stalą, nijak nie korespondując ze starą częścią. Komenda jest jak wszystko inne w mieście – zdaje się trwać w dysonansie. Kolejni urbaniści musieli dobrze brać w łapę, a przez to nic tu do niczego nie pasuje. Socjalistyczne bloki z wielkiej płyty wyrastają przy uliczkach z kocich łbów, które pokrywając się piaskiem wybiegają hen w pola i łąki, donikąd. Paździerz lat dziewięćdziesiątych puszy się przy rozdygotanych starością drewnianych chałupach. Nic nie trzyma się kupy. Wszystko jest jedną wielką dysproporcją. Dysfunkcją. Dysharmonią.

Kobieta wreszcie kończy papierosa. Mimo że tuż obok stoi popielniczka, niedopałek ciska w kierunku kałuży. Wzdycha z rezygnacją, ponownie całuje medalik, aż wreszcie przekracza próg komendy. W środku panuje niemal kompletna cisza. Tutaj też weekend. Tylko gdzieś z końca korytarza dochodzi szum rozmowy i dźwięki radia. Ktoś w głębi budynku się śmieje. Trzaskają drzwi...

Mundurowy, siedzący w dyżurce niedaleko wejścia, wgapia się tępo w monitor komputera. Pasjans? Facebook? Chłopak jest bardzo młody – niewiele starszy od syna kobiety – trochę przy tuszy, jego twarz szpecą księżycowe kraterzyki, pamiątki hormonalnych wybuchów. Pewnie dopiero co skończył szkołę. Wygląda na znudzonego albo głęboko nieszczęśliwego, jakby znalazł się tu przez przypadek albo za karę. Prawdopodobnie wolałby spędzać sobotę gdzie indziej. Może z dziewczyną, jeśli takową posiada. A raczej nie posiada. Za to ma w sobie coś z lamy.

Na widok kobiety z ociąganiem odrywa się od ekranu i nieznacznie prostuje. Marszczy brwi.

– Słucham?

Głos ma dziwnie wysoki i piskliwy, jak panienka. Kobietę uderza złośliwa konkluzja, że z takimi warunkami dzieciak raczej nie ma szans na błyskotliwą karierę w policyjnym fachu. Pies, według niej, żeby wzbudzać strach i szacunek,

musi mieć głos głęboki i męski, a do tego lekko zachrypnięty i przepity, jak – dajmy na to – Boguś Linda. O, tamten to ma chrypę. I aparycję zimnego drania. Tymczasem ten tutaj...? Lama-kastrat. Gdzie się podziiali prawdziwi mężczyźni? Prawdziwi tacy...

– Słucham? – powtarza młody człowiek, a wraz z wysokim C w powietrzu zaczyna wibrować irytacja.

Kobieta postępuje krok naprzód, opiera dłonie na pulpicie. Kolor jej paznokci idealnie harmonizuje ze wściekłym różem warg. Nabiera powietrza – nadszedł ten moment. Ten moment! Mleko zaraz się rozleje. Słowa wywołają nieuniknioną lawinę wydarzeń. Efekt motyla. Wszystko potoczy się jak na filmie. A ona zostanie gwiazdą. Oczywiście wołałaby, żeby nie był to kryminał, czy raczej jakiś pikantny romans z Richardem Gere'em, ale w życiu nie można mieć wszystkiego.

A zatem kurtyna w górę!

– Chciałam zgłosić zaginięcie – mówi, może trochę zbyt kokieteryjnie modulując głosem, po czym milknie. Nie odrywając oczu od chłopaka, obserwuje jego reakcję.

Teraz musi nastąpić trzęsienie ziemi. Dzieciak powinien się poderwać na równe nogi i jąć ją wypytywać: co, gdzie, kiedy. Ale nic z tego. Siedzi, ślamazara, dalej na tyłku i patrzy na nią tym swoim rozmemłanym spojrzeniem lamy. I nawet powieka mu nie drgnie. Jakby co chwila ktoś mu zgłaszał zaginięcie. Czego ich uczą w tych szkołach policyjnych?

– Czyje zaginięcie? – pyta z flegmą.

Kobieta cała się w środku trzęsie, lecz próbuje nie dać tego po sobie poznać. Wydmuchuje powietrze z afektacją.

– Syna! Chciałam zgłosić zaginięcie syna. – Nieznacznie czerwienieje na twarzy.

Może teraz wreszcie gówniarz wybudzi się z otępienia?

– Dobrze. Proszę się uspokoić. Proszę sobie usiąść, o tam. – Wskazuje na drzwi, przy których ustawiono kilka składanych krzesełek. – Zaraz kogoś do pani poproszę.

Weź tu się uspokój, weź usiądź – kobiecie cisną się na usta nieparlamentarne wyrazy, ale posłusznie zajmuje miejsce na krześle. Jakiś respekt czuje przed władzą. Chłopak tymczasem chwyta za słuchawkę i wykręca numer. Czeka na zgłoszenie się rozmówcy, przygląda dłonią mundur na pękatym brzuchu. Po chwili zaczyna mówić. Kobieta bardzo chciałaby usłyszeć, co tam szepcze, jednak zasłonił usta dłonią. Po chwili odkłada telefon i rzuca w stronę rzędu krzeseł:

– Podkomisarz Baran zaraz panią przyjmie.

Baran?! Podkomisarz? Nawet nie komisarz? Cóż za rozczarowanie. Nie, zupełnie nie tak sobie wyobrażała tę chwilę. Że też w jej życiu wszystko musi być

nie takie, jak sobie założyła. Nie takie, jak w serialach i filmach. Takie byle jakie.

[2] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2001.

### 3.

*W grze tu nienawiść wielka, lecz i miłość.*

*O! wy sprzeczności niepojęte dziwa!*

*Szorstka miłości! nienawiści tkliwa![3]*

Spokój. Musi natychmiast odzyskać spokój! Rozkleił się jak baba, a to do niego niepodobne.

Gdy ratownicy wyszli z domu, sprzątnął wymiociny z podłogi, a później opadł na kanapę. Tę samą, na której ją znalazł. Od kilku minut trwa w jednej pozycji. Odrętwiały, niewidzącym wzrokiem wpatruje się w kartkę trzymaną w dłoni. Nie ma siły znowu jej przeczytać. Za pierwszym razem litery roztańczyły się na papierze, pociemniało mu przed oczami i niewiele zrozumiał z tego, co tam napisane. Może podejmie kolejną próbę, ale jeszcze nie teraz. Nie teraz... Nie tak łatwo się zmierzyć z prawdą, nie tak łatwo zebrać rozsypane myśli.

Zresztą jeżeli nawet uda mu się to przeczytać raz jeszcze, i ponownie, i znowu – aż słowa wgryzą się w pamięć – czy zrozumie więcej? Czy to się w ogóle da zrozumieć?

Powinien pojechać do szpitala, lecz przy nodze ołowiana kula niemocy, a w żołądku delirium strachu. Boi się, co zastanie na miejscu. Czy ją jeszcze zastanie? Musi więc chwilę poczekać, żeby powstrzymać, uspokoić wewnętrzny dygot. Drzenie dłoni. Łopot tego czegoś, co zwykle jest sercem, chociaż ona wykrzyczała mu wielokrotnie, że u niego znajduje się tam tylko próżnia... Tak czy inaczej, powinien ochłonąć, zanim usiądzie za kierownicą. Na dzisiaj starczy ofiar.

Powinien zrozumieć, co tu się właściwie stało. Nie czuje się winny.

No dobrze, trochę się czuje.

Jest winny.

Ale jak ona mogła to zrobić?

Potrzebowała pomocy i pomógł jej, jak potrafił. Bał się, że ona zrobi coś głupiego. Nie powinien był do tego dopuścić. Nie powinien był pozwolić, żeby wszystko zniszczyła, dlatego uprzedził fakty. Tak należało postąpić. Tak postąpiłby każdy na jego miejscu. Tak jest najlepiej. Czasami, w imię wspólnego dobra, ktoś musi odegrać rolę złego porucznika. Nie wziął jedynie pod uwagę, że Ewa tak się przejmie, że to dla niej takie ważne. A może właśnie wiedział i dlatego interweniował? Tym razem zabrnęła za daleko.

Miłość? Latami wmawiała mu, że nic podobnego nie istnieje. Że to puste słowo, niewiele znacząca mrzonka, lukrowane ciastko z krótkim terminem do spożycia. To fantom. Efemeryda o trwałości mydlanej bańki. Jest tylko tkliwa nienawiść. I przywiązanie trwalsze niż nienawiść. I system zachowań i codziennych rytuałów, który – chociaż co do zasady nudny – wygodny jest i bezpieczny. Uwierzył jej, zaoferował to wszystko. Czegóż chciała więcej?

I dlaczego nagle zmieniła zdanie? Zawsze była mądrą, rozsądną dziewczynką, a teraz ta pomrocność jasna. Choroba przenoszona drogą płciową. Jak wirus Zika. Ta cała miłość nic by Ewie nie dała, za to zaszkodziłaby im wszystkim.

Ale ona była głucha. Naiwna! Nagle uznała, że w życiowej rozgrywce główną rolę grają kiery, gdy tymczasem zawsze wygrywają piki. Wszyscy to wiedzą. Uważał, że ona także zna reguły. Zawsze twierdziła, że zna. A później zjawił się tamten. Wydawał się niegroźny. Na początku. Do czasu.

Szymon zrobił to, co należało zrobić. Właśnie tak! Zatem teraz musi zebrać myśli. Musi odzyskać panowanie nad sobą, policzyć do dziesięciu. Raz, dwa, trzy... Niechże ten cholerny deszcz wreszcie przestanie padać! Cztery, pięć...

[3] *Ibidem.*

#### 4.

*Ach, Julio!*

*Jakżeś ty jeszcze piękna! Mam—że myśleć,*

*Że bezcielesna nawet śmierć ulega*

*Wpływom miłości? że chudy ten potwór*

*W ciemnicy tej cię trzyma jak kochankę?[4]*

...Sześć, siedem, osiem...

Liczę uderzenia swojego pulsu, a tymczasem potwór apatii bezlitośnie przyszpila mnie do łóżka. Bezlitośnie i stanowczo przytrzymuje w ciemnościach. Jak niewolnicę, płochliwą kochankę... Lecz ja się wyrywam, nie zamierzam mu się poddać – oddać – opuszczam swoje ciało. Patrzę z dystansu na to, czym teraz jestem. Ze strachem? Raczej ze zdumieniem. Obserwuję siebie – pozbawioną treści wydmuszkę. Ciało bez życia. Płynę nad nim, kiedy przewożą mnie na OIT. Zawisam pod sufitem, gdy podłączają do aparatury podtrzymującej życie. I obserwuję. Konotuję wszystkie szczegóły przestrzeni, zapisuję każdą minutę niecodziennosci.

I myślę.

Chciałabym wydostać się w niebyt, dać już sobie spokój, dać za wygraną, jednak tkliwy nihilizm przegrywa z praktyczną częścią mej natury. Jeszcze przez jakiś czas muszę tu zostać. Pruski błękit, miękki i kleisty, jak świeże drożdżowe ciasto, wnika we mnie, oblepia od środka, wypełnia... Zanim odejdę, chcę sobie przypomnieć, co znaczy jego chłodna barwa i kim właściwie jestem. Co tutaj

robię? To ważne. Powinnam to wiedzieć, bowiem błękit wgryza się, wnika we mnie coraz intensywniej, próbuje mną zawładnąć. Nie daje o sobie zapomnieć. Osadza się niczym niszczyielska rdza na cienkich postronkach synaps. Wywołuje we mnie niepokój i... podniecenie. Dlatego tak zawzięcie karczuję splątane gęstwiny wspomnień. Wracają niechętnie, bez pośpiechu. Odzyskuję je w rytmie kropel glukozy spływających w żyły wprost z kroplówki. Odzyskuję siebie słowo po słowie. Spowiadam się przed nieruchomym ciałem leżącym na szpitalnym łóżku poniżej, uginam się przed niewygodnymi faktami. Mam sporo na sumieniu, toteż czuję, że wolałabym nie wiedzieć, kim jestem. Nie stawać ze sobą twarzą w twarz. Ponieważ chyba nie lubię siebie. Anonimowi alkoholicy na mityngach pewnie też siebie nie lubią, a jednak twierdzą, że prawda wyzwala. Zatem i ja się wyzwalam. Mówię i słucham. Wstyd chowam na inną okazję...

Mam na imię Ewa.

Istnieję od czterdziestu jeden lat i nieco ponad miesiąca. Nie istnieję od jakichś trzech godzin.

W moim życiu wszystko już się wydarzyło.

Lata chude i tłuste mam za sobą. Znam każdy z odcieni smutku i smaki radości. Nie jestem młoda, nie jestem też stara. Od czasu, gdy skończyłam czterdziestkę, nikt nie mówi o mnie: fajna laska, co najwyżej rzuca – nie kryjąc zaskoczenia – że jak na swój wiek jeszcze nieźle się trzymam. Jak na swój wiek! – te słowa zawsze są jak policzek. Weszłam w idiotyczną fazę istnienia, kiedy człowiekowi się wydaje, że wszystko może, lecz tak naprawdę coraz mniej mu wypada. Wprawdzie później wypada jeszcze mniej, jednak wraz z osiągnięciem starości nabieramy dystansu i więcej spraw mamy w dupie. Ja jeszcze nie mam, na razie tkwię w stadium, kiedy pętają mnie normy i zasady, wolność jest iluzją, zaś każdy gest i słowo zdeterminowane są przez oczekiwania innych. Według nich powinnam być dojrzała, odpowiedzialna, racjonalna. Nie powinnam być za to zbyt ekspresyjna, naiwna i mieć złudzeń. Udaję, że tak właśnie jest. Udaję nawet przed sobą. Obudowuję się maskami, a jest ich tyle, że sama się w nich pogubiłam. Przed światem gram kogoś, kim nie jestem, i – co gorsza – kim chyba wcale nie chcę być. W miejscu, w którym obecnie tkwię, znalazłam się przypadkiem. Moje życie to suma nieoczekiwanych zrządeń losu i zbiegów okoliczności. Ulegałam im. Jak większość z nas. Trwając w uśpieniu, pozwoliłam nieść się prądom zdarzeń, stąd też dzisiaj jestem tym, kim jestem. Równocześnie nie będąc sobą.

Jestem pełna sprzeczności. Słaba i silna. Mądra i głupia. Ekstrawertyczna i zamknięta w sobie. Jestem szczodra i skąpa. Jestem nikim. Jestem kimś. Tą Ewą. Panią Ewą. Osiągnęłam sukces, zrobiłam błyskotliwą karierę – w wieku zaledwie trzydziestu siedmiu lat zostałam burmistrzem i pozostaję nim do dziś. Zostałam wielkim imperatorem gminy, panem i władcą powiatu. Nie dałam się wykiwać, rozgryzłam wszystkie układy, układy jedzą mi z ręki, nie mają przede mną



tajemnic. Podobnie jak to miasto. Ani duże, ani małe, szaro-bure, jak tysiące innych w tym kraju. Ono pulsuje w moich żyłach, wiem o nim wszystko. Jestem nim – jam jest miasto! – z jego uroczymi zakątkami nad rzeką, z sosnowym lasem szumiącym na Piaskach, ze stuletnim parkiem i falującymi łąkami, które tworzą niepowtarzalny pejzaż sielskiej Lubelszczyzny.

Jestem miastem.

Wraz z brudem Osiedla Wyzwolenia, rdzą nieużywanych trakcji kolejowych, z zaszczańską bramą obok sklepu monopolowego „Bachus” i z niedofinansowanym szpitalem popadającym w ruinę, w którym teraz leżę. Miasto pączkuje we mnie wraz z wieloletnimi przyjaźniami, które tu się zrodziły i tu zakończą, z serdecznością, ciepłem, z niepowtarzalnym kameralnym klimatem prowincji, z leniwymi niedzielnymi porankami. Z ciszą i dzikim winem porastającym fasadę ratusza. Ale też plotkami, zakłamaniami, małomiasteczkową ksenofobią, nieznośną hermetycznością. Z prząsnością typową dla miast drugiej kategorii, które dla ludzi z zewnątrz nie są niczym więcej niż kropką na mapie.

Kocham to miejsce.

Nienawidzę go.

Często w głębi duszy nim gardzę – czuję się lepsza od większości osób, które tu mieszkają. Należę do elity, zaściankowej socjety, co naturalnie łechce moją próżność i napędza chore ambicje. Władza wynaturza, demoralizuje, więc w pewnym sensie taka właśnie jestem. Nigdy jednak nie pokazuję tego po sobie. Żeby w polityce odnieść sukces, należy ukryć poczucie wyższości wobec maluczkich w najciemniejszych zakątkach osobowości. I bratać się z tłuszcą, i poklepywać po plecach prostaczków, i szczerzyć do wszystkich z braterską poufałością. Takie są zasady gry. Polityk, gdy trzeba, zatańczy na dożynkach, z każdym napije się wódki, innym razem zaśpiewa piosenkę disco polo podczas wiecu – nawet jeżeli już po pierwszym taktie *Ona tańczy dla mnie* dostaje wysypki i ma ochotę puścić pawia w rozbujany, rozradowany tłum...

Taka właśnie jestem. Zakłamana. Nie ma powodu, żeby mnie szanować, lecz dzięki władzy nie można mnie nie szanować. Nie można mi nie ufać. Jestem prawem. Jestem sprawiedliwością. Praworządnością i świętością. Chociaż wychowana przez zdeklarowaną ateistkę nigdy nie dostąpiłam łaski – bądź przekleństwa – wiary, potulnie chadzam na msze i dopełniam wszelkich religijnych obrzędów. Siedzę w pierwszej ławie. Pierwsza się wrywam, aby przyjąć Ciało Chrystusa. Spowiadam się najdłużej. Najpokorniej schylam głowę w żalu za grzechy. Najgłośniej śpiewam *Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie...* Obserwowana w kościele przez czujnych wyborców zwykle myślę o wszystkim i o niczym – o wizycie u kosmetyczki, lampce wina, którą wczoraj wychyliłam, książce, którą przeczytałam, o ustawieniu jakiegoś przetargu, albo męskich ramionach, w które chętnie bym się zapadła – lecz nigdy o istocie sacrum. Mojego

małego profanum i tak nikt nie odkryje. Wszak wyśmienicie gram bogobojnego polityka, na obu kolanach modłę się żarliwie, aby mnie wybrano na kolejną kadencję, proszę o łaskę Pańską, żeby nikt nie dopatrzył się malwersacji, których się dopuszczam...

Mimo że małpuję z zaangażowaniem, czasami obawiam się, że ktoś domyśli się mistyfikacji, rozgryzie mnie, przejrzy blagę. Niepotrzebnie – większości ludzi wystarczają pozory. Hipokryzja to nasz sport narodowy. Chowam się więc za fasadą świętoszkowatości, gram, gdyż niewierzącego odszczepieńca nikt w naszym powiecie nie wybrałby do sprawowania urzędu. Może gdzieś w Słupsku rządzi sobie gej-ateista, ale nie tutaj. Ateiści, geje, lesbijki, kolorowe ptaki-lewaki, liberałowie, gorszy sort, Żydzi i zakamuflowana opcja niemiecka u nas nie mają dostępu do koryta. Zresztą nikt taki tu nie mieszka. Wszyscy o odmiennych poglądach czy orientacji dawno się stąd wynieśli, pochowali w mysich norach, bądź zostali grzecznie wyproszeni. Dla inności nie ma tu miejsca. Dopasowuję się do zasad.

Nawet jeżeli w głębi duszy – zakładając, że w ogóle ją posiadam – nie podzielam narodowych fobii, to otwarcie się do tego nie przyznam. Za daleko zaszłam. Zabrnęłam? Za wiele mnie to kosztowało. Zbyt głęboko uwikłałam się w układy. Przywdziewam więc maskę, ukrywam się za gębą. Nie mam wyrzutów sumienia. Z wyrachowania się nie spowiadam. Z tego, że w środku jestem wypalona, zgorzkniała, moralnie przegniła i rozczarowana – a ponadto niespecjalnie lubię ludzi, nie wyłączając siebie – też nikomu się nie zwierzam. Bo i po co? Wystarczy, że na zewnątrz uchodzę za sympatyczną, miłą i otwartą. Nie walczę z wiatrakami, nie kontestuję rzeczywistości. Nie komplikuję świata dodatkowo. Jest wystarczająco popieprzony bez mojego wkładu.

Czy zawsze taka byłam?

Nie.

Czy mam na sumieniu jeszcze jakieś grzechy...?

Owszem. Jestem resortowym dzieckiem, ale nie kochałam ojca. Szybko straciłam dziewictwo. Jako nastolatka paliłam blanty – i w przeciwieństwie do byłego premiera zawsze się zaciągałam – a obecnie, po powrocie z pracy, lubię napić się wina. Rzadko kończy się na lampce. Zalewam robaka, żeby się znieczulić. Aby zapomnieć o szambie, w jakim nurzam się na co dzień. I żeby uodpornić się przed nocą – na szczęście mąż coraz rzadziej zagląda do mojej sypialni. Spełniamy swoje obowiązki jedynie dla zachowania pozorów i higieny związku. Nie kochamy się. Uprawiamy seks. Tak jak się uprawia jogging albo zagon ziemniaków. Metodycznie, bez emocji, bo należy. Dzisiaj nie potrafię nawet sobie odpowiedzieć, czy kiedykolwiek Szymona kochałam. Jakby to, co nas kiedyś połączyło, wydarzyło nie w moim, lecz życiu kogoś innego. Nie jestem tamtą dziewczyną, a on tamtym chłopakiem. Wszystko, co między nami było, czas jakoś

rozmył, zniekształcił, wyjałowił.

Kiedy się z nim wiązałam, byłam bardzo młoda, bardzo głupia i zachłyśnięta jego siłą, męskością buzującą testosteronem. Szymon, absolwent AWF-u, wysportowany, umięśniony, sprawny. Był kompletnie różny ode mnie. Panna mądralińska w okularkach i mięśniak w dresach. Właśnie skończyłam prawo w Warszawie i wróciłam do miasta. Wanda namawiała mnie, żebym stąd uciekła, żebyśmy uciekły razem, żebym zdawała na aplikację w stolicy. Ale zabrakło mi wiary w siebie i jakoś nie widziałam się w todzie. Pięć lat wkuwania paragrafów, wyjęte z życiorysu, wystudziło mój entuzjazm. Poza tym nie potrafiłam przywyknąć do Warszawy, do szumu wielkiej aglomeracji. Tutaj mogłam być kimś, tam na zawsze pozostałabym nikim – słoikiem, dziewczyną z prowincji, obywatelką drugiej kategorii, która rodowitym warszawiakom odbiera miejsca pracy i miejsce parkingowe pod biurem. *Persona non grata*. Nie chciałam tak żyć. W ogóle nie wiedziałam, jak żyć. Czegoś tam niby ważnego chciałam dokonać, lecz nie wiedziałam, co by to miało właściwie być. Po latach studiów najbardziej pragnęłam wolności. *Hic et nunc*. Chciałam korzystać z młodości, pieprzyć się do utraty zmysłów, pić wódkę i tańczyć do rana. Szymon miał wtedy podobne priorytety i był na każde zawołanie. Adorował mnie, nosił na rękach. Prostý, nieskomplikowany, zadurzony we mnie bez pamięci – chłopak totalnie z innej bajki niż ja. Jego niewiedza mnie śmieszyła, czułam się przy nim jeszcze lepsza, mądrzejsza. Jego zachwyty łechtały moje ego. Nie mogliśmy wprowadzić podyskutować o Heideggerze, ale i tak nie byłoby na to czasu. Nie wychodziliśmy z łóżka. Powinniśmy byli uważać, jednak kto w ekstazie pamięta o terminowym łykaniu tabletek.

Zaszłam w ciążę. Nie bałam się społecznej anatemy, szkarłatnej litery, jednakże mojej przyszłej teściowej podobna hańba nie mieściła się w głowie – na rany Chrystusa, dziecko, bez ślubu?! Broń was, Panie Boże, i co ludzie powiedzą! Szymon zdawał się zachwycony, po dziecięcemu, bezrefleksyjnie zachłyśnięty perspektywą zostania tatusiem. Wanda była zrozpaczona naszą indolencją w sprawach antykoncepcji. Nie mogła znieść, że uwikłałam się w związek z kimś poniżej jej oczekiwań. Namawiała – jeżeli już naprawdę nie chcę się poddać aborcji – żebym przynajmniej odpuściła sobie ślub. Przekonywała, że pomoże mi wychować to dziecko, bylebym darowała sobie ten cyrk z kościołem i białym welonem...

Całe życie pielęgnowała we mnie poczucie niezależności, więc zrobiłam z niego użytek i jej nie posłuchałam.

Kiedy Szymon poprosił mnie o rękę, powiedziałam „tak”. Dałam się porwać fali wydarzeń. Do tej pory zawsze musiałam w jakiś sposób za siebie odpowiadać, być odpowiedzialna. Okazało się, że to całkiem wygodne, pozwolić, by inni myśleli za mnie, załatwili wszystko, rozpisali scenariusz na resztę mojego życia.

Siostra Szymona wybrała za mnie sukienkę, teść kupił wódkę. Teściowa wyprosiła szybki termin u proboszcza. Wyprawili nam takie weselisko, że pół miasta się urzęnęło. A ja przy okrzykach „gorzko-gorzko” doszłam do wniosku, że chyba jednak – na złość Wandzie – będę szczęśliwa.

Tydzień później poroniłam.

Płakałam kilka dni bez przerwy. Wanda pocieszała mnie, że przecież jesteśmy młodzi, kiedyś jeszcze na pewno będziemy mieli dziecko. Może po cichu myślała, że odejdę od męża. Ale tego nie zrobiłam. Po jakimś czasie doszłam do siebie. Szymon mocnymi pchnięciami bioder każdego dnia wybijał z mojej głowy złe wspomnienia. Znowu było w porządku. Jakość naszej relacji przeliczyliśmy na ilość orgazmów. Mąż mnie kochał i tej miłości starczało za nas oboje. Przez pierwsze dwa lata po ślubie było nam tak dobrze, że niespecjalnie się przejmowaliśmy tym, iż żaden nowy plemnik nie zaprzyjaźni się bliżej z moją komórką jajową. Później to się zmieniło.

Zaczęłam się obwiniać. Temat pustej macicy urósł do rozmiarów obsesji. Zdrowa dieta. Owulacyjny małżeński seks z zegarkiem w rękę. Po wszystkim nogi w górze, żeby nie uronić ani kropli świętego mężowskiego nasienia. Zaciśnięte uda, wstrzymywany oddech, trzymane kciuki. Sikanie na plastikowe płytki testów... Z nadzieją wypatrywałam dwóch kresek. Lecz kreska zawsze była jedna. Samotne blade nic. Później przyszły łzy i krzyk wściekłości, walenie głową w prokreacyjny mur. Bowiem wszystko na marne. I zegarek, i nogi w górze. Na marne... Od ścian macicy wciąż odbijało się jedynie głuche echo pustki.

„Ewka, jesteś do niczego” – myślałam sobie. Nie jesteś prawdziwą kobietą. Błogosławioną Matką-Polką. To pewnie kara za ojca komunistę i ciotkę ateistkę. Czułam się wszystkiemu winna.

Pierwszy raz w życiu coś mi się nie udawało. Rozgoryczenie pogłębiały pytania życzliwych. Bezustanne pytania. Bezduśne, nietaktowne, bolesne, jak dłubanie w otwartej ranie. „Kiedy doczekacie się dzidziusia?”, „Nie za dobrze wam tak tylko we dwoje, nie czas wziąć się do roboty?”. Od tej roboty byłam już cała w środku poobcierana i obolała. Dostawałam piany na ustach, mordercze myśli zatruwały umysł. Moje jajniki stały się zagadnieniem numer jeden, głównym tematem debat rodziny męża. Katowali mnie przy każdej sposobności. U cioci na imieninach – „Kiedy dzidzius?”. Wielkanocne jajeczko – „Jak, Ewciu, twoje jajczkowanie?”. Boże Narodzenie – „Kiedy narodzenie waszego potomka?”. Aaa! Miałam ochotę ich rozszarpać. Wreszcie przestałam u nich bywać. Szymon mnie nie zmuszał.

Oczywiście leczyłam się. Byłam u wszelkiej maści specjalistów. Jakość nasienia męża w normie, u mnie też niby wszystko okej. Lekkie tyłozgięcie macicy, ale nie z takimi wadami kobiety zachodzą w ciążę. Może problem leży w głowie, może podświadomie wcale nie chcę dziecka? – głowili się specjaliści.

Oczywiście moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina... Żeby udowodnić wszystkim, że mi zależy, wyprawiałam cuda-wianki. Piłam tybetańskie zioła. Byłam u homeopaty, a nawet u szeptuchy pod białoruską granicą. Kazała mi palić świece z pszczelego wosku, pić jakieś śmierdzące napary i wkładać ciepłe kamienie w pochwę. Zasluchana w słowiańską melodię jej języka, zatopiona w tej irracjonalnej scenie, wmawiałam sobie, że to tylko zły sen. Zresztą te dziwaczne metody nic nie dały. Pewnie zbyt słabo wierzyłam w uzdrawiającą moc rzecznych otoczków.

Wreszcie przyszedł czas na in vitro.

W tajemnicy przed ultrakatolicką rodziną Szymona. Na zabiegi wydaliśmy mnóstwo kasy i mamy z nich kilkoro dzieci. Troje niezagnieżdżonych, resztę zamrożoną. Po kolejnej nieudanej implementacji daliśmy sobie spokój.

Na koniec moja teściowa pojechała w naszej intencji na pielgrzymkę do Watykanu. Jej ofiara, oprócz ładnej, włoskiej opalenizny i poświęconych przez samego papieża dewocjonaliów, przyniosła podobny rezultat, co ciepłe kamienie w moich narządach rodnych. Myślałam o adopcji, jednak Szymon nie wyobrażał sobie, że mógłby pokochać cudze dziecko. Powtarzając za swoją rodziną, twierdził, że na pewno dadzą nam w bidulu pomiot po jakimś pijaku albo ćpunie. I jak to kochać? Byłam innego zdania, jednak nie miałam siły, żeby o nie walczyć.

Od tamtej chwili koncentruję się na pracy. Musiałam czymś zająć myśli. Szybko zaczęłam piąć się po drabinie kariery w administracji. Najpierw przyjął pracę rzecznika w miejscowym UOKiK-u, później w wyborach zostałam wybrana do rady powiatu. Miałam coraz więcej pieniędzy i coraz mniej czasu na życie. Coraz mniej czasu dla Szymona. Byliśmy sobą zmęczeni. Rozczarowani. Bliskość zastąpiła nam niepohamowana konsumpcja. Skupiliśmy się na wydawaniu i posiadaniu coraz lepszych ubrań, samochodów, sprzętu RTV i AGD. Wreszcie kupiliśmy dom na Piaskach. Awansowaliśmy do miejscowej elity. Wszystko byłoby super, tylko nas już wtedy nie było.

I tak, od jakichś paru lat istniejemy obok siebie, w równoległych światach. Od mniej więcej dwóch. Wiem, że Szymon mnie zdradza. Wiem, ale nie rwę włosów z głowy. Jestem odporna, kalkuluję to na chłodno. Czy istnieją pary, które nie miewają skoków w bok? Uwierzyłam w teorię, że monogamia to wymysł cywilizacyjny, sprzeczny z biologią i zdrowym rozsądkiem. W razie zdrady lepiej zachować spokój, niż walczyć z wiatrakami i pierwotną, ludzką naturą. Zresztą wiedziałam, że Szymon ode mnie nie odejdzie. Ja od niego także. W pewnym momencie nasz związek przeistoczył się w dobrze prosperujący układ. Finansowy, towarzyski, społeczny. Wszystko działało jak należy. Żadne z nas nie zrezygnowałoby zbyt łatwo – czy jest sens szukać nowego wroga, kiedy własnego poznało się tak dobrze?

Słowo „rozwód” nie istniało w naszym słowniku. Nie mieliśmy ochoty na

ludzkie gadanie, połajanki mamusi, reprimendy z ambony, publiczny lincz. Rozwódki nikt by nie wybrał na następną kadencję. Pragnienie władzy hamowało w ostatnim czasie moje rozwodowe zapędy. Szymon też zachowywał *status quo*. Jego siłownia, wypieszczony biznes, w połowie należała do mnie. Uwikłaliśmy się w wiele brzydkich spraw... Tkwiliśmy w nich po uszy, ponosiliśmy konsekwencje.

Może gdybym nadal Szymona kochała, nie pozwoliłabym, żeby tak się ode mnie odsunął. Nie pozwoliłabym na te wszystkie niunie. Lecz między nami nie było już chemii, dawnych emocji. Nie było czułych spojrzeń, drżenia kolan, wilgotnych pocałunków. Nie było nic. Były wspomnienia. Przywiązanie, uzależnienie, splątany węzeł wzajemnych zależności. A Szymon wciąż był młody, jego ciało nadal domagało się spełnienia. Moje również. Nie mieliśmy ochoty na siebie, toteż erzac miłości znajdowaliśmy poza związkiem. Oczywiście ja jako kobieta, w naszym patriarchalnym małomiasteczkowym środowisku nie miałam przyzwolenia na romanse. Mąż zdradzający żonę to równy gość, mocny kozak, taki, co to się w życiu potrafi ustawić, co to go koledzy przy piwku poklepią po plecach. Zdradzająca żona to dziwka. Szybko to rozumiałam, dlatego dobrze się kryłam z moimi małymi przygodami. Doszłam do perfekcji. W rodzinnym teatrzyku co jakiś czas zjawiał się drugoplanowy aktor, który odegrawszy swoją rolę, po kilku spektaklach bez żalu usuwany był ze sceny.

Zasady wydawały się jasne – nigdy się nie angażować, nie dopuszczać do bliskości emocjonalnej, ucinać relację, gdy zaczyna wykraczać poza fizyczność. Nie przegadałam tego z Szymonem, jednak wiedziałam, że przyjął podobną strategię. Jego koszule pachniały kolejnymi damskimi perfumami co najwyżej przez kilka tygodni. Później pachniały kolejnymi. Czułam zapach tamtych kobiet we włosach mojego męża, w wełnianych splotach jego marynarek, na koszulkach treningowych, a czasami nawet na notatkach ze studiów, które zaczął robić podyplomowo. Nuty bergamotki, lilii, jaśminu, pomarańczy, piżma, opium. Nuty naszej niepisanej umowy, nuty zdrady. Doskonale je rozpoznawałam, grupowałam. Kobiety woniejące słodko, kwiatowo i mdło mój mąż traktował jak chusteczki higieniczne – były jednorazowego użytku. Nie stanowiły zagrożenia. Te używające cięższych perfum, o aromacie ziemi i namiętności, martwiły mnie nieco bardziej. Ale nie wpadałam w panikę. Dawałam mu czas, żeby związek z taką kobietą się wypalił, żeby zapach zwiędział, znudził mu się, spowszedniał. Szymonowi wszystko w końcu zaczynało się nudzić. Każdy zapach wreszcie znikał.

W tym układzie trwaliśmy od jakiegoś czasu. Obudowawszy się ekskluzywnymi przedmiotami, designerskimi meblami i wysokiej klasy sprzętem tv i audio, pływając się w pustce luksusu, przekonywaliśmy sobie nawzajem, że jest nam wygodnie. A ja po prostu pozostawałam czujna. Trzymałam rękę na pulsie. Trzymaliśmy się w szachu nawzajem. Nie przekraczaliśmy granic. Trwaliśmy na pozycjach. Okopani. Uzbrojeni po zęby w sztuczne gesty, puste słowa, w pełne

konto. W naszym idealnie poukładanym świecie.

I tylko czasami czułam bezmiar bezsensu, w którym utkwiałam, rozpierając każdą komórkę ciała próżnię... Zmarnowałam życie, wegetowałam, trwając w uśpieniu. Czy mogłabym pokierować wszystkim lepiej, mądrzej? Czy potrafiłabym jeszcze kochać? Nie wiem.

Wiem tylko, kim jestem.

Jestem Ewa. Nie istnieję od jakichś trzech godzin...

[4] *Ibidem.*

## 5.

*Jeszcze nie południe? (...) Jak nudnie*

*Wloką się chwile[5].*

Widok z okna pokoju podkomisarza byłby zupełnie przyjemny, gdyby nie kraty, a teraz także wodniste smugi rozmazujące się na szybie. W taki dzień można popaść w depresję, ewentualnie alkoholizm.

Podkomisarz Ryszard Baran nie popadnie jednak ani w jedno, ani drugie. W niczym bowiem nie przypomina archetypicznego bohatera kryminałów – jednego z tych twardych, bezkompromisowych gliniarzy, którzy żeby stawić czoła rzeczywistości na śniadanie walą lufę, nocami toczą introwertyczną walkę z demonami samodestrukcji, a zamiast przecinków używają słów powszechnie uznawanych za obraźliwe. Podkomisarz Ryszard Baran nie ma mrocznej przeszłości. Nie jest też seksowny ani ostentacyjnie męski. W zasadzie stroni od kobiet – z wyłączeniem swojej ślubnej – oraz od używek. Ma swojsko rumianą cerę, drugi podbródek i puciołowatą, dobrotliwą twarz. Niby potężny i napakowany, jednak nie przypomina Hardkorowego Kokska, a bardziej pluszowego misia, do którego dobrze jest się przytulić w zimną noc. Z natury optymistą. Hobbystycznie zbiera różne wydania książek Agathy Christie, które z dumą ustawia na regale w dużym pokoju. Sumienny pracownik, błyskotliwy śledczy, wzorowy mąż. I ojciec. Wzbudza zaufanie. W swym czterdziestoparoletnim życiu zaledwie dwa razy urządził się do nieprzytomności. Pierwszy raz, przed osiemnastoma laty, kiedy mu Hanuś urodziła córkę. Cudowną, różową, dorodną, cztery kilo sto pięćdziesiąt żywej wagi, dziesięć na dziesięć w skali Apgar – dziewczucha jak się patrzy, toczka w toczkę Ryś. Szwagier postawił wtedy flaszkę i kazał pić, a że Rysiek szwagrowi nie potrafił odmówić, toteż później przez pół nocy wisiał z łbem w muszli klozetowej. Drugi raz nawalił się rok temu, gdy awansował na podkomisarza – wtenczas flaszkę postawiły chłopaki z komendy i też kazały pić. Na szczęście obeszło się bez toaletowego upodlenia.



Prócz tych incydentów podkomisarz Baran pije kulturalnie i wyłącznie okazjonalnie; na chrztach, imieninach, weselach i stypach. Nigdy nie palił papierosów, a skręta raptem raz w życiu. Dostał po nim takiej gastrofazy, że trzy dni psuł powietrze. Na tym przygoda z narkotykami się dla Ryśka skończyła.

Oprócz nieposzlakowanej opinii podkomisarz Baran poszczycić się może sympatią kolegów – choć nie pije – stalowymi nerwami – przez piętnaście lat w policji najwyżej dwa razy się bał – i zaufaniem miejscowej społeczności. Rzadko się wzrusza. Dwadzieścia cztery lata temu, gdy na Dwójce puścili *Imperium Słońca* i w jednej ze scen zginął kamikadze, Ryszard zapłakał gorzko. Ale później strasznie się tego wstydził, toteż już nigdy więcej na żadnym filmie nie uрониł choćby łezki. Innych tajemnic chyba nie ma. No może poza tą, że czasami, gdy Hanuśki nie ma w domu, dla relaksu koloruje mandale.

Kiedy trzeba, obje mordę – ostatnio, gdy jeszcze był w technikum i myślał, że w przyszłości będzie miał zakład kontroli pojazdów. Jak trzeba, staruszkę przeprowadzi przez pasy – to zaledwie tydzień temu. Po prostu fajny chłop z tego Ryśka. Spokojny i zrównoważony. Lubi schabowe, rosół i pełne piersi Hanuśki. Lubi swoje poukładane życie. Lubi jeszcze wiele rzeczy...

I tylko czasami brak mu fajerwerków, silnych emocji, jakiejś szaleńczej podniety. Imaginuje sobie wtedy, że jest policjantem z Miami, tym zadziornym blondynem, co nie nosił skarpet do mokasynów, albo Borewiczem. Lecz w realu wciąż ma niedosyt niewyjaśnionych zaginięć, zagadek, pościgów i trupów z odciętymi głowami. Ponieważ takich spraw kryminalnych – z prawdziwego zdarzenia, spektakularnych, które pokazują w telewizji – tutaj, w powiecie jest jak na lekarstwo. Raz jeden ich komendę odwiedziła ekipa z TVP Lublin, kiedy udaremnili przerzut tanich papierosów z Ukrainy, ale prócz tego nudy.

Przez moment podkomisarz Baran wpatruje się w mokrą szybę, po czym przenosi wzrok na biurko. Na środku blatu, niczym wyrzut sumienia, wypiętrza się sterta akt i niedokończonych notatek służbowych. Podkomisarz, mimo wielu przymiotów charakteru, jednego w swojej robocie zdzierżyć nie potrafi – papierologii. Dlatego wciąż ma w dokumentach bałagan i zaległości. Kiedy jest więcej pracy w terenie, łatwiej mu się wymigać od biurowej dłubaniny. Jednak w dni takie jak dzisiejszy, gdy nie ma co robić, minuta ciągnie się za minutą, a on nudzi się na sobotnim dyżurze, wymówki się kończą. Zresztą szefowa bez przerwy ciosa mu kołki na głowie, „żeby wreszcie ogarnął ten burdel”. No to ogarnia.

Chwyta zniechęcony za pierwszą teczkę z brzegu i już, już ją zamierza otworzyć, kiedy rozzwania się telefon. Podkomisarz Ryszard się ożywia. Podnosi słuchawkę:

- Baran, słucham.
- Aspirant Kowalczyk, z dyżurki.
- No co tam?

– Przyszła jakaś kobieta. Mówi, że chce zgłosić zaginięcie.  
– Zaginięcie? – W głosie podkomisarza rośnie nadzieja. Papiery będą jeszcze musiały poczekać. Napina się, wytyża słuch niczym pies gończy, który zwęszył trop. – Powiedziała, o kogo chodzi?  
– Podobno o syna.  
– Mhm... W jakim wieku ten syn?  
– Nie wiem, nie zapytałem. Uznałem, że pan podkomisarz sam będzie chciał ją przesłuchać.  
– Słusznie – chwali podwładnego.  
– Ale babka ma dobrze pod pięć dych, więc raczej nie chodzi o małe dziecko. Raczej o dorosłego.  
– Ach. – W głosie Barana słychać delikatną nutę rozczarowania. Z dorosłymi zwykle sprawa jest prosta. Szybko się odnajdują. Gdy wytrzeźwieją.  
– To jak, przysłać ją do pana podkomisarza?  
– Nie, sam po nią przyjdę.  
– Rozumiem. – Kowalczyk zawiesza głos. Coś mu się jeszcze przypomina. – A zawiadomić komisarz Witek?  
– Czy ja wiem...? Może zadzwoń do niej i poinformuj o sprawie. Jeżeli zechce przyjechać, to dobrze. Jeżeli nie, drugie dobrze. Poradzę sobie.  
Odkłada telefon i podrywa z krzesła przysadziste ciało. Mimo tuszy porusza się nad wyraz sprawnie i gibko. Myśl o przesłuchaniu dodaje mu skrzydeł. Na zachmurzonym niebie pojawia się znak Batmana – Barana? Obywatelka Gotham jest w potrzebie, trzeba natychmiast ruszyć jej z pomocą.  
Policjant wygładza pomięty T-shirt, narzuca nań sztruksową marynarkę i bierze pod pachę laptopa. Nienawistnym spojrzeniem omiata ostatni raz stos dokumentów, a na koniec, z lekkością primabaleriny, wypada z pokoju.

[5] *Ibidem.*

## 6.

*Jak lód zimna;*

*Krew w niej zastygła; członki jej zdrętwiały...*

*Dawno już życie z tych ust uleciało[6].*

Szpital nadal wygląda jak przed laty. W powietrzu unosi się ten sam chemiczny zapach leków i strachu. Ściany, jak dawniej, pomalowane do połowy farbą olejną na seledynowy kolor. Znajomy korytarz. Znajome twarze. Czas zatrzymał się tutaj mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych i odtąd stoi w miejscu.

Idąca korytarzem kobieta nie ma wieku. Nie jest ładna. Nie jest też brzydka. Za to cała jest spokojem i opanowaniem. Szczupła twarz bez makijażu. Siwiejące krótkie włosy, ścięte modnie, ale zachowawczo. Stonowana barwa ubrań: jasne proste spodnie, szara koszulka z krótkim rękawem. Przez ramię przewieszony piaskowy prochowiec. Mokry od deszczu. Buty na płaskiej podeszwie, wygodne i eleganckie. Chodząca perfekcja.

Kroczy energicznie, wyraźnie się spieszy. Mijając osoby należące do personelu szpitala, schyla głowę w odpowiedzi na rzucane w jej stronę pozdrowienia. Próbuje się uśmiechać. Nie ma na sobie kitla, a jednak od razu wiadomo, że jest lekarzem.

Nikogo nie pyta o zgodę na wejście na OIT, a będąc już w środku, jakby doskonale знаła drogę, od razu kieruje się do drzwi z napisem: „Tadeusz Konarski, ordynator”. Puka i nie czekając na zaproszenie, wchodzi.

Mężczyzna będący w środku nie sprawia wrażenia zdziwionego. Oczekiwał jej. Unosi się zza biurka, kąciki jego ust nieznacznie się unoszą, chociaż nie jest mu do śmiechu. Wie, że czeka go niełatwa rozmowa. Podczas swojej wieloletniej praktyki odbył podobnych tysiące, a jednak tej wyjątkowo się obawia. Wolałby,

żeby to kto inny był dziś posłańcem złych wiadomości.

Kobieta zajmuje krzesło naprzeciwko. Zaczyna bez wstępów:

– O co chodzi, Tadeusz? Po co mnie wzywałeś? Przez telefon byłeś taki enigmatyczny, a ja nie bardzo mam teraz czas. Złapałeś mnie, gdy wychodziłam do pracy. Wezwali mnie niedawno do Lublina, na cito.

– Wanda... Tylko się nie denerwuj. – Przerzywa jej. Przęłyka nerwowo ślinę.  
– Ewa jest u nas.

– Nie rozumiem...

– Nad ranem jej mąż wezwał pogotowie na Piaski. Znalazł ją nieprzytomną.

– Nieprzytomną? Rano? Jej mąż? – Wielki znak zapytania rysuje się na jej czole. – Przecież Szymon jest w Lublinie. Ma w ten weekend zjazd na uniwerku.

– Nie wiem, zatem może to był ktoś inny, ale lekarz z pogotowia powiedział, że wezwał ich mąż. Zresztą to chyba był on, bo powiedział, że pozamyka dom i niedługo przyjedzie do szpitala.

– Nic z tego nie rozumiem. – Szare oczy wypełnia niedowierzanie.

– Słuchaj... – Mężczyzna mówi łagodnie, jednak słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. – Mnie też nie chce się w to wierzyć, ale ona... Ona prawdopodobnie próbowała popełnić samobójstwo.

Kobieta milczy. Zaciska wargi. Wbija wzrok w okno za plecami mężczyzny. Wielkie krople rozpryskują się na szybie. Za jej taflą nic nie widać. Nie ma nic. Świat się rozpuścił. Kącik lewego oka Wandy lekko drży, jednak oprócz tego jedyne przejawu emocji, z woskowej twarzy nie można nic wyczytać. Kobieta doskonale nad nimi panuje.

– Jak? – pyta głucho.

– Objawy wskazują na zatrucie.

– W jakim jest stanie?

– Przywieźli ją nieprzytomną. Była pod wpływem alkoholu, na szczęście, bo część zwymiotowała sama, jeszcze przed przyjazdem ratowników... Tu na miejscu zrobiliśmy płukanie żołądka, ale ciężko stwierdzić, ile czasu upłynęło od momentu, gdy przyjęła substancję, która wywołała ten stan. Na pewno piła wino, znaleziono przy niej butelkę, ale nie wiemy, co jeszcze przyjęła. W treści żołądka nie znaleźliśmy pozostałości tabletek, widocznie zdążyły się rozpuścić. W każdym razie, obecnie jest w śpiączce. Jest niewydolna oddechowo, więc podpięliśmy ją pod respirator, podajemy płyny, monitorujemy cały czas, ale źle to wygląda. Są już pierwsze objawy zespołu Mendelсона.

– Nie było opakowań po lekach?

– Mąż podobno szukał, ale nic nie znalazł. Żadnych blistrów po tabletkach, ewentualnie opakowań po narkotykach czy dopalaczach. Nic. Tylko resztki białego wina.

– Zawiadomiliście policję?

– Nie, dlaczego?

– Może ona...

– Wanda, nie było przesłanek, aby podejrzewać, że tam doszło do przestępstwa. Najmniejszych śladów udziału osób trzecich. Na ciele, kiedy ją tu rozebraliśmy, też nic nie znaleźliśmy. Nic, rozumiesz? Najmniejszego choćby zadrapania. Wiem, że ciężko zaakceptować to, co zrobiła, szczególnie tobie, ale sprawa wydaje się jasna. Ewa próbowała odebrać sobie życie.

Cisza. Milczą oboje. Z korytarza dochodzi stukot pielęgniarskich chodaków. Mężczyzna nerwowo strzela długopisem trzymanym w dłoni.

– Wanda...

Jego głos jest miękki jak cukrowa wata. Gdyby nie blat biurka, być może dotknąłby jej dłoni. Bardzo chciałby to zrobić, przytulić ją. Zdjąć ciężar, który wrzucił na jej barki. Minęło tyle lat, a jednak nadal coś czuje do tej kobiety. Gdyby wtedy pozwoliła się pokochać, gdyby nie była tak obsesyjnie moralna, dzisiaj wszystko mogłoby wyglądać inaczej, byłiby razem. Może nawet wzięliby ślub, stworzyli dom. Czemu nie. Zamiast tego oboje są sami. Samotni. Być może sumienie Wandy jest czyste, lecz on i tak zostawił rodzinę.

A teraz bardzo chciałby ją zamknąć w ramionach. Pocieszyć – Ewa jest wszystkim, co Wandzie pozostało. Co się stanie, jeżeli ta przybrana córka ją opuści? Jak Wanda sobie z tym poradzi? Jest silna, ale to przecież wyłącznie poza. Tarcza.

Tak chciałby ją teraz pocałować. Ale nie pocałuje. Chciałby zanurzyć twarz w jej włosach, ale tego też nie uczyni. Mimo że dzieli ich zaledwie metr, to jakby dzieliły całe oceany czasu.

– Cholernie mi przykro.

– Wiem, Tadeusz.

– Na razie się nie poddajemy. Musimy cierpliwie czekać. Ewa jest jeszcze w miarę młoda. Ma silny organizm. Nadal nie wszystko stracone. Jesteś lekarzem, wiesz, że nawet w tak ciężkich przypadkach zdarzają się cuda. Musimy się tylko dowiedzieć, co wzięła, pobraliśmy już próbkę krwi do analizy, ale może ty sobie coś przypomnisz. Może sama jej coś przepisałaś? Jeżeli wiesz, co to mogło być...

– Oszalałaś?! – Przerywa mu urażona.

– Przecież nie mówię, że otrułaś ją celowo, jednak Ewa dzięki tobie mogła mieć dostęp do różnych silnie działających substancji.

Wanda marszczy czoło, namyśla się, teraz nie czas na dąsy.

– Sama nie wystawiłam jej żadnej recepty, ale... było coś takiego zimą, pewien epizod. Wysłałam ją do psychiatry, kiepsko się czuła. Problemy w pracy, z mężem, sam rozumiesz...

– Przepisał jej leki?

– Twierdziła, że nie, ale może? Dowiem się tego.

- To ułatwiłoby sprawę.
- Jasne. – Wanda potakuje mechanicznie i podnosi się z krzesła.

Wszystko, co chciała wiedzieć, już wie. A w zasadzie nie dowiedziała się niczego, co naprawdę ją interesowało. Nie może zrozumieć, a tylko domyśla się, co się stało. Chociaż nadal wydaje jej się niemożliwe, żeby Ewa porwała się na coś podobnego. Jej Ewa nie może przecież umrzeć. Jeszcze wczoraj rozmawiały przez telefon. Jak to się stało, że teraz jest tutaj?

Cały ten poranek, rozmowa z byłym kochankiem... To wszystko wydaje się takie absurdalne.

- Nie wiesz, czy Szymon już dojechał? – pyta, kierując się do drzwi.
- Kto, jej mąż? Chyba jeszcze nie. Nie wiem.
- Gdzie ona leży?
- Pod dwójką.

Wanda chwyta za klamkę. Ostatni raz odwraca się w stronę mężczyzny.

- Mogę cię o coś prosić?
- O wszystko, Wanda. Przecież wiesz.
- Tadeusz, postaraj się sprawę Ewy utrzymać w tajemnicy jak najdłużej.

W poniedziałek, gdy nie pojawi się w pracy i tak wszystko się rozniesie. Będą plotki... Niech przynajmniej na razie wszyscy dadzą jej spokój.

- Masz moje słowo.

[6] *Ibidem.*

## 7.

*Gdzież się, u diabła, podział ten Romeo?*

*Czy choć nocował w domu?[7]*

Zwilża usta językiem. Zmysłowym ruchem zakłada nogę na nogę. Prowincjonalna Sharon Stone.

„Skądś ją znam” – uporczywa myśl przepływa przez głowę Ryśka Barana, gdy idzie korytarzem w kierunku kobiety siedzącej przy dyżurce. Jednak w mieścinie takiej, jak ta z widzenia przecież zna się prawie wszystkich. Mógł ją spotkać na ulicy, w sklepie, gdziekolwiek. Kobieta rzuca się w oczy. Krzykliwy makijaż. Zbyt krótka kiecka. Długie nogi w tanich szpilkach. Mimo że jest nieco zużyta, ma w sobie coś pociągającego, sensualnego. Podkomisarz Baran nie przyzna się do tego nawet sam przed sobą, ale lubi takie babki – ciut starsze od niego, kipiące seksapilem, przekwitłe lilie, upadłe anioły. Jego Hanusia w niczym oczywiście nie przypomina podobnego wampa. Z takimi kobietami można robić brzydkie rzeczy, ale nie bierze się ich za żony. Takie kobiety nie potrafią zrobić schabowego i nie są dobrymi matkami. A jego Hanuś robi najlepsze kotlety w całym województwie. I jest święta. Zresztą ta tutaj, mimo aparycji ładacznicy, być może także nią jest. Albo przynajmniej chce za taką uchodzić, ostentacyjnie obwieszając się dewocjonaliami.

Podkomisarza dzieli od kobiety zaledwie kilka metrów. Jego wzrok bezwiednie ląduje na wydatnych piersiach i medaliku połyskującym w zagłębieniu między nimi. W głowie sporządza wstępną notatkę służbową, analizuje to, co widzi. Suma pierwszych wrażeń ma dla śledczego wartość nie do przecenienia. Później osąd zaczyna się deformować, zmieniać pod wpływem słów, zachowań, kolejnych bodźców – czasami mylących. Dlatego chwila, gdy widzi kobietę na krześle przy drzwiach, gdy jeszcze nie zdążyli wymienić spojrzeń, jest dla niego taka ważna. A pierwsza myśl podkomisarza Barana jest taka, że jak na matkę zaginionego syna, jest ona zbyt spokojna. Zbyt opanowana, nazbyt skupiona na

sobie.

To dziwne.

Kobieta odwraca głowę w stronę policjanta dopiero, gdy dzieli go od niej nie więcej niż metr. Baran stara się krzepiąco do niej uśmiechnąć. Ona podnosi się z krzesła. Nie odwzajemnia uśmiechu. Lustruje go i nie wygląda przy tym na podbudowaną, jakby spodziewała się kogoś innego, bardziej wyrazistego. Prawdziwego, ostrego glinę. W mundurze chociaż.

Podkomisarz zdążył się już przyzwyczać do podobnych reakcji, zatem nie traci rezonu. Podaje kobiecie rękę. Potrząsa energicznie jej zimną, nieco wilgotną i wiotką dłonią, przywodzącą na myśl martwą rybę.

– Podkomisarz Ryszard Baran. Podobno chce pani zgłosić zaginięcie?

– Tak...

Policjant patrzy jej prosto w oczy.

– Dobrze. Zaraz się tym zajmiemy.

Kobieta nie ucieka spojrzeniem. Wydyma usta. Nie zamierza niczego mu ułatwiać. Pierwsze lody dobrze trzymają. Wreszcie podkomisarz wypuszcza jej dłoń, odwraca się w stronę Kowalczyka, siedzącego za pulpitem dyżurki i przyglądającego się tej scenie.

– Nie wiesz, Dawid, czy jedenastka jest wolna?

– Raczej tak. Pustki dzisiaj. – Aspirant Kowalczyk podrywa się na równe nogi. Wciąga brzuch, z szacunkiem prostuje się przed wyższym rangą kolegą. – Niedawno chłopaki z drogówki rozmawiali tam z jednym aresztowanym tirowcem, ale już go wypuścili.

– Dobra, w takim razie teraz ja biorę pokój przesłuchań. Poproś, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

– Tak jest.

– Ale... – Kobieta próbuje coś wtrącić. W jej oczach maluje się lęk: pokój przesłuchań?!

– Zaraz wszystko mi pani opowie. – Podkomisarz nie pozwala jej dojść do słowa. – Tam po prostu będzie nam najwygodniej – dodaje uspokajającym tonem.

Zamiast wrócić do miejsca, z którego przyszedł przed chwilą, zaprasza ją gestem, by skręcili w boczny korytarz. Przemierzają go do końca. Docierają do metalowych drzwi. Baran wstukuje odpowiedni kod, szarpie energicznie za klamkę. W środku nie ma okna, z wnętrza ziele chłodem. Mężczyzna po omacku szuka włącznika i dopiero, gdy zapala światło, wpuszcza kobietę do środka.

Podczas rozbudowy komendy w nowej części umieszczono nafaszerowaną elektroniką i wyposażoną w lustro weneckie supernowoczesną salę przesłuchań. Duma i chluba komendanta. Nawet w miejscowej gazecie o tym pisano. Pokój jest niewielki, wygłuszony, a jego minimalistyczny wygląd oscyluje pomiędzy salą konferencyjną a prosektorium. Każdy odgłos dziwnie tu rezonuje, by po chwili



pochłonęły go ściany. Ich gołębi kolor oraz ostre zimne światło jarzeniówek potęgują negatywne wrażenie. Jest tu nieprzyjemnie, ale też nikt nie bywa w tym miejscu dla przyjemności. No, może z pewnym wyjątkiem, jak twierdzą co niektórzy na komendzie, jednak podkomisarz Baran nie zwykł słuchać plotek.

Policjant wskazuje kobiecie krzesło, sam rozsiada się naprzeciwko. Otwiera laptopa. Chłodna poświata opromienia mu twarz. Nabiera powietrza.

– Okej, zanim zaczniemy... – Podnosi wzrok znad monitora. – Proszę pamiętać, że w przypadku zaginięcia każda informacja jest istotna. Wszystko, co pani mi powie, ma znaczenie. Proszę się zatem skupić i starać sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów.

Kobieta rozgląda się z wyraźnym niesmakiem po przygnębiającym otoczeniu. Patrzy w oko kamery umieszczonej pod sufitem w rogu, a później na lustrzaną tafłę szkła na bocznej ścianie. Nie kryje rozdrażnienia.

– Ktoś tam jest? – Wskazuje ruchem głowy na lustro weneckie. – Ktoś nas obserwuje? Tak? Ja nie jestem przestępcą! Po co to? Nie macie tu żadnych normalnych pomieszczeń?

– Ależ proszę pani, nikt nas nie obserwuje, po prostu tutaj będziemy mogli w spokoju porozmawiać. – Tłumaczy, chociaż nie musi.

Jest dzisiaj nieswój. Zbyt miękki. Kobieta dziwnie na niego działa. W głowie bogobojnego męża i ojca wymalowuje się niemoralny obraz, jak rzuca ją na dzielący ich stół i nurkuje w zagłębieniu piersi, tuż obok połyskującej złotem Matki Boskiej. „Cóż za nonsens!” – przywołuje się do porządku. Hania! Musi myśleć o Hani, o niedzielnym rosolu, który już teraz pyrka na kuchence. Ale nie – najlepiej, żeby się skupił na sprawie. Musi być profesjonalistą.

– Ubeckie metody – syczy tymczasem ona, a wygłuszone ściany żarłocznie połykają wydawany przez nią dyszkant.

Baran puszcza uwagę kobiety mimo uszu, już wie, że ich współpraca nie będzie prosta. Odchrząkuje, wraca do przerwanej wątku:

– Musi pani wiedzieć, że od chwili zgłoszenia zaginięcia wszystkie czynności policji będą miały ustandaryzowany przebieg.

– Że co?

– To znaczy, że od momentu powzięcia informacji o zaginięciu działamy według opracowanego z góry wzorca. Między innymi umieszczamy zaginioną osobę w krajowym rejestrze...

– Co mi tu pan za dyrdymały opowiadasz? Być może mój dzieciak leży gdzieś martwy, a pan...?

– Jak to: „Leży martwy”? Ma pani podejrzenie, że doszło do przestępstwa?

– Nie. Chyba nie. Tak mi się jedynie powiedziało... – Wzrusza ramionami.

– Zatem na chwilę obecną nie zakładajmy najgorszego scenariusza. Mnóstwo ludzi znika każdego dnia i większość się odnajduje. Na razie proszę się

nie denerwować. Zaraz mi pani wszystko opowie, jednak ja najpierw mam obowiązek poinformować panią o wszystkich aspektach naszej pracy, żeby miała pani jak najlepszy obraz przyszłych działań. Istnieje opinia, bardzo zresztą krzywdząca, że policja opieszale reaguje w przypadku zaginięć. Przez to rodziny zamiast poczekać na efekty naszej pracy, zatrudniają na własną rękę prywatnych detektywów, jasnowidzów oraz innych takich hochsztaplerów i naciągaczy, a zaręczam, że i bez ich wątpliwej pomocy radzimy sobie zupełnie dobrze. Wspominam o tym, żeby miała pani jasność: wiemy, co robić. Dlatego proszę, żeby bez ustaleń z nami na razie nie podejmowała pani żadnych kroków.

Na różowe wargi wypływa sardoniczny grymas.

– Takie tam pieprzenie. A tej Wieczerek do dzisiaj nie znaleźliście.

Podkomisarz marszczy czoło. Nie rusza go rynsztokowy język kobiety. Nie takich rzeczy na służbie musi się nasłuchać.

– ...Co? Myśli pan, że ja w Internecie nie czytałam, jak tam w Sopocie daliście ciała w jej sprawie. Biedna matka musiała Rutkowskiego wzywać, żeby wreszcie ktoś zechciał monitoringi przejrzeć. Tak, tak, wszyscy wiedzą, jak policja funkcjonuje w naszym kraju.

– Proszę pani... – Cierpliwość podkomisarza powoli się kończy.

– Dobra. Daj pan spokój. Będę syna szukać tak, jak uznam za stosowne. Nic wam do tego. Zgłaszam zaginięcie, bo zgłosić muszę, a pan niech robi swoje. Do czego to podobne? – Wznosi oczy do sufitu. – Od piętnastu minut już tu jestem, a jeszcze nikt mnie nie zapytał, jak ten mój dzieciak wygląda, czy chociażby jak się nazywa. A on od wczoraj znaku życia nie dał...

– Od wczoraj go dopiero nie ma?

– No i co z tego? Ja dobrze znam swoje prawa. Oglądałam *Ktokolwiek widział...*, to wiem, że z tymi czterdziestoma ośmioma godzinami to pic. Chłopaka nie ma, a miał już dawno być w domu. Nigdy w życiu się nie spóźnił. Zawsze mnie albo babce mówił, gdzie jest. A teraz kamień w wodę. To przyszłam.

Policjant przełyka ślinę. Ależ ona irytująca. I zarazem pociągająca, kiedy się tak złości. Obfite piersi unoszą się i opadają, niebezpiecznie napinając lamówkę dekoltu. Jeszcze chwila i góra sukienki trzaśnie. A gdyby tak...?

Skąd on ją zna?

– Dobrze, w takim razie nie traćmy czasu. Jednak wszystko po kolei. Muszę wypełnić ankietę. Taką mamy procedurę. – Klika znowu w klawiaturę, spogląda na ekran. – Godność osoby zgłaszającej?

– Że co?

– Pani imię i nazwisko?

– Andżelika Górka.

Zerka na nią. Oczywiście, że nazywa się Andżelika. Andżela – żadne inne imię nie pasowałoby do niej tak doskonale.

- Imię ojca?
- Czyjego?
- Pani, pani Andželiko.
- Czesław.
- PESEL?
- Mój czy ojca?
- Pani.
- Ja tam do takich pierdół nie mam głowy. Muszę sprawdzić.

Górska wybebesza torebkę. Wyrzuca na blat komórkę, szminkę, jakieś zasmarkane chusteczki, fiolkę tanich perfum, papierosy, zapalniczkę, klucze, paragony ze sklepu. Dopiero na koniec wyciąga portfel. Czerwony – na szczęście. I raczej pusty – na nieszczęście. Wyjmuje z niego dowód i podaje policjantowi.

- Spisz pan sobie. – Zgarnia swój bajzel z powrotem do torby.

Podkomisarz odbiera plastikową kartę. Zawiesza wzrok na zdjęciu Górskiej – albo dawno wyrabiała dowód, albo fotograf lubił się bawić Photoshopem, taka tu jest apetyczna, świeża – a później zaczyna przepisywać dane w ciszy. Numer i seria dokumentu. Miejsce zamieszkania: Osiedle Wyzwolenia, a zatem siódmy krąg piekła. Data i miejsce urodzenia: wieś pod miastem, czerwiec, lata siedemdziesiąte. Za kilka dni imieniem Andżeli będzie czterdzieści i cztery. No proszę, a myślał, że jest starsza.

– W najbliższy piątek ma pani urodziny. – Zauważa znad komputera, starając się przyjąć życzliwy ton.

Ona jednak wciąż jest naburmuszona. Po dziecinnemu wydyma policzki, a następnie powoli, układając usta w dzióbek, ze świstem wypuszcza powietrze.

- Nie pana sprawa.

Podkomisarz wzrusza jedynie ramionami. Oddaje jej dowód. Nie ciągnie tematu. Dalej stuka w klawisze.

- Jest pani dla zaginionego...? – zawiesza głos.

- Matką.

- Nazwisko syna?

– No wie pan co, to chyba jasne, że Górski. – Na samą sugestię, że mogłaby być panną z dzieckiem albo może – co nie daj Bóg! – rozwódką, Andżela popada w święte oburzenie.

Baran niewzruszenie wpatruje się w monitor.

- Imię syna?

– Karol. Jak nasz papież Polak. *Santo*. – Z namaszczeniem wypowiada prawdopodobnie jedyne obce słowo, jakie zna.

- Jego PESEL pani pamięta?

– Weź pan nie pytaj o głupoty. Swojego nie pamiętam, to miałabym cudzy znać?

– A ma pani może dowód syna?  
– Boże... – Wzdycha teatralnie. – Panie, to jest dorosły chłopak, nie będę za nim nosić dowodu.

– Dobrze, może w takim razie pamięta pani chociaż datę urodzenia?  
– Takiego bólu, to się nigdy nie zapomina. Dwadzieścia godzin rodziłam. Bez znieczulenia. A położna to gorsza niż rzeźnik...

– Kiedy to było? – przerywa jej wynurzenia.

Kobieta recytuje datę.

– Czyli syn skończył niedawno dwadzieścia lat.

– Ależ z podkomisarza matematyczny as, brawo.

Najpierw irytacja, później złość, teraz sarkazm. Podkomisarz Baran czuje, jakby razem z Górską wznosił się i opadał na rozchwianej emocjonalnej huśtawce. Zerka na nią znad komputera. Na jej wargach drga półuśmiech.

– Adres zameldowania ten, co u pani?

Uśmiech na różowych wargach tężeje.

– Nie – cedzi. – Karol... To znaczy, mój syn, zameldowany jest u teściowej na Podleśnej osiemnaście.

– Na Piaskach, za rzeką?

– Tak.

– I tam mieszka na stałe?

Cisza.

– Czy syn mieszka z pani teściową? – Ponawia pytanie.

– Różnie.

Podkomisarza wzmagają czujność. Czyżby rezolutna Andżela traciła pewność siebie?

– Proszę wyjaśnić dokładniej.

– Ja mieszkam na trzydziestu pięciu metrach w bloku. Ciasnota taka, że obrócić się nie idzie, a kuchnia ciemna klita... Teściowa ma dużą chałupę z ogrodem. Gdy Karol podrosł, to część rzeczy przeniósł do babki, żeby mu było wygodniej. Czasami pomieszkiwał tam, a czasami u mnie, szczególnie, kiedy miał na rano do szkoły. Ode mnie jest bliżej.

– Syn się jeszcze uczy? Dwudziestoletni chłopak? Studiuje? W Lublinie?

– O Jezu, na ten temat to długo by opowiadać. – Macha ręką.

– Mamy czas.

– Niech będzie... – rzuca z rezygnacją. – Jeszcze nie studiuje, bo ma obsuwę.

– Obsuwę?

– Tak. Po gimnazjum uznałam, że lepiej, żeby poszedł do zawodówki i miał pewny fach w ręku. Wie pan, że u nas ciężko z robotą. Jeszcze w takim Lublinie albo gdzie w Warszawie, to łatwiej co znaleźć, ale tu... A po zawodówce, to mógłby do Londynu wyjechać albo do jakiej Norwegii. Syn takiej jednej u nas

z bloku, to miliony w Norwegii zarabia. Domy im tam latem maluje na taki rudy kolor, wie pan? Ale Karol nie. Nie ma smykałki do fizycznej pracy. On by tylko mazał po zeszytach bohomazy jakieś. Malarzem czy kimś tam chce zostać. Też pomyśl. Artysta jego mać! Więc po roku w zawodówce babka, znaczy się moja teściowa, przekabaciła go, żeby przeniósł się do ogólniaka. Że niby potem na uczelnię plastyczną pójdzie czy jak. Pierdolenie. – Macha ręką. – No i stąd rok w plecy. Ja mu mówiłam, że to żadne wykształcenie, taka matura, i pieniędzy z tego nie ma, lepiej już by został tym blacharzem, no i ja też go przecież utrzymywać nie będę w nieskończoność. Dorosłego chłopca. Ale stara się uparła i obiecała, że ona na te nauki w liceum będzie łożyć. Chce płacić, niech płaci, pomyślałam, no i się zgodziłam. Droga wolna. Nigdy się ze mną stara nie liczyła.

– Więc syn część czasu spędzał z panią, a część u babci. A jego ojciec?

– Krzyśka to żeśmy pochowali już dziewięć lat temu. Głupio zginął. Wpadł pod ruską ciężarówkę na Lubelskiej. Z małym dzieciakiem mnie zostawił. I bez grosza...

Bingo!

W głowie podkomisarza Ryszarda Barana zapala się zielona lampka. Teraz już wie, już pamięta, kiedy spotkał Andżelikę Górską po raz pierwszy. Pojawiła się na komendzie niedługo po tamtym wypadku. Podobno usłyszała na mieście, że ktoś zginął i pobiegła zobaczyć zdarzenie na własne oczy – takie historie nieczęsto się tutaj zdarzają. Dołączyła do grupy gapiów. Na ulicy pełno krwi, a szoferka tira bez jednego zadrapania. Ciało już nie było. Ktoś jej powiedział, że to chyba jej mąż był tym, który wlaź pod koła, ktoś inny kazał lecieć na komendę. Toteż przybiegła. Rozrzęsona i we łzach. Zrozpaczona, a przy tym bardzo piękna. Zdezorientowana w holu komendy zaczepiła młodego policjanta. Trochę przy kości, sprawiał wrażenie życzliwego. Chwyciła go za rękę i powiedziała, że nie puści, dopóki się nie dowie, co się stało z jej mężem. Rysiek Baran oczywiście słyszał od kogoś z kolegów, co zaszło na Lubelskiej, bo posłali tam kilka radiowozów i musieli ściągnąć prokuratora, lecz szczegółów nie znał. Już wtedy pracował w kryminalnej. Żał mu jednak było kobiety, dlatego osobiście odprowadził ją do skrzydła, w którym urzędowała drogowka. Tam się rozstali. Później słyszał jeszcze, że desperowała jak w wenezuelskiej telenoweli i nie chciała uwierzyć, że to jednak jej mąż zginął, a podczas rozpoznania w kostnicy zemdląca. Rysiewi szkoda było kobiety. Taka jeszcze młoda, ładna i podobno została sama z małym dzieckiem. Przez pewien czas rozmyślał, jakie to życie ulotne i że nie znasz dnia ani godziny. I co by to było, gdyby tak on Hanuškę owdowił. A później o wszystkim zapomniał.

I teraz masz. Znowu na siebie wpadli.

– Chyba pamiętam tamtą sprawę. Bardzo mi przykro z powodu męża.

– Ta... Przykro. – Andżela spogląda na policjanta, ale chyba go sobie nie przypomina. W końcu widziała go dwadzieścia kilo temu.

– A zatem syn nie przebywa u pani na stałe... – Podkomisarz zamyślony kiwa głową. – Może w takim razie jest u babci.

– Głupią pan ze mnie robisz? Wiadomo, że już z teściową gadałam. U niej go nie ma. Ja bym jeszcze pewnie poczekała ze zgłoszeniem, raptem od wczoraj nie dał znaku życia, ale tamta na mnie naciskała. Może i trochę racji ma. Karol to taki, że nigdy się nie spóźnia, obowiązkowy. Raczej nie po mnie, po Krzyšku. Mój chłop też taki był.

– Mówiła pani, że nie widziała go od wczoraj, tak? Od której dokładnie? Gdzie to było?

– No wreszcie jakieś konkretne pytania. Teraz to pan pyta, jak na filmach. – Potakuje z uznaniem. – Widzieliśmy się w przelocie, kiedy wróciłam z roboty...

– Gdzie pani pracuje?

– Na akord przy rozbiórce kurczaków w zakładach mięsnych Gołębińskiego. Robię tam na śmieciówce.

– Okej. I o której wróciła pani z pracy?

– Skończyłam o szesnastej. To kawał, na przedmieściach, zanim dotarłam na osiedle, pewnie była siedemnasta. Po drodze jeszcze weszłam do sklepu, bo lodówka pusta, a miałam mieć gości wieczorem.

– Gości?

– Właściwie jednego, znajomego takiego... Zresztą nieważne. Wdową jestem, chyba mogę się czasami spotkać z ludźmi?

– Chyba pani może... Wróciła pani do domu i zastała Karola.

– Nie. On wpadł trochę później. Może koło szóstej. Leciał na ognisko nad rzekę, a miał rozładowaną komórkę. Gdy był u mnie w czwartek, to zapomniał zabrać ładowarki.

– Zatem syn przyszedł ledwie na chwilę. Z domu babci?

– Raczej od niej, bo skąd indziej? Ale ja go o to nie pytałam, przecież dorosły jest.

– Wybierał się na ognisko. Z kim miał się tam spotkać?

– Wydaje mi się, że ze swoją klasą. Wspominał coś. On w tym roku zdawał maturę. Świętowali koniec egzaminów. Pewnie chcieli trochę rozładować stres. Napić się. Rozumie pan? Jak to dzieciaki w tym wieku.

– Tak... Zatem Karol wybierał się na imprezę klasową. Sam? Czy może ktoś po niego przyszedł?

– Sam. U nas z osiedla, to nikt z nim do klasy nie chodził. Żadnych kolegów tu nie miał. Od czasu, gdy się przeniósł do ogólniaka, ze starymi kolegami w ogóle pozrywał kontakty. Uważam, że to nieładnie, nie po koleżeńsku, ale siłą go przecież nie mogłam zmusić, żeby odwiedzał dawnych kumpli, no nie?

– Próbowwała się pani skontaktować z nim przez telefon?

– Tak, ale ma wyłączony. Zresztą, jak mówiłam, gdy wychodził, miał prawie

rozładowana baterię. Ładowarkę niby ze sobą zabrał, ale skąd na ognisku kontakt?

– Proszę mi podać jego numer.

– Mówię, że ma wyłączony...

– Pani Andzeliko. – Stanowczym tonem przywołuje ją do porządku. – To bez znaczenia: włączony czy nie. Można sprawdzić, gdzie jego telefon ostatnio się logował. Więc jaki jest ten numer?

Górska sięga do torebki. Grzebie w niej. Dobywa komórkę. Jakby nigdy nie przeszukuje kontakty. Wprawia tym podkomisarza w konsternację – matka nie zna numeru do syna?

– Pisz pan. – Dyktuje ciąg cyfr, a następnie na powrót wrzuca telefon do torby.

Policjant notuje. Zamyśla się, kręci młynka kciukami, opiera wygodniej na krześle. Drewniana rama skrzypi złowieszczo.

– Czy tu można zapalić? – Damski głos wrywa go z zamyślenia.

– Słucham?

– Czy mogę zapalić?

– Nie, no skąd. Mamy tu czujniki dymu.

Górska przeżuwa w ustach jakieś przekleństwo, ale ostatecznie je przelżyka.

Daje za wygraną.

– A syn pali? – dopytuje tymczasem podkomisarz.

– Czy ja wiem, a kto nie pali? Po co to panu?

– Pije?

– Nie więcej niż wszyscy. Wychował się na osiedlu, to jak ma nie pić?

– Narkotyki?

– Ale o co panu chodzi?

– Powinienem wiedzieć o wszystkim, co dotyczy Karola. A może syn cierpi na jakąś chorobę?

– Nic mi o tym nie wiadomo, a to ważne?

– Jeśli jest chory, mógł gdzieś zasłabnąć.

– No chyba że tak, jednak nie sędzę. Chłop jak dąb. Ostatni raz miał katar w podstawówce.

– Rozumiem. No tak... – Znowu pauza. – A czy dzwoniła pani do któregoś z jego kolegów? Może jest u kogoś z klasy? Mógł za dużo wypić i pójść spać do znajomego. Dopiero jedenasta. Może odsypia noc?

– Nie mam zamiarów na jego nowych znajomych. – Kładzie nacisk na „nowych”. – Matka, co fizycznie robi w zakładach mięsnych, to jest obecnie dla mojego pana syna powód do wstydu. Karol bardzo się zmienił, od kiedy zaczął się uczyć w liceum. Przestał chodzić co niedzielę na mszę świętą. Że on niby teraz taki postępowy, ateista. Uważał, że jestem głupia, bo słucham toruńskiego radia i wierzę w zamach. A pewnie, że wierzę, bo tam naszego prezydenta ruscy

zamordowali. Macierewicz wie, co mówi, profesorowie z Ameryki ekspertyzy dla niego zrobili przecież. Ale ten mój Karol, to Boga w sercu nie ma i śmieje się ze mnie, że jestem naiwna. Jeszcze prawda wyjdzie na jaw. Komuchy przekłete, resortowe dzieci... – Nie wiedzieć czemu, wygraża w kierunku weneckiego lustra. – I mój Karol też teraz gada niczym jakiś gorszy sort, jak jaki farbowany lis, podrabiany Polak. Żadnej świętości nie uszanuje. Nawet matki własnej, co go tymi rękoma przewijała... Nie tak go wychowałam.

Baran słucha z uwagą. Rzadko jej ktoś słucha – a jeśli już, to zwykle bez zainteresowania – więc Andżela wyleje z siebie teraz wszystkie żale. Rozczarowanie na cały ten gówniany los. Powie misiowatemu glinie, jaka jest biedna, opuszczona, samotna...

– A wie pan, co on mi kiedyś powiedział, niewdzięcznik jeden, gnojek zafajdany? Że się dziwi ojcu. Dziwi się! Bo jak ten jego wspaniały tatuś mógł sobie wziąć niewykształconą dziewczę ze wsi, znaczy mnie. Mąż był po szkole średniej, a nawet studia zaczął. Chociaż nie skończył, bo już Karol był w drodze... On taki pan, a ja córka zwykłego chłopca. Mezalians popełnił, czy jak to się tam nazywa w wyższych sferach. Mezalians – tak mi mój synek w kłótni kiedyś wykrzyczał. Wyobraża pan sobie? A ja tyle lat sama go chowałam. Za te marne grosze z renty po ojcu, bo ja bez zawodu i długo na bezrobociu siedziałam. Łapałam jakieś fuchy.... Teściowa chytra, nigdy mi nie pomogła, że niby przepiję. Do skarpety chowała emeryturę albo dzieciakowi do ręki pieniądze wciskała, a mnie nigdy nie pomogła. Sama w złotych pierścieniach, a ja niczym nędzarka. Na koniec chłopaka przeflancowała na swoją stronę i tyle miałam syna. Sama jak palec na świecie.

Podkomisarz kiwa głową. Nie wie, czy kobieta wywołuje w nim większą niechęć czy współczucie.

– Przez te ostatnie trzy lata straciłam z Karolem kontakt i żadnych jego kolegów nie znam. To prędzej ta stara się orientuje. Ale ona jeszcze godzinę temu myślała, że dzieciak jest u mnie, dlatego raczej nigdzie nie zdążyła zadzwonić, języka zasięgnąć. Zresztą, może ona też nie zna telefonów do tych kolegów? Nie wiem. Teraz to chyba już rola policji, żeby się wszystkiego wywiedzieć, co? Do mojej teściowej też możecie pojechać, bo ja tam z nią gadać nie będę. To jest taka czarownica, wampirzyca, że jak nie muszę, to z nią nie rozmawiam.

– Naturalnie. Postaramy się porozmawiać z kolegami Karola i z pani teściową. – Uspokaja ją. – A proszę mi jeszcze powiedzieć, czy może Karol ma jakąś dziewczynę? Wie pani, w jego wieku, jak się człowiek zakocha, to potrafi stracić głowę i poczucie czasu.

Andżelika Górską zamiera. Blednie. Uśmiecha się trochę dziwnie, niewyraźnie. Bawi się wyjętą z torebki paczką papierosów. Patrzy gdzieś w dół.

– Nie. Karol nikogo nie ma.



– A może jednak?

– Nie. Na pewno nie.

Podkomisarz Baran potakuje spokojnie. Jest coś takiego w mowie ciała Andżeli Górskiej, że ani trochę jej nie wierzy.

– No dobrze, to teraz sporządzimy rysopis zaginionego...

[7] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Jerzy S. Sito, *op. cit.*

## 8.

*Zbyt ona piękna, zbyt mądra zarazem;*

*Zbyt mądrze piękna: stąd istnym jest głazem?[8]*

Komisarz Małgorzata Witek. Szefowa wydziału kryminalnego.

Przyjechała na komendę, gdy tylko dostała telefon od Kowalczyka. Nie musiała oczywiście, Rysiek wszystko ogarnąłby sam, lecz i tak nie miała co robić w domu. Ile czasu można wgapiać się w telewizor? Wyjść, żeby pobiegać też jakoś jej się nie chce, nie w taką zepsiałą pogodę. Mogłaby umówić się z kimś na mieście na piwo – jak to mają w zwyczaju normalni ludzie – ale ona nie jest normalna, w znaczeniu, w jakim jest to ogólnie przyjęte, i nie ma tu znajomych. Zresztą wcale ich nie szuka. Babskie dyskusje na temat fatalaszków, lakierów do paznokci, czy – o zgrozo! – problemów małżeńskich bądź częstotliwości wypróżnień progenitury, kompletnie jej nie interesują i okrutnie nużą. Osoby jej pokroju nie mają koleżanek, psiapsiółek, bratnich dusz. Nie umawiają się w cukierniach na kawusie i pogaduchy ani na pokazy czarodziejskich garnków, co same gotują bądź odkurzaczy piorących dywany – a właśnie owe imprezy stanowią popularną formę spotkań towarzyskich w mieście. Ona na takich wydarzeniach nie bywa. Nigdzie nie bywa. Kto o zdrowych zmysłach zrozumiałby, że młoda atrakcyjna kobieta w wolnych chwilach zamiast oglądać *Jaka to melodia*, woli studiować akta nierozwikłanych spraw? Kto by zaakceptował, że operacyjne zdjęcia z miejsc zbrodni wywołują w niej silniejsze emocje aniżeli *outfit* jakiejś celebrytki ze ścianki?

Na domiar złego klnie jak, nie przymierzając, tania ulicznica.

Niby taka ładna babeczka, taka na poziomie i cud-miód, a z jej ust płynie ściek. Ponieważ to lubi. Lubi uniesione brwi rozmówcy, gdy rzuca mięsem po raz pierwszy. Nie lubi natomiast tłumić emocji – wewnętrzne blokady prowadzą do kumulowania frustracji i ostatecznie wrzodów żołądka. A frustracji to ona ma w swoim życiu pod dostatkiem, dlatego języka nie zamierza hamować. Zasłania się wulgaryzmami jak tarczą, a tu przecież wszyscy bogobojni i poprawni politycznie.

Tutejsze małomiasteczkowe damesy mówią językiem jak z *M jak miłość* albo *Klanu* – prostym i wyzutym z jakiegokolwiek słownej dezynwoltury. Są jakby z innej czasoprzestrzeni i równie dobrze mogłyby mówić do niej po chińsku.

Przestała więc szukać w mieście kogoś, z kim mogłaby zadzierzgnąć głębszą znajomość. Nawiązać kontakt. Zbliżyć się. Jest sama – na pierwiastek męski też nie ma w jej świecie miejsca. Raz już się uwikłała w tak zwany poważny związek. Niestety z zonatym gościem. Niestety z komendy wojewódzkiej. Nawet myślała, że to miłość, ale on chyba tak nie myślał i Małgośka wylądowała na zesłaniu w tej dziurze. Od tamtej pory seks uprawia sporadycznie. Zazwyczaj z kimś przypadkowym. Z kochankami spotyka się raz, najwyżej dwa razy, tak jest najbezpieczniej, nie trzeba się w nic angażować. Nigdy nie zaprasza ich do siebie, żeby przypadkiem nie zostali na dłużej, żeby nie było zakłopotanych uśmiechów przy śniadaniu i deklaracji bez pokrycia na do widzenia.

Jest w wieku prokreacyjnym, jednak nie myśli o dzieciach, małżeństwie, stabilizacji. Tradycyjny model rodziny jej nie interesuje. Po tym, jak jej tatuś tradycyjnie po pijaku napierdalał matkę przynajmniej raz w miesiącu, obiecała sobie, że nigdy nie stanie się ofiarą. Nigdy więcej nie będzie chować się w szafie i z przerażeniem nasłuchiwać, jak człowiek, który powinien ją kochać i chronić, lata niczym oszalały po mieszkaniu i wydziera się: „Ty mała kurwo, tylko się pokaż, a tobie też przyjebię...”. A później patrzeć, jak rzyga do donicy z fikusem – nigdy na podłogę czy dywan. Tatuś zaiste miał klasę, w końcu był wykładowcą na uniwersytecie. Żadna tam patologia. Stołeczna elita intelektualna. Z matką tworzyli taką ładną parę, a on zazwyczaj bardzo się kajał po każdej kolejnej awanturze. I był słodki dla nich jak cukierek. Do rany przyłóż. Zabierał Małgośkę do Horteksu na ambrozię, do ZOO, a matkę do teatru. Póki znowu się nie najebał. Dlatego po ogólniaku postanowiła iść do szkoły policyjnej. Chciała mieć broń i umieć jej używać. Chciała być twarda i zakuć się w pancerz obojętności. Dosyć miała chwiejnych intelektualistów, targanych moralnym niepokojem i dumających nad problemami egzystencjalnymi. Nie zamierzała iść na uniwersytet i stać się taka, jak oni, jak ojciec. Wybrała towarzystwo nieskomplikowanych ludzi, dla których dobro jest po prostu dobrem, a zło – złem. Ojciec nigdy nie wybaczył jej tej decyzji. Ona nie wybaczyła mu słanych po pijaku kurew. Do Warszawy już nigdy nie wróciła. Zaraz po szkole wysłali ją do Radomia, później przenieśli do Lublina. A teraz jest tu. Sama. Bez przyjaciół, faceta, bez rodziny. Z matką, która wolała pozostać w roli ofiary, kontaktują się wyłącznie przy okazji świąt i urodzin. Wszystko, co teraz Małgośka ma, to ta robota w policji.

Lubi ją. Lubi hierarchiczność. Przejrzyste zasady gry. Może dlatego szybko awansowała. Zaangażowała się i w pełni oddała służbie. Jest trzy lata młodsza od Barana, a już wskoczyła w fotel naczelnika wydziału kryminalnego. Komisarz Witek. Małgośka. Posiada na koncie mnóstwo rozwiązanych spraw i szansę, aby

niedługo awansować do stopnia podinspektora. Niemal trzy lata temu została przeniesiona do miasta z komendy wojewódzkiej i szybko ugruntowała swoją pozycję w nowym miejscu. Jest niezbyt lubiana. Okropna z niej służbistka. Czasami bywa trochę wyniosła, a przez to, że nie wchodzi w bliższe relacje ze współpracownikami – nie ma mowy o piwku po pracy – wielu uważa, że zadziera nosa. Poza tym jest zbyt ładna, zbyt pyskata i nie daje sobie wejść na głowę. Dlatego po komendzie ktoś rozpusza plotki, że sypia ze starym, a może nawet i z Baranem. Chociaż czy taka laska poleciałaby na podtatusiałego Ryśka?

Ludzie tak gadają, ponieważ z podkomisarzem, jej zastępcą, łączą ją bardzo poprawne stosunki. Może nie wyjadają sobie z dzióbków, nie klepią po plecach, jednak naprawdę dobrze się dogadują. Rysiek udaje, że nie słyszy jej rysztockowych odzywek. Poza tym oboje trochę odstają od reszty – nie chleją, nie jarają – i trzymają się z boku. Rozpracowywali wspólnie kilka spraw. Mają do siebie zaufanie. Baran lubi się jej radzić, nawet wtedy, gdy sprawa tego nie wymaga.

Tak jak teraz, w przypadku zaginionego Karola Górskiego.

Małgośka przyjechała na komendę, gdy matka chłopaka składała jeszcze zeznania, jednak postanowiła nie przeszkadzać Ryśkowi w prowadzeniu czynności operacyjnych. Poprosiła jedynie Kowalczyka, żeby przysłał Barana do niej, gdy kobieta wyjdzie.

Ryszard oczywiście poradziłby sobie sam, ale ona chętnie włączy się do sprawy. Od chwili, gdy przeniosła się z wojewódzkiej, brakuje jej ciekawych przypadków. W mieście tylko włamania, rozboje, handel prochami. Zaginięcie to zawsze tajemnica, a komisarz Witek uwielbia rozwiązywać zagadki. Poza tym czeka na jakąś spektakularną sprawę, która pozwoli jej wrócić z zesłania do pierwszej ligi. Do Lublina raczej już nie, tam za dużo wspomnień, ale może jakiś Wrocław, Kraków...?

Rysiek przychodzi do niej prosto z sali przesłuchań. Opowiada pokrótce szczegóły rozmowy z Andżeliką Górską. Małgośka słucha go w skupieniu. Bawi się niesfornymi blond kosmykami, które wysunęły się z kucyka upiętego wysoko na czubku głowy. Nie przerywa mu.

– Pewnie sponiewierał się dzieciak na ognisku i poszedł w długą. – Podkomisarz puentuje swoją relację.

Witek wpatruje się zamyślona w kolebę.

– Kategoria druga[9]?

– Na to wygląda. Sprawa wydaje się banalna. Do wieczora będzie po wszystkim.

– Sprawdziłeś, czy był notowany?

– Jeszcze nie zdażyłem. Przyszedłem prosto do ciebie.

– To pamiętaj o tym.

– Nie sądzę, żebym coś znalazł. Dzieciak zdaje się z tych ambitnych, co to ich życie nie rozpieszczało, dlatego wrywają się do lepszego świata. Po roku w zawodówce zmienił szkołę i środowisko. Ma aspiracje. Matka mówi, że dobrze się uczy i podobno ładnie maluje. Zamierza studiować na ASP.

– Dała ci namiary na kolegów z klasy?

– Nie zna ich. W ogóle między nią a synem stosunki raczej chłodne. Dzieciak większość czasu spędza u babki. Wcale się nie dziwię. Też bym wolał mieszkać na Piaskach niż na Wyzwolenia.

– Jakaś dziewczyna, u której mógł się zapodziać pod kołdrą?

– Górską powiedziała, że syn z nikim się nie spotyka. Ale wydaje mi się, że coś kręci.

Małgorzata potakuje spokojnie. Poprawia okulary, które zjechały jej z nosa. Czarne oprawki z markowym logo musiały kosztować немало, ale pani komisarz lubi takie gadżety. Nie ma dzieci, męża, kredytu hipotecznego i sądząc po doskonałej figurze, na jedzenie też niewiele wydaje. Stać ją.

– Słuchaj, może ty masz rację. Na razie nie marnuj czasu na przeszukiwanie kartoteki, zostaw to mnie, a sam jedź w teren. Do szkoły i koniecznie do tej babci.

– Mamy sobotę, szkoła nieczynna.

– Kurwa, fakt. – Małgorzata mruży oczy. Wokół nich tworzy się sieć płytkich zmarszczek. Czyżby komisarz Witek powoli zaczynała się sypać? – Mimo wszystko tam pojedź. To niedaleko, wiele czasu ci nie zajmie, a może kogoś zastaniesz. No i pamiętaj, żeby z miejsca zamieszkania pobrać próbkę DNA. I zdobądź jakieś jego zdjęcie. – Duma. – Albo zaczekaj... – Odwraca się do komputera, wystukuje coś na klawiaturze. – Mam!

– Co?

Odwraca ekran w stronę Ryśka.

– To.

Z fejsbukowej tablicy uśmiecha się do nich chłopak. Z informacji zamieszczonych poniżej wynika, że to ich poszukiwany. Miejsce zamieszkania, szkoła, data urodzenia – wszystko się zgadza. To ich Karol. Ma niewielu znajomych, zalinkowane jakieś głupawe filmiki z YouTube'a. Nic niezwykłego. I tylko w tle tablicy widnieje coś nietypowego. Jakby fragment obrazu. Ludzie kopulujący w różnych pozach i układach. Ludzie dosiadający zwierząt. Ludzie objadający się i pijący. Istny festiwal sprośności.

– Co to jest? – Podkomisarz przybliżył twarz do monitora. – Popieprzone jakieś.

Małgorzata uśmiecha się zagadkowo.

– To Hieronim Bosch. *Ogród rozkoszy ziemskich*. Klasyka. Naprawdę nie znasz?

– No widzisz, jakoś nie. I co to niby oznacza?

– W ujęciu metaforycznym? Obraz ukazuje sumę ludzkich słabości i triumf grzechu. To główna część tryptyku. Pozostałe ukazują Raj i oczywiście Piekło.

Rysiek patrzy na koleżankę szeroko otwartymi oczami. Gdy Witek mówi w ten sposób, trochę się jej boi. Mądralińska. Nic dziwnego, że chłopaki z komendy mają z nią problem. W takich chwilach czuć, że jest z innej bajki.

– A ty skąd to wiesz? Interesujesz się sztuką?

Ona wzrusza ramionami.

– Ja się, misiu-Rysiu, wszystkim interesuję.

– Ale to jednak dziwne, żeby dwudziestoletni chłopak umieszczał na tablicy takie powalone zdjęcie.

– Dlaczego? Co w tym niezwykłego? Mówiłeś, że chce studiować na ASP. Uznałabym za niepokojące, gdyby nie znał Boscha. Uważasz, że jak ma dwadzieścia lat i interesuje się sztuką, to powinien raczej wrzucić Banksy'ego?

– Kogo?

– Ja pierdołę, Rysiu... – Przewraca oczami. – Nieważne. Przyznasz, że ten obraz jest fascynujący.

– Może. Nie wiem. Raczej chory. Ważniejsze, co nam to mówi o chłopaku.

– Że jest hedonistą? Albo że ma po prostu ciekawe zainteresowania? Ależ ty masz ciasny ogląd rzeczywistości. To miasto mózg ci przeżarło, Rysiu.

Zamyślają się. Wzrok obojga przenosi się na miniaturę zdjęcia profilowego. Małgorzata je powiększa.

– No, no... – wyrywa się z jej pełnych ust.

Fotografia jest nieostra, czarno-biała. Kadr bez sensu. Zupełnie nieprofesjonalny. Może z ręki? Mimo tego od razu rzuca się w oczy, że chłopak jest bardzo atrakcyjny. W starym stylu, przedwojennym, jakimś takim... zupełnie nieoczywistym. Mężczyzna. Pełnokrwisty. Nie żadne tam metroseksualne tere-fere. Dobrze zbudowany blondyn – włosy ścięte modnie, trochę hipstersko, po bokach krótkie, na czubku dłuższe, gładko zaczesane do tyłu, niepolitycznie, w stylu Hitlerjugend. Ostra linia szczęki. Wąski wydatny nos. Na policzkach kilkudniowy zarost, a w uśmiechu rząd białych zębów. Zniewalające spojrzenie wbija wprost w obiektyw. Tło zamazane. Tło nieważne.

– Niezła dupa – kwituje Małgorzata.

– Dla ciebie za młody. – Rysiek uśmiecha się pod nosem. Gdyby mógł nie być sobą, byłby kimś takim, jak ten dzieciak z fotki.

– Miłość nie zna wieku... Poza tym nie to miałam na myśli. Obiektywnie: chłopak o takiej aparycji na pewno kogoś ma. Jeżeli matka mówi, że nie ma, kłamie.

– Pedał?

– Może? Ale na ręcznym na pewno nie jedzie. Ktoś tam musi być. Zaczekaj.

– Znowu przybliży twarz do monitora. Klika w zakładkę: informacje. Czyta na

głos: – Status związku: to skomplikowane.

– I co to znaczy?

– To znaczy, że niby nikogo nie ma, a jednak ma. A my musimy sprawdzić, kto to jest.

Małgorzata milknie. Poważnieje. Zapisuje zdjęcie na komputerze i drukuje. Drukarka pamiętająca poprzednie milenium długo dławi się i piszczy, zanim wypłuje kartkę. Cały sprzęt na komendzie od dawna nadaje się do utylizacji, ale kto ma dać kasę na nowy? Dobrze, że przynajmniej na papier do drukarek mają, bo na papier w toaletach, to już nie zawsze.

Małgorzata podaje wydruk Ryśkowi.

– No to fotkę już masz.

– Bezustannie mnie zadziwia twoja skuteczność i szybkość działania. – Pod teatralną drwiną ukryty jest prawdziwy podziw.

– Wiem. – Kobieta, podchwytyjąc konwencję, rozciąga usta w błazeńskim grymasie. Uśmiechają się do siebie sztucznie. A może jednak prawdziwie? Przyjaźnie. Wreszcie Małgośka poważnieje. – Dobra, koniec pieprzenia. Weź, Rysiek, jedź, gdzie masz jechać. Ja wrzucę dane zaginionego w rejestr. Sprawdzę kartotekę i przejrzę wpisy na fejsie. Jeśli coś znajdę, dam ci znać.

[8] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, *op. cit.*

[9] Według policyjnej klasyfikacji zaginionych dzieli się na kategorie. Kategoria II dotyczy osób pełnoletnich, których zniknięcie nie jest związane z podejrzeniem popełnienia przestępstwa i które opuściły ostatnie miejsce swojego pobytu z własnej woli.

## 9.

*Jak śpi smacznie!*

*Muszę ją jednak zbudzić. Julciu! Julciu!(...)*

*Ona nie żyje! O, ja nieszczęśliwa![10]*

Pik, pik. Westchnienie aparatury. I znowu: pik, pik, westchnienie...

I tak od paru godzin. A może dni? Nie, raczej godzin. Tu, gdzie teraz jestem, po tej stronie bezczasu, minuty ciągną się w nieskończoność, by chwilę później, zupełnie nieoczekiwanie, pogalopować, jak na filmie oglądanym w przyspieszonym tempie. Nie umiem tego ogarnąć, zmierzyć, zliczyć. Może nadal trwa poniedziałek? Jest wieczór, noc? A może jednak wciąż dzień? W izolatce na OIT-cie nie ma okna. Trudno odgadnąć, która jest godzina. Mam mętlik w głowie. Dziwnie się czuję. Czuję wszystko i nie czuję nic.

Dźwięki respiratora przerywa odgłos otwieranych drzwi. Ktoś wchodzi do środka. Ktoś gmera przy stojących przy łóżku maszynach, poprawia butelkę z kroplówką, dotyka moich nadgarstków, puka w kolano, unosi powieki i świeci latarką w nieruchome źrenice. Szuka odruchów, których nie znajdzie. Bo nie ma mnie w moim ciele. Unoszę się ponad łóżkiem. Patrzę na zastygłą figurę kobiety, która spoczywa sztywno, jak na katafalku. Patrzę na nią z góry. Oderwana od bólu i strachu, unoszę się lekko. I równocześnie spoczywam tam, w dole – niczym trup, bez życia, przykryta cienką szpitalną kołdrą. Brakuje jedynie etykiety z personaliami przyklejonej do palca u nogi. Miała być, ale jej nie ma. Patrzę i myślę sobie, że źle wyglądam. Jakoś tak... blado. Paznokcie zmyto mi niedbale, jeszcze zanim mnie tu przewieziono, pewnie żeby w razie czego szybko zaobserwować zasinienia. Resztki czerwonego lakieru zostały na krawędziach płytek i opuszkach, znacząc krwawo linie papilarne. Nie znoszę takiej fuszerki. Usta mam spierzchnięte, włosy w nieładzie i w ogóle bardziej niż człowieka



przypominam teraz szmacianą lalkę, ciśniętą w kąt przez znudzone dziecko.

Pielęgniarka, która poprawia sterczące ze mnie rurki, wzdycha z rezygnacją, wznosi oczy do nieba. Przez moment patrzy wprost na mnie, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Nie widzi mnie. A później jeszcze kiwa smutno głową i przez kilka minut wsłuchuje się w sygnał rysujący na monitorze rozedrganą linię życia.

Czuję sympatię do kobiety w białym fartuchu. Mogłaby być moją matką. Gdybym miała matkę. Ta tutaj jest na pewno grubo po sześćdziesiątce, moja właśnie tyle by miała. Ujmuje mnie jej troska. Domyślam się, ile zarabia pielęgniarka w naszym szpitalu. Za tę forszę nie można wymagać empatii czy choćby współczucia. Ja bym ich w sobie nie znalazła na jej miejscu. A ona mi współczuje. Martwi się. Okrywa staranniej kołdrą. To takie miłe z jej strony.

Wreszcie wychodzi. Zostaję sama. Chociaż nie na długo, gdyż w pokoju znowu ktoś się zjawia. Niby Oddział Intensywnej Terapii, a ruch jak na dworcu. Dlaczego oni wszyscy nie dają mi odpocząć? W takich warunkach trudno w spokoju sobie umrzeć, a co dopiero wrócić do zdrowia.

Jestem podenerwowana. Zielona linia rysuje poszarpaną grań mojego przyspieszonego pulsu. Pik, pik. Pik!

– To ja. Ewciu, to ja.

To ona! Jej głos i zapach. Jej dłoń na mojej dłoni. Ciepło-zimno. Uspokajam się. Wanda. Kochana Wanda. Dobrze, że tu jest. Jej obecność zwalnia falującą kreskę życia na monitorze. Może jednak wszystko będzie dobrze? Wanda wie, co robić. Zawsze tak było. Zawsze wiedziała. Już kiedy byłam mała. O wszystkim pamiętała, o wszystko potrafiła odpowiednio zadbać, ogarnąć, jak nikt umiała okiełznać rzeczywistość. Wypędzała strachy zza szafy i rozmawiała z nauczycielką od chemii, kiedy nauka mi nie szła. Jako dziecko uważałam, że Wanda ma nadludzka moc, jest superbohaterką, tylko lepszą, bo prawdziwą. *Superwoman* tu i teraz. Była silniejsza niż większość mężczyzn, których znałam. Ona też знаła swoją wartość, bo nie znalazł się taki, z którym chciałaby przeżyć życie. Myślę zresztą, że faceci się jej bali. Feminizowała, co niezmiernie mi w niej imponowało – miała radykalne poglądy na równouprawnienie i nie bała się o tym mówić głośno. Część swoich poglądów przelała na mnie, dzięki temu dosyć długo czułam się wolna i niezależna. Wanda... Od pogrzebu matki robiła wszystko, co należało zrobić, a czego, w gruncie rzeczy, wcale robić nie musiała. Nie byłam jej córką, byłam zaledwie dzieckiem jej zmarłej siostry. Nikt nie oczekiwał, że weźmie odpowiedzialność za ośmiolatkę, którą wówczas byłam, a wzięła bez wahania. Bez pytań i kalkulacji. Ciotka Wanda. Starsza ode mnie o zaledwie siedemnaście lat. Wróciła do miasta, gdy mama była już poważnie chora.

Wanda.

Pragmatyczna, poukładana młoda pani doktor. Nie bała się życia ani śmierci. Niczego się nie bała. Nawet mojego ojca, mimo że jego obawiali się w mieście

prawie wszyscy – także matka, która była od niego niemal dwie dekady młodsza. Czują przed nim respekt pomieszany ze strachem. Lecz Wanda nie.

Zaraz po dyplomie, a była najlepszą studentką na roku, otrzymała propozycję pozostania na uczelni. Mogła opracowywać jakieś eksperymentalne metody leczenia we współpracy z zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Właśnie zniesiono stan wojenny, mityczna „zagranica” – cały ten wolny, kolorowy świat za żelazną kurtyną – zdawała się równie nierealna, co życie na Marsie. „Zagranica” chodziła w dżinsach, pachniała perfumami Chanel i smakowała gumą balonową. Wanda miała szansę tego zasmakować, dotknąć, złapać Boga za nogi. Od dziecka była eskapistką – to dlatego kiedy jej koleżanki biegały na randki, ona wolała siedzieć nad książką i wkuwać angielskie słówka, na wypadek, gdyby kiedyś udało jej się stąd wydostać. To dlatego zamiast studiów w pobliskim Lublinie wybrała Gdańsk i widok na morze – na lepszą przyszłość. Na inne życie. Chciała być jak najdalej od ciasnego miasteczka, którego ulice niezmiennie osnuwało morowe powietrze zaścianka i obmywały kwaśne deszcze dulszczyzny. Chciała żyć inaczej niż jej siostra. Moja matka swoje istnienie zamknęła pomiędzy zmienianiem pieluch, podawaniem obiadu mężowi, a staniem w kolejkach za schabikiem spod lady. Wanda pragnęła zostać kimś lepszym, w lepszym miejscu na Ziemi.

A jednak wróciła.

Latem matka weszła w terminalną fazę nowotworu. Umarła. Któregoś wrześniego dżdżystego dnia, kiedy zaczynałam drugą klasę podstawówki, zamknęła za sobą drzwi. A Wanda po prostu przejęła jej rolę. Złożyła papiery o pracę w naszym szpitalu. Już wiedziała, że nie wróci do Gdańska, „Zachód” został na zachodzie, a ona tutaj. Na otarcie łez znalazł się wakat na chirurgii i mieszkanie w bloku obok naszego – ojciec na pewno uruchomił znajomości, albo wypił z kim trzeba – i tak Wanda została moją matką zastępczą. Matką, nie-matką, bardziej przyjaciółką. Sama przecież była jeszcze smarkata, a jednak sprawiła, że ów traumatyczny czas po pogrzebie przeszedł jakoś tak... naturalnie. Nie bez bólu oczywiście, ale też bez rozrywania szat. Wanda miała wprawę w chowaniu bliskich. Swoich rodziców także straciła zbyt szybko – nawet nie pamiętam dziadków. Często powtarzała, że integralną częścią życia jest śmierć, że tego procesu nie da się powstrzymać, można się z nim tylko godzić, więc i ja się pogodziłam. Mamusia siedziała teraz na chmurce i patrzyła na nas z góry. Już nie wyła z bólu, już była spokojna. Dlatego i ja byłam. W końcu nie zostałam sama, Wanda trwała przy mnie.

Ona tak, a ojciec nie.

On.

Zawsze miał ważniejsze sprawy na głowie niż wycieranie nosa smarkuli. Męskie sprawy, sprawy wagi państwowej. Ojca jakby w ogóle wcześniej w moim życiu nie było. Po śmierci matki też nie odegrał większej roli. Osiągnął

mistrzostwo w byciu wielkim obecnym-nieobecnym. Niczym ślimak schowany w skorupie. Ukrywał się w niej przede mną, kiedy mu było wygodnie. Nie potrafiłam się przez nią przebić. Nawet nie próbowałam. Uważał, że dziecko to obowiązek kobiety – irytowałam go, czułam, że mu przeszkadzam, zakłócam swoim istnieniem harmonię poukładanego świata dorosłych. Wkurzały go moje infantylne zachowania, lalki porzucane po pokoju, sukieneczki na oparciach krzesel, słodkie dźwięki piosenki Natali Kukulskiej katowanej na kasprzaku. „Co powie tata? Co powie tata? Co tata mi powie? Co na to odpowie mi dziś...?”. A mój tata milczał jak zaklęty. Udawał, że mnie nie ma. Byłam jak ścieżka dźwiękowa w filmie – niby istniałam, a jednak pozostawałam niewidoczna. Ojciec, kompletnie pochłonięty swoimi sprawami, sprawując władzę absolutną z ramienia partii, zbawiał nasz powiat. Pomiedzy jednym a drugim posiedzeniem komitetu dobijał politycznych targów przy literatce żytniej. Jako pierwszy sekretarz pociągał za wszystkie sznurki w naszym prowincjonalnym teatryku. Myślał, że jego panowanie trwać będzie wiecznie. Tymczasem wieczność już niedługo miała się skończyć.

Był trochę zdziwiony, gdy monolit, za jaki uważał PRL, zaczął się sypać. Wiał zachodni wiatr – *wind of change* – a ojciec lubił wyłącznie te piosenki, które już kiedyś słyszał. Nie nęciły go ani dzinsy, ani Chanel, żucie gumy uważał za przejaw złego wychowania. Początkowe wyparcie przedzierzgnęło się w indolencję, a ostatecznie w rezygnację. Był stary, nie miał siły walczyć. Zresztą to już nie była jego wojna. To, co uważał za swoje, przestało do niego należeć. Byli inni, młodszy, którzy zajęli stolki w miejscowych urzędach. Solidarność i jakieś nowe polityczne twory, pospołu z klechami podzieliły tort władzy po swojemu. Pochody zastąpiły procesje – ojciec nie potrafił tego zrozumieć, ani się z tym pogodzić. Sądzę, że kiedy umierał – w siedem lat po mamie, rok po Okrągłym Stole, i kilka dni po rozwiązaniu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – czynił to bez żalu.

I ja też nie rozpaczalam. Nie uroniłam po nim ani jednej łzy. Może jedynie czasami, dużo później, w przyływie obcego mi na co dzień sentymentalizmu, zastanawiałam się, że to dziwne: żyłam z człowiekiem przez ścianę, a nic o nim nie wiedziałam, nic do niego nie czułam. Może gdybyśmy się poznali, gdyby doczekał mojej dorosłości i mogłabym stanąć z nim jak równy z równym, byłoby inaczej. Ale przez piętnaście lat nie dał mi na to szansy. Ojciec. Gdy żył, niewiele dla mnie znaczył, dlatego nic nie znaczyły napisy wyrzyte na lastrykowej tablicy.

Poza tym wciąż była ona, Wanda. W dniu, w którym zmarł, przeprowadziła się do naszego mieszkania, wyniosła garnitury, posprzątała papiery i zajęła jego pokój.

Ciotka, nie-ciotka, matka, nie-matka. Nigdy nie zwracałam się do niej inaczej niż po imieniu. Tak było najwygodniej dla nas obu. Zawsze była Wandą.

Jest Wandą. Jest tą, która w moim życiu gra pierwsze skrzypce, i która pośrednio sprawiła, że się tu znalazłam. Jest tą, która stoi teraz nad moim nieruchomym ciałem. I gdy ja umieram, ona umiera wraz ze mną, z niepokojem. Ponieważ kompletnie nie rozumie, co się stało. Ja też nie rozumiem. Miałam spać teraz głęboko i słodko, z identyfikatorem zawieszonym na palcu u stopy. Miałam spać, by wkrótce zamienić się w kupkę popiołu. Miałam odejść. Wyruszać w najbardziej fascynującą podróż. Miałam uciec.

A jednak leżę na szpitalnym łóżku.

Wanda patrzy na mnie z przerażeniem. Szare, mądre oczy próbują znaleźć odpowiedź w mojej nieruchomej twarzy. Może obwinia się o to, co się stało. Znam ją. Zarzuca sobie, że zostawiła mnie ostatnio samą. Że się pomyliła co do mojej siły. A przecież niezmiernie rzadko się myli. Zaledwie kilka razy jej się to w życiu zdarzyło. Jak wtedy z Tadeuszem, kiedy uciekła przed jego uczuciem, rezygnując z pracy w szpitalu i podejmując dużo mniej prestiżową posadę na patologii w lubelskim prosektorium. Kochała go, ale spaprała sprawę. Pomyliła się, biorąc niedoszłą winę na siebie, bowiem Tadeusz i tak niedługo potem odszedł od żony.

Co do mnie nie myliła się nigdy. Wiedziała, jak mną kierować, jak mnie ukształtować. Dała mi wolność. Okazało się jednak, że nie potrafię z niej właściwie skorzystać.

Chciałabym ją zapytać, co teraz będzie, czy z tego wyjdę? Kiedy się obudzę i czy w ogóle? Wolałabym nie, ale dla niej jestem gotowa podjąć wyzwanie. Chociaż jeszcze rano o Wandzie nie myślałam. Myślałam wyłącznie o sobie i swojej rozpaczce. Egoistka.

Wanda odycha tak ciężko. Głaszcze moją rękę. Spogląda z obawą na zapis aparatury, a później przenosi wzrok na drzwi, skąd dochodzi szmer. I ja też patrzę w ślad za nią. Mam nadzieję ujrzeć tam... No właśnie: kogo? Czekam na kogoś. Podświadomie wiem, że nie przyjdzie, ale czekam. Tymczasem w wejściu do sali staje Szymon. Trwa nieruchomo. W pół kroku. Jakby bał się wejść do środka. Wysoki, muskularny, wypełnia sobą całą framugę. Pozornie silny, nigdy nie okazuje lęku, a jednak wiem, że się boi – moje blade ciało wprawia go w zakłopotanie, konsternację. Kiedy trwam w bezruchu, z niego też jakby zeszło powietrze. Nie musimy się dłużej boksować.

Ja, twoja żona, oczywisty wróg, leżę na deskach i nie ma potrzeby, abyś dalej w pokazie siły prężył mięśnie. Wszystko, co nas dzieliło, teraz nie ma znaczenia. Tak sobie myślę i wiem, że ty też tak właśnie sądzisz. Widzisz mnie taką, jaką byłam dawno temu, gdy jeszcze potrzebowałam twojej miłości, uwagi, wsparcia, i serce znowu szybciej ci bije. Może nawet myślisz, że to miłość. I to jest nawet trochę wzruszające, bardzo filmowe – pojednanie nad grobem...

Atmosfera separátky gęstnieje.

Wanda patrzy na mojego męża bez słowa. On także się nie odzywa.

Wreszcie robi kilka kroków w moim kierunku, zatrzymuje się po drugiej stronie łóżka. Niezdarnie kładzie swą ogromną dłoń na mojej.

– Rozmawiałaś już o Ewie z lekarzem? – pyta nieswoim głosem Wandę.

Dawno nie słyszałam, aby mówił tonem tak... Współczującym? Tkliwym? O mnie?

Wanda też wydaje się zdezorientowana – ona jedna wie, jak obcy sobie byliśmy przez ostatnie lata. Odpowiada pytaniem na pytanie:

– Dlaczego nie jesteś w Lublinie? Co robiłeś w domu?

Podejrzewa go? O co?

To nie on. Chyba nie on? Nic nie pamiętam, ale mam przeczucie, że tym razem sama wyrzuciłam sobie krzywdę.

Szymon coś tam odpowiada, tłumaczy, ale już go nie słucham, nie obchodzi mnie, co powie. W mojej głowie kołuje zupełnie inne pytanie. Teraz, gdy mój mąż tu jest, wreszcie zdaję sobie sprawę, że brakuje ostatniego elementu układanki, jeszcze jednego bohatera naszej rodzinnej psychodramy. Drugoplanowego aktora, który wciąż stoi na scenie, który nie zszedł z niej, póki był jeszcze czas. Już wiem, na kogo czekam! Już wiem, o kogo chciałabym zapytać! Nagle wszystko staje się klarowne, zupełnie jasne i takie proste. Mimo że brak w tym sensu, układa się w logiczną całość.

Powiedzcie mi, gdzie jest mój Charlie?

Charlie, gdzie jesteś...?

[10] *Ibidem.*

## 10.

*Śniłem, że przyszła Julia*

*I znalazła mnie martwym;*

*dziwny sen, który pozwala zmarłemu*

*myśleć po śmierci! [11]*

Wyjść gdzieś. Pooddychać. Przez chwilę nie czuć się tak, jak jakaś pieprzona piłeczka pingpongowa.

Tylko że w tym mieście się nie da.

Stań na jego jednym krańcu. Weź porządny zamach i rzuć kamieniem, a trafisz na jego drugi koniec. Pójdź w dowolne miejsce. Zamknij oczy i spluń w losowym kierunku, a twoja plwocina wyląduje na twarzy kogoś znajomego.

Nie da się. Po prostu się nie da. Wszędzie ktoś, kto cię zna. Na Piaskach stada emerytów w malutkich chałupkach i dorobkiewiczów z nowymi samochodami wziętymi na kolejny kredyt. Śledzą cię wzrokiem, kiedy przechodzisz ulicą. Opalają się w ogródkach, pielą te swoje grządki, podlewają kwiaty oraz żywopłoty i plotkują, ile wlezie. Na temat matki (co pije i z kim teraz się puszcza), na temat babki (która jest psychiczna), na temat ojca (który zmarł tragicznie, ale nie wiadomo, czy czegoś tam więcej nie było, bo to różnie w życiu mu się układało, a ta jego żona to niezłe ziółko przecież), na temat ciebie w końcu. Tych ostatnich starasz się nie słuchać, bo po co. Wiesz, co mówią. Że jesteś dziwny. Że zadzierasz nosa. Że kłócisz się z matką, że kłócisz się z babką. Że jesteś popieprzony, jak cała ta rodzina (co w sumie może być prawdą).

Na Wyzwoleniu to samo, tylko inaczej. Wyzwolenie, co za kretyńska nazwa. Żart okrutny z tych wszystkich ludzi, którzy tutaj mieszkają (raczej wegetują).

Powinno być Osiedle Zniewolenia. Albo lepiej Bagnisko. O! To pasuje. Trafiasz tam i zaczynasz powoli wsiąkać. Początkowo ledwo to zauważasz, po prostu grunt się lekko obniża, ale wkrótce błoto sięga ci już po kolana. Jeszcze masz szansę, jeszcze możesz próbować się wydostać, ale jeśli przegapisz ten moment, to wkrótce śmierdząca breja zaleje ci twarz, oczy, usta i zostaniesz tam na zawsze. Tak jak mama. Alkoholiczka, kurwa i dewotka. Trudno w to uwierzyć, ale potrafi te trzy role płynnie połączyć i nawet się przy tym nie spocić.

No, ale jest Wyzwolenie. I tam ziomki i ziomeczki, pijaki i pijaczki, którzy tylko czekają, żeby oskubać cię z kasy. Trzeba iść szybko, pewnym krokiem, stanowczym i zdecydowanym, tak, żeby nawet się nie ośmielili, żeby nie zdążyli podjąć decyzji o podejściu do ciebie. Wyprzedzić ich, ale nie uciekać (wyczuwają strach). Jeśli ci się nie uda, to obsiądą cię jak stado sępów. Wyzwolenie. Łatwo tam dostać wpierdol, łatwo tam stracić kasę. Mnie trochę chroni to, że jestem stamtąd. Ale jestem i nie jestem równocześnie. Trochę mnie szanują, bo swój, trochę nienawidzą, bo z Piasków. Jeszcze się nie zdecydowali, które uczucie przeważa. Myślą. Mózgi mają tak strute alkoholem i kiepską chemią, że jeszcze trochę im to zajmie.

Szkoła. Liceum. Pieprzona duma miasta. Nauczyciele, którzy zadzierają nosa, wylewają z siebie frazesy o misji, edukacji, przyszłości, młodym pokoleniu, kształtowaniu postaw obywatelskich i życiowych, ale nie ma tutaj chyba nikogo bardziej wyjąłowanego. Mającego świadomość bezsensu własnej pracy. Jest przecież weryfikowana rok po roku. Egzamin maturalny. Uczniowie wychuchani, wyuczeni, sprzężeni, a potem wyniki są, jakie są, i większość z nich ma problem, żeby się dostać na jakiś solidny kierunek do Lublina, żeby nie mówić o Warszawie czy Krakowie. Lądują potem absolwenci naszego liceum na Wyższych Szkołach Mydła i Powidła. Mijają się każdego dnia na ulicach miasteczka ze swoimi byłymi nauczycielami (bo studiują przecież weekendowo) i obie strony odwracają taktownie wzrok. I jedni, i drudzy są dla siebie przypomnieniem własnej porażki. A i w szkole żadnych osiągnięć. Jak raz na jakiś czas się trafi jakiś zdolniejszy, olimpijczyk, to chuchają na niego i dmuchają, aż to się robi groteskowe. Nawet ja dałem radę te trzy lata spokojnie przebomblować, bo dobrze rysuję. Tu wyślę pracę na konkurs, tu przygotuję wystrój sali na akademię, namaluję obrazek i jest.

– Proszę pani. Ja nie mogę być dzisiaj pytany. Przepraszam bardzo, ale całą noc pracowałem, bo jest konkurs graficzny z Ministerstwa i chciałbym się zgłosić.

Łykali to jak pelikany. Niezależnie od tego, czy faktycznie był jakiś konkurs czy nie. Szybko się przyzwyczaili, że do tablicy idę tylko wtedy, kiedy ja chcę. Nie mieli nic do gadania. Bylebym tylko godnie szkołę reprezentował. Na klasówkach albo udawali, albo faktycznie nie widzieli moich ściaąg. Do tego kilka bon motów do wyrzucenia z siebie na lekcji, a powiedzmy sobie szczerze – nie jest za trudno zaimponować powiatowej nauczycielce – i już byli wszyscy urobieni.

Uczniowie. Nawet nie moi rówieśnicy, bo rok przesiedziałem w zawodówce. Mama mówiła, że to po to, żeby konkretny fach w ręku mieć. Jakby nie widziała, że na Wyzwoleniu wokoło sami tacy, którzy fach mają. Ale w dłoniach, to trzymają tylko butelki. Stracony rok, stracony czas. Jestem przez to inny. Niby jest wszystko okej, ale nie jest. Wszyscy w klasie są raczej z tych lepszych okolic. Czują we mnie to Wyzwolenie. Wiadomo. Bagnisko. Nawet jeśli się z niego wydostaniesz, to i tak jesteś uwalony szlamem i śmierdzisz mułem. To trzymają dystans. Przynajmniej próbują. Bo dziewczynom, to aż za łatwo majtki spadają. Nie wiem, to Wyzwolenie działa na nie jak afrodyzjak. A może to połączenie osiedla z Piaskami. Mieszanka, od której kręci im się w głowie. Trochę łobuz, a trochę dżentelmen. Poda rękę, przez ulicę przeprowadzi, ale fajkę zapali i wpierdoli, jak trzeba. Kilka gadek i są moje. Leżą na łóżku, nogi szeroko rozłożone i tylko pytają, co mogą dla mnie zrobić.

Mogłyby nie być takimi tępyimi cipami, myślę, ale nigdy im tego nie mówię. Jedna głupsza od drugiej. Puste w środku. Pozbawione jakiegokolwiek iskry. Mają te same marzenia. Okej. Nie takie same. Jedna chce zostać lekarką, inna prawniczką, trzecia psycholożką. Ale zawsze są to marzenia ich rodziców. Przyjmują je bezkrytycznie, biorą jako swoje. Jakby samodzielne myślenie bolało. A może i boli.

To co jest dobrego w szkole? To, że zabija czas. Kuba Braszkiewicz jest w porządku. Chociaż to głupi naziol, który nie rozumie, że kiedy się zacznie, to on pierwszy pójdzie do gazu. Da się z nim gadać. Szlam mu nie przeszkadza. Chyba już zrozumiał, że za pieniądze mamusi nie da się jednak wszystkiego kupić, ale próbuje ciągle trwać w tej ułudzie. Kasa rodziców to jego jedyny pomysł na życie. Szkoda byłoby mu psuć tę iluzję. No i jest jeszcze Sońka. Ale o Sońce nie chcę gadać. Wkurza mnie, ale jest. Zawsze blisko. Działa jakoś tak kojąco. Dobrze jest mieć kogoś, przy kim nie trzeba się spinać.

No i tak wygląda moje życie. Rozdarte między Piaskami a Wyzwoleniem. Między babcią a matką. Kiedy mam jednej dość, uciekam do drugiej. Jak piłeczka pingpongowa. Ale już nie mogę się doczekać, kiedy uwolnię się od nich obu.

Jest jedno miejsce w tym zapyziałym miasteczku, które lubię. Las nad rzeką. Trochę za miastem. Nikt tam nie chodzi. Żadnych butelek po piwie, żadnych zużytych prezerwatyw. Są lepsze miejsca do picia i bzykania – bliżej ludzkich osiedli. Nie istnieje więc ryzyko, że kogoś spotkam. Mam kilka chwil dla siebie. Chwil, kiedy nikt na mnie nie patrzy. Nikt nie ocenia. Najbliżej wolności, jak się tylko da.

Po prostu tam siedzę. Palę. Czasami wyciągam album o klasycznym malarstwie z domu. Otwieram na stronie z *Ogrodem rozkoszy ziemskich* Boscha. Uwielbiam ten obraz. Przypomina komiks. Najlepsze jest to, że można się w niego wpatrywać godzinami, a i tak odkrywa się coraz to nowe szczegóły, coraz to nowe



historie. I jaką ten facet miał wyobraźnię! Zastanawiam się, co wtedy palił. Bo coś brać musiał. Na trzeźwo się nie da takich rzeczy tworzyć.

Pewnego dnia, jesienią, kiedy liście już zzółkły i krajobraz wyglądał, jak z obrazu Moneta czy Renoira, nad rzeką pojawił się ktoś jeszcze. Kobieta. Najpierw się wkurzyłem. Bo wtargnęła bezlitośnie i bezczelnie w moje święte miejsce. Jakby chciała zniszczyć mój azyl. Ukraść go. Zbezczęścić. Bałem się, że zaraz dołączą do niej jej znajomi, przyjaciele, mąż i dzieci. Rozłożą grilla, otworzą browary i wokół rozniesie się lepka woń pieczonych kiełbas i mocno przyprawionej karkówki. Złość i gniew pojawiły się tak nagle i były tak mocne, że aż zakręciło mi się w głowie. Chciałem coś zrobić, ale nie wiedziałem co. Wstałem. Podkradłem się bliżej. A później milczałem i obserwowałem ją zza drzew.

Stała nad brzegiem. Nie zauważyła mnie. Było zimno tamtego dnia. Palce mi drżały, kiedy odpalałem papierosa, ale jej wydawało się to nie przeszkadzać. Stała w rozpiętej kurtce, wystawiona na uderzenia wiatru i wsłuchana w pomruki rzeki. Nie wiem, nie pamiętam, ile to trwało. Mogła to być minuta, mogło być pięć, mogła być godzina.

Nagle jakby coś nią wstrząsnęło. Rzuciła się ku ziemi. Zaczęła podnosić leżące tam kamienie i rzucać do rzeki, jeden za drugim. Ochlapowała się przy tym, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Gdyby główna postać na *Krzyku* Muncha była kobietą, to byłaby to właśnie ona. Poczulem, że muszę uwiecznić tę chwilę. Była w niej ta prymitywna, prawdziwa dzikość. Ta kobieta odsłoniła się przede mną całkowicie. Była bardziej niż naga. Była szczera. Prawdziwa.

To było lepsze niż porno.

Wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy. Kiepski aparat, kilkuletni (wtedy taki miałem), z niewielką rozdzielczością. Chciałem wybrać aplikację fotograficzną. Nie zdążyłem. Wypadł mi z ręki, prosto na mokre, podgniłe liście. Nawet nie próbowałem go podnieść. Nie potrafiłem spuścić z niej oka. Zahipnotyzowała mnie.

Po minucie było po wszystkim. Uspokoila się równie nieoczekiwanie, jak wpadła w szal. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w górę. Na skarpę, w stronę drogi, gdzie zaparkowała. Przez chwilę nasze spojrzenia się skrzyżowały. Ja patrzyłem wprost na nią, ona na mnie. Wyprostowałem się, zacisnąłem szczęki, pewien, że zaraz coś się wydarzy. Ale ona jakby mnie nie widziała. Jakbym był duchem. Do dzisiaj nie wiem, czy naprawdę mnie nie zauważyła, czy tylko udawała. Dopiero wtedy dotarły do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, kobieta wcale nie przyszła tutaj, żeby zaburzyć mój spokój. Poszukiwała go bowiem tak samo mocno, jak ja. I tak samo jak ja czuła, że to miasto zaciska się wokół niej pętlą i nie pozwala odetchnąć pełną piersią. To nas połączyło. Ta chwila. Tysiącem niewidzialnych nici, których ona może jeszcze nie czuła, nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia, ale ja tak. Byłem jak owad złapany w pajęczynę.

Po drugie, tajemniczą nieznajomą była nasza pani burmistrz.

[11] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Jerzy S. Sito, *op. cit.*

## 11.

*Na krew szlachetną, co mi wzdyma serce,*

*Nie będzie grzechu, jeśli go uśmiercę[12].*

Siedzi przy jej łóżku. Wanda wyszła. Wzięła klucze od ich domu na Piaskach i powiedziała, że pojedzie po rzeczy Ewy. On chciał jeszcze chwilę zostać, obiecał, że niedługo do niej dołączy, spotkają się na Kamiennej.

Kiedy zostali z Ewą sami, opuścił głowę na jej bezwładną dłoń i zapłakał. Łzy nie popłynęły jednak po twarzy, na to nigdy by się nie zdobył – chłopaki, kurwa, nie płaczą – lecz trysnęły gdzieś w środku Szymona. Rozlały się po ciele i boleśnie zapiekły w przelyku.

Nie sądził, że widok żony pogrążonej w śpiączce, podpiętej pod aparaturę podtrzymującą życie, wywoła w nim takie emocje. Że wzruszy go. I rozwścieczy zarazem. Po tylu latach powinien raczej poczuć pewien rodzaj ulgi. Możliwe, że Ewa umrze, a wtedy wreszcie zapanuje spokój. On zyska spokój. Dom, samochód, kilka działek inwestycyjnych pod miastem, siłownia i konto – to wszystko, co powstrzymywało Szymona przed porzuceniem Ewy, a w każdym razie, co myślał, że go powstrzyma, teraz będzie jego. Powinien czuć radość, bowiem przez kilkanaście wspólnie spędzonych lat nieźle dała mu popalić.

Nie jest łatwym człowiekiem. Chimeryczna, apodyktyczna, bezkompromisowa i wymagająca. Skomplikowana. Taka jest jego żona. Kiedyś była także nieco zwariowana, zabawna, szczerą, otwartą i empatyczną. Później wszystko szlag trafił, a to, co go w niej fascynowało, pociągało, przykryła gruba warstwa zgorzknienia. Długo to znosił, sądząc, że jeśli będzie ją kochał, jeżeli będzie o nią dbał, to ona się odwzajemni. Ale nic z tego. Może kochał niewystarczająco, dbał za mało, bo Ewa mimo jego starań się odsunęła. A właściwie jego odsunęła od siebie. Cegła po cegle stawiała między nimi mur. Może gdyby mieli dziecko, wszystko potoczyłoby się inaczej? Lecz jest, jak jest. Po latach szarpania resztki uczuć zaczęły w nim dogasać. Miłość pozostawiła po

sobie ranę, która z czasem zmieniała się w brzydką bliznę, a później pojawiły się inne kobiety. Zresztą Ewa także wdawała się w krótkie, nieistotne romanse. Od czasu do czasu. Ten układ nie był w porządku, a jednak się na niego godził... Do chwili, kiedy pojawił się tamten – na jego wspomnienie Szymonowi podchodzi żółć do gardła.

Dokładnie pamięta dzień, kiedy podejrzenie zmieniło się w pewność. Owszem, już w lutym zauważył w niej zmianę. Rozkwitła. Promieniała. Uśmiechała się częściej. Myślał, że to wyjazd w góry tak poprawił jej nastrój. Jej przemianę wziął za dobry omen. Życie stało się bardziej znośne, atmosfera na Kamiennej mniej napięta. Ewa była ożywiona, pełna energii. Czasami nawet jadła z nim śniadania, pytała co w pracy, na siłowni, na studiach... Aż wreszcie przyszła tamta niedziela. To było jakoś w połowie kwietnia. Odwołano mu ostatnie zajęcia z planu – cieszył się, że wróci do domu wcześniej. Przez jego studia tak rzadko mieli teraz z Ewą czas dla siebie. Zatem wracał wtedy zadowolony, zastanawiając się, co ugotuje im na obiad. A może wyjdą do restauracji. Od wieków nigdzie nie wychodzili razem.

Był już blisko domu, kiedy zauważył tamtego, wychodzącego z ich bramy. Jasnym prochowcem targał wiosenny wiatr. Od razu go poznał i od razu zrozumiał, co się dzieje. Wszystko w jednej sekundzie ułożyło się w zwarty i logiczny ciąg. Czarne odmęty zimy, depresja, puste butelki wina, milczenie i wrogość, wreszcie styczniowy wieczór na studniówce – noc przełomu – i powolna przemiana Ewy.

Szymon wycofał samochód, żeby tamten go nie zauważył i zamiast do domu, ruszył wąskimi uliczkami w głąb Piasków. Jechał tak długo, aż skończyły się zabudowania. Wokoło szumiał już tylko sosnowy las, wtedy zatrzymał samochód i oparł czoło o kierownicę.

Czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. W skroniach pulsowała złość. To nie był pierwszy raz. Przed tym, którego dzisiaj ujrzał pod swoim domem, byli inni, a jednak z jakiegoś powodu obecność tego konkretnego zaboląła Szymona bardziej. Szalony gniew wypełnił mu płuca, z ust popłynął wściekły skowyt: kurwa, kurwa, kurwa! Dlaczego właśnie on?! Dlaczego to on sprawił, że Ewa rozkwitła? Jego żona i ten gnojek. Dotykał jej. Pieprzył. Sprawił, że się uśmiechała, że znowu zaczęła rozmawiać z Szymonem, a on, naiwny, uwierzył, że teraz wszystko się zmieni na lepsze.

Jak ona mogła?! Przecież dotykała tabu, przekraczała granicę. Niektórych rzeczy po prostu nie należy robić! Ewa oszalała, straciła czujność. Zaprosiła go do ich domu. Pod ich dach. Na pewno dawała mu na podłogach, schodach, na kuchennym blacie, pod prysznicem... Ich dłonie, pośladki, jej piersi, jego penis, skóra, pot, zostawiły ślad na każdym sprzęcie... Szymon torturując się obrazami zdrady, poczuł, jak zbiera mu się na wymioty, jak ogarnia go obrzydzenie. Dlaczego Ewa to zrobiła?! Dlaczego... Wtedy do niego dotarło, że to musi być coś

więcej niż romans. Jeżeli jego żona zachowywała się tak niefrasobliwie, jeżeli zapomniała o zasadach, to znaczy, że przekroczyła cienką czerwoną linię, której według niepisanej umowy oboje mieli nie przekraczać. Zrozumiał, że być może jest za późno i pierwszy raz naprawdę poczuł się przez nią oszukany. Poczuł się zazdrosny? Opanowała go żądza zemsty.

Tamtego dnia w samochodzie Szymon pojął, że nie wszystko między nim a Ewą wygląda tak, jak mu się wydawało. *Status quo* został naruszony, a on nie chce dalej trwać w chorym układzie. Coś musiało się wydarzyć. Ktoś musiał ponieść ofiarę – nie zamierzał wchodzić w tę rolę.

Niedługo potem nadeszła wiosna, eksplozja światła i zieleni, a jemu demony zaczęły szeptać do ucha, żeby wziął sprawy w swoje ręce. Musiał tamtego usunąć, zmieść z powierzchni ziemi, żeby ich ukarać, żeby ją ukarać. Należało jedynie trochę poczekać. Przygotował się, aby rozegrać to jak najlepiej. Był pewien, że wszystko pójdzie gładko. Tylko powoli, tylko spokojnie... Cierpliwość zostanie nagrodzona. Kropla drąży skałę.

Pierwszą cegłę z muru Szymon wyjął podczas długiego, majowego weekendu, który spędził z Ewą na Mazurach. Mur się zachwiał, lecz nie runął. Potrzebny był taran. Istniał jeden sposób. Trzeba się było skonfrontować z przeciwnikiem. Szymon postanowił spotkać się z tamtym. Wreszcie przyszedł właściwy czas.

Spotkali się w miejscu, gdzie ich wspólna obecność nie wzbudzała podejrzeń. Na nieubitej jeszcze ziemi. Powiedział mu wprost, że wszystko wie i że sprawy mają się tak a tak. Tamten nawet nie próbował się wypierać. Uśmiechał się szyderczo, jakby chciał powiedzieć: „Pieprzę twoją żonę i co mi zrobisz?”. Szymon chciał już wtedy zmasać uśmiezek z jego twarzy. Jeden ruch i byłoby po gnoju. Mógłby go chwycić mocno i zgnieść jak robaka, a potem wdeptać w ziemię z obrzydzeniem. Bardzo tego pragnął, testosteron zaczął mu buzować w żyłach, gorąca fala uderzyła do głowy. Był o krok, żeby popełnić głupstwo. A jednak zdołał się pohamować. Wygrał rozsądek. Zemsta najlepiej smakuje na zimno. Szymon dobrze wiedział, że to nie czas i miejsce na ostateczne rozwiązanie. Jeszcze nie.

Wyłożył swoje stanowisko krótko, po męsku, a tamten przyjął warunki bez mrugnienia okiem. Szymon miał satysfakcję. Wiedział, że tamten się boi, że za maską szyderstwa, za tymi uśmiechami drwiącymi kryje się przestraszony chłopiec, który w środku trzęsie się ze strachu, który już ma pełne gacie.

Jebany gnojek!

Szymon chwycił go w pułapkę. Wiedział, że wygraną ma w kieszeni. Wystawił lep i mucha się złapała. Umówili się na kolejne spotkanie, a wtedy sprawę między sobą zamkną raz na zawsze.

I wreszcie nadszedł wczorajszy wieczór. Szymon przyjechał na umówione

miejsce. Odludne, nad rzeką, otoczone niskimi wierzbami. Przed laty, kiedy remontowano most samochodowy, stanęła tu tymczasowa przeprawa pontonowa. Zostały po niej betonowe płyty, którymi wyłożono nabrzeże i zjazd ze skarpy. Od lat ów zaciszny punkt służył kochankom, którzy pod osłoną nocy przyjeżdżali tu samochodami na szybkie numerki – co potwierdzały setki kondomów we wszystkich kolorach tęczy, rozrzucone wokół, gnijące w trawie i dyndające smętnie pośród wierzbowych witek.

Wieczór zamieniał się w noc. Na zachodzie indygo przechodziło w magentę. Niedaleko odbywało się ognisko, właśnie stamtąd miał przyjść tamten. Odgłos krzyków i muzyki niósł się po wodzie, stapiając się w jedno z rechotem żab. Jeszcze nic nie zapowiadało, że pogoda się załamie. Szymon czekał, patrząc na Piaski, rozciągające się na drugim brzegu rzeki. Gdzieś tam, pośród sosen, jego żona czekała na kochanka, który miał już nigdy nie przyjść – Szymon starał się teraz o niej nie myśleć.

Tamten zbliżał się szybko, jak zwykle z hardą miną, tym razem nie był przebrany za królewicza. Kiedy znajdował się już blisko, uśmiech – typowy dla niego, sardoniczny – rozlał się po jego wargach. W Szymonie krew zawrzała i wówczas, zamiast słów, padło pierwsze potężne uderzenie. Od lat nikogo nie uderzył, ale pamięć zapisana w ciele okazała się nadal żywa. Mięśnie przedramienia napięły się automatycznie, nogi ugięte w kolanach usztywniły się. Skóra na zaciśniętej pięści zapiekła, ale satysfakcja zrekompensowała dyskomfort. Wzdłuż kręgosłupa powędrowały ciepłe impulsy adrenaliny.

A później padł kolejny cios...

Nikt ich nie widział. Nikt nie słyszał. Kiedy już było po wszystkim, Szymon wrócił do samochodu. Wycierając chusteczką krew z dłoni, po raz pierwszy od miesięcy poczuł ogarniający go spokój.

Czuł go aż do dzisiejszego poranka. Wtedy znowu go utracił. I znowu jest spięty. Jest kłębkim nerwów, chociaż stara się nad sobą panować. Traci zmysły.

Bo ona umiera.

Wydawało mu się, że zna Ewę lepiej niż samego siebie, a jednak nie spodziewał się, że ona zareaguje tak emocjonalnie, popełni takie głupstwo.

Zakiwał się.

Ewa umiera.

A do niego zaczyna docierać, że czuje do tej kobiety więcej, niżby chciał, więcej, niż mu się ostatnimi czasy wydawało. Przepelnia go wszechogarniająca złość, za te wszystkie małe kurewstwa, które mu robiła, za to, jaka bywała wobec niego przykra, jaka zimna. I czułość, i gniew, i tkliwość, i nienawiść. Wszystko teraz czuje. Rozszarpałby ją, zagłaskał...

Podnosi głowę. Patrzy na jej nieruchomą twarz. Automatycznie wodzi dłonią po jej dłoni. Ewa wygląda, jakby już nie było w niej duszy, jakby znajdowała się

po drugiej stronie i tylko dźwięk respiratora temu przeczy. Puls niespokojnie skacze na monitorze.

To koniec? Naprawdę już koniec?

[12] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, *op. cit.*

## 12.

*Romeo! żal się Boże! Co mi to za gagatek![13]*

Witek kazała Ryškowi jechać do szkoły, zatem jedzie. Ale zbyt wiele sobie po tej wizycie nie obiecuje.

Liceum.

Dwupiętrowy solidny gmach wybudowano niedługo po wojnie. Majestatyczną bryłę otaczają wysokie jesiony. Dookoła klomby z kwiatami w barwach narodowych, żywopłot – po prostu zielony – i kute ławki w nieapetycznym kolorze przywodzącym na myśl zupełną szczawiową z musztardą. Stary zegar u szczytu fasady odmierza czas lekcji i przerw. To jeden z najbardziej zadbanych zakątków w mieście. Tutaj pobierały edukację kolejne pokolenia lokalnych elit. Wokół unosi się atmosfera intelektualnego prestiżu. Splendoru średniego szczebla. Kto chce coś znaczyć w mieście, musi zdać maturę w szanowanym przybytku liceum. Liceum imienia Adama Mickiewicza – patron mało oryginalny, niemniej w Polsce wszystko zazwyczaj nazywa się na cześć Mickiewicza, Jana Pawła II, ewentualnie Skłodowskiej-Curie.

Ryszard Baran niestety do ogólniaka nie uczęszczał – a jego drugoligowa szkoła nie nosiła imienia nikogo z wielkiej trójcy – przez co do dzisiaj w podkomisarzu tkwią kompleksy. Zanim poczuł w sercu psi zew i wyruszył do Szczytna, skończył technikum samochodowe w drugim końcu miasta. Niby też szkoła średnia, ale to nie to samo, co tutaj. W liceum nauki pobierał kwiat powiatowej młodzieży, chodziły dzieciaki z dobrych domów, *crème de la crème* miasta. A Rysiek nie był z dobrego domu, nie był też z domu złego, lecz zwyczajnie z bardzo prostego. Wprawdzie kariera pięknie mu się potoczyła i obecnie jest kimś, lecz w głębi duszy nadal czuje się gorszy. Drażniące poczucie niższości wciąż tkwi w nim jak obropiała drzazga. Budynek liceum w pewien sposób mu to uzmysławia, przypomina o kastowości panującej wokół, że są równi i równiejsi. To urocze miejsce go przytłacza.

Myśli o tym, parkując służbową skodą od frontu. Deszcz niemiłosiernie wali o dach. Podkomisarz z ociąganiem wysiada z samochodu i kuląc się, przebiega



kilkanaście metrów, które dzielą go od wejścia. Pociąga za klamkę. Zamknięte. Wszystko wokół wydaje się martwe i opuszczone – w końcu weekend. Szarpie jeszcze raz, wali pięścią w drzwi. Pod nieobecność nauczycieli i uczniów ktoś chyba musi pilnować kredy do tablic i zakurzonych słoików z żabami w formalinie. Kiedyś tę funkcję sprawował swojski woźny z miotłą, teraz szkół strzegą wyszkoleni ochroniarze z bronią gazową. W tym budynku też ktoś taki musi być.

Rysiek nie ustępuje, puka wytrwale, czeka. Deszczówka leje mu się za kołnierz, inwektywy rozlewają się po ustach. Wreszcie, po dłuższej chwili słychać szmer, a na koniec zgrzyt zamka. Drzwi otwierają się na szerokość łańcuszka, w szparze pojawia się bezwłosa głowa obciążona żółtą skórą. Smutny starzec, ochroniarz, który nie zdołał ochronić się przed przedwczesnym łysieniem. Dorabia tu zapewne do skromnej emerytury. Wysuszone męskie ciało obleka przyduży poliestrowy mundur z wyszytym na piersi logo firmy. Końce sarmackich wąsisk zamiast sterczeć, opadają melancholijnie. Pozbawione fantazji. Ułańskiej. Jakiegokolwiek.

Cieć wygląda na wściekłego, jakby mu przeszkodzono we śnie, bądź w ćwiartowaniu zwłok ucznia, który nie zdążył umknąć ze szkolnych murów na weekend.

– Czego? – wita uprzejmie gościa.

Rysiek dobywa ze spodni odznakę i przystawia ją facetowi pod nos, który od razu zmienia front. Uśmiecha się krzywo, ukazując krótkie, zjedzone zęby. Zdejmuje łańcuszek i wpuszcza funkcjonariusza do środka.

– Nie słyszał pan, że pukam? – Podkomisarz strzepuje krople na podłogę. Echo jego głosu odbija się po pustym korytarzu.

– Serial oglądałem w kanciapie – tłumaczy. – Nikogo się tu nie spodziewałem. Dzisiaj szkoła nie pracuje.

– Wiem. – Rysiek odpowiada szorstko. Wypina pierś. Czasami lubi grać złego porucznika. Przy kumplach by się wstydził, ale przecież jest sam, a przeciwnik taki niepozorny.

– No to czego pan władza potrzebuje?

– Szukam jednego ucznia. Matka zgłosiła zaginięcie. Chciałem porozmawiać z kimś z grona nauczycielskiego, żeby dostać namiary na kolegów i popytać trochę.

– No toś pan źle trafił. W poniedziałek proszę przyjść.

– Nie mogę czekać do poniedziałku. Jakiś numer do dyrektora może pan ma?

– Jakiś mam, ale nie dam. Nieupoważniony jestem. – Ochroniarz wchodzi w swoją rolę. On też, chociaż przez chwilę, pragnie poczuć się ważny.

– Nie wygłupiaj się, człowieku. – Ryszard traci cierpliwość. – Wiesz, co to jest utrudnianie śledztwa i co za to grozi?

– Już dobrze, dobrze... – Chwila bycia ważnym minęła.

Chłopina chowa się w wątych ramionach. Postawił się. Swoje zrobił, ale

przecież nie szuka kłopotów, niechże by mu wszyscy dali święty spokój. Serial już i tak mu przepadnie. Zostawia podkomisarza na korytarzu, sam z kwaśnym wyrazem na pomarszczonej twarzy znika za drzwiami służbówki. Po chwili wychodzi ze skrawkiem papieru, na którym widnieje zanotowany numer.

– Ale jak się będzie dyrektor pytał, skąd pan władza ma jego telefon, to niech nie mówi, że ode mnie, bo kazał nikomu nie dawać. Raz dałem i potem matki uczniów do niego wydzwaniały z pretensjami o pały i żeby na drugi rok przepuścić. A teraz gorący okres, koniec roku... Rozumiesz pan?

– Jasne.

Podkomisarz chowa kartkę z telefonem do kieszeni, rusza do drzwi. Chwyta za klamkę.

– A ten zaginiony dzieciak, to który to? – Słyszysz za plecami.

Odwraca się w stronę ochroniarza.

– Pan zna uczniów?

– Z widzenia trochę znam. Przede wszystkim tych, co najwięcej łobuzują.

– Ten, którego szukam, to raczej dobry uczeń. Karol Górski, mówi to panu coś?

Chłop zaskoczony unosi brwi.

– Karolek? Żartujesz pan? Pewnie, że znam. Z nauką to on faktycznie problemów nie ma, jednak swoje za uszami, to i owszem. Niezły z niego gagatek. Fajki kurzy za szkołą i dziewczuchy obściskuje.

Podkomisarz zamienia się w słuch.

– Chłopak żywe srebro. Uprzejmy. Dzień dobry zawsze powiedział, jak do szkoły wchodził. A czasem, to i szluga odpalił, jak mi się skończyły. Tutejsze dzieciaki to jak psa człowieka traktują, ale on nie. – Przygląda zażółcone wąsy. – To mówisz pan, że zaginał? Pewnie się znajdzie. Młodzi to se czasem lubią pójść w tango, co nie?

Ryszard ignoruje uwagę ciecia:

– A może pan zna kogoś z jego klasy?

– Z kim on do klasy chodzi, to ja nie wiem, ale dziewczuchę jego kojarzę.

– Ma dziewczynę?

Stary wzrusza ramionami.

– A bo to jedną. Za nim dziewczuchy oczy wypatrują, bo to taki lalusz, ale jedna to szczególnie. Krok w krok za nim łąziła. Też tutejsza uczennica, chyba z młodszej klasy.

– Wie pan, jak się nazywa?

– Jakoś tak ją wołają... – Mruży oczy, przeczesując zakamarki pamięci. – Takie ruskie imię ma: Luba, Swieta. I ona sama też charakterystyczna. Ładna jest, figurka, że ho, ho, ale ruda jak nieboskie stworzenie. I piegowata. To chyba naturalny kolor, nie farba. Tutaj uczennice to se włosów nie malują, bo to niby

porządna szkoła jest i nauczycielom się nie podoba...

Rysiek marszczy czoło. Nie słucha dalszego wywodu faceta. Ruda? Luba? Święta? Coś mu świta.

Oczywiście!

– A może ona Sonia, co? Sońka Kowalska? – pyta zadowolony.

– Może... A pan skąd wie? – Dziwi się cieć.

– Jak ruda i ładna, i do tego Sońka, to może być mojej córki koleżanka. Z jednego podwórka. I nawet do tej samej klasy w podstawówce chodziły, ale moja teraz do CKU poszła, a ta Sonia chyba właśnie tutaj. Ruskie imię ma, bo matka Ukrainka.

– A to pan córki spytaj o zamiar na Rudą.

– Tak zrobię. – Rysiek potakuje. – A może pan jeszcze wie, kto jest wychowawcą Karola?

– To akurat wiem. Jego wychowawcą jest, a właściwie był, bo przecież Karol właśnie szkołę skończył... Nie dalej, jak kilka dni temu widziałem, że przed szkołą rozmawiali. Zdziwiłem się, bo Karolek maturzysta i już nie miał lekcji, a jeszcze do wychowawcy przyszedł pogadać. Ładnie z jego strony. No, jak mu tam jest...? – Drapie się po bezwłosej czaszce. – To mąż naszej burmistrzowej.

– Ewy Kapicy?

– No! Kapica. Ja do nazwisk nigdy nie miałem głowy. Szymon Kapica! Uczy WF-u. Fajny facet. Dzieciaki go uwielbiają. Na wycieczki często ich zabiera, na zawody różne. Nie żeby jedynie lekcje odfajkować.

– Myślałem, że prowadzi centrum fitness na Piaskach.

– A tak, ma też swoją siłownię, ale w szkole jest na etacie. Wiesz pan, biznes biznesem, ale państwową posiadłość nikt nie pogardzi.

– No tak... – przyznaje nieobecny tonem.

Zbiera myśli. Zna tamtego faceta. Z widzenia. Przystojny, napakowany, koło czterdziestki. Buja się po ulicach furą za kilka stówek. Na pewno nie z nauczycielskiej pensji taki wózek. Na mieście się mówi, że Kapicowa każdą sprawę załatwi – ziemię odrolni, drogę podciągnie do posesji, nawet jeśli chałupa stoi pośrodku niczego – tylko odpowiednio trzeba posmarować. Więc mąż pewnie ma się za co tak bujać. Na bogato i z rozmachem. Chociaż może to z tej siłowni taka kasa, kto tam może wiedzieć. Kapica wydaje się być zupełnie równym gościem. Sympatyczny. Bezpośredni. Rysiek spotkał go kilka razy na siłowni, gdy jakiś czas temu postanowił zrzucić zbędne kilogramy. Kupił wtedy karnet do centrum fitnessu na Piaskach, bo ludzie mówią, że jest najlepsze w mieście, ale Ryś raptem ze trzy razy wszedł na bieżnię i sobie odpuścił. Płuca wypluł, zakwasów się nabawił i chęć do bycia fit mu minęła. Potem Kapicę widywał sporadycznie.

– On, jako wychowawca, na pewno panu władzy więcej opowie na temat Karolka – mądrzy się stary.

Podkomisarz już nie słucha, kiwa głową, dziękuje za informacje, zaciska w kieszeni dłoń na kartce z numerem do dyrektora i wychodzi na zewnątrz.

Deszcz jak lał, tak leje. Zatem znowu pędem do skody i znowu silnik w ruch. W głowie śledczego powoli odmalowuje się obraz zaginionego chłopaka. Karolek... Dobry uczeń. Szkolny Romeo. Łobuz pałacy ukradkiem papierosy. Trzeba Ryškowi zadzwonić do córki i zapytać o numer do tej małej Kowalskiej. No i Kapica też na pewno będzie miał sporo do powiedzenia o swoim wychowanku, ale Baran najpierw odwiedzi babkę dzieciaka. Od niej dowie się najwięcej.

Chociaż może już nie musi. Może uprzejmy Karolek zdążył wytrzeźwieć i wrócić w domowe pielesze? Podkomisarz już oczami wyobraźni widzi, jak kończy dyżur. Siedzi przy ławie w dużym pokoju i zajada pyszny obiad przed telewizorem...

Ale jeszcze nie teraz, jeszcze chwilkę musi poczekać. Dusi więc pedał gazu. Żeby dotrzeć na Podleśną, trzeba minąć pół miasta, rynek i ulicę Lubelską, a następnie przejechać przez most. Na drugim brzegu rzeki znajduje się dzielnica willowa. Inny świat. Inna bajka, jak z serialu TVN-u, o lepszym, zamożniejszym, bardziej kolorowym życiu. Jeżeli nestorka rodu Górskich mieszka właśnie tam, to znaczy, że ma lub kiedyś miała pieniądze. Byle kto nie rezyduje na Piaskach.

Kameralne osiedle domów jednorodzinnych znajduje się w niskim sosnowym lesie. Las wyrasta z rzecznych, złotych piasków. To od nich wywodzi się nazwa dzielnicy, która – chociaż administracyjnie leży w granicach miasta – stanowi osobny, samowystarczalny byt. Jest tu szkoła podstawowa, przedszkole, kilka sklepów, apteka, prywatna przychodnia, a nawet kościół i mały cmentarz. Piaski, oderwane od miejskiej tkanki, nieskażone chorobami typowymi dla większości skupisk ludzkich, nęcą ciszą, spokojem i świeżym powietrzem. Jeszcze przed wojną uznano, że panuje tu mikroklimat i można zbudować uzdrowisko. Z szumnych planów oczywiście nic nie wyszło, ale co bogatsi obywatele, skuszeni prozdrowotnymi właściwościami lasu, kupowali tu działki i postawili domy, uciekając z rynku. W lesie, jak grzyby po deszczu, wyrosły okazałe drewniane wille w stylu świdermajer – z ogromnymi oszklonymi werandami, gankami, ażurowymi rzeźbieniami wokół okien i spiczastymi dachami.

Później część właścicieli zmiotła historia, a na ich miejscu, w latach pięćdziesiątych, zjawili się przedstawiciele aparatu nowej władzy. Las dyskretnie zasłaniał to, co powinno zostać w ukryciu. Pobudowano kilka nowych domów, wytyczono ulice i wylano asfalt. Powstało miasto w mieście. Miasto dla wybranych.

W okresie wczesnokapitalistycznej koniunktury nastąpiła dalsza zmiana wart. Stare i już podupadające drewniane wille wykupili biznesmeni w dwurzędowych, bordowych i turkusowych garniturach, hurtem wznosząc w miejscu dawnej zabudowy staropolskie dworki i pałace wyjęte żywcem

z *Dynastii*. Drewniane płoty zastąpiły wysokie mury, a u bram przycupnęły gipsowe lwy. Na szczęście architektoniczny kicz dobrotliwie otuliła natura.

Podkomisarz Baran niezbyt dobrze zna ten rejon. Wszystkie wąskie leśne uliczki wyglądają dla niego tak samo. Szczególnie teraz, gdy orientację w terenie utrudnia deszcz. Dlatego przez kilka minut błądzi. Mógłby zapytać ludzi w sklepie o poszukiwany adres albo też skorzystać z GPS-u w telefonie. Ale nikogo o nic nie zapyta i nawigacji nie włączy, bowiem prawdziwi mężczyźni, samce alfa i pożeracze schabowych nigdy nie pytają o drogę. Sami trafiają do celu. Rysiek robi więc już trzecią rundkę ulicą Podleśną i powoli traci nadzieję, gdy wreszcie na ogrodzeniu z siatki dostrzega przezartą przez rdzę tablicę z ledwie dostrzegalnym numerem osiemnastym.

Domu nie widać od ulicy. Zasłania go wysoki żywopłot, który – dawno niestrzyżony – w wegetacyjnym uniesieniu wyrósł nad podziw bujnie. Podkomisarz parkuje pod samą furtką. Wysiada. Nigdzie nie widać domofonu ani nawet tabliczki „zły pies”, która kazałaby niepożądanym gościom powstrzymać się przed wejściem na posesję. Klamka ustępuje pod naporem dłoni. W dzisiejszych czasach brak zabezpieczeń wydaje się bezmyślnością lub ignorancją. Bądź jednym i drugim.

Przeciągły, złowrogi zgrzyt zawiasów miesza się z szumem deszczu. Rysiek rusza niepewnie chodnikiem. Betonowe płyty kruszą się i rozpadają w miejscach, gdzie spomiędzy szczelin wyzierają kępy trawy. Dom znajduje się w głębi rozległej działki, pośród sosen. Nie strzegą go ani lwy, ani ogrodowe krasnale. Tu i tam bluszcz pnie się po pniach drzew, pomiędzy dwoma z nich smętnie zwisa rozpięty hamak. Zapomniana, przedwojenna willa, niegdysiejsza perła architektury już lata temu musiała stracić blask. Z daleka robi jeszcze niezłe wrażenie. Z bliska straszy. Wymaga pilnego remontu. Dach pokrywa mech. Drewniane bale tu i ówdzie przegniły. Niektóre szybki werandy zastąpiła dykta. Kiedyś urocze miejsce, teraz, w szarówce słotnego dnia, przywodzi na myśl ruderę z koszmaru. Dom czarownicy.

Podkomisarz Baran nie może oprzeć się wrażeniu, że coś mrocznego i niepojętego kryje się w starych ścianach. Kiedy dociera do drzwi, ledwie wyczuwalne impulsy lęku wędrują wzdłuż jego kręgosłupa. Musztardowa olejna farba odchodzi z nich płatami, ukazując poprzednie warstwy. Mężczyzna wyciąga dłoń, aby zapukać, lecz ktoś go uprzedza. Drzwi się otwierają. Serce Ryśkowi podchodzi do gardła.

### 13.

*Przyjdź, nocy! Przyjdź, Romeo!*

*O dniu mojej nocy!*

*Bo będziesz leżał na skrzydłach tej nocy*

*jak śnieg na skrzydłach kruka;*

*równie biały –*

*i bielszy*

*i bardziej śmiały...![14]*

Koma.

Wszystko zawiera się w tym słowie.

Koma...

Śpię, chociaż nie śpię. Jestem obecna, chociaż nieobecna.

Wszystko niby rozmazane, a jednak bardziej przejrzyste i zrozumiałe niż w ostatnich latach. Właściwie długo trwałam w uśpieniu, a teraz, kiedy śpię, jestem bardziej żywa niż wcześniej.

Wanda wyszła. Szymon został chwilę dłużej. Siedział i dumał. Z nieobecnym spojrzeniem głaskał mnie po ręce. Nie pamiętam, kiedy ostatnio kiedy ostatnio to robił. Może wtedy, gdy nasz związek spływał jeszcze kroplami

potu po rozgrzanej skórze? Dopiero pielęgniarka go wyprosiła. To dobrze, byłam przy nim niespokojna. Nie wiem, dlaczego. Przecież patrzył na mnie tak, jak nie robił tego od dawna. Nim mnie zostawił, pocałował w usta. Nic nie poczułam.

Teraz znowu jestem sama. Myślę o Charliem. Obraz jego pięknej twarzy jest zamglony, wszystko takie niewyraźne. Mam wrażenie, jakbym unosiła się w czymś ciepłym i miękkim. W lepkiej substancji pozbawionej zapachu, smaku, właściwości. Odgłosy szpitala stapiają się ze świstem respiratora, który wtlacza oddech w moje płuca i z myślami pulsującymi na synapsach. Jestem głęboko zanurzona w sobie. Rozmyślałam o wszystkim, co się wydarzyło. Znam skutki. Teraz muszę sobie przypomnieć przyczyny. Obrazy napływają falami. Rozbijają się o poszarpany klif mojego na wpół przytomnego umysłu.

Wspomnienie pierwsze.

Preludium mojej historii. Od niego należy zacząć.

Wspomnienie jest intensywne. Gorące i wilgotne. Mimo że zima trwała wtedy w najlepsze. Nadal czuję w sobie jej chłód.

Czuję go w separacie na OIT-cie. W mojej głowie znowu styczeń. Mróz skuł rzekę lodem. Na ulice miasta wyjechały piaskarki, a ja zamartwiam się, jak zepnę budżet przez ten cholerny śnieg. Niby globalne ocieplenie, a u nas zasy, jak w siedemdziesiątym ósmym. Sól wżerała się w buty. Błoto oklejało samochody po dach. Mrok poranków odbierał chęć do życia. W ratuszu kompletny bajzel. Znowu zaczęły się przetarasowania pośród radnych. Do jesiennych wyborów zostało jeszcze sporo czasu, ale już teraz czułam, że za moimi plecami zawiązują się nowe koalicje. Martwiło mnie to i irytowało. Nic o mnie beze mnie! Miałam dosyć polityki i równocześnie rozumiałam, że jestem od niej uzależniona, jak od heroiny. Z kularów napływały coraz bardziej niepokojące głosy. Pewna grupa wywierała na mnie naciski w sprawie jednej z sieci handlowych, która postanowiła wybudować pod miastem magazyny i centrum logistyczne – stąd miałyby iść zaopatrzenie do wszystkich sklepów na wschodniej ścianie kraju. Duża sprawa, ogromna wielomilionowa inwestycja. Jednak plan zagospodarowania w tamtej okolicy miałam już w tajemnicy przyklepany. Jeszcze nieoficjalnie, ale wszystko od dawna było ustawione. Przedstawiciele sieci odesłałam z kwitkiem, nie negocjowałam nawet wstępnych warunków. Współpracownikom w urzędzie mówiłam, że niepotrzebne nam tu dodatkowe kolumny tirów, smog, zanieczyszczenia. Był to naturalnie trzeci rodzaj prawdy, więc w opozycji znaleźli się mądrale, którzy zwietrzyli mój mały szwindel i uważali, że to skandal, że splawiam takiego inwestora. Że to dla nas – ba, dla całego regionu – olbrzymia szansa. Taki kapitał, takie przedsięwzięcie, to mnóstwo miejsc pracy. Wiedziałam o tym, jednak ziemia została już obiecana komuś innemu. Komuś, komu się nie odmawia.

Sporny grunt stanowiły tereny sąsiadujące z Osiedlem Młodych, nowo

powstałym skupiskiem zabudowy jednorodzinnej. Wyrósł pod miastem za euro, ciężko zarobione na zmywaku w Londynie. Uściubiony kapitał pokolenie trzydziestoparolatków przywiozło na podlubelską ojcowiznę w walizkach i plecakach, nie wytrzymał na emigracji – w oparach kebabów, wśród innowierców, beżowych i czarnych, zamieszkujących londyńskie przedmieścia. Z tęsknoty za kielbasą krakowską oraz kiszonym ogórkiem wrócili do macierzy, aby w miejscu dawnych łąk i nieużytków – na chłopskiej schedzie dziadów – osiedlić się i rozmnażać. Ich nowiutkie, szeregowie domki zdawały się mieć aspiracje zachodnie i przypominać trochę angielskie osiedla robotnicze, lecz zamiast prawdziwej cegły, zdołał je tani klinkier. Osiedle nie posiadało jeszcze infrastruktury, a przecinało je zaledwie kilka ulic, lecz na takie udogodnienia na razie brakowało kasy w budżecie. Obiecywałam zająć się sprawą w trakcie następnej kadencji. Były pilniejsze zagadnienia związane z osiedlem – jak pokazuje polska specyfika, obywatel spokojnie da sobie radę bez utwardzonej drogi, bez żłobka czy spożywczaka, lecz żywot jego jest jałowy i pusty, jeśli pozbawić go stawy duchowej w postaci łaskawego protektoratu kościoła.

Wprawdzie mieliśmy już trzy parafie, jednak właściciele nowych domów też potrzebowali pasterza. Jakaś dzwonnica musiała ich wzywać do opamiętania, ktoś powinien wysłuchać grzesznych myśli – to nie do pomyślenia, żeby po sakramenty dymać na drugi koniec miasta! Dlatego obiecałam biskupowi, że przeznaczę ziemię w tamtym rejonie pod budowę nowej świątyni. Jesienią, w trakcie kampanijnego zamieszania, dopełnimy formalności i będą mogły ruszyć prace. Widok z plebanii na zakole rzeki, zielone łągi i las. Kawał gruntów w świetnej lokalizacji, teren rozwojowy, media w drodze. A to wszystko właściwie za bezcen, czy raczej, za bezcenne poparcie mojej kandydatury w nowych wyborach.

Wszystko było dogadane, mogłam zapaść w zimowy sen, a wtedy pojawił się ten inwestor i zaczął siać ferment we władzach miasta. Burki z rady powiatu jęły ujadać za moimi plecami, że uprawiam prywatę, że przehandlowuję interes społeczny za gwarancję poparcia – nie miałam pojęcia, skąd się dowiedzieli... Ale nie bałam się ich skowytu. Czy raczej udawałam, że się nie boję. W każdym razie nie dałam wyprowadzić się z równowagi. Niczym samotny rycerz dobywałam kopii zdroworozsądkowych argumentów. Odpierałam ataki, wyjaśniałam, że zamrażając sprawę magazynów, staję w obronie małych lokalnych przedsiębiorców, że w razie wpuszczenia na rynek obcego kapitału, to ja będę zmuszona uciszać wściekłych sklepikarzy, kiedy mi zaczną pikietować pod urzędem. A ekologia, siedliska ptactwa, a rozjeżdżany przez ciężarówki asfalt? Kto za to miastu zapłaci?

Niby moje motywy były logiczne, strategia zrozumiała, a jednak nie wszystkim udało się zamydląć oczy...

Zapędziłam się w koziego róg i czułam się z tym fatalnie.



I łeb mi pękał od tej sprawy. Od wielu innych też. Byłam zmęczona. Było mi przeraźliwie chłodno. Od środka. Mróz wnikał we mnie, zatruchiwał jak toksyna. Płądrował wnętrzności, wywołując niekończące się problemy żołądkowe. Z nerwów rzygałam jak kot. Chociaż nie pokazywałam tego po sobie, bałam się. Chudłam. Jeszcze znajdowałam w sobie siłę do gry przed publicznością, ale w samotności opadałam z sił, schodziło ze mnie powietrze, traciłam chęć do życia. Znalazłam się w klatce i odbijałam od jej ścian. I jeszcze ta ohydna pora roku – przez pół dnia ciemno, przez drugie pół szarówka. Z łóżka ciężko się podnieść. Na myśl o jesiennych wyborach wpadałam w popłoch. Z jednej strony chętnie oddałabym fotel burmistrza, z drugiej, nie wyobrażam sobie, że mogłabym oddać kampanię bez walki. Nie ja!

Znowu więc zmagalam się z targającymi mną sprzecznościami. Miałam wrażenie, że po czterdziestce wewnętrzny dysonans gra we mnie coraz donioślej. Czasami nad ranem budziłam się złana potem. Chciałam znowu być tamtą dziewczyną, idealistką z początków kariery, która z urzędu walczyła o prawa konsumentów – zanim pochłonęła mnie żądza władzy, zanim wciągnęły finansowe układy i długi wdzięczności. Chciałam być tamtą młodą kobietą, której jedyne zmartwienie stanowiła niemożność posiadania dziecka. Która miała nadzieję, że jej małżeństwo będzie wyglądało zupełnie inaczej niż te wszystkie okropne, niekochające się, znudzone sobą, które obserwowała dookoła. Gdybym dostała drugą szansę, wszystko zaczęłabym od nowa. Lepiej.

Tymczasem zima nie odpuszczała. Na zewnątrz i we mnie.

Powinłam była wyjechać chociaż na chwilę. Wyrwać się z bagna w ratuszu. W góry. Zawsze uciekam w góry. Jedyne tam czuję się w pełni sobą. Nikogo nie muszę udawać. Ciężar plecaka na plecach, zmęczenie, szybszy puls, eksplozja endorfin, radość z pokonywania wysokości, siebie i swoich ograniczeń. I spokój – wyłącznie ja i majestat granitowych skał. To Szymon na początku naszego związku zaraził mnie miłością do wspinania, ale później na nartach doznał urazu kolana i przez jakiś czas musiał odpuścić sobie górskie wędrówki. Zaczęłam chodzić sama. Okazało się, że dobrze mi bez niego. Kiedy wrócił do zdrowia, już nie namawiałam go na wspólne wypady. Parę razy jeszcze próbował mnie na nie namówić, później dał za wygraną.

Góry na pewno by mi pomogły, lecz tej zimy nawet na krótki wypad w Tatry nie miałam siły.

Dzień po dniu wracałam z pracy na Piaski, jak trup, bez życia. Czasami zamiast do domu, najpierw jechałam nad rzekę. Ciemna toń nęciła smolistym błyskiem, żeby w nią skoczyć i wreszcie poczuć spokój. Ale nigdy się na to nie zdobyłam. Płakałam wtedy albo krzyczałam z bezsilności. A później uciekałam i ukrywałam się w mojej bezpiecznej norze, w twierdzy ze szkła i stali, w martwej ciszy panującej w minimalistycznym wnętrzu. I zakopywałam się pod kocem,

i wpatrywałam tępo w telewizor albo próbowałam czytać. Słowa przelatowały mi jednak przed oczami, nie pozostawiając żadnego śladu. Kołam nerwy koniakiem i winem. Wanda wpadała raz na kilka dni. Patrzyła na to, co się ze mną dzieje z rosnącym niepokojem. Kazała mi więcej jeść. Mówiła, że się wykończę. Namawiała, żebym się zbadała. Bo tak nie można, bo mnie marazm i to rozmemłanie zabije, bo fatalnie wyglądam. Wyglądałam tak, jak się czułam. Byłam w proszku, w rozsypce, pragnęłam tylko świętego spokoju. Wanda mi go nie dawała. Umówiła mnie na wizytę u znajomego psychiatry w Lublinie. Wiedziała, że u nas w mieście bym nie poszła. Tu od razu by się rozniosło pocztą pantoflową, że ze mną coś nie tak. Kapica ma deprechę, Kapica wariatka, wysadzić Kapicę z siodła. Wielu by się ucieszyło z moich problemów. Gdybym była chora na raka, pewnie wszyscy by mnie klepali po plecach i współczuli, ale dla niedyspozycji psychicznych nie ma tolerancji. Nie zamierzałam dawać im satysfakcji, dlatego do lekarza udałam się w tajemnicy. Nawet Szymon nie wiedział.

Psychiatra posłuchał, opukał, wspomniął coś o nerwicy i zapisał psychotropę. Zalecił całkowite odstawienie alkoholu i urlop. Urlop – śmiechu warte. Teraz, kiedy w robocie mam taki kocioł? Leki wzięłam dwa razy. Więcej nie dałam rady, kompletnie po nich odjeżdżałam, chciało mi się spać i skakać – na przemian. W antraktach huśtawki nastroju targały mną mdłości. Nie mogłam nawet samochodu prowadzić. Obiecałam sobie, że wrócę do kuracji później, jeśli poczuję się jeszcze gorzej, innym razem. Nigdy?

Szymon tymczasem schodził mi z drogi. Kontakt ze mną wymuszały u niego jakąś interakcję. Wolał więc udawać, że nie wie, nie widzi, co się dzieje. Postanowił przeczekać. Mijaliśmy się zatem. Rano wychodził pobiegać, a kiedy wracał, mnie już nie było. Po zajęciach w szkole przepadał na długie godziny w centrum fitnessu. A może zupełnie gdzie indziej...? Możliwe, że znowu wdał się w jakiś romans, ale nie obchodziło mnie, kim jest oblubienica. Słodki zapach na jego koszulach tonował moje obawy. To nic ważnego, nie potrwa długo – myślałam. I chyba nie trwało. Mogłam go zdradzić w odwecie, za karę, lecz tym razem nie miałam ochoty wikłać się w żadne awantury. Od wakacji, kiedy będąc samotnie na Fuerteventurze, kołam nerwy w ramionach pewnego Jose czy Pablo – już nie pamiętam, jak się nazywał mój czarnooki kochanek – z nikim nie spałam. To znaczy raz czy dwa, na początku jesieni, Szymon przyszedł do mnie do sypialni, lecz tego nie liczę. Wystarczałam sama sobie. Własne palce, mocne, a kiedy trzeba delikatne, jak nic innego potrafią doprowadzić mnie na szczyt. Nikogo do tego nie potrzebuję – chociaż masturbacja w swej wymowie jest taka smutna... Ja jestem smutna...

Ta zima to był kiepski czas. Naprawdę kiepski. I właśnie wtedy Szymon przypomniał mi o studniówce.

[14] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Jerzy S. Sito, *op. cit.*

## 14.

*Gdzie są nikczemni sprawcy tej rozterki?[15]*

Wanda od piętnastu minut znajduje się w garażu. Drzwi do niego wciąż otwarte są na oścież. Na zewnątrz las. I leje. Jednak ona zdaje się tego nie dostrzegać. Stoi przy bagażniku czarnego SUV-a i jak zahipnotyzowana wpatruje się w jego ciemne wnętrze. Na miejscu, gdzie zazwyczaj parkuje Szymon, postawiła swój samochód. Mąż Ewy chciał jeszcze chwilę zostać w szpitalu, dlatego do domu siostrzenicy przyjechała sama. Postanowiła zabrać dla niej kilka osobistych drobiazgów. Jakąs koszulę nocną, żeby Ewunia nie musiała leżeć w tym paskudnym przydziałowym uniformie. I jakieś skarpetki, aby nie marzła – bo na pewno marznie. Jej mała, biedna dziewczynka...

Wanda chciała od razu iść do mieszkania, ale coś ją zatrzymało w garażu i teraz wpatruje się w to coś, nie mogąc zrozumieć, co widzi. Nie słyszy, kiedy brama wjazdowa się rozsuwa i nie zauważa, gdy na podjeździe zatrzymuje się samochód Szymona. Dopiero, gdy mężczyzna podchodzi bliżej i dotyka jej ramienia, podskakuje jak poparzona.

– Wanda, co tu robisz? – pyta ze zdziwieniem on.

Kobieta patrzy na niego oczami jak spodki.

– Co jej zrobiłeś?! – Jej głos jest obcy, zmieniony.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, dlaczego nie weszłaś do domu?

– Co jej zrobiłeś?! – Ona, zawsze wykazująca stoicki spokój, szarpie go za poły marynarki.

– Ale ja naprawdę nie rozumiem... Przecież Ewa sama...

– Nie rozumiesz? – Kobieta z trudem łapie powietrze. – Zawsze uważałam, że popełniła błąd, wychodząc za ciebie. Że kiedyś dojdzie do tragedii... No powiedz mi, co to, do cholery, jest? Co tu zaszło? I dlaczego nie jesteś w Lublinie?! Otrułeś ją, a jego zabiłeś, tak?!

– Wanda, uspokój się! – Stara się ją powstrzymać. Nigdy nie widział jej w stanie takiego wzburzenia. Chwyta ją za rękę i unieruchamia. – Co ty pleciesz, kogo niby zabiłem?

– Oboje dobrze wiemy... – Wskazuje na bagażnik. – Chcesz powiedzieć, że nie masz z tym nic wspólnego?

Szymon puszcza jej ręce. Odsuwa Wandę na bok, zerka w miejsce, które wcześniej tak przykuło jej uwagę. Nie wie, co powiedzieć.

– Wanda – szepcze. – To nie tak...

Kobieta trzęsie się jak w febrze.

– Zadzwonisz po policję, czy ja mam to zrobić? – syczy przez zęby.

[15] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, *op. cit.*

## 15.

*Bo gdzie się skrycie prowadzą układy,*

*Tam dwóch już, mówią, za wiele do rady[16]*

– Widziałam pana przez okno. Dzień dobry.

Rysiek obserwując jej niszczący dom, spodziewał się, że będzie wyglądała jak wiedźma, z haczykowatym nosem i pypciem na brodzie, tymczasem stoi przed nim zupełnie zwyczajna, całkiem zadbana kobieta po siedemdziesiątce; o wodnistych oczach i zupełnie siwych włosach, gładko zaczesanych do tyłu i zebranych w kok. Pomarszczona twarz wciąż nosi ślady dawnej urody. Szczupłą figurę podkreśla wąska spódnica. Na kościstych palcach starszej pani połyskuje kilka złotych, nieco staroświeckich pierścionków. Jedwabną bluzkę pod szyją spina elegancka kamea. W powietrzu unosi się zapach ciężkich piżmowych perfum; ekskluzywnych i zapewne drogich, mających niewiele wspólnego z chłamek sprzedawanym w sieciowych drogeriach.

– Jest pan z policji, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, zaprasza go gestem do środka, rzucając tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Proszę wejść.

Gość, mimo wewnętrznego oporu, posłusznie przekracza próg.

Perfumy mieszają się tu z wonią starego drewna i suszonych kwiatów. I z czymś jeszcze? Z czymś dobrym, bezpiecznym i swojskim. Pomidorowa? Gdzieś w głębi mieszkania na kuchence prawdopodobnie gotuje się obiad. Nieco pospolity zapach klóci się z szykownym wystrojem przedpokoju, który zdobią tapety w ornamenty i orzechowe rzeźbione meble o błyszczących fornirach, jakie Rysiek wcześniej widywał li tylko w muzeum. Pomidorówka w ogóle tu nie pasuje, raczej jakieś francuskie cymesy albo chociaż zupa z szyjek rakowych...

Chociaż z zewnątrz dom przypomina ruinę, w środku jest przytulnie i czysto. Bardzo czysto. Sterylnie wręcz – policjant odruchowo schyla się, aby ściągnąć mokre buciory, nie chciałby ubłocić dywanów, lecz kobieta powstrzymuje go stanowczo:

– Proszę nie zdejmować. Nie ma nic gorszego niż elegancki mężczyzna w samych skarpetach. Zapraszam za mną.

Przemierzają więc skąpany w półmroku przedpokój. Podkomisarz idzie za gospodynią. Dziwnie się czuje. Onieśmielony? Bije od niej spokój i szlachetność. Chociaż w dzisiejszych czasach to archaizm, zdaje się być prawdziwą damą. Pani Górską jest dystygowana, chłodna, jakby była nie z tego świata. Idealnie pasuje do swojego wytwornego, podupadającego domu. I równocześnie kompletnie nie pasuje do Andżeli Górskiej. Teraz Rysiek zaczyna rozumieć organiczną niechęć synowej do teściowej. Są jak księżę i żebrak.

Starsza pani wprowadza mężczyznę do pokoju. Tutaj także dominują antyki. Żeliwne świeczniki, szydełkowe serwety, niczemu nie służące bibeloty, wyblakłe fotografie. Na podłodze leży wypłowiały pers, ściany obwieszono półkami z książkami, białą bronią i obrazami. Trochę martwej natury, jakieś pejzaże, sielskie *fête champêtre*. Pośrodku stoi stół. Na nim imbryk z herbatą. Dwie filiżanki. Srebrna patera z kruchymi ciasteczkami. Wszystko gotowe na przyjęcie gościa.

Gospodyni wskazuje podkomisarzowi krzesło, sama siada obok. Napelnia porcelanę. Gestem namawia podkomisarza, aby poczęstował się ciasteczkami. Rysiek odmawia skrępowany, jeszcze by nakruszył. Na co dzień taki rezolutny, wygadany, pewny siebie, przy starszej pani traci rezon. Siedzi sztywno, jakby połknął kij. Boi się głośniejsz odetchnąć. Nie bardzo wie, jak się zachować. Od czego zacząć. Czy w ogóle to on powinien zaczynać rozmowę, czy może naruszy w ten sposób którąś z zasad *savoir-vivre'u*? Starsza pani uwalnia go od ambarasu. Odstawia imbryk, odwraca się do niego, uśmiecha powściągliwie. Uśmiechem bez radości.

– Jak pana godność? – W jej głosie pobrzmiwa irytująca, wielkopańska maniera.

Baran zrywa się z krzesła, z galanterią schyla głowę przed kobietą. Wydaje mu się, że właśnie tak powinien się zachować.

– Podkomisarz Ryszard Baran – przedstawia się.

W oczach starszej pani połyskuje aprobata – a więc zachował się, jak trzeba – pospołu z iskierkami rozbawienia – może jednak przesadził?

Wyciąga do niego dłoń.

– Elżbieta Górską. Jestem babcią Karola. Matką jego ojca.

Wzrokiem ściąga gościa z powrotem na krzesło.

– A zatem... moja synowa była u państwa – zaczyna bezbarwnie. Gdy wspomina o Andżeli, na jej twarzy nie drga żaden mięsień. Synowa nic dla niej nie znaczy. Albo znaczy zbyt wiele.

Rysiek potakuje energicznie.

– Tak, pani Andżelika była u nas.

– Przedstawiła panu sytuację?

– Powiedziała, że pani wnuk, to znaczy Karol, nie dał od wczoraj znaku życia.

– Tak. I proszę mi wierzyć, że mam powody do obaw, chociaż od jego zniknięcia minęło niewiele czasu. Karol nigdy, a znam go od urodzenia, nie nadużył mojego zaufania. Nigdy się nie spóźnił. Jeżeli powiedział, że będzie o dwunastej, był trzy minuty przed czasem. Rozumie pan.

– Oczywiście.

– Wczoraj wychodząc do matki obiecał, że po ognisku wróci tutaj, jednak do tej pory go nie ma. Chyba rozumie pan, że odchodzę od zmysłów.

Jak na osobę umierającą z niepokoju, pani Elżbieta wydaje się podkomisarzowi nad podziw opanowana. Jednak nie zamierza z nią polemizować. Nie z nią. Może taki ma styl bycia – styl góry lodowej.

Wszystkie spostrzeżenia konotuje w pamięci.

– Naturalnie. – Potakuje z niepewną miną. – Czy w takim razie ma pani jakieś podejrzenia, co mogło się wydarzyć? Oczywiście na razie nie zakładamy czarnych scenariuszy. Karol nie dał znaku życia od kilkunastu godzin. W tej chwili nie ma co wysnuwać jakichś niepotwierdzonych faktami hipotez. Może pani wnuk po prostu spędził noc u któregoś z kolegów? Mógł się zapomnieć podczas zabawy.

– Wątpię, jak mówiłam: to do niego niepodobne. On jest odpowiedzialnym, dobrze wychowanym młodym człowiekiem. Jeżeli sugeruje pan, że nadużył tej nocy alkoholu, nażłopał się jakiegoś piwka i leży nieprzytomny w krzakach nad rzeką... – Niegodne słowa przechodzą jej przez usta z wyraźnym trudem. – ...I dlatego się spóźnia, to pragnę panu wyjaśnić, że podobne incydenty nigdy mu się nie zdarzały. To nie w stylu mojego wnuka. Karol zna umiar. Nie jest byle ochlapusem, jakimś chuliganem. Od kiedy całkowicie przejęłam kontrolę nad jego wychowaniem i ustaliłam zasady, na jakich będziemy koegzystować w moim domu, wnuk ani razu nie przekroczył wyznaczonych granic. On pije zaledwie okazjonalnie, do tego nie pali. Jest bardzo porządny, jeżeli rozumie pan, co mam na

myśli. – Chwyta opuszkami palców za ucho filiżanki. Upija łyk herbaty. – Dlatego jestem zły myśli.

Chłopak nie pali, nie pije? – Trochę się te zeznania babki kłócą z tym, co Rysiek już o nim wie od matki i szkolnego ciecia-ochroniarza. Monolit z opowieści Elżbiety Górskiej nosi wiele rys. Ale może babka o tym nie wie. Albo celowo ukrywa. Tylko po co?

Swoich spostrzeżeń Baran nie wyraża na głos. Przez parę sekund siedzą w milczeniu. W tle głośno cyka zegar. Nieżywa kukułka śpi zamknięta w imitacji budki dla ptaków – do pełnej godziny zostało jeszcze trochę czasu. Jakaś oszalała mucha wali włochatym ciałem o szybę, próbując wydostać się na zewnątrz. Atmosfera w saloniku pani Górskiej jest gęsta, przypomina piekielne smoły. Ma w sobie coś nieuchwytnego, niepojętego, niepokojącego, jakby tę scenę wyjęto z filmu Bergmana – Rysiek zapewne też by to zauważył, gdyby kiedykolwiek widział jakiś szwedzki film. Oczywiście nie widział, przez co postrzega sprawy dużo prościej. Coś mu w tej kobiecie nie pasuje, coś nie gra. Jest w niej pewna nienaturalność wprawiająca śledczego w zażenowanie. Tyle miał do niej pytań, a teraz nie potrafi zebrać myśli.

Mucha opada bez sił na parapet. Daje za wygraną. Rysiek za wygraną nie daje, otrząsa się, przetyka ślinę. Ogarnia się. Nie przyjechał tu na herbatkę i pogawędkę. Jest gliną. Cholernie twardym gliną. Chociaż na to nie wygląda. Twardość ukryła się pod warstwą tkanki tłuszczowej. Jest tam na pewno.

– Czyli nie miała pani z wnukiem kontaktu od wczoraj?

– Tak.

– A czy próbowała się pani do niego dodzwonić?

– Próbowałam, lecz Karol ma wyłączoną komórkę. Już gdy wychodził z domu, była prawie rozładowana.

– No tak... Pani synowa o tym wspominała. A czy rozmawiała pani z którymś z jego kolegów?

– Owszem. Dzwoniłam do Kuby, jego przyjaciela z klasy.

– I?

– Jakub powiedział, że Karol owszem, był na ognisku, ale nie został do końca. Opuścił imprezę dosyć szybko.

Podkomisarz nieświadomie rozchyła usta.

– I mówi mi pani o tym dopiero teraz?!

– Nie pytał pan wcześniej. – Wzrusza ramionami. Odruchowo bawi się przypiętą pod szyją kameą.

No tak. Znowu poczuł się przy niej jak idiota.

– To ważna informacja. Musimy dokładnie wiedzieć, kiedy i gdzie wnuk widziany był po raz ostatni. A opuścił ognisko sam czy w czyimś towarzystwie?

– Z tego, co mi wiadomo, sam. Rozumiem, że interesuje pana, czy Karol nie



wyszedł z którąś z koleżanek?

– Tak, właśnie o tym pomyślałem.

– Otóż, proszę pana, mój wnuk na pewno z żadną dziewczyną, które tam były, nie utrzymuje bliskich relacji.

– Nie rozumiem?

– Relacji miłosnych. Nie chodzi z żadną. Czy jak to się tam mówi wśród młodych. – Górską wygląda, jakby uważała za wysoce pretensjonalne opowiadanie o takich sprawach...

Relacji miłosnej? Skąd ona bierze takie okrągłe, formalne zdania?

– Ma pani pewność?

Elżbieta Górską przewraca oczami. Przechyla głowę i wpatruje się w funkcjonariusza dwuznacznie, z mieszaniną współczucia i zdegustowania. Na jej wargach pojawia się zagadkowy uśmiech. Nie-uśmiech. Uśmieszek kota z Cheshire. Karol musiał mieć niełatwe życie z zaborczą, autorytarną babką.

Kobieta już otwiera usta, aby zaspokoić ciekawość policjanta, gdy nagle pokój wypełnia donośny dźwięk dzwonka. Komórka wibruje pod stołem. W spodniach podkomisarza. Twarz gospodyni przecina grymas niezadowolenia, znika dwuznaczność, znika kot, znika Alicja, nie ma Krainy Czarów. Pozostaje absmak. Nietakt zawisa w powietrzu. Rysiek w popłochu dobywa komórkę. Na wyświetlaczu jaśniej numer komisarz Witek. Powinien odebrać, ale powstrzymuje go gromiące spojrzenie Elżbiety Górskiej, Elżbiety II.

Nie wie, co to *bon ton*, nie wie, co to kindersztuba, prosty z niego chłop, ale podświadomie rozumie, że nie wypada, aby rozmawiał teraz z Małgošką. Po prostu nie wypada. Wie, że wkurzy szefową, lecz odrzuca połączenie, inaczej wkurzy swoją gospodynię, a tego bardzo by nie chciał. Jeszcze parę rzeczy musi z niej wydobyć. Telefon cichnie. Twarz Ryśka oblewa rumieniec, cóż za *faux pas*!

– Przepraszam – bąka. – To z komendy.

– Może powinien pan odebrać?

Na pewno powinien. Absolutnie nie może. Ona i jej autorytarna osobowość wgniotłyby go w wytartego persa i tę piekielną przegniłą podłogę.

– Nie, nie. Oddzwonię później. Na czym to stanęliśmy? – Zapobiegliwie wyłącza dźwięk w telefonie i wkłada go na powrót do kieszeni.

– Rozmawialiśmy na temat domniemanej dziewczyny mojego wnuka.

– No tak. Zatem mówi pani, że Karol z nikim się nie spotyka.

Co z rudą Sońką? Co z tabunami dziewczuch, które uganiają się według ciecica za chłopakiem?

– Z dziewczyną? Nie.

– Czy to znaczy, że...?

– Proszę pana. – Przeciąga z emfazą samogłoski. Wbija jasne oczy w purpurową twarz podkomisarza. To te same oczy, które spoglądały na niego ze

strony Facebooka. Hipnotyzujące. Błękitnoszare. Andżela ma piwne. – Karol nie jest homoseksualistą. Nie jest gejem, czy jak to się teraz mówi.

– Nie ma dziewczyny ani chłopaka. Czyli nie jest z nikim związany, tak? – Dedukuje niezbyt błyskotliwie podkomisarz.

– Tego nie powiedziałam – pada w odpowiedzi.

Baran czuje się jak baran. Jest kompletnie skołowany rozmową. Całą tą salonową grą. Dlaczego Elżbieta Górka mówi do niego zagadkami?

– Powiedziała pani...

– Powiedziałam, że na pewno nie opuścił ogniska z żadną dziewczyną z klasy. – Wzdycha z taką miną, jakby i ona była znużona powtarzaniem komunałów. – Karol nie zwierza mi się ze spraw intymnych. Nigdy tu zresztą nikogo nie przyprawia. Wie, że ja nie lubię młodzieży. Jest zbyt hałaśliwa, absorbująca. A ja cenię sobie spokój. Jednak mam pewne podejrzenia. Coś panu pokażę.

Podnosi się z krzesła. Wygląda niewidoczne gołym okiem zagniecenia na spódnicy i rusza w kierunku drzwi. Rysiek podrywa się w ślad za nią i potulnie, niczym uczeń, zanurza w sieć korytarzy przedpokoju. Im dalej znajdują się od wejścia, tym dom zdaje się być coraz mroczniejszy. W powietrzu unoszą się drobinki kurzu, drewniane podłogi szepczą pod naporem kroków. Ściany zdają się oddychać, chociaż żywica w ich arteriach już dawno stężała. Jak korytarz długi i szeroki, wszędzie książki. Niczym w bibliotece. Każdy centymetr powierzchni zagospodarowano regałami. Zapach pomidorowej został gdzieś za plecami, teraz dominuje papier i farba drukarska.

Na końcu przedpokoju widnieją wąskie schody. Gospodyni prowadzi mężczyznę na piętro. Na górze znajdują się zaledwie jedne drzwi.

– Zaadaptowałam strych na dodatkowy pokój, kiedy Karol zdecydował się ze mną zamieszkać – tłumaczy, sięgając po klamkę. – Nie chcieliśmy sobie przeszkadzać. Zresztą wnuk potrzebuje przestrzeni.

Podwoje Karolowego królestwa otwierają się w akompaniamencie metalicznego zgrzytu zawiasów. Górka i Baran wchodzi do środka. W pokoju panuje półmrok. Słysząc, jak miliony kropel rozbryzgują się na blaszanym dachu. Przez okno w wykuszu wpada mętny snop światła, wydobywając z ciemności poszczególne sprzęty. Po lewej stronie od wejścia rozciąga się zawieszona na sznurku kotara. Zamyka dostęp do reszty pomieszczenia. Po prawej regał z całym mnóstwem książek stojących w równych rzędach. Jakieś albumy, powieści autorów, o których Rysiek nigdy nie słyszał. Ukochanej Agathy Christie, jak na złość, brak. Dalej trochę szpitalna, metalowa rama łóżka, dokładnie zasłanego narzutą. Obszerne biurko, uprzątnięte. Lampka ze szklanym, zielonym kloszem, przywołuje na myśl te używane w czytelnicy. Na blacie wyłączony komputer, stary składak. W kącie pokoju niewielka szafa na ubrania. Dookoła spartańsko i czysto

do przesady, brak najdrobniejszych przejawów normalności; nieuprzątniętych gaci czy skarpetek walających się po podłodze, kotów pod łóżkiem, kubków z niedopitą kawą na parapecie. Nigdzie odrobiny kurzu. Na ścianach brak chociażby jednego plakatu z piłkarzem, muzykiem, czy też gołą babą. Nie ma telewizora, konsoli, puszek po piwie, kiepów w popielnicze i opakowań po chipsach. Nie ma życia. Jakby nie mieszkał tu młody człowiek, a jakiś wykastrowany z osobowości cyborg.

I tylko ten dziwny zapach. Mdły i ostry jednocześnie. Woń czegoś chemicznego. Gryzie w gardle, kręci w nosie. Drażni. Sprawia, że Rysiek nie pamięta, dlaczego tu przyszli.

– Co to za zapach? – pyta.

– Terpentyna i werniks.

I wszystko jasne.

– Słucham? – Widocznie nie dla wszystkich.

– Wnuk używa tego do malowania. – Mówiąc to, Góraska chwyta za brzeg kotary i odsłania drugą część pokoju.

Sezam, wraz z jego cudami, staje przed Baranem otworem. Teraz chłopięca sypialnia wygląda, jakby ścierały się w niej dwie strony mocy: jasna i ciemna. Na prawo ład i harmonia, na lewo: burdel na kołach. W odsłoniętej części artystyczny nieład wylewa się ze wszystkich kątów. Opanowuje i zawłaszcza przestrzeń stworzonego przez Karola specyficznego mikrokosmosu. Jaskinia sztuki. Czy raczej nora? Gdzie rzucić okiem, wszędzie walają się porozkładane papiery. Szkice, rysunki węglem, niedokończone akwarele i plansze, jakby wydarte z komiksów... Są nimi poobwieszane również ściany. Gdzieś pomiędzy nimi, w gąszczu prac autorskich, dostrzec można reprodukcje niepokojących obrazów Hieronima Boscha – teraz Rysiek już bez trudu je rozpoznaje. W zestawieniu z rysunkami młodego Górskiego wcale nie wydają się już tak mocno ekscentryczne. Na podłodze poniewierają się puste tubki po farbie, brudne pędzle, jakieś szmaty w kolorach tęczy i narzędzia malarskie. Pod oknem blejtramy. Niektóre płótna straszą bezpłodną bielą artystycznej niemocy, inne zostały już pokryte farbą. Spora część prac stoi w kącie przykryta prześcieradłem. W centralnym punkcie dominuje drewniana sztaluga. Na niej niedokończony olej. Wszystko wygląda tak, jakby młody artysta zaraz miał wrócić do przerwanych czynności.

– To jest pracownia Karola – wyjaśnia babka, obserwując zaciekawione spojrzenie gościa. – Tutaj nie sięga moja jurysdykcja, stąd ten... chlew. Nie ingeruję w proces twórczy Karola. To wyłącznie jego królestwo. Nie wiem dlaczego, ale podczas pracy robi okropny bajzel. Mówi, że to jego *sine qua non* na drodze do osiągnięcia spokoju ducha. Wyobraża pan sobie?

Rysiek sobie nie wyobraża. W ogóle nie bardzo wie, o czym stara do niego mówi. *Sine qua* co? Czuje się wyczerpany rozmową i zachowaniem kobiety.

Najchętniej zaszyłby się w swoim mieszkanku po drugiej stronie rzeki, całkiem przestronnym, chociaż w wielkiej płycie, i wciągając zapach obiadu, pokolorowałby kredkami jakąś zawilą mandalę, poukładałby sobie w głowie cały ten dzień i wszystkie myśli. Nabralby dystansu. Tak robi. Ale jeszcze nie teraz. Teraz milczy. Milczenie wydaje mu się bardziej intelektualne niż paplanina. Gdy tylko otworzy usta, na pewno coś idiotycznego chlapnie, a tak może zachowa pozory.

– ...Nie pozwala mi tu sprzątać.

Zniesmaczona przesuwa nogą stary pędzel leżący nieopodal, a Rysiek z radością konstatuje, że materiału DNA do pobrania – zgodnie z procedurami – będzie miał tutaj pod dostatkiem.

– ...Karol musi mieć pełną swobodę, jeżeli chodzi o pracę. Wybiera się na Akademię Sztuk Pięknych, na Wydział Malarski. Złożył już teczkę z pracami. Zostały bardzo dobrze ocenione, więc nie wątpię, że zostanie przyjęty. To niezwykle utalentowany chłopak. Zdolności odziedziczył po dziadku. Może pan słyszał o moim mężu, Antonim Górskim? Tu w mieście był bardzo znany...

Rysiek nie słyszał. Przecząco kręci głową. Pani Elżbieta nie wygląda na zaskoczoną. Kontynuuje:

– Przed wojną zdążył zrobić maturę. Planował wyjechać do Paryża na studia.

– Przed wojną? – Rysiek naprędce tworzy genealogiczne drzewo Górskich.

Coś mu nie pasuje.

– Mąż był dużo ode mnie straszny – wyjaśnia pani Elżbieta, po czym wraca do przerwane go wątku. – Wrócono mu wielką karierę. Jakież on grafiki tworzył, jakie ekslibrisy do książek. Mocna kreska, kolor, energia... Widział pan kiedyś prace Stryjeńskiej? Na pewno pan nie widział. – Macha ręką bez nadziei. – Otóż Antoś pięknie czerpał z kultury ludowej. Naszej lubelskiej. W kościele, tu na Piaskach, jego witraże nadal cieszą oko. Nie widział pan? Nieważne... W każdym razie później przyszedł ten okropny socrealizm i nikt już się na sztuce Antosia nie umiał poznać. Że on niby taki zapatrzony w zgniły zachód, zbyt niejednoznacznie, metaforycznie tworzył, a w tamtym czasie, to trzeba było prosto z mostu i między oczy. Żeby chłop i robotnik zrozumieli przekaz. Antoni tak nie chciał. Nie umiał inaczej, więc miał przez te swoje awangardy problemy z władzą. Takie były czasy. Pan nie pamięta, za młody pan... Antoś, zmarnowany talent, wylądował w szkole. Uczył plastyki. Dusił się na etacie, nie takiego życia pragnął... Zmarnował się talent. Na szczęście Karol ma dzisiaj inne możliwości. Na pewno nie zaprzepaści szansy. Świat o nim usłyszy. Jeżeli wyrwie się z tej dziury. Jego ojciec, mój syn, też próbował. On był bardziej technicznie uzdolniony, wybrał architekturę. Gdyby nie to złe małżeństwo... – wtrąca z żalem. – Pan poznał moją synową. Niebrzydka była tych parę lat temu. Mężczyźni czasem głupieją na punkcie takich nieskomplikowanych i łatwych panienek. Nie rozumiałam Krzysia, co go tak w tej

kobiecie zachwyca, nie wiem, o czym z nią rozmawiał. Właściwie pewnie nie rozmawiał. – Zamyśla się. – W każdym razie przepadł. Studia zmarnowane, życie spaprane. Dostał w urzędzie posadkę w wydziale zagospodarowania przestrzennego. Marniutka pensyjka, żadnych perspektyw, ale twierdził, że jest z tą swoją żoną szczęśliwy. Dawała mu to, czego potrzebował... A ja się usunęłam. Bywałam w tym ich okropnym mieszkaniu na Wyzwolenia jedynie ze względu na małego Karolka. Miałam nadzieję, że przynajmniej on..., że Krzys nim właściwie pokieruje, że Karol bardziej podobny będzie do antenatów ze strony ojca niż matki. No a później... Pan pewnie wie, że Krzysztof zginął nagle. I tak głupio. Żadna matka nie powinna chować własnych dzieci. To straszny ból... Całą miłość przelałam na Karola. Tyle mi zostało. Nie mogłam zastąpić mu ojca. Ojciec był dla niego ważny. Zbyt ważny. Bardzo związani byli. Krzysiu nie powinien był zniknąć. Ojciec nie powinien zostawiać syna. Nie z matką, która nie umie dorosnąć. – Górka głęboko zapada się we własne myśli. Wygląda teraz dużo starszej. Szara cera zlewa się w siwymi włosami na skroniach. – Po wypadku jeszcze kilka lat, chyba wyłącznie dla zasady, Andżelika trzymała go u siebie. Ale tam zaczęła się pojawiać woda, jacyś nowi panowie przychodzili. Musiałam zabrać chłopaka do siebie, żeby kolejny Górski się nie zmarnował. Karol już wtedy zaczął wsiąkać w okoliczne towarzystwo... Wyprowadziłam go na ludzi. Zaraz studia, a on gdzieś przepada.

Elżbieta Górka rozkleja się. Nie ma już sztywnej wyniosłej damy. Jest jedynie stara rozgoryczona kobieta, która w życiu wszystko straciła. Ryśkowi robi się głupio. Przykro. Nie wie, co powiedzieć. Może, że znajdzie Karola i wszystko będzie dobrze? Tak powinien zrobić, ale nie jest najlepszy w pocieszaniu. Poza tym ma jakieś niejasne przeczucie, że wcale dobrze nie będzie. Dziwny ten cały Karol, jego babka i matka. Dziwna rodzina. Dziwna sprawa...

Głęboka cisza drży na strugach deszczu. Podkomisarz odciąga uwagę kobiety od niewesołych rozważań:

– I Karol sam to wszystko namalował? – Zatacza ręką dookoła.

– Och, to, co tu widać, to zaledwie wycinek jego możliwości. – Głos pani Elżbiety znowu brzmi spokojnie. – Większość obrazów znajduje się w piwnicy. Inne wnuk złożył w Warszawie na akademii.

Wzrok śledczego przyciągają komiksowe plansze.

– A to też jego? Rysuje komiksy?

Babka prychnęła z pogardą.

– Ach, to nic ważnego. Lubi się w to bawić, ale to przecież nie jest sztuka. Ciągle mu powtarzam, żeby nie tracił czasu na te głupstwa. Ma przecież zostać malarzem, a nie rysownikiem jakichś niezbyt ambitnych książeczek.

– Kiedy ma egzaminy?

– Już niedługo. Zresztą myślę, że to będzie czysta formalność. Jego teczka

została bardzo wysoko oceniona, podobno komisja była zachwycona. Jestem spokojna o jego przyszłość.

Rysiek potakuje. Chłopak chyba nie miał powodu, aby w takim momencie pryskać z domu. Może faktycznie coś się stało. Nie mógł ot tak rozpląnąć się w niebycie, kiedy ważył się jego los. Trzeba przepytać dzieciaki z imprezy. Czym prędzej – podkomisarz uzmysławia sobie, po co tu przyszli.

– Mówiła pani, że chce mi coś pokazać.

– Tak...

Górska rusza w głąb pracowni. Zapala światło. Blask wiszącej na kablu żarówki zalewa wnętrze. – Proszę tu spojrzeć.

Jednym ruchem zrywa zasłonę z zakrytych dotąd prac. Pod spodem znajduje się kilka płócien i plansz brystolu różnej wielkości. Oleje, akwarele, szkice ołówkiem... Górska ustawia je obok siebie. Wszystkie kompozycje są bardzo piękne. Wszystkie przedstawiają tę samą kobietę – kobietę, a nie rudą nastolatkę – w różnych sytuacjach, w różnych pozach. Czasem delikatnych i zmysłowych, innym razem wyuzdanych, szalenie prowokujących, obscenicznych – tak mocno działających na wyobraźnię, że w trzewiach podkomisarza niespodziewanie zaczyna pulsować podniecenie. Odchrząkuje nerwowo. Udaje obojętność, jednak niezbyt mu to wychodzi. Czerwieni się. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Czegoś tak niepokojącego, erotycznego, epatującego zwierzęcą seksualnością. Jego Hanuś nigdy nie wygląda jak ta kobieta z prac Karola.

Na niektórych obrazach modelka jest naga, na innych otulona jedynie prześcieradłem bądź jakąś niedbale narzuconą materią. Każde dzieło jest na swój sposób inne. I każde na swój sposób podobne – z miejsca można wyczuć, że stworzył je jeden artysta. Karol operuje dosyć charakterystyczną kreską i paletą barw. Jego prace są dojrzałe. Intensywne. Pełne wyrazu. Chłopak z wirtuozerią potrafi oddać urodę kobiecego ciała. Mimo że modelka już dawno przestała być młodą dziewczyną. Figura, nieznacznie wystający brzuch, małe, wiotkie piersi, pociemniałe łono, opadająca skóra ponad kolanami, gasnąca świeżość... Czar przekwitającego kwiatu. Portretowana kobieta jest pociągająca, bardzo piękna. I bezsprzecznie dojrzała. Kobieta bez twarzy – na każdym obrazie uchwycona została tak, że oprócz jasnych włosów do ramion nie widać nic więcej. Tu i ówdzie mignie zarys linii szczęki, czubek nosa, ostra krawędź kości policzkowej, czerwień obrzmiałych warg, lecz to wszystko. Reszta stanowi zagadkę. Artysta – pewnie całkiem świadomie – unika ukazania jej w pełni. Bawi się z odbiorcą, zachowując twarz modelki w tajemnicy. Dla siebie. Nie daje odpowiedzi. Nie zostawia tropów. Nie ujawnia żadnych znaków szczególnych. Może z wyjątkiem obrączki, która widnieje na jej serdecznym palcu, krzyczy z każdego obrazu.

Nie wiadomo, kim jest. W zasadzie nic nie wiadomo. Nic oprócz tego, że z Karolem łączy ją dużo więcej niż zamiłowanie do sztuki. Kobieta z obrazu jest

jego kochanką.

Elżbieta Górską patrzy na obrazy, a później przenosi przenikliwe spojrzenie na podkomisarza.

– Chyba już pan rozumie, że to nie może być żadna z koleżanek z klasy mojego wnuka.

[16] *Ibidem.*

## 16.

*Straszny trup! straszny trup! blady jak popiół;*

*Cały zbuczony, cały krwią zbryzgany,*

*Zgęstłą krwią: ażem wzdrygnęła się patrząc[17].*

Tylko spokojnie...

Szymon przygląda modnie przystrzyżoną brodę, którą gdzieniegdzie przetykają srebrne pasma. Wciąga brzuch, który i bez tego jest zupełnie płaski, i dopija resztę wody ze szklanki. Czuje na plecach nieustępliwe spojrzenie Wandy. W głowie ma mętlik. Drżącą dłonią wstawia naczynie do zmywarki. Przez chwilę, nerwowo przygryzając wargę, wpatruje się w las rozciągający się za oknem. Pośród drzew znajduje się zadbana przestrzeń z wypielęgnowanym trawnikiem. Elegancki zestaw ogrodowy stojący w cieniu sosen obmywają strugi deszczu. Mężczyzna stuka miarowo opuszkami palców o granitowy blat, zbiera myśli.

– Dzwon wreszcie! – Słyszy zza pleców ponaglenie.

Czuje, że nie powinien jej ulegać, że to wszystko skomplikuje sprawę, lecz wie, że ciotka Ewy nie odpuści. Nie wierzy mu. Nie chce wierzyć. Miłość do Ewy ją zaślepia, nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy.

Z ociąganiem sięga po komórkę, odwraca się do siedzącej przy kuchennej wyspie kobiety. Patrząc jej w oczy, wystukuje numer. Odchrząkuje. Po zaledwie jednym sygnale na linii słycać trzask.

– Komenda powiatowa policji, aspirant Kowalczyk, słucham?

Szymon nabiera powietrza, rzuca do słuchawki:

– Dzień dobry, Szymon Kapica, chciałem zgłosić... – zacina się. – Właściwie nie wiem, jak to powiedzieć. W moim domu wydarzyło się prawdopodobnie coś złego. Żona... Ona próbowała popełnić samobójstwo. Zabrało ją pogotowie. Byłem w szpitalu, niedawno wróciłem na Piaski i...



– Proszę pana, proszę wolniej, bo nic nie rozumiem. – Kowalczyk przerywa rozmówcy. W jego zbyt wysokim, dziewczęcym głosie brzmi jednak ciekawość. – Co chce pan zgłosić?

– Nie wiem, co chcę zgłosić. Nie bardzo wiem, jak mam to panu wytłumaczyć. – Z trudem panuje nad irytacją.

– To proszę powiedzieć po kolei, co się stało? O jakim samobójstwie pan mówi? Czy chce pan zawiadomić o popełnieniu przestępstwa?

– Skąd mam wiedzieć, do chol... – rzuca przekleństwem poza słuchawkę. Oddycha szybko, jest wzburzony. Wanda nie odrywa od niego wzroku. – Tak. – Stara się uspokoić. – Chcę zawiadomić o popełnieniu przestępstwa

– No to trzeba było tak od razu. W takim razie przełączam pana do wydziału kryminalnego, proszę zostać na linii, dobrze?

W odpowiedzi pada niechętnie:

– Okej.

W słuchawce następuje seria pisków, którym akompaniuje wygrywane przez syntezator *Dla Elizy*. Szymon odsuwa ucho od słuchawki, krzywi się z odrazą. Usta Wandy pytają bezgłośnie, co się dzieje.

– Przełączyli mnie do kryminalnego – tłumaczy. – Czekam.

Beethoven przewraca się w grobie. Szymonowi w żołądku przewracają się flaki. Odgłosy mechanicznego gwałtu na biednej Elizie dochodzą jeszcze przez chwilę, aż wreszcie urywają się w pół taktu, a w ich zastępstwie słychać przyjemny kobiecy głos:

– Komisarz Witek, słucham.

Szymon z wyrazem ulgi na powrót przykładą komórkę do ucha.

– Szymon Kapica, dzień dobry.

– Dzień dobry...? – Na końcu powitania zawisa delikatny pytajnik. – Szymon Kapica?

– Tak... Zna mnie pani? Znamy się?

Wanda przysłuchująca się rozmowie, ciekawie przechyla głowę.

Po drugiej stronie linii na moment zapada cisza.

– Kiedyś... Swego czasu byłam u pana na siłowni. – W słowach policjantki da się wyczuć zdumienie pomieszane z niepewnością. – Rozmawialiśmy kilka razy podczas treningu.

– Ach... – Szymon nie umie sobie przypomnieć twarzy należącej do kobiecego głosu. Ale niewątpliwie już gdzieś go słyszał.

– Co się stało, panie Szymonie? – Pada tymczasem. – Kowalczyk próbował mi coś przekazać, jednak zupełnie nie zrozumiałam, o co mu chodziło. Wspominał o jakimś samobójstwie.

– Pani komisarz... Nie wiem, od czego zacząć. Więc może powiem wszystko po kolei. Dzisiaj rano wróciłem do domu z Lublina. Studiuję tam

weekendowo. Wyjechałem już wczoraj wieczorem. Żona była w domu sama. Dzisiaj rano wróciłem, ponieważ zapomniałem notatek, które tydzień temu pożyczyłem od znajomego z grupy. Nieważne... W każdym razie wpadłem jak po ogień, żeby jeszcze zdążyć z powrotem, bo miałem mieć egzamin. No i wtedy znalazłem żonę nieprzytomną. Leżała w salonie na kanapie. – Nabiera powietrza. – Przypuszczałem, że coś zażyła, że to może być próba samobójcza, bo znalazłem przy niej list... Od razu wezwałem pogotowie.

– Pana żona?! Ewa Kapica?

– Tak.

– Nasza pani burmistrz?

– Proszę dać mi dokończyć. Żonę zabrało pogotowie. Jest w tej chwili w szpitalu. Byłem tam z nią przez ostatnie godziny. Lekarze zrobili, co w ich mocy, ale Ewa jest w tej chwili w śpiączce.

– Bardzo mi przykro... – W głosie komisarz Witek nie słysząc jednak współczucia. Jest bardzo chłodna. Opanowana. – Proszę być dobrej myśli... Jednak nie rozumiem, w jakiej sprawie pan się z nami kontaktuje. Jeżeli to próba samobójcza, to nie jest sprawa dla policji. Chyba że ma pan podejrzenia, iż doszło do przestępstwa.

– I tak, i nie – odpowiada z wahaniem.

Wanda ponagla go ruchem głowy. Wbijają w niego sztylety stalowego spojrzenia. Zmusza, aby powiedział o tym, co zobaczył w bagażniku. Szymon wie, że Wanda mu nie ufa. Nie odpuści.

– Panie Szymonie...? – Policjantka także go pospiesza.

– Do tego momentu wyglądało na to, że moja żona po prostu postanowiła odebrać sobie życie – wraca do przerwanej wątku. – Na razie wolę nie wchodzić w to głębiej. Jestem, jesteśmy z całą rodziną zupełnie rozbici tą sytuacją. Nie rozumiem, czemu żona to zrobiła. Nic nie wskazywało, żeby... Rozumie pani. – Głos mu się rwie.

– Proszę się uspokoić. Proszę mówić dalej.

– Znalazłem ją w domu, na kanapie, obok stała butelka po winie... Był list.

– Czytał go już pan?

– Tak, ale to jest zaledwie kilka zdań. Ewa przeprasza, prosi, żebym jej przebaczył. – Urywa. – Przepraszam, to zbyt osobiste...

– Rozumiem.

– Resztę już pani wie. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie... – Robi pauzę, szuka właściwych słów. – Kwadrans temu wróciłem ze szpitala. W samochodzie Ewy natknąłem się... Nie wiem, czy ona nie zrobiła czegoś...

– Co pan tam zobaczył?! – Witek nieznacznie podnosi głos.

– W środku jest krew. Jakieś sznury, szmaty zakrwawione, łopata, worki na

śmieci. Nie zaglądałem głębiej, nie odważyłem się. Nie mam pojęcia, co tu się mogło wydarzyć, ale myślę, że ktoś z państwa powinien przyjechać i to obejrzeć...

Dalsza rozmowa toczy się już szybko. Szymon wymienia z policjantką kilka uwag i podaje jej swój adres, odkłada telefon i patrzy na Wandę.

– Zadowolona? – pyta ostrym tonem. – Zrobiłem, co kazałaś. Zaraz tutaj będą. Uważam, że to było nierozsądne. Można to było na razie zostawić.

– Zostawić? Myślisz, że wierzę w tę bajeczkę, jak to rano zastałaś Ewę nieprzytomną? Wiem, że maczałaś w tym palce – cedzi i wstaje z hokera. Podnosi torbę stojąca na podłodze i rusza do drzwi.

– Nie poczekasz na nich? – Szymon marszczy czoło. Nie lubią się z Wandą, ale w tej chwili wołałby nie zostawać sam.

– Na nic się tu nie przydam. Nie moja piaskownica, nie moje zabawki – dodaje z przekąsem. – Sam wypijesz piwo, którego nawarzyłeś, ja jestem teraz potrzebna Ewie. – Wychodzi.

Trzask zamykanych drzwi niesie się echem po domu.

[17] *Ibidem.*

## 17.

*Za późno i za wcześnie, znany i nieznany –*

*Nienawistny kochanku, wrogu mój kochany[18].*

...Tej zimy obejmowały mnie lepkie macki katatonii.

Miałam wrażenie, jakbym stanęła na rozstaju dróg. To musiało się skończyć, inaczej ja skończyłabym ze sobą. Chociaż nie – jestem zbyt tchórzliwa, żeby porwać się na absolut. Tak myślałam...

W każdym razie właśnie wtedy Szymon wyrywał mnie z letargu, przypominając o studniówce.

Zapomniałam. Nie zapomniałam. Nie chciałam pamiętać, a przecież zawsze towarzyszyłam mężowi podczas tych imprez. Od czasu, kiedy załatwiłam mu ten etat w Mickiewiczu, studniówka była wpisana w nasz coroczny harmonogram obowiązków.

Lubiłam klimat miejscowego ogólniaka. Tutaj robiłam maturę. Znałam każdy korytarz, każdy zakamarek. Każda ławka pomazana długopisem była mi bliska. Wytarte lastrykowe schody, półkoliste sklepienia korytarzy, wymalowane nad wejściem na drugie piętro słowa patrona: „Młodości! dodaj mi skrzydła!”. Ja już, co prawda, od dawna miałam je podcięte, nie wzlecę ponad poziomy, nigdzie nie wzlecę, a jednak sentyment pozostał. Nawet do toalet wyłożonych czarno-białą szachownicą wytartych płytek, bo w jednej z nich na przerwach potajemnie paliłam papierosy, a w innej pierwszy raz całowałam się z chłopakiem. Pierwszy raz tak namiętnie. Podobnych rzeczy się nie zapomina. Nawet gdy głowa zupełnie już siwa. A przecież ja nadal nie jestem taka stara... Zatem gdy przy różnych okazjach znalazłam się w murach dawnej szkoły, to jakby świat się zatrzymał. Jakby nie było wszystkiego, co potem: wyobcowania na studiach w Warszawie, nieudanego małżeństwa, poronionych ciąż, cynicznej kariery, rozczarowań życiem, rozczarowań sobą...

Jedynie tych rozszczebiotanych bachorów nie znosiłam. Pryszczytanych

dzieciaków snujących się wokoło. Ich młodość, witalność, bezrefleksyjna radość mnie irytowały. Może mój poziom tolerancji względem nich byłby wyższy, gdybym miała własne dziecko. Ale nie mam. Dlatego nie znoszę dzieci, a tego, co się z nich wykluwa – nastolatków – w szczególności. Boję się ich i zazdroszczę, że nie jestem na ich miejscu. Unikam z nimi kontaktu. Unikam jak ognia.

Mury szkoły wciąż są moje, lecz ich buchająca hormonami zawartość już nie. Jednak od chwili objęcia władzy zmuszona byłam pokazywać się tutaj na uroczystościach, obchodach, rozpoczęciach i zakończeniach roku, na nudnych szkolnych akademiach z okazji świąt państwowych, kościelnych i takich tam. Wygłaszałam patriotyczne mowy, uśmiechałam się z wyrachowaniem do młodzieży, która niebawem zyska prawo wyborcze. I jak co roku w styczniu dostawałam zaproszenie na studniówkę.

Zwykle podchodziłam do tego zadaniowo, bez entuzjazmu, ale też bez wstrętu – to część mojej pracy – jednak teraz perspektywa kinderbalu wprowadziła mnie w popłoch. Wyglądałam jak miotła i nie miałam siły na robienie z siebie idiotki przed bandą szczeniaków; na sztuczne uśmiechy i płasanie do dźwięków kociej muzyki również. Wolałam sobotę spędzić w domu, w wyciągniętej koszulce, zapaść się w czeluściach kanapy i nawalić chardonnay. Chciałam być sama!

Jednak Szymon nie chciał o tym słyszeć.

Tłumaczył, że to już ostatni raz, że więcej nie będzie mnie ciągał po takich imprezach. Zamierzał doprowadzić swoją klasę do matury i rozstać się ze szkołą, całkowicie poświęcając się pracy na siłowni. Robił fakultet z dietetyki i chciał rozbudować biznes. Centrum odchudzania! Jedni przeżywając kryzys wieku średniego kupują motor, skaczą ze spadochronem albo chodzą na dziwki, jemu zamarzyła się kariera Chodakowskiej i Gacy razem wziętych. Wszyscy teraz mają przecież pierdolca na punkcie zdrowia i dobrego wyglądu, jakby człowiek składał się wyłącznie z ciała, jakby nic prócz mięśni i zawartości tłuszczu w organizmie nie było dzisiaj ważne...

Nieważne.

Do jego konceptu podeszłam sceptycznie, a nawet z pewnym niepokojem. Mogłam się nie zgodzić, ale i tak postawiłby na swoim. Jak zawsze. Uparty muł. Dlatego nic nie powiedziałam. Przerobiłam już wiele jego pomysłów. Szymon często zapalał się do nowych projektów. Później równie szybko odpuszczał. Biznesy-interesy. Biznesmen od siedmiu boleści. Dotychczasowe inwestycje zawsze kończyły się klapą. Sklep z włoskimi ciuchami, montaż żaluzji antywłamaniowych, handel nie do końca legalnymi odżywkami dla kulturystów, które ściągał gdzieś zza wschodniej granicy... Zwykle brał się za rzeczy, o których nie miał pojęcia. Do roboty zatrudniał ludzi, pośredników, wyrobników, sam odgrywał rolę prezesa. A ludzie, jak to ludzie, gdy pańskie oko konia nie tuczy, po cichutku, powolutku zgarniali zyski do własnych kieszeni.

To ja zawsze wykladałam forszę na te jego pomysły. Dobrze zarabiałam, z każdym rokiem coraz lepiej, toteż płaciłam za fanaberie. Przez wyrzuty sumienia – nie mogłam dać mu dziecka, więc dawałam coś w zamian. Szymon zamiast w tatusia, bawił się w przedsiębiorcę. Z marnym skutkiem.

Tak było do czasu założenia przez niego centrum fitnessu na Piaskach. Znowu wsadziłam w to kupę szmalu, bez nadziei na zwrot z inwestycji, a tymczasem koncepcja niespodziewanie wypaliła. Szymon się zaangażował. Znał się na tym i był naprawdę niezłym trenerem. Był wymagający, ale ludzie go lubili. Na fali pierwszego sukcesu podjął decyzję o studiach. Obstawiałam, że wytrzyma semestr, tymczasem on naprawdę się zaangażował. Z rosnącym zaciekawieniem przyglądałam się, jak pierwszy raz nie odpuszcza – i nawet go trochę podziwiałam, gdy co drugi piątek pakował majdan i leciał do Lublina. Nauka, kolokwia, sesje. Z trudem przyswajał wiedzę. Jako dzieciak nigdy nie był mistrzem intelektu, więc teraz, po czterdziestce, szło mu jeszcze oporniej. A jednak uparł się i wyglądało na to, że dociągnie studia do końca, a w czerwcu naprawdę rzuci w szkole papierami. Gówniane to były pieniądze, ale pewne. Uważałam, że popełnia błąd, lecz nie liczył się z moim zdaniem.

Nie liczył się z nim także, gdy mu zakomunikowałam, że nie pójdę tym razem na studniówkę. Oczekiwał, że będę mu towarzyszyć, że podtrzymamy wspólnie wizerunek zgodnego, szczęśliwego małżeństwa. Miałam swoją osobą i urzędem dodać Szymonowi powagi, a wydarzeniu prestiżu. Pani burmistrz tańczy. Rozdaje uśmiechy, cudownie się bawi i przymyka oko na wódkę pitą pod stołem przez przyszłych abiturientów. Przyszłych wyborców – w ten jedyny w swoim rodzaju wieczór mogłam pokazać gówniarzerii ludzką twarz władzy.

A jednak ani ze względu na ich potencjalne głosy, ani z powodu Szymona nie dałabym się namówić. Dopiero Wanda mnie przekonała: „Rozerwij się, wysadź nos spod koca, idź do ludzi, zadbaj o siebie. Żyj!”.

Wandzie nigdy nie potrafiłam odmówić.

W dniu studniówki cały dzień spędziłam u fryzjera i kosmetyczki. Doprowadzałam się do ładu. Pod farbą ukryłam pojedyncze siwe pasma. Grubą warstwą makijażu zaszpachlowałam smutek i wypalenie. Podkreśliłam kredką błysk w oku. Różem wyrysowałam witalność. Przykleiłam sztuczne rzęsy i uśmiech do karminowych ust. I znowu byłam taka jak dawniej. Jak nowa. Zmysłowa. Wystrzałowa. Nieprzyzwoicie droga sukienka dopełniła wizerunku kobiety sukcesu.

Przez nerwy i melancholię ostatnio schudłam i wróciłam do wagi z czasu studiów. Wieczorowa sukienka podkreśliła talię i odsłoniła ostre linie obojczyków. Nie wyglądałam może zdrowo, ale przecież dzisiaj modny jest anorektyczny *look*. Szymon na mój widok z uznaniem pokiwał głową. W dupie miałam jego uznanie, a jednak poczułam się lepiej. Z makijażem i w przebraniu byłam bezpieczna – nikt

nie dostrzeże prawdy, którą ukryłam za maską, nikt nie zgadnie, kto się chowa za szmatką od projektanta. Zamierzałam zostać królową balu. Królową Śniegu.

Bo przecież zima.

I doprawdy pięknie było wokół. Od dawna tego nie zauważałam, a tamtego wieczora wreszcie to do mnie dotarło. Śnieg skrzył się na ulicach, na drzewach, na parkanach. Na niebie gwiazdy. Mleczna droga. Sunęliśmy nią wraz z Szymonem na drugą stronę rzeki, do miasta. W taksówce zapach syntetycznej wanilii Wunder-Baum mieszał się z mocną nutą moich perfum. Ja, taka wytworna – niespodziewanie poskładana do kupy – Szymon jak młody bóg – bez zaskoczeń. W idealnie skrojonym garniturze przypominał Jamesa Bonda. Był kwintesencją dojrzałej męskiej urody. Należał bowiem do tej grupy facetów, którym wiek i szron na skroniach dodaje uroku. Razem prezentowaliśmy się jak milion dolarów. Mistrzowie gry pozorów. Kobieta sukcesu i jej przystojny oblubieniec. Świat zdawał się leżeć u naszych stóp. I nikt by nie zgadł, że nie mamy, o czym rozmawiać, że nie żyjemy ze sobą, lecz całkiem obok, i to wyłącznie wyreżyserowany spektakl, a po dwunastej karooca znowu zamieni się w dynię.

Częścią przedstawienia są pewne rytuały i gesty. Więc gdy wysiadałam z taksówki przed budynkiem liceum, mąż po rycersku otworzył mi drzwi taksówki i podał ramię. Uśmiechnęliśmy się do siebie przelotnie, choć nieszczerze, bo już czuliśmy na sobie ciekawskie spojrzenia.

Przedstawienie czas zacząć!

Jak para filmowych gwiazd, z gracją ruszyliśmy w stronę wejścia. Pnie jesionów oplecionych migoczącymi lampkami wytyczały nam drogę, a stare konary uginały się nad głowami pod ciężarem śniegu. Gmach szkoły wyłonił się z mroku. Wyglądał jak pałac z bajki. W progu powitał nas dyrektor. I prawił komplementy, i rzucał żarcikami, i lasił się do władzy. Całował rączki.

Weszliśmy do środka. Na korytarzu już szum, zamieszanie, śmiechy. Rodzice, nauczyciele, uczniowie, osoby towarzyszące. Nastrój podniosły, emocje wymalowane na zaróżowionych twarzach. Chłopaki w garniturkach, które posłużą jeszcze przy okazji matury, a później pewnie i na jakimś egzaminie na studiach. Dziewczyny wyfiokowane, wystrojone, w sukniach balowych – których już nigdy więcej nie założą, bo zanim znajdzie się następna okazja, kreacje wyjdą z mody – wyglądają, jakby brały ślub dzisiejszej nocy, trochę jak stare malutkie. Mają zbyt mocne makijaże, zbyt frywolne miny. Traktują tę noc – błędnie – jako wstęp do dorosłości. Ale o tym, że dorosłość to nie bal, dowiedzą się później.

Za moich czasów, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, obowiązywał surowy *dress code*. Miało być skromnie: biała bluzka i granatowa spódnisia za kolano. Teraz było nieskromnie: odkryte plecy i biusty na wierzchu. Na takie widoki w niejednych spodniach rozedrgały się lubieżne pragnienia. W nogawkach nowych garniturów kolegów z klasy istna eksplozja... Podniecenie

wiszące pod sufitem szkolnego korytarza można było kroić nożem.

Obserwowałam to wszystko z mieszaniną rozbawienia i nostalgii. Patrzyłam na twarze rozognione, na oczy wypełnione marzeniem ulotnym o przyszłości świetlanej, o dziełach wiekopomnych. Wczoraj byłam taka jak oni. Nie podejrzewałam, że roztańczona noc szybko się skończy, a kolorowy balon pragnień pęknie pod naporem rzeczywistości.

Płaszczki i kurtki, wytarte kozuchy, wyliniące norki, wszystko wylądowało w szatni, a wesoły korowód pociągnął nas w stronę sali gimnastycznej. Tam nad głowami udrapowana siatka maskująca, pożyczona z pobliskiej jednostki wojskowej, zakrywała wysoki sufit. Parkiet wytarty od gry w kosza – dziś wyszorowany – lśnił woskiem. Zapaszek spoconych ciał przeskakujących przez kozła i fikających na materacu gdzieś się ulotnił. Bo w tej chwili to już nie była sala do ćwiczeń, nie boisko do gry, a tajemniczy podwodny świat. Na ścianach przychepione litery wycięte z kartonu: „Studniówka!”. I glony, i wodne stwory, strzygi, delfiny. Syreni śpiew Smoke City płynął z głośników – *Underwater Love...* Z dyskotekowych reflektorów, falując, sączyła się zielonkawa poświata. Tematem przewodnim tegorocznego balu było morskie dno. Co roku profesor od plastyki nadzorował budowę skromnych dekoracji, które miały zakryć drabinki i tablice do kosza, tak, aby uczestnicy wydarzenia zapomnieli, gdzie się znajdują. I pewnie zapominali, po trzeciej lufie. I po sutym poczęstunku – bo pod ścianami już rzędem ustawiono ławki udające stoły. Dla niepoznaki wyskrobane cyrklem blaty zakryły białe obrusy. Lampiony. Kwiaty z krepiny. Żywe za drogie, budżet szkoły by nie uniósł. Ale i tak było ładnie. Miło. Specyficznie. W innych miastach już od dawna studniówki organizuje się w salach bankietowych, weselnych, w hotelach, restauracjach, lecz tutaj nowa moda nie dotarła. Może i lepiej. Studniówka od zawsze odbywała się w tym budynku i tak pozostanie. Zgodnie z tradycją. I zgodnie z nią poczęstunek przygotowywały matki. Menu od zawsze takie samo. Na stoły wjechały półmiski ze śledziem, sałatką i z jajkiem w majonezie. Jajko zawsze musi być, nim pawiuje się najlepiej. A na ciepło obowiązkowo rosółek. Tłusty. No i bigosik. Przędownice z komitetu rodzicielskiego na pewno już mieszały go w garze w szkolnej kuchni. Napoje legalne: soki, herbata i kawa już stały na widoku. Nielegalne: schowane zostały za kaloryferem, za firanką na parapecie, pod stołem. Butelczyny przeschumowane z drzeniem serca w damskiej torebce którejś z uczennic, za podwiązką, w marynarce kolegi, już czekały w ukryciu. W taki wieczór grzech nie wypić. Pijane grono, pijani maturzyści. W noc taką jak ta, wszyscy na wszystko przymykają oko.

Szymon prowadził mnie od jednej osoby do drugiej. Pani profesor od polskiego, pan profesor od historii, od chemii, od angielskiego, od WOS-u... Stare nauczycielki w większości ubrane w tanie koktajlowe sukienki z drugiej ręki –



w których pięć lat temu bawiły się pseudodamy w niemieckich i angielskich miasteczkach – nauczyciele w znoszonych garniturach, raz do roku wyciąganych z szafy, mdławo woniejących naftaliną. Pośród kadry znalazło się zaledwie kilkoro młodych ludzi, część stanowiła stara gwardia, którą pamiętałam jeszcze ze swoich licealnych czasów. Wszyscy witali mnie ciepło. Z poczuciem klęski, dobrze skrywanym za smutnymi uśmiechami – kiedyś w młodości roili sobie, że edukując kolejne pokolenia, zmienią świat na lepsze, teraz już wiedzieli, że skończywszy na głównianych posadkach w prowincjonalnym ogólniaku, nie wypracują nie tylko godziwych emerytur, ale nawet społecznego szacunku. To przygnębiające. I mnie też było z tego powodu jakoś smutno. Odwzajemniałam więc ich uśmiechy, potrzasałam krzepiąco wyciągniętymi dłońmi. Patrzyłam w oczy ludzi wymaltretowanych życiem i użeraniem się ze zgrają bachorów i współczułam im. Kiedyś z nich drwiłam, a dzisiaj współczułam. Może dlatego, że tej zimy mocniej, niż kiedykolwiek, odczuwałam przemijanie. Syndrom drugiej połowy życia – zaczęłam przechodzić na stronę tych, którzy nie mieli złudzeń. Cierpki smak rozgoryczenia coraz częściej i ja czułam w ustach...

Mechanicznie wymieniałam uprzejmości, poklepując tych i owych po plecach. Myślami krążyłam daleko, ale udawałam, że słucham, co do mnie mówią. A mówili cały czas. Jedni przez drugich: „Jak dobrze widzieć panią burmistrz”, „Nasza pani Ewunia kochana, zajmie pani miejsce honorowe przy stole szacownego ciała pedagogicznego, pan dyrektor zaprasza. Będzie nam niezmiernie miło. A gdyby tak jeszcze zatańczyła pani z nami poloneza...”. Z jednym takim, uczniem tutejszym, prymusem, wizytówką szkoły i wychowankiem Szymona. Gdyby to nie sprawiło kłopotu... Och i ach – pąsowiął pan dyrektor, pąsowieli nauczyciele i nauczycielki. Jakiż to byłby zaszczyt! Lecz czy pani burmistrz się zgodzi?

Pani burmistrz dostawała wprawdzie mdłości na myśl o tańcu, ale naturalnie, oczywiście, że się zgodziła. Nie miała innego wyjścia.

Kiwnęłam głową na zgodę, ale w środku, wokół żołądka zacisnęła mi się stalowa obręcz irytacji. Nie powinnam była tu przychodzić. Urządzać szopek. Czułam organiczny wstręt do wszystkiego, co działo się wokół. Nie miałam ochoty płąsać w sztywnym korowodzie. Nie miałam ochoty tańczyć z jakimś dzieciakiem. Słowo „prymus” kojarzyło mi się z problemami z cerą, przetłuszczonymi włosami i wybujałym ego. Chciałam się jakoś wykręcić, powiedzieć, że głowa mnie boli, żeby dali mi spokój, ale nie znalazłam sił, aby wyjść z roli, nie umiałam ich urazić, rozczarować. Dlatego pozwoliłam się zaprowadzić za drzwi wejściowe, na korytarz, gdzie już się tłoczyła rozgorączkowana młodzież. Stałam z boku, przyglądając się, jak Szymon ustawia w szyku swoją klasę. Dziewczyna o figurze modelki i twarzy naburmuszonej lolitki zajęła miejsce na przedzie. Nie miała pary. Czekala. Wdzięczyła się do pana od WF-u – mojego męża. Zrozumiałam, że to ona

dzisiaj z nim zatańczy i nagle poczułam zazdrość. O jej młodość, świeżość, o błysk w oku. Nie czułam zazdrości o Szymona.

On tymczasem rzucił coś do mnie na temat tej dziewczyny, przedstawił mi ją. Uczennica grzecznie dygnęła, ale w spojrzeniu miała coś takiego aroganckiego, że najchętniej uchwyciłabym ją za misterny kok i mocno potrząsnęła. Skupiona na niej, nie zauważyłam, kiedy zbliżył się do nas ktoś jeszcze. Odwróciłam się do niego dopiero, kiedy był tuż przy mnie.

Wtedy wszystko wokół ucichło. Zastygło w bezruchu.

Stał przede mną bardzo atrakcyjny chłopak, czy może już raczej mężczyzna. Był wzrostu Szymona i w ogóle trochę przypominał mi męża sprzed lat. Szerokie ramiona, jasne włosy w wystudiowanym nieładzie, nieco zadziorny uśmiech. Rząd równych zębów. Nienagannie skrojony garnitur, pod spodem ekstrawagancka zakardowa marynarka. Pod szyją zamiast krawata udrapowany z fantazją fular. Ekscentryk, albo za takiego chciał uchodzić. Niby gówniarz jeszcze, ale od jego postaci biła siła i zdecydowanie. Było w nim coś niejednoznacznego i tajemniczego. Patrzył mi prosto w oczy. Bez odrobiny zażenowania, bez wstydu. Bezwstydnie. Pożerał mnie wzrokiem o barwie pruskiego błękitu. A może to wyłącznie rojenia starej baby? Może chciałam, żeby tak patrzył? Chciałam, aby jeszcze raz w życiu ktoś tak na mnie spojrzał. Miałam wrażenie, jakby gdzieś obok mnie w ziemię uderzył piorun i teraz ziemia drżała pod moimi nogami. A może to tylko nogi drżały?

Chłopak patrzył.

Z zaciekawieniem przekrzywił głowę. Czekał na coś, śledząc linię moich ramion, piersi i bioder, zaciskając spojrzenie na talii, spływał nim wzdłuż nóg, aż po pęciny. Tymczasem wskazówki zegara się zatrzymały. Było mi niewygodnie w jego spojrzeniu, w obcisłej sukience, we własnej skórze. Lód, który skuwał od dawna mój umysł, moje ciało, nagle zaczął się topić. Budziłam się z wieloletniej śpiączki. Kolana zrobiły się miękkie. Ogarnęła mnie gorączka. Nie rozumiałam dlaczego. Dlaczego?! Przecież nic się nie działo. Nic się nie stało i nie stanie.

Szymon uspokajający klasę zdawał się nie zauważać mojej reakcji. A jednak uśmiechał się dziwnie, po swojemu, stary szelma. Być może przeczuwał, że dzieciak mi się podoba? Dobrze mnie znał, wychwytywał każde drgnięcie powieki, rozszyfrowywał grymas ust. I zapewne w tej chwili było podobnie. Nie obchodziło mnie jednak, co myśli. Cała byłam zatopiona w chłopaku. Wskazówki zegara drgały i zaraz miały ruszyć dalej. Łapałam powietrze. Łapałam myśli. Gorączkowo próbowałam zrozumieć, co się dzieje. Oszalałam? Chyba tak. Ale zmaterializowała się przede mną personifikacja pragnień, które dawno utraciłam. Wilgotne marzenie, które wieki temu wyschło w moich lędźwiach.

Stałam więc jak słup soli, pokrywając zakłopotanie uśmiechem. Nie wiedziałam, co czuję, bo czułam wszystko naraz. Natłok myśli rozsadał mi głowę.

Wnętrznosci nerwowo się zacisnęły. Nie słyszałam odgłosów szkoły, śmiechu uczniów – stanowiły bezwartościowe tło tej sceny. Słyszałam za to, jak przez sieć żył przelewa się krew. Posapywanie respiratora. Nie... To usłyszę dopiero za jakiś czas – czas, o którym wtedy jeszcze nie miałam pojęcia. Wtedy słyszałam...

Głos Szymona. Zegar ruszył. Mąż przedstawiał mi młodego człowieka:

– Ewo, poznaj Karola Górskiego, to uczeń z mojej klasy. Najlepszy uczeń – podkreślił, jakby to miało jakieś znaczenie. – Opowiadałem ci o nim, pamiętasz?

Oczywiście, że nie pamiętałam. Od dawna nie słuchałam jego wynurzeń na temat pracy w szkole. On też nie słuchał, gdy mówiłam o swoich problemach w ratuszu. Byliśmy kwita. Uśmiechnęłam się więc jedynie. Niezbyt mądrze zapewne.

– Naturalnie, pamiętam – padło z moich ust, a jednak jakby poza mną.

Chłopak wreszcie przestał rozbierać mnie wzrokiem, zerknął ulotnie na wychowawcę, po czym rzekł, przybierając oficjalny ton:

– Bardzo mi miło, że zgodziła się pani ze mną zatańczyć.

Bąknęłam w odpowiedzi jakiś frazes, że ja też się cieszę. Chciałam powiedzieć coś jeszcze, lecz Szymon pouczył nas, że powinniśmy już iść na miejsce, bo zaraz puszcza muzykę. Mieliśmy tańczyć w drugiej parze, na początku, on ze swoją klasą zamykał korowód.

– Zobaczymy się później – rzucił.

A na odchodnym zaśmiał się jeszcze, żebym uważała, bo na pewno pomyłę kroki – zawsze mylę. Chciał być zabawny, ale mnie zawstydził, po czym, jak gdyby nigdy nic, odwrócił się do swojej klasy i zapomniał o nas.

Ruszyliśmy więc we wskazane miejsce. Ten chłopak, Karol, i ja. Torował mi drogę przez tłum, szedł jak taran. Ochraniał mnie swoim ramieniem, bawiąc się w dżentelmena. Uważałam, że to urocze. Byłam niższa od niego o głowę, spoglądał na mnie z góry. Nie odzywał się. Krępującą ciszę wypełniałam słowami za nas oboje. Aby pokryć zakłopotanie, mówiłam, że dawno nie tańczyłam, a poloneza w szczególności, że nie znam kolejności figur, nie wiem, czy dam radę... Dostałam nerwowego słowotoku.

– Pani burmistrz... – przerwał mi wreszcie stanowczo, mrużąc oczy. – Proszę się nie denerwować, poprowadzę panią.

Zajęliśmy miejsce tuż za dyrektorem, który rzucił nam rozradowane spojrzenie przez ramię.

– O, dobrze, że już pani jest. I Karola, jak widzę, też już pani poznała. Zapewne nie zna pani kolejności figur, ale Karol pani pomoże. Zajmiesz się, Karolu, właściwie panią burmistrz?

Na to dwuznacznie brzmiące sformułowanie Karol dwuznacznie się uśmiechnął. Zerknął na mnie ze sztubackim błyskiem w oku.

– Naturalnie, że się zajmę, panie dyrektorze.

I wtedy padły pierwsze takty utworu. Młodzież wokół zeszywniała. Panowie podali ramiona paniom. Mój partner wyciągnął do mnie rękę. Położyłam dłoń na jego dłoni. Była szorstka, ciepła, sucha. Popłynęliśmy. I było jakoś tak podniośle, niezwykle. Drgania muzyki poczułam na kręgosłupie. Mnie, dawno wyleczoną z sentymentów, głębokie akordy poloneza niespodziewanie wprawiły w uroczysty nastrój. Za moich czasów tańczyło się do Ogińskiego, teraz filmowo poniósł nas Wojciech Kilar. Obok mnie pan Tadeusz. Ja stałam się Zosią. Chociaż nie... Ja byłam Telimeną.

Tańczyliśmy.

Szło mi całkiem nieźle, Karol subtelnie wskazywał, w którą stronę mamy skręcić, gdzie się obrócić, komu ukłonić. Uśmiechał się. Ja też się uśmiechałam. Rozluźniłam się. Zapomniałam, gdzie się znajduję, zapomniałam, że już nie jestem młoda, że to nie moja studniówka, nie mój czas – mój czas minął – że przyszłam tu jedynie odegrać pewną rolę. Zapomniałam, jak bardzo w głębi duszy jestem samotna i nieszczęśliwa. Zapomniałam o swoim spierdolonym życiu...

W tamtej chwili czułam się lepiej niż przez wszystkie ostatnie miesiące. Wanda miała rację, namawiając, abym wyszła z nory. A może to nie zasługa poloneza mistrza Wojciecha – tej muzyki, światła czarownego i endorfinowej eksplozji młodości wokoło – a dłoni, która prowadziła mnie po sali gimnastycznej? Może spojrzenie pruskiego błękitu sprawiło, że poczułam się znowu tamtą dziewczyną, którą byłam, zanim opuściłam szkolne mury?

Dotarło do mnie, że oto dzieje się coś niezwykłego. Budzę się z odrętwienia. Chciałam móc przetańczyć całą noc. Chciałam znowu mieć osiemnaście lat i utonąć w błękicie. Bardzo chciałam...

Wybrzmiały ostatnie akordy poloneza. Karol ukłonił mi się z galanterią. Nie odezwał się nawet słowem. Ja też milczałam. Obawiałam się, że słowa zdradzą, iż oszalałam. On lekko chwycił mnie pod ramię i oszołomioną odprowadził na bok. Nadszedł czas na wystąpienie dyrektora. Uroczyście przywitał nas na balu. Padły proste, gładkie słowa na temat matury, początku dorosłości, kilka wyświechtanych formułek o przyszłych wyzwaniach i oczekiwaniach. Życzenia dobrej zabawy. Na koniec jakiś suchy żart. I wreszcie brawa, uśmiechy – część oficjalna zakończona. Nadszedł czas na jajka w majonezie, chyłkiem wychyloną półlitrowkę i harce do rana.

Tłum zaczął rozchodzić się na miejsca. Karol odwrócił się do mnie.

– Odprowadzę panią do stołu.

A niechby mnie zaprowadził i na koniec świata – pomyślałam, lecz na głos odrzekłam:

– Nie trzeba. Trafie. Zresztą pewnie spieszysz się do klasy. Do dziewczyny.

Uświadomiłam sobie – z niejakim rozżaleniem – że taki chłopak na pewno nie jest na studniówce sam. Kazali mu zatańczyć z Telimeną, to zatańczył, lecz

gdzieś w tłumie młodych ludzi na pewno już czeka śliczna Zosia, której blond warkocze oplotą w tańcu jego szyję.

– Nie spieszę się... – odparł spokojnie. Zawiesił głos. Po chwili dodał: – ...Do dziewczyny.

Iskierki rozbawienia rozhasały się w chłodnych tęczęwkach.

– Jesteś sam na studniówce? – Nie potrafiłam ukryć zdziwienia. Ogarnął mnie spokój. Jest sam? Jest mój!

– Jestem z panią. Teraz. – Odpowiedział, jakby znał moje myśli. Wyglądał przy tym, jakby dobrze się bawił.

– Kokietujesz mnie? – Speszona zareagowałam śmiechem.

On był zupełnie poważny.

– Jeszcze nie. Ale być może... Jeżeli zatańczysz ze mną dzisiejszego wieczoru raz jeszcze?

O co mu chodziło? W co grał?

– Raczej nie będzie okazji – powiedziałam, przywdziewając na powrót maskę statecznej pani burmistrz.

Po czym odeszłam. Bałam się, że jeszcze chwila i powiem o jedno słowo za dużo. Nie powinien się tak zachowywać. Zbyt... Zbyt jak? Po prostu rozgryzł mnie. Bawił się mną. Nieświadomie wdzięczyłam się do niego, ja, kobieta, która mogłaby być jego matką. A on to zauważył i teraz drwił sobie. Byłam zażenowana.

Dlatego uciekłam. Zostawiłam go na środku parkietu i prawie biegnąc, dopadłam do bezpiecznej strefy, gdzie przejęły mnie we władanie dojrzałość i spokój nudnego nauczycielskiego grona.

Wszyscy już tu byli, łącznie z Szymonem.

Zapytał mnie, jak mi się udał taniec, jak mi się podobał Karol. Bąknęłam coś w odpowiedzi. Nie słuchałam go. Nikogo nie słuchałam. Zamknęłam się w ciasnej klatce myśli. Wieczór potoczył się swoim rytmem. Poza mną. Mąż zaledwie raz poprosił, żebym z nim zatańczyła, ale uśmiechając się sztucznie, burknęłam tylko przez zęby, żeby mi dał spokój. Nie wyszłam więcej na parkiet, obawiając się, że przypadkiem natknę się na tamtego dzieciaka. Siedząc ze starymi nauczycielkami, wysłuchiwałam ich utyskiwań na kiepskie zarobki, na tę młodzież okropną, co się uczyć nie chce, a jedynie siedzi z nosami w telefonach. Kiedyś młodzi byli inni – lepsi! – teraz moralna degrengolada i zezwierżenie. Seks, narkotyki, przemoc. Dla starszych zero szacunku. Co za czasy...

Tak mijały minuty, minuty zamieniły się w godziny. Jadłam coś, piłam. Obecna ciałem, nieobecna duchem, nudziłam się śmiertelnie. Muzyka płynęła z głośników. Didżej zagrzewał wszystkich do zabawy. Szaleństwo dookoła. Podwodny świat falował. Młodzież falowała wraz z nim w tańcu – trochę już chyba zawiana. Pan dyrektor pod stołem dolewał mi whisky do coli. Piłam. Kręciło mi się w głowie od podłego łyskacza i tego umcy-umcy, które zdawało się wprawiać salę

w wibracje, od natłoku myśli, które wprawiały mnie w wewnętrzny niepokój. Pośród rozbawionego tłumu próbowałam wyłuskać postać chłopaka. Ale już go nie zobaczyłam.

Tymczasem Szymon niemal nie schodził z parkietu. Tańczył do utraty tchu, tańczył ze wszystkimi. Z uczennicami, nauczycielkami – był tu naprawdę lubiany. Pana od wychowania fizycznego trudno nie lubić, nie robi przecież klasówek, przystojny jest i taki z natury pogodny. Brat łąta. Mnie więcej do tańca nie poprosił. Wiedział, że znowu odmówię. Zresztą, czy nie wystarczyło, że tu byłam, siedzieliśmy przy jednym stole i przed zebranymi udawaliśmy zgodną parę? Taniec implikuje bliskość, a ja nie chciałam być z Szymonem blisko, dotykać go, czuć jego oddechu na szyi i dłoni na plecach...

Wreszcie zaczęło ogarniać mnie znużenie. Babka od chemii opowiadała kolejny raz tę samą anegdotę, którą słyszałam rok i dwa lata temu. Profesor od niemieckiego przytaczał jakieś obleśne, erotyczne żarty, śliniąc się przy tym niesmacznie. Udawałam, że mnie bawią. Lecz dusiłam się ich towarzystwem. Musiałam zaczerpnąć powietrza. Zapraǳnęłam wyjść na dwór. Na dwór... Chciało mi się palić.

Rzuciłam kilka lat temu, pół życia jarałam jak smok, uwielbiałam to. Jednak przed czterdziestką, gdy dopadły mnie egzystencjalne lęki, zaczęłam się bać, że umrę na raka. Jak matka i ojciec. Zatem rozstałam się z papierosami raz na zawsze, ostatecznie. Od dawna nie odczuwałam nikotynowego głodu, a w tamtej chwili z przyjemnością zaciągnęłabym się moim ukochanym davidoffem lightem. Nagły imperatyw sprawił, że podniosłam się od stołu. Przeprosiłam wszystkich zebranych, mówiąc, że idę przypudrować nos.

Korytarze. Przemierzałam ich ciemną sieć. Im dalej od sali gimnastycznej, tym stawało się ciszej. Jedynie echo basów pełzało po podłodze. Wokoło panował półmrok. Stara szkoła – jak z horroru – pachnąca kurzem i pastą do podłóg. Emocje wielu pokoleń, dobre, złe, wżarły się w ściany. W kącie przy schodach namiętnie całowała się jakaś parka nastolatków. Dłonie chłopca wędrowały w górę, po gładkim udzie dziewczyny. Niecierpliwie i w zdziwieniu. Niby świat się zmienia, a jednak wszystko zostaje po staremu – pomyślałam i przemknęłam na palcach, żeby nie wypłoszyć młodych kochanków.

Szatnia, płaszcz. Było za szkołą takie miejsce, pomiędzy drugim skrzydłem a łącznikiem, za niskim żywopłotem, gdzie paliliśmy, zanim spadł śnieg – później musieliśmy dekować się w kiblu. Intuicyjnie ruszyłam w stronę dawnej kryjótki. Śnieg skrzypiał mi pod stopami, szpilki zapadały się w biały puch. Brnęłam jednak wytrwale, marząc, że na miejscu znajdę kogoś z fajkami. Nie było już gwiazd. Śnieg zasypał mleczną drogę. Zrobiło mi się zimno. Białe płatki opadały na moje włosy i oblepiły kudłate kłaczki wełnianego płaszcza. Powinnam założyć coś na głowę. Przeziębę się. Fryzura mi się rozpadnie – do diabła z nią.

W mroku zamigłała czerwona kropka żaru.

Dostrzegłam go za zasłoną mroku. Stał tam. Sam. W miejscu, gdzie dawno temu ukrywałam się przed czujnym belferskim wzrokiem. Gdzie zostawiłam jakąś cząstkę dawnej siebie. Teraz on tu był. Palił. Wokoło panowała cisza, nigdzie żywego ducha. Stał bez płaszcza, z gołą głową. Poznałam go od razu.

Nie chciałam go spotkać.

Oczywiście, że chciałam. Bardzo chciałam. Niesiona pragnieniem émy. Znalazłam się na granicy, której absolutnie nie należy przekraczać – pewnie ruszyłam w jego stronę.

Karol odwrócił się do mnie. Powinien chociaż trochę się zmiękczyć i schować papierosa, ale nie zrobił tego. Podobał mi się ten przejaw młodzieńczej dezynwoltury.

– To pani? – W jego głosie zarejestrowałam całkowity brak zaskoczenia. Raczej stwierdził fakt. Z satysfakcją, jakby czuł, że do niego przyjdę.

– Musiałam się przewietrzyć.

– Znudziły panią opowieści Wiśniewskiej czy żarty Targosza?

Obserwował mnie na sali? Mimowolnie się uśmiechnęłam.

– Jedno i drugie...

– Mogła pani uciec na parkiet. Miałbym wtedy szansę poprosić panią do tańca.

– Może dlatego zostałam przy stole?

Karol nie wyglądał na urażonego. Raczej dobrze się bawił rozmową.

– Z mężem też nie chciała pani zatańczyć?

– Nie lubimy już razem tańczyć.

Dlaczego mu to powiedziałam? Po co się odkryłam? Powinam była ugryźć się w język. Sprawy mojego małżeństwa nie powinny nikogo obchodzić, a to wyznanie było zbyt osobiste. Wieloznaczne, a może właśnie zbyt jednoznaczne: już nie lubimy razem tańczyć, w ogóle już się nie lubimy, nie kochamy się, prawie ze sobą nie sypiamy. Jestem samotna i nieszczęśliwa. Pragnę miłości, boję się miłości, nie wierzę w nią, pogardzam nią. Pragnę jej. Pragnę czegoś, kogoś. Ciebie...?

A może przesadzam? Może to była tylko moja nadinterpretacja? Może on wcale nie wysnuł takich wniosków?

Wysnuł.

– Wypaliło się – stwierdził spokojnie.

– Słucham?

– Pani małżeństwo.

Bezczelny gówniarz.

– Nie rozumiem...

– Nie powinna się pani tym przejmować. Stać panią na kogoś lepszego. –

Znowu wbił we mnie swoje świdrujące, jasne spojrzenie.

Nie mogłam uwierzyć, że on to naprawdę mówi. Tak bez ogródek, bez owijania gówna w papierek. Jakbym była jego koleżanką, jakby nas nie dzieliły dwie dekady. Powinnam była go zbesztać, przywołać do porządku, ale skonsternowana nie mogłam wydusić słowa.

Zatem milczeliśmy. Karol, nie odrywając ode mnie oczu, uniósł papierosa do ust. Dopiero teraz zorientowałam się, że to skręt. W otaczających nas ciemnościach ciężko było to zarejestrować, lecz zapach nie pozostawił wątpliwości.

– Nie boisz się, że cię wydam? – zapytałam, z ulgą zmieniając temat.

– Nie. – Wzruszył ramionami. Kąciki jego ust uniosły się nieznacznie.

– Jesteś lekkomyślny i zbyt pewny siebie. Niby dlaczego uważasz, że cię nie wsypię?

– Bo ma pani ochotę zapalić, prawda?

– Mam. – Zdziwił mnie sens wyrzuconej w przestrzeń deklaracji.

Miałam cholerną ochotę. Na skręta. Na zrobienie czegoś niedorzecznego i szalonego, zabronionego. Czegoś, czego mi nie wypada.

Karol uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując zęby. Było w tym uśmiechu coś zwierzęcego, groźnego, a równocześnie szalenie pociągającego.

– Uważasz, że mi nie wypada? – rzekłam wyzywająco.

– Na pani stanowisku? Na pewno. – Zaśmiał się. – Na to jest paragraf. Pani burmistrz w pudle. Jak by to wyglądało? Co by powiedzieli wyborcy?

Był obłądny, buntownik bez powodu, i fizycznie tak doskonały, jakby go wyjęto z taniego romansu. Gdybym tylko była młodszą... Nie mogłam oderwać od niego oczu. W dole brzucha zarejestrowałam znajome ciepło.

Chłopak podał mi skręta. Chwyciłam go z wprawą, między kciuk i palec wskazujący. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Zaraz miały dokonać żywota resztki mojego rozsądku – co ja najlepszego wyprawiam?!

Byłam na studniówce, byłam burmistrzem w tym przeklętym mieście i właśnie paliłam marychę z najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego w życiu widziałam. Chłopakiem, na którego miałam niebywałą ochotę. On miał osiemnaście, no może dziewiętnaście lat. Ja byłam po czterdziestce. Byłam prawdopodobnie w podobnym wieku, co jego matka. Tymczasem jaraliśmy sobie, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

To się nie mogło dobrze skończyć – zaciągnęłam się. Dym wypełnił moje płuca. Ziołowy posmak wniknął w każdą komórkę ciała. Chciało mi się kasłać. Powstrzymałam się. W głębi duszy cieszyłam się jak dziecko tą cudną chwilą – skromnym aktem obywatelskiego nieposłuszeństwa.

– Dobry towar. – Oddałam chłopakowi skręta znaczonego krwawym śladem szminki odcisniętym na bibule.



– Najlepszy.

Teraz on się zaciągnął. Wstrzymał oddech, po czym wypuścił cienką stróżkę mętnej mgły. Obserwowałam, jak dym rozplywa się w powietrzu. Bez słowa. Zaskoczona wsłuchiwałam się w swoje ciało. Cząsteczki alkoholu i THC mieszały się w mojej krwi. I było mi dobrze. Przyjemnie. Błogo. Zapomniałam o wiecznej zimie, uśpieniu, psychotropach w szufladzie, Szymonie tańczącym na sali gimnastycznej, o przewale z ziemią dla kościoła – jakoś to będzie... W głowie zaczął przelewać się płynny spokój. Ta noc była taka niezwykła. Połyskiwała miękko aksamitem. I mnie też zrobiło się miękko. Rozkosznie. Nie czułam już zimna.

A on przysunął się jeszcze bliżej. Bardzo blisko. Wdychałam zapach jego ciała. Zapach tanich perfum i marihuany. Wyciągnął dłoń. Dotknął mojego policzka.

To nie stało się naprawdę.

Stało. Nie wiem, jak do tego doszło. Może to był jedynie narkotykowy haj?

Wielkie ciężkie płatki śniegu opadły na nasze głowy. Roztopiały się pod wpływem ciepła. Pod dotykiem chłapiących dłoni. Kiedy zbliżył do mnie twarz, zrozumiałam, że przepadłam. Stałam pod drzewem poznania dobrego i złego. Zaraz miałam zasmakować zakazanego owocu. Zatopić w nim zęby, z zachłannością, która sprawi, że sok spłynie mi po brodzie. Nie zamierzałam powstrzymać wydarzeń. Mam na imię Ewa. Moje imię obliguje do występku. Do szerokiego wachlarza popełnionych przeze mnie grzechów mogłam dodać jeszcze ten jeden. Cóż miałam do stracenia? Prócz dobrego imienia, kariery, społecznego szacunku, zaufania Szymona – do diabła z tym!

Wąż wpełzł na moje ciało, zamknął w żelaznym uścisku...

Karol powoli zanurzył we mnie język...

[18] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Jerzy S. Sito, *op. cit.*

## 18.

*Byłem na balu w domu mego wroga,*

*Gdziem został ranny, lecz zbójczyni sroga*

*Czuje cios wzajem przeze mnie zadany[19].*

Obsesja.

To chyba właściwe określenie na temat tego, co się ze mną działo. Dziwny stan. Przyjemny i przykry równocześnie. I babka, i matka zauważyły zmianę w moim zachowaniu. Babci ściemniłem, że denerwuję się zbliżającymi się egzaminami i sprawą przyjęcia do Akademii Sztuk Pięknych. Spojrzała na mnie badawczo i zacieśniła usta tak, że przypominały wąską kreskę.

– Dasz sobie radę – powiedziała nieoczekiwanie. – Musisz tylko więcej ćwiczyć. Będiesz wielkim malarzem. Tak jak twój dziadek.

To była chyba pierwsza pochwała, jaką od niej usłyszałem w życiu. Albo przynajmniej coś do niej zbliżonego.

Tę samą historyjkę próbowałem wcisnąć matce. Ale jej nie dało się ściemnić. Wiadomo. Sama tyle się w życiu nakłamała i jej nakłamano, że ma wyczulony radar. Ale nie ciągnęła tematu. Wciąż gra obrażoną, że wyprowadziłem się do babci. Odbiera to jak wymierzony jej osobiście policzek. I wraca do tego przy każdej okazji, każdej kłótni. Których jest wiele, bo trudno z nią wytrzymać. Uwielbia robić z siebie ofiarę, a ze mnie złego syna. Najlepszy argument, jaki usłyszałem z jej ust?

– Wywaliłam na zbity pysk faceta, który cię dotykał, a ty tak mi się odwdzięczasz.

To jest piękne na tak wielu poziomach, że nie wiem, od którego zacząć. Najpierw sprowadza do domu kolejnego pijusa. Potem ten pijus okazuje się być równie zainteresowany moją dupcią jak jej piczką. A może nawet ja wygrywam

w tej paskudnej konkurencji. Facet się ślini. Spogląda na mnie jak rzeźnik na świnię. Niby przypadkiem wchodzi do kibla, kiedy się załatwiam i do łazienki, kiedy biorę kąpiel. Pyta się mnie, czy nie chcę pomocy, chociaż mam już jedenaście lat. Oferuje, że umyje mi plecy. Potem wreszcie zbiera się na odwagę i zaczyna się do mnie dobierać. Jestem przerażony, serducho bije mi jak szalone, ale jakoś udaje mi się wyswobodzić z jego objęć i uciec. Biegnę do matki, opowiadam jej wszystko. I teraz muszę jej przyznać, że nie kręciła. Nie próbowała odwrócić kota ogonem. Nie twierdziła, że kłamie. Od razu poszła i załatwiła sprawę. Awanturę słyszało pół osiedla. Jeszcze tego samego dnia wywaliła zboka z naszego mieszkania. Ale dlaczego niby to ma być powód do jej chwały? Zachowała się zaledwie tak, jak każda matka zachować się powinna. Nic więcej. Powinno być jej wstyd, że kogoś takiego wprowadziła do naszego domu. Do tego wydaje się sugerować, że gdyby wtedy wiedziała, że wyprowadzę się do babci, to nic by nie zrobiła i pozwoliła gnojowi mnie zgwałcić.

Kochana mamusia. Aż chce się rzygać.

Dość o mamie. Niech sobie gnije na Wyzwolenia. Daje dupy kolejnym pijakom i słucha toruńskiego radyjka. Wracamy do pani burmistrz.

Zaliczyliśmy jeszcze wiele takich spotkań nad rzeką. Ja zawsze w lesie, ona na brzegu, tuż przy linii wody. Chowałem się. Czułem, że nie chce, żeby jej zakłócać ten czas i szanowałem to życzenie. Nie mogłem jednak powstrzymać się przed podglądaniem jej. Była zupełnie inna. I nie mam na myśli tylko dziewczyn ze szkoły, bo to wiadome, ale też od pozostałych kobiet z miasteczka. Miałem wrażenie, że ona wie więcej. Rozumie więcej. Czuje więcej. Musiała się tu strasznie męczyć. Znałem jej męża. Kapica przecież uczył mnie wuefu. Ograniczony mięśniak, któremu Bosch kojarzył się tylko z marką sprzętu AGD.

Fantazjowałem o tym, że pewnego dnia zbiorę się na odwagę i zejść do niej. Stanę obok. Tak zupełnie nonszalancko, z papierosem w ustach. Wydmucham dym tuż obok jej twarzy i powiem coś w stylu:

– Znam cię. Znam cię całe życie, chociaż jeszcze o tym nie wiesz. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny na całym świecie.

Chwyciłbym ją za kark. Stanowczo, ale delikatnie. Przyciągnął do siebie i pocałował. A ona by pozwoliła.

Nigdy się to nie wydarzyło. Brakowało mi śmiałości.

Przychodziłem w to miejsce coraz częściej i spędzałem tam coraz więcej czasu. Czekałem na nią. Na zimnie, deszczu, wśród śniegów. Zanedbałem szkołę, zanedbałem rysunki, zanedbałem nawet swoje komiksy. Liczyła się tylko ona. Tylko te dziwaczne spotkania, kiedy ona wyżywała się na rzece, a ja chowałem się wśród drzew. Nie potrafiłem z tego zrezygnować, chociaż wiedziałem już, że między nami nigdy się nic nie wydarzy. Marzenia się nie spełnią. Ale te spotkania zupełnie mnie rozregulowały. Nie potrafiłem nawet patrzeć na laski ze szkoły.

Na studniówkę poszedłem sam. Co wywołało małą sensację w gronie nauczycielskim, bo niby taki ładny chłopiec, dobry uczeń i dziewczynom się podoba. Ale branie kogoś ze sobą, uśmiechanie się, wspólna zabawa, nie, to było ponad moje siły. Już i tak sporo mnie kosztowało, że w ogóle się tam wybrałem. Początkowo planowałem w ogóle nie iść. Powiedziałem nawet coś takiego babci, ale wtedy ona obrzuciła mnie takim spojrzeniem, że zrozumiałem, że nie ma mowy. Dla niej to byłby mały skandal. Bo to przecież nie wypada. Musiałbym się gęsto tłumaczyć. Już łatwiej było tam pójść, odtańczyć poloneza z jakąś nauczycielką, wyłoić wódkę pod stołem, wypalić jointa i schować się gdzieś w kącie, czekając, aż ten cały cyrk się skończy.

Jak już miałem się tam pojawić, to z przytupem. Garnitur znalazłem po dziadku. Babka zadbała o niego. Ma kilkadziesiąt lat, ale wyglądał, jakby wyszedł prosto spod igły. Byliśmy z dziadkiem podobnej budowy ciała, więc pasował. Musiałem go tylko zanieść do krawca, żeby zrobił kilka poprawek. Zamiast krawata, wybrałem fular. Też dziadkowy. Tylko kamizelkę miałem nową. No, prawie nową. Wyczałem ją w pewnym lumpeksie w Lublinie, kilka miesięcy wcześniej. Od razu kupiłem. Wiedziałem, że się kiedyś przyda. Śliczna jest. Niemiec płakał, jak sprzedawał.

Postarali się, przyznałem w duchu, kiedy pojawiłem się na miejscu. Jesionowa aleja prowadząca do budynku lśniła setkami małych światełek. Efekt dodatkowo potęgował śnieg, który zyczliwie spadł kilka dni wcześniej. Wyglądało to tandetnie, ale jak z bajki. Czysty Disney. Prawie dało się zapomnieć, że to szkoła.

Wewnątrz już nie było tak pięknie. Zapach pasty do podłóg na korytarzach i taniego płynu czyszczącego w kiblach, szara farba, którą pomalowano ściany i tłum gości: uczniowie, rodzice, osoby towarzyszące, nauczyciele. Chłopaki w garniturach kupionych w centrum handlowym w Lublinie. Muszą mieć tam żniwa o tej porze roku. Gładko ogoleni, spryskani wodą kolońską. Po kieszeniach pochowali fajki, małpki i dropsy różnorakie. Miałem satysfakcję, bo w swoich ciuchach, starych niemal tak jak gmach tej szkoły, wyglądałem lepiej od nich. Dziewczyny w sukniach balowych. Półgłosem chwaliły się, która założyła czerwoną podwiązkę, a która majteczki. Były całe błyszczące, wymalowane, lśniące, jak ciastka na wystawie u cukiernika. Małe laleczki.

Tematem przewodnim zabawy było morskie dno. Pomagałem przy przygotowaniu dekoracji za kilka zwolnień z lekcji. Malowałem i wycinałem delfiny, ryby, rekiny, podwodne pałace. Teraz to wszystko wisiało przyklepione do ścian, próbując ukryć, że w dzień powszedni pocą się tutaj stada nastolatków. Pod ścianami stoły z żarciem: śledzie, sałatka, jajka z majonezem, bigos. Idealne menu pod wódkę, ale oczywiście wszyscy udawali, że alkohol jest zabroniony i be.

*Hipokryzja level hard.*

Snułem się po sali. Podchodziłem do znajomych. Rozmawiałem chwilę. Patrzyłem, z kim przyszli ludzie z klasy. Z chłopakami – wypindrzone dziewczyny. Im łatwiejsze, tym lepiej. Oczy im się błyszczały, śmiały się głośno. Był ostry biforek. Dziewuchy, najczęściej ze starszymi chłopakami. Niedużo. Rok, dwa, może trzy. Jak student, to już prestiż. Oni już też dziabnięci. Przez chwilę wydawało mi się, że jestem jedyną trzeźwą osobą na tej imprezie i chciało mi się śmiać.

Złapał mnie nauczyciel od plastyki. Poklepał po plecach. Pochwalił nas za dekoracje. Bardziej siebie niż mnie. Dramatycznie potrzebował kogoś, z kim mógłby się podzielić chwilą tryumfu. Wymknąłem się grzecznie z jego objęć i uciekłem. Spojrzałem na zegarek. Zastanawiałem się, kiedy mogę zniknąć z imprezy. Wtedy obok mnie pojawił się Kapica. Odwalony jak stróż w Boże Ciało. Z szerokim uśmiechem. To chyba jedyny nauczyciel, który nie żyje z poczuciem klęski. Ale nic dziwnego. Miał ten swój klub fitness. Dobrze mu szło. W szkole zarabiał fistaszki. Miałem wrażenie, że pracuje tu tylko po to, żeby podreperować swoje ego. Nie ma roku, żeby jakaś uczennica albo dwie się w nim nie zakochały. Niektóre piszą do niego liściki. Po korytarzach krążyły ploteczki na ten temat, ale z tego, co wiem, nigdy do niczego nie doszło. Facetowi wystarczyło samouwielbienie, które na niego spływa.

– Karol! Dobrze, że jesteś! – krzyknął na mój widok i otoczył przyjacielsko ramieniem. Gest, na który nigdy by sobie nie pozwolił w normalny dzień.

– Dzień dobry panu – bąknąłem.

– Podobno jesteś sam, Karol, to prawda?

– Tak.

– Co się stało, Karol? Żadna nie chciała z tobą przyjść? Chyba nie. To może złamane serce, co?

Zaczerwieniłem się, ale na szczęście w półmroku nie było tego widać. Prymityw nawet nie wiedział, jak blisko trafił. Nienawidziłem go w tej chwili za to. I nie mogłem zapomnieć, że to właśnie on sypia z Ewą (od pewnego czasu zacząłem ją w myślach nazywać po imieniu).

– Ale o to się nie martw, chłopie. Jest wiele rybek w stawie, jak to mówią. Może nawet dzisiaj, ten... – zarechotał, zanim dokończył dowcip teatralnym szepem – kijek umocysz.

– Wszystkie przyszły z partnerami – przypomniałem.

– Ale czy z nimi wyjdą? Różnie to bywało na studniówkach za moich czasów – powiedział, ale szczęśliwie nie rozwijał tematu. – Ale teraz, to się dobrze wszystko składa. Poloneza umiesz?

– Umie – potwierdziłem. Katowaliśmy to na lekcjach wuefu przez kilka ostatnich tygodni. Myślę, że do końca życia będzie mną trząść na dźwięk muzyki Kilara.

– To dobrze. Zatańczysz w pierwszej parze.

– Ale z kim?

– Z moją żoną – powiedział i zaraz sprecyzował: – Z panią burmistrz. Więc wiesz. Uważaj i tylko nie podepcz jej pantofelków – dodał po chwili i pogroził mi żartobliwie palcem. – No, a teraz chodź za mną.

Stałem jak wmurowany w drewnianą, lśniącą jeszcze od pasty podłogę. Widziałem tylko, jak jego szerokie plecy znikają w tłumie licealistów. Nie wiedziałem, nie przypuszczałem, że Ewa się tutaj pojawi. Niby jest jego żoną, ale jakoś nie przyszło mi to do głowy. Dlaczego? Po chwili zorientowałem się, że zostałem na parkiecie sam. Ruszyłem za wuefistą.

Akurat trafiłem na moment, kiedy Kapica ustawiał klasę w szyku. Na czele stała Marzena. Próbowwała udawać, że jej nie zależy, ale wszyscy widzieli, jak wdzięczy się do wychowawcy. Kilka osób się z niej podśmiechuje. Ja nie. W pewnym sensie jechaliśmy na tym samym wozie.

Wtedy ją zobaczyłem. Panią burmistrz. Ewę. Przypomniał mi się *Ogród rozkoszy ziemskich*. Część pierwsza. Ta ze stworzeniem Ewy. Błąd, od którego zaczęła się droga do piekła. Byłbym gotów na nią wstąpić.

Odwróciła się do mnie, a ja zastygłem. Szukałem w jej oczach śladu, że mnie rozpoznała. Że tam nad rzeką naprawdę coś się dzieje. Teraz wyglądała inaczej niż tam. Silniejsza. Elegancka. Pociągająca. Woń jej perfum była delikatna, ale znacząca. Potrafiła ich użyć z umiarem, tylko żeby podkreślić swoją osobę, a nie ją zdominować. Moje koleżanki dopiero muszą się tego nauczyć.

Przekrzywiłem lekko głowę, żeby ochłonąć. Zebrać myśli. Co powinienem powiedzieć, jak się zachować? Mieliliśmy zaraz zatańczyć, a ja zdałem sobie sprawę, że to jest ta chwila. Szansa jedna na milion. Jeśli jej nie wykorzystam... Nie. Jeśli nie spróbuję, to będę żałować do końca życia.

– Ewo, poznaj Karola Górskiego, to uczeń z mojej klasy. Najlepszy uczeń – wtrącił Kapica. – Opowiadałem ci o nim, pamiętasz?

Opowiadał? Ciekawe co. Coś dobrego? A może się ze mnie śmiał? Chciałem zajrzeć do jego głowy. Dowiedzieć się, co dokładnie powiedział.

– Naturalnie, pamiętam – odpowiedziała Ewa.

Znała mnie. Nie znał rzeki. Z opowieści swojego tępego męża. Wyprostowałem się.

– Bardzo mi miło, że zgodziła się pani ze mną zatańczyć – powiedziałem, przybierając jak najbardziej oficjalny ton.

– Też się cieszę – bąknęła lekceważąco.

Kapica pokazał nam, gdzie mamy stanąć.

– Tylko uważaj, żebyś nie pomyliła kroków. Zresztą... – Machnął ręką. – Zawsze mylisz.

Wuefista roześmiał się i poszedł do reszty klasy. Widziałem, jak Ewa zaciska

szczęki. Żarcik męża dotknął ją bardziej, niż na to zasługiwała.

Poszliśmy we wskazane miejsce. Czułem z jej strony rezerwę, więc zachowywałem się megapoprawnie. Prawdziwy dżentelmen. Babcia byłaby ze mnie dumna. Prowadziłem ją, torując nam drogę przez tłum. Ona cały czas mówiła: że dawno nie tańczyła, a poloneza w szczególności, że nie zna figur, nie wie, czy da radę. Chyba nie podobała się jej ta cała sytuacja. Chciała się wycofać. Nagle się zezłościłem. Ja także nie chciałem tu być. Nie chciałem tańczyć poloneza. A w szczególności z nią, kiedy tak mnie olewała.

– Pani burmistrz... – przerwałem jej. – Proszę się nie denerwować, poprowadzę panią.

Zajęliśmy miejsce tuż za dyrektorem, który rzucił nam rozradowane spojrzenie przez ramię.

– O, dobrze, że już pani jest. I Karola, jak widzę, też już pani poznała. Zapewne nie zna pani kolejności figur, ale Karol pani pomoże. Zajmiesz się, Karolu, właściwie panią burmistrz?

Stary piernik drwił ze mnie. Ona miała mnie gdzieś, on sobie żartował. Wykrzywiłem się w uśmiechu i podjąłem grę.

– Naturalnie, że się zajmę, panie dyrektorze.

Z głośników zaczęły płynąć pierwsze takty poloneza. Podałem jej ramię. Położyła dłoń na mojej dłoni i to był pierwszy raz, kiedy się dotknęliśmy. Ruszyliśmy. Koncentrowałem się na dwóch rzeczach. Na jej skórze i na tym, żeby nie pomylić kroków. Faktycznie, trzeba jej było pilnować. Ale pamiętała więcej, niż się przyznawała. Wystarczyło tylko delikatne dotknięcie, subtelna sugestia, i wykonywała właściwy ruch. Pod koniec nawet się uśmiechała. Ja również. Czułem się, jak po dobrym joincie.

Wybrzmiały ostatnie akordy. Ukłoniłem się z przesadną galanterią. Nic nie powiedziała. Żadnego dziękuję. Żadnego dygnięcia. Znowu stałem się powietrzem. Zaczęliśmy przeszkadzać innym ludziom, więc delikatnie chwyciłem ją za ramię i odprowadziłem w bok. Nadszedł czas na wystąpienie dyrektora. Powiedział chyba dokładnie to samo, co mówił każdego roku. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wyuczone, wygładzone formułki, które wryły się mu w mózg. Przywitanie, dorosłość, wezwania, oczekiwania, dobra zabawa. Obowiązkowy żarcik, ha, ha, hi, hi, i koniec. Brawa i zaczynamy bal.

– Odprowadzę panią do stołu – powiedziałem. Jak grać dżentelmena, to do końca.

Popatrzyła na mnie jak na idiotę.

– Nie trzeba. Trafię. Zresztą pewnie spieszysz się do klasy. Do dziewczyny.

Do dziewczyny? Wiedziała przecież, że tańczyłem poloneza z nią. A więc przyszedłem sam. Kolejny żarcik z jej strony. To właśnie robili z mężem, kiedy opowiadał jej o mnie. Drwili ze mnie?

– Nie śpieszę się... – odparłem spokojnie. Zawiesiłem teatralnie głos. – Do dziewczyny.

Niech wie, że ja też potrafię się bawić.

– Jesteś sam na studniówce? – zapytała, ale ja poczułem się nieswojo. Bo wydawała się naprawdę zdziwiona. Grała?

– Jestem z panią. Teraz. – odpowiedziałem głupio, ale to była jedyna rzecz, która przyszła mi do głowy.

– Kokietujesz mnie?

Ścisnęło mnie w żołądku. Co odpowiedzieć na takie pytanie?

– Jeszcze nie. Ale być może... jeżeli zatańczy pani ze mną dzisiejszego wieczoru raz jeszcze. – Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, kiedy czekałem na odpowiedź.

– Raczej nie będzie okazji – odpowiedziała chłodno i odeszła, zostawiając mnie samego, ogłupiałego i obolałego. Co się właśnie stało?

Nie wiem, dlaczego wtedy nie wyszedłem. Prawda jest chyba taka, że odeszła mi ochota na cokolwiek. Zostałem z rozpędu. Napilem się trochę wódki. Pokręciłem się tu i tam. Zjadłem nawet to pieprzone jajko w majonezie, które do tego smakowało całkiem, całkiem.

Kapica szalał na parkiecie z kolejnymi uczennicami. Ewa... Przepraszam, pani burmistrz, bratała się z gronem pedagogicznym i zupełnie nie zwracała na mnie uwagi. Teraz już zrozumiałem, dlaczego nie zauważyła mnie wtedy nad rzeką. Po prostu takich jak ja, ona ma w dupie. Pewnie czuje we mnie Wyzwolenie.

Wyciągnąłem jointa od Brzaskiewicza. Za pieniądze matki zawsze załatwiał najlepszy towar. Poszedłem zapalić w stałe miejsce – pomiędzy drugim skrzydłem a łącznikiem, zaraz za niskim żywopłotem.

Odpaliłem. Zaciągnąłem się i od razu poczułem się przyjemniej. Wtedy usłyszałem, jak ktoś się zbliża. Pierwszy odruch – wyrzucić skręta w śnieg. Ale potem stwierdziłem, że to głupie. Jeśli to jakiś nauczyciel, to jakoś to załatwię. Przypomnę, jak ładnie rysuję. Jeśli to policja (skąd tutaj policja o tej porze?), to trudno. Zupełnie mi na niczym nie zależało. Niech mnie łapią. Ale z ciemności wyłoniła się ona. Pani burmistrz.

– To pani? – zapytałem głupio, bo to przecież była ona.

– Musiałam się przewietrzyć.

– Znudziły panią opowieści Wiśniewskiej czy żarty Targosza? – rzuciłem szyderczo. Byłem pewien, że zaraz zaczną ich bronić, a mnie opieprzać, że jak takie rzeczy mogę mówić o szanownych pedagogach, które swoje życia i serca oddają młodzieży.

– Jedne i drugie...

Podniosłem brew, czego mogła nie widzieć w ciemności. Dziwne, wydawała się dobrze bawić na sali. Ale to w końcu polityk, przypominałem sobie, umiała



kłamać. Udawać. Ciekawe, czy teraz też to robi? I zaraz sobie odpowiedziałem – oczywiście.

– Mogła pani uciec na parkiet. Miałbym wtedy szansę poprosić panią do tańca. – Drażniłem się z nią.

– Może dlatego zostałam przy stole?

Ostra sztuka.

– Z mężem też nie chciała pani zatańczyć?

– Nie lubimy już razem tańczyć.

Rzuciła to niby mimochodem, ale cały zeszytniałem. Z naciskiem na cały. Bo wiadomo, że nie chodziło o taniec. Dlaczego mi o tym powiedziała? Drażniła się ze mną? A jeśli nie? Kurwa... Może to jest to. Może to jest ta scena, którą sobie wymarzyłem. Nie nad rzeką, ale teraz. Na studniówce.

– Wypaliło się... – powiedziałem i nie zdołałem dokończyć zdania.

– Słucham? – Przełknąłem ślinę.

– Pani małżeństwo.

– Nie rozumiem...

Rozumiała. Przecież sama to zaczęła! Po raz kolejny planowała zrobić mi mętlik w głowie, a potem odejść bez słowa. Opowie o tym później swojemu mężowi i będą sobie ze mnie żartować.

– Nie powinna się pani tym przejmować – ciągnąłem, bo ja nie zamierzałem rezygnować. – Stać panią na kogoś lepszego.

Jak to drętwo zabrzmiało. Dobrze, że nie widziała dobrze mojej twarzy, bo wyglądałem idiotycznie. Wpółotwarte usta, mętny wzrok, spocony pomimo mrozu. Milczeliśmy. Z jednej strony było to nie do zniesienia, z drugiej cieszyłem się, że nie odeszła. Podniosłem skręta do ust. Miało być jak na filmach.

– Nie boisz się, że cię wydam? – zapytała.

– Nie. – Wzruszyłem ramionami.

– Jesteś lekkomyślny i zbyt pewny siebie. Niby dlaczego uważasz, że cię nie wsypię?

Też brzmiała drętwo. Też się denerwowała.

– Bo ma pani ochotę zapalić, prawda? – powiedziałem.

– Mam.

Uśmiechnąłem się szeroko, bo ogarnęła mnie głupawa. Musiałem się powstrzymać, żeby nie zachichotać.

– Uważasz, że mi nie wypada? – rzuciła wyzywająco.

– Na pani stanowisku? Na pewno – zaśmiałem się, bo już nie mogłem wytrzymać. – Na to jest paragraf. Pani burmistrz w pudle. Jak to by wyglądało? Co by powiedzieli wyborcy?

Patrzyła na mnie jak na wariata. Podąłem jej skręta. Niech ma dziewczyna coś z życia. Chwyliła go z zaskakującą wprawą, między kciuk a palec wskazujący.

Potem rozejrzała się trwożliwie, czy nikt jej nie widzi. Spodobało mi się to. Wreszcie się zaciągnęła.

– Dobry towar – powiedziała.

– Najlepszy.

Mówiliśmy o trawie, ale ta wymiana zdań mogła być równie dobrze o niej.

Zaciągnąłem się. Wstrzymałem oddech i wypuściłem cienką strużkę dymu. Staliśmy koło siebie. Powoli się upalaliśmy, a wokół zrobiło się tak cicho i spokojnie, jak potrafi być tylko w zimie. Śnieg wokoło iskrzył jak na świątecznej pocztówce. Nagle przestraszyłem się, że ta chwila jest nierzeczywista, że jej nie ma, że to tylko złudzenie, sen i marzenie. Uszczypnąłem się i zaboląło. Ale to nie wystarczyło. Przysunąłem się bliżej Ewy, dotknąłem jej policzka, żeby sprawdzić, czy ona naprawdę tam jest. Przysunąłem do niej twarz, żeby móc się jej przyjrzeć. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, oddech miała przyśpieszony. Rozchyliła usta i przyciągnęła mnie do siebie. A może to ja przylgnąłem do niej.

Nie pamiętam.

Zaczęliśmy się całować.

[19] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, *op. cit.*

## 19.

*Ach! on nie żyje, nie żyje! nie żyje!*

*Biada nam! biada nam! wszystko stracone!*

*On zginął! on nie żyje! on zabity![20]*

– Baran, co ty, kurwa, za manianę odpierdalasz? Na łeb upadłeś? Dlaczego odrzucasz moje połączenia?

Rysiek ścisza zestaw głośnomówiący, bo krzyk przełożonej rozsadza głośnik skody. To chyba nie będzie rozmowa ą, ę, bułkę przez bibułkę, jak z nestorką rodu Górskich. Małgośka się trochę poirytowała. Trochę bardzo.

– Nie mogłem odebrać. Rozmawiałem z babką dzieciaka. – Włącza silnik i rusza spod furtki. Sprzęgło, pierwszy bieg. Turla się powoli. Wycieraczki ledwo nadążają ze zgarnianiem wody z szyby. – Nie wyobrażasz sobie, co to za wampir energetyczny. Chłopak nie ma z nią lekkiego życia... Ale będziesz zadowolona, bo sporo się o nim dowiedziałem. To artysta. Malarz! Wyobrażasz sobie? Stara Górka pokazała mi jego prace. Żebyś ty to zobaczyła! Istne porno. Samo pieprzenie i gołe dupy na tych obrazach, a właściwie jedna dupa. Rację miałaś, Małgośka, on jest z kimś w związku, ale nie uwierzysz z kim... Koleżanka z klasy, to to nie jest. Raczej dojrzała babka. Ciekawie się robi, nie? Pamiętasz: „to skomplikowane”? No i chyba faktycznie skomplikowane ma życie nasz Karolek. Ale postaram się dowiedzieć czegoś więcej. Mam zamiary na jego przyjaciela i kojarzę dziewczynę, z którą być może coś go łączy lub łączyło. W domu Górskiej pobrałem też materiał do analizy DNA... – Ekscytuje się.

Baran jest z siebie naprawdę zadowolony. Witek nie jest jednak z niego zadowolona ani trochę.

– Rysiu, chuj mnie to teraz obchodzi! – Przerywa mu stanowczo, w typowy dla siebie, czarujący sposób. – Masz odbierać, kiedy dzwonię. Zrozumiano?

– Jasne. Ale stało się coś? Pożar jakiś? Miałem jechać jeszcze w kilka miejsc, ale jak chcesz, mogę wrócić najpierw na komendę, to pogadamy.

– Nie wracaj na żadną komendę! Lecisz, stary, na Piaski.

– Jestem na Piaskach.

– Nadal? No to świetnie się składa. Ja też już tam jadę.

– Ale po co?

– Mamy tam mały *fuck up*. Zaraz powinnam być na miejscu. Właśnie zjeżdżam z mostu. – W tle słychać, jak komisarz Witek dociska pedał gazu, ekojazda, to to nie jest.

Rysiek tymczasem zwalnia. Zatrzymuje samochód przy krawężniku.

– Ale co się stało? – dopytuje.

– Dostaliśmy zgłoszenie od pewnego faceta z Kamiennej osiem, że w bagażniku samochodu żony odkrył łopatę, jakieś worki, a wszystko upaskudzone krwią i ziemią. Istne pandemonium. I teraz trzymaj się, Rysiu: facet twierdzi, że znalazł żonę kilka godzin temu w domu nieprzytomną, że prawdopodobnie próbowała popełnić samobójstwo. Żona trafiła na OIT. Jest w śpiączce. Facet był tam przy niej przez jakiś czas. Wrócił do domu, żeby zabrać jakieś rzeczy do szpitala i przypadkiem zajrzał do jej samochodu, no a tam...

– Trup?

– No właśnie nie ma trupa. Jest za to sporo krwi albo coś, co ją przypomina. W każdym razie chujowo to podobno wygląda, a koleś jest mocno roztrzęsiony. Nic nie sugerował, ale to chyba jasne, że zanim się otruła, czy może została otruta – bo w tej sytuacji niczego nie można wykluczyć – musiało dojść do przestępstwa i trzeba to natychmiast zbadać. Dlatego jadę na oględziny. Techników już ściągnęłam, są w drodze. Ciebie też chcę tam zobaczyć. Natychmiast! Rusz więc, z łaski swojej, dupę na Kamienną. Z Podleśnej masz rzut kamieniem.

– Hej, Małgośka, ale co w takim razie ze sprawą chłopaka? Myślałem, że pojedę jeszcze wypytać o niego w kilka miejsc, a później polecę na chatę. Wiesz, niedługo dyżur mi się kończy...

– Pojechało cię? Do domu? Teraz? Zapomnij!

Rysiek robi kwaśną minę. Wizja schaboszczaków, ciepłych ramion Hanusi i wspólnego oglądania sobotnich programów w telewizji właśnie rozmyła się w niebycie.

– Gosiunia, sobota jest, pogoda gówniana, bądź człowiek. Daj mi sprawę Górskiego, pewnie zaraz znajdę gówniarza u jakiejś baby, a ten krwawy bagażnik ogarnij sama. Przecież lubisz takie sprawy – mruczy przymilnym tonem. Łasi się do niej. Czasami taki manewr działa nawet na tę heterę przekłątą.

– Wykluczone. – Komisarz jest nieprzejeżdżalna, ale trochę jednak spuszcza z tonu. Jest w swoim żywiole. Dzieje się. A ona żyje wyłącznie dla takich chwil. Mówi łagodniej: – Chciałabym, żebyś mi towarzyszył. Zresztą, jak ci powiem,

o kogo chodzi, to szybko zmienisz zdanie, który z dzisiejszych przypadków jest priorytetowy.

– No to o kogo chodzi? – rzuca znudzonym tonem.

– Otóż tym kolesiem, który nas zawiadomił, jest Szymon Kapica. Mówi ci to coś?

– Żartujesz?! Ten Kapica? Od siłowni? – Rysiek marszczy czoło.

Fakt, Małgośka go zaskoczyła. Zawraca samochód i zamiast w stronę miasta, rusza wąską uliczką w kierunku rzeki. To w tamtym rejonie znajdują się najdroższe działki i najbardziej luksusowe domy. Tam jest ulica Kamienna. Jeśli Rysiek znowu się nie pogubi, za góra pięć minut powinien zaparkować pod właściwym adresem.

Małgośka kontynuuje:

– Dokładnie ten. A niedoszła samobójczyni, właścicielka zakrwawionego bagażnika, to nasza szanowna pani burmistrz.

Rysiek dodaje gazu.

– Zatkalo cię, Rysiu? Szykuje się niezły dym, co? Będzie się działo.

– Nie w tym rzecz. Miałem podjechać do tego Kapicy, na jego siłownię.

– Po co? Postanowiłeś poćwiczyć? – rzuca z drwiną.

– Chciałem z nim pogadać. Wyobraź sobie, że on może mieć coś do powiedzenia w sprawie naszego zaginionego. Wiedziałaś, że Kapica uczy wuefu w naszym ogólniaku?

– Myślałam, że jest właścicielem centrum fitnessu.

– Też tak myślałem, a okazuje się, że ma też fuchę w ogólniaku i jest wychowawcą naszego Karolka.

– O ja pierdolę!

Subtelna jak zawsze – Baran odruchowo się uśmiecha.

– Chciałem porozmawiać z nim o chłopaku. Musi go przecież dobrze znać.

W takim układzie upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu...

– Tak zrobimy... Ale dziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

– Dziwny.

Małgośka zdaje się myśleć o tym samym, co Baran. Ścieżki ich dedukcji podążają równolegle: krwawy bagażnik, samobójstwo, zaginięcie chłopaka. Wszystko tego samego dnia. W tym wszystkim jeden wspólny mianownik – Szymon Kapica. Przypadek? Baran już wie, że nici z obiadu w domu, Hanusia sama usiądzie przed telewizorem.

Rzuca w stronę głośnika:

– Małgośka, jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Widzimy się na miejscu.

[20] *Ibidem.*

**20.**

*On się nie zbliży i przed nią nie złoży*

*Przysiąg serdecznych, uważan za wroga;*

*I jej, choć w łonie namiętność się sroży,*

*Zejszcia się z lubym zamkniętą jest droga.*

*Lecz w żądzzy siła: po wielkich katuszach*

*Wielką im radość czas zgotuje w duszach[21].*

Na początku był chaos.

Nie wiedziałam, czy mi się to wszystko przyśniło, czy może faktycznie całowałam się na mrozie z jakimś gówniarzem. Trochę wypiałam, joint zrobił swoje. Ale im więcej czasu upływało od tamtej nocy, tym wspomnienie stawało się coraz bardziej ostre. Pamiętałam każdy szczegół: jak Karol mnie dotykał, jak zapamiętałe wpijał się w moje usta. Jak na nasze rozpalone twarze opadały płatki śniegu... A później jak bez słowa – trochę zdziwieni, trochę zażenowani – rozstaliśmy się przed wejściem do budynku liceum. Wróciłam na salę gimnastyczną i wypatrywałam jego powrotu. On jednak już się nie pokazał tej nocy. Ja natomiast, owładnięta słodką niemocą haju, byłam kompletnie skołowana.

Następnego dnia kac gigant, moralniak jak stąd do Księżycyca. Szymon robił nam poranną kawę, ja, walcząc z mdłościami przy kuchennym stole, rekonstruowałam nieprawdopodobne wydarzenia ostatniej nocy. Kiedy wreszcie

zebrałam je do kupy, wpadłam w panikę. Osobliwy stan mojego umysłu zamiast mijać, zaczął się pogłębiać. W kolejnych dniach miało być wyłącznie gorzej.

W głowie i żołądku rozhasało się stado diabłów. Nie mogłam spać, nie mogłam jeść, nie mogłam przestać o nim myśleć.

O nim.

Kim on właściwie był? Czy istniał naprawdę, czy stanowił jedynie hologram chorej imaginacji smutnej, zgorzkniałej kobiety po czterdziestce?

Co się ze mną działo?

Podświadomie już wiedziałam. Wypierałam tę irracjonalną myśl, lecz ona wracała uporczywie niczym bumerang. Byłam zakochana. Zakochana? Zadurzona, zauroczona, oszołomiona, opętana. Jak jakaś smarkula, jak idiotka skończona. Co to po nocy wpatruje się w gwiazd migoty i wsłuchuje w serca łopoty, co to wiersze czyta i słucha smutnych piosenek, że ona jego, a on jej nie, albo że on odszedł i teraz rozpacz i łez strumienie, osamotnienie, zdrada i gniew...[22] Kompletna korba.

Czterdzieści lat niezachwianej wiary, że to bajdurzenie o miłości, to jedynie wymysł pisarzy i scenarzystów. Że nic takiego nie istnieje. To, co za nią bierzemy, to po prostu pożądanie. Zwierzęcy instynkt, pulsujący w trzewiach dla podtrzymania gatunku. Hedonistyczna pogoń za zaspokojeniem potrzeb ciała. Fizjologia. Światem rządzi dupa. Słowo „miłość” zarezerwowane jest dla matki i dziecka. Dlatego ja w swoim życiu uczuciem nieskalanym, czystym – prawdziwą miłością – obdarzyłam tylko dwie osoby: matkę i Wandę. Z kolei dorosłych ludzi łączy chemia. Dosłownie! Wydzielający się w mózgu psychoaktywny związek o trudnej do spamiętania nazwie: fenyloetyloamina. Tymczasem to, co ludzkość bierze za miłość – cały ten wachlarz zachowań i rytuałów towarzyszący chemicznej eksplozji w organizmie – mnie zawsze kojarzył się z czymś kiczowatym. Romantyzm jest żenujący, jarmarczny, po prostu obciachowy, odpustowy, jak fluorescencyjny delfinek kupiony na straganie nad morzem. Oczywiście wiele osób chciałoby takiego mieć, ale w życiu się do tego nie przyznają.

Pamiętam hasło, którym przed laty promowano *Szamankę* Żuławskiego: „Miłość to skandal!”. Dokładnie tak się sprawy mają. Miłość to coś niedorzecznego i szkodliwego – czemu starałam się nie ulegać, bowiem brałam to za słabość, a na tę w życiu pozwalałam sobie z rzadka.

Nie pozwalałam... Do teraz.

Niewygodna konkluzja, że oto i mnie dopadła ta choroba przeklęta – ta niemoc słodka i odurzająca – wprawiała w osłupienie. Przez następny tydzień chodziłam jak otumaniona, jakbym pozostawała pod wpływem narkotyku. Cierpiałam niczym młody Werter i jednocześnie nie opuszczał mnie stan euforii. Chciałam płakać i się śmiać. Byłam głodna i syta. Przerazona i szczęśliwa. Zdemolowana wewnątrz i zbudowana.



Oszalałam.

Nie zauważałam Szymona, w dupie miałam sprawy toczące się w urzędzie. Wszystko odkładałam na potem, na jutro, na wieczne nigdy. Wszystko stało się zupełnie nieistotne. Przepływało poza mną. Istniał jedynie on. Obraz jego doskonałej twarzy. Smak alkoholu mieszającego się z marihuaną na jego języku. Ramię przyciągające mnie do jego młodego ciała. Siła i miękkość. Niecierpliwość dłoni błędzących po mojej szyi, po plecach, palce zaplątane we włosach...

Musiałam go zobaczyć. Odszukałam profil na Facebooku. Wprawdzie znalazłam niewiele informacji o Karolu, obiekt mojej obsesji nie był widocznie typem ekshibicjonisty, jednak zdobyłam jego zdjęcie, w które wpatrywałam się później godzinami. Mam na fejsie założony profil, chociaż ze względu na działalność publiczną ukrywam się pod fałszywymi personaliami – mogłam jednak wysłać mu wiadomość. Nie odważyłam się na to, bo co miałabym napisać? „Cześć, to ja, pani burmistrz, podobasz mi się, spotkajmy się znowu, wspaniale całujesz, chcę więcej, chcę jeszcze!”? Wysłałabym na kretynkę. Dlatego bezustannie myślałam, gdzie mogłabym go spotkać. Naturalnie, najprościej byłoby podjechać do jego szkoły, ale nie wiem, jak wytłumaczyłabym swoją obecność tam, gdyby ktoś mnie zauważył. Nie mogłam też zapytać o niego Szymona. Bałam się, że zacznie coś podejrzewać albo, co gorsza, wyśmiejemy mnie. Nie mogłam porozmawiać o nim z Wandą – uznałaby, że to jakieś kolejne fiksum-dyrdum, rzadko spotykany objaw depresji. Chore rojenia albo po prostu wyjątkowo niesmaczna fanaberia. Byłam sama z trawiącą mnie gorączką i musiałam zdać się na los.

A los sprzyja szaleńcom.

Minął niemal tydzień od studniówki. Przyszła odwilż. Ciepły front z południa. Po bajkowej zimie nie został ślad. Paskudna szara breja spływała do rynsztoków. Wiatr szarpał miastem, zrywał ludziom czapki z głów, gałęzie z drzew i trakcje elektryczne. Ponieważ był piątek, wszyscy urwali się z urzędu punkt szesnasta. Ja także zebrałam swoje rzeczy i opuściłam biuro, chociaż spieszyć się nie miałam do czego. Czekał mnie samotny wieczór w pustym domu. Szymon tego dnia pojechał na zjazd do Lublina.

Na zewnątrz było już ciemno. Miasto wyglądało jak wymarłe. W spożywcza przy rynku kupiłam jakieś mrożonki na kolację, w Bachusie butelkę wina, po czym ruszyłam w stronę Piasków. W samochodzie włączyłam płytę Coldplay. Z głośnika popłynęło *Paradise*. „Piosenka o mnie”, pomyślałam gorzko. O dziewczynie, której z oczu dawno opadły klapki, a która chciałaby odzyskać młodzieńczą wiarę w raj...

Przebyłam most, pod którym spiętrzały się szare bryły kry i wjechałam na osiedle. Otoczył mnie las, gdzieniegdzie spomiędzy rozbujanych drzew wyłaniały się światła domów, ale tutaj także było pusto i cicho. Uliczne latarnie nie działały,

rano w okolicy zerwała się linia i nie zdążono jej widocznie naprawić. Myślałam o chłopaku z jointem, a Chris Martin drwił sobie ze mnie, wyśpiewując:

*And dreamed of para-para-paradise*

*Para-para-paradise*

*Para-para-paradise*

*Every time she closed her eyes...*

I wtedy, ze sto metrów przede mną, w miejscu, gdzie mrok żarłocznie pochłaniał światła reflektorów samochodu, dostrzegłam samotnego przechodnia.

Szedł główną ulicą osiedla. Z rękami w kieszeniach. Z plecakiem zarzuconym na jedno ramię. Znowu bez czapki, bez szalika. W jakimś rozchełstany prochowcu, zbyt cienkim, jak na tę porę roku. Rozpoznałam go od razu. Moje serce zatrzepotało w klatce żeber. Zrobiło mi się gorąco.

*Para-para-paradise*

*Para-para-paradise*

Dojeżdżałam do Kamiennej. Powinnam była w nią skręcić, jednak pojechałam dalej. Za nim. Zwolniłam – chłopak zmierzał w głąb ulicy, tam, gdzie znajdowały się najstarsze posesje na Piaskach. Śledziłam go przez chwilę. Pewnie słyszał dźwięk silnika, ale się nie odwrócił. Zatrzymał się dopiero, kiedy się z nim zrównałam. Stał na szeroko rozstawionych nogach, przechylił głowę. Uśmiechnął się. Nie wyglądał na zdziwionego, przestraszonego. Mimo że nie mógł wiedzieć, kto siedzi za kierownicą w ciemnym wnętrzu samochodu, jednak ruszył w moją stronę. Powinnam wtedy dodać gazu i zawrócić do domu, lecz tego nie zrobiłam. Pozwoliłam, żeby wsiadł do samochodu, żeby wszystko potoczyło się tak, jak nie powinno.

Kiedy już znalazł się obok mnie, nie wiedziałam, jak zareagować, co powiedzieć. Wbiłam więc spłoszone spojrzenie w przednią szybę, w połyskujący wilgocią asfalt i rozchwiany, groźny las, wydobyty z ciemności przez światła samochodu.

Karol poprawił się w fotelu. Skóra zaskrzypiała nieprzyjemnie.

– Zazwyczaj tędy nie chodzę – zaczął powoli. – Wybieram drogę na skrót, przez most kolejowy i wzdłuż rzeki, stamtąd mam bliżej na Podleśną.

Po co o tym mówił?

– ...Ale wiem, że pani... – zaciął się. – Że ty jeździsz właśnie tędy i miałam nadzieję, że wreszcie na siebie wpadniemy.

Powinnam była zwrócić mu uwagę, że nie jesteśmy na „ty”, i co on sobie, do cholery, wyobraża, ale milczałam. Byłam zbyt zaskoczona tym, co powiedział. Chciał mnie spotkać?

*And so lying underneath stormy skies*

*She said oh-oh-oh*

*I know the sun must set to rise*

*This could be para-para-paradise...*

– Spotkać mnie...? – To jedyne, co zdołałam wydukać.

Pokiwał głową.

– Wiem, że mieszkasz niedaleko.

– Po co chciałeś mnie spotkać? – Bardzo starałam się panować nad głosem, a mimo to czułam, że brzmię nienaturalnie, jak jakaś podjarana małolata.

– Przecież wiesz.

Wiedziałam? Nic nie wiedziałam. Na studniówce byliśmy na haju, przysły zmysły. Coś się wydarzyło, ale dla niego to nie mogło mieć znaczenia. To tylko ja, rozczarowana życiem czterdziestoparolatka, coś sobie roję. Idiotka!

– Nie wiem.

Nie zauważyłam, kiedy od nerwowego zaciskania dłoni na kierownicy zbielały mi knykcie. Piosenka wybrzmiała. W samochodzie zapadła cisza. Słyszałam teraz jego oddech. Karol był zdenerwowany równie mocno jak ja.

– Obserwuję cię. Od dawna... – dodał po chwili.

Od dawna?

I wtedy opowiedział, że był tam, nad rzeką, gdy przyjeżdżałam na skarpe. Przez całą jesień i zimę. Obserwował, kiedy spacerowałam brzegiem. Widział, jak płakałam, jak krzyczałam z bezsilności, rzucając kamienie w nurt. Opowiedział, że stał wtedy w lesie. Patrzył, chciał podejść, porozmawiać, zapytać, dlaczego płaczę albo czy może mi jakoś pomóc, ale nie miał odwagi i głupio mu było, bo rozpoznał, że ja to ja – pani burmistrz, ta Kapica, żona jego wychowawcy.

Słuchałam go, nie wiedząc, co o tym myśleć. Z jednej strony miałam wrażenie, jakby ktoś wdarł się w moją intymność – wtedy nad rzeką nie przyszło mi do głowy, że jestem podglądana, że nie jestem sama, dlatego pozwalałam sobie na zdjęcie maski – z drugiej: jego słowa sprawiały mi przyjemność. Był tam, czekał na mnie, a zatem coś go do mnie przyciągało.

Ta dwoistość spostrzeżeń wprawiała mnie w konsternację. Jak to możliwe, że dwukrotnie ode mnie młodszego chłopaka ciągnęło do kogoś takiego jak ja. To nie mogło być prawdą – czułam się, jakbym występowała w jakimś telewizyjnym show. Zaraz z krzaków wyskoczą ludzie z kamerą i krzykną: „Mamy cię! Stara, głupia babo, nabrałaś się. Myślałaś, że taki śliczny chłopiec coś do ciebie czuje? Żałosna jesteś...”.

Dookoła nadal jednak rozlewała się tylko nieprzebyta czerń zimowego wieczoru. Jakby w ogóle nic poza nią nie było. Ani lasu, domów ukrytych pośród drzew, a w nich ludzi przed telewizorami... Istniało jedynie wnętrze samochodu. Ja i ten chłopak, który wyznawał mi coś, o czym nie miałam prawa nawet zamarzyć. A on opowiadał, że kiedy zobaczył mnie na studniówce, zrozumiał, że wreszcie coś się musi wydarzyć, że nie spotkaliśmy się przypadkiem. Nic nie dzieje się przypadkiem, dlatego połączono nas w polonezie w parę, dlatego do niego

wyszłam przed szkołę, dlatego zdarzył się tamten pocałunek. Powiedział jeszcze wiele słów... Mieszały się we mnie, odbierając zdrowy rozum. W mojej głowie wciąż rezonowała piosenka o raju utraconym, raju odzyskanym. Chciałam, żeby ta scena nie miała końca.

Wcisnęłam gaz i ruszyłam w stronę Kamiennej.

[21] *Ibidem*.

[22] Słowa piosenki *Testosteron*, Kayah.

## 21.

*Proszę was o spokój*

*I niech ulegnie zły los cierpliwości.*

*Stawcie, na kogo pada podejrzenie[23].*

Elegancki mur. Nie jakieś tam tandetne ogrodzenie z gotowych, betonowych przęseł. Przy bramie ani śladu gipsowych lwów czy innych nowobogackich przejawów złego smaku. Rysiek zatrzymuje auto przy bramie wjazdowej. Wyłącznie stąd, przez metalowe sztachety, widać dom.

Czeka. Deszcz, jak zacięta płyta, wciąż rytmicznie wali o karoserię. Jest w tym odgłosie coś upiornego. Jeżeli ulewa potrwa jeszcze parę godzin, miasto gotowe się rozpuścić i spłynąć do studzienek ściekowych. Podkomisarz obserwuje okolicę i dom. Wokoło las. Sosny wysokie, dostojne. Przy ulicy kilka głązów narzutowych – stąd pewnie nazwa Kamiennej. Ładnie tu. Zacisznie. Dom wzniesiony został z rozmachem, na bogato. Ale nie w guście Ryśka. On jest tradycjonalistą. Tu kolumnienka, okiennica, kuta barierka, tam czerwona blachodachówka i okrągłe okienka w wykuszu – tak by to widział u siebie, bowiem prawdziwy dom musi mieć czerwony dach i wykusze, w oknach suto marszczone firany, a pod oknami pelargonie. Jak Rysiek się kiedyś dorobi, to Hanusi taką chałupkę wystawi. W stylu szlacheckim, ale z elementami swojsko-chłopskimi. Żeby się człowiek czuł swobodnie – w Ryśku gra mazur i oberek, wiejska dusza, którą odziedziczył w spadku po małorolnych przodkach.

Burmistrzowa wystawiła sobie tymczasem bunkier ze szkła i stali. Żadnych kolumnienek przy wejściu, czy okienek dachowych – bo dach płaski, na podobieństwo lądowiska dla helikoptera. Na nim rosną krzaki i być może znajduje się taras. Ściany oszklone, wewnątrz domu jak na dłoni. Zero intymności. Nie ma parapetów, więc nie ma także czerwonych pelargonii. Dziwna chałupa.

Odpychająca. Bez duszy. Jak statek kosmiczny z ciemnej strony mocy. Takie ekstrawagancje to Ryś widywał jedynie w telewizji.

A wokoło też jak w folderze o architekturze krajobrazu. Żadnych przejawów życia – nie uświadczysz plastikowej zjeżdżalni dla dziecka, piaskownicy, wiaderka, grabek, ubłoconych piłek, z których dawno zeszło powietrze, żadnego bajzlu, sznurów rozciągniętych między sosnami, na których przy ładnej pogodzie suszyłyby się gacie. Jak to u normalnych ludzi. Tutaj wielkie, puste nic. Wokoło tylko trawa zielona, przystrzyżona jak od linijki. Strach na taką wejść, żeby placzków nie wydeptać.

Rysiek czuje się pod tym domem niekomfortowo. Nieswojo.

Na szczęście zza zasłony wody wylania się samochód komisarz Witek. Szefowa parkuje za Ryśkiem i szybko wyskakuje na dwór. Baran z ociąganiem również wysiada.

– Kurwa, ale leje. – Małgośka wita go ze skrzywioną miną. Zamiast parasola, trzyma nad głową jakąś aktówkę. – Dzwoniłeś do środka?

– Czekałem na ciebie. Dom wygląda jak opuszczony. Dziwny jakiś. Nie podoba mi się.

– Mnie się podoba. Mogłabym taki mieć. Nie znasz się, Rysiu, na współczesnej architekturze. Trzeba mieć trochę fantazji, żeby czuć ten klimat. Ustawili się Kapicowie, nie ma co.

Baran wzrusza ramionami i podąża za komisarz, która już dusi przycisk domofonu. Czekają kilka sekund na odzew. Zamiast głosu właściciela, słychać brzęczenie i brama rozsuwa się na boki. Śledczy, umykając przed deszczem, pędem pokonują odległość dzielącą ich od drzwi wejściowych, w których równocześnie pojawia się męska postać.

– Państwo z policji, prawda? To ja dzwoniłem. Szymon... – zacina się na widok kobiety – ...Kapica.

Kapica wbija skonsternowane spojrzenie w Witek. Witek zupełnie spokojnie patrzy na Kapicę. Baran obserwuje oboje.

Facet jest ewidentnie zaskoczony widokiem kobiety. Małgośka nad sobą panuje, lecz Baran podejrzewa, że ta dwójka skądś się zna. Szefowej facet na pewno się podoba. Jest z jej bajki. Miastowy, wypachniony. Taki sam jak ona. Ponadto wysportowany, mimo że nie najmłodszy. Na twarzy trochę siny ze strachu, widać, że ma nie najlepszy dzień, lecz ubrany jest tak, jak powinien wyglądać przedstawiciel klasy średniej w czterdziestotysięcznym miasteczku w województwie lubelskim. Jest markowo. A nawet, jak na lokalne standardy, luksusowo. Firmowe loga zostały odpowiednio wyeksponowane. Na cienkim blezerze zielony krokodyl, na sportowej marynarce mikroskopijny jeździec polo, do tego proste spodnie, ale z doskonałej wełny, bo bez jednego zagniecenia. Na nogach świetnie dobrane buty z rudej skóry. Nowe, wypastowane na glanc. Niby

swobodna elegancja, a jednak stylizacja za co najmniej trzy, cztery koła, czego akurat Rysiek raczej nie wie, gdyż nie rozeznaje się w ekskluzywnych markach i w cenach. Hania kupuje mu dzinsy na bazarku, a buty w sieciówkach w Lublinie. Zresztą ciuch wygodny musi być, a nie modny. Facetowi nie wypada zajmować się takimi duperelami. Tak zawsze Rysiek uważał. Widocznie Kapica uważa inaczej, bo u niego nowobogacki sznyt aż daje po oczach. Facet normalnie jak z żurnala modowego – myśli podkomisarz. Z bliska widział go jedynie ze dwa razy na siłowni, w sportowych ciuchach wyglądał dobrze, ale teraz... Witek gra obojętną, ale bez wątpienia Kapica i na niej zrobił wrażenie.

Ona w każdym razie na pewno wzbudziła w gospodarzu jakieś emocje, bo wgapia się w nią, jak ciełę w malowane wrota, nie potrafiąc ukryć zdumienia. Mruży oczy, jakby starał się sobie przypomnieć, skąd ją zna. Wreszcie chyba coś w jego pamięci zaskakuje, bo obraz napięcia znika z twarzy.

Bez słowa zaprasza ich do środka. Wchodzą do przestronnego holu łączącego się z salonem, strefą dzienną i kuchnią. Ogromną przestrzeń naturalnie przenika las, zdający się wchodzić do środka przez oszkloną ścianę. Na podłodze jasne granity, wokoło minimalistyczna biel, trochę drewna i szczotkowanej stali. Nie jest tu przytulnie, ale na pewno wyrafinowanie.

Ryś czeka, jak potoczą się wydarzenia. Czy Małgośka przyzna, że zna mężczyznę, czy będą udawać, że są sobie obcy? Szefowa widocznie wybrała drugi wariant, bowiem z formalną miną wyciąga dłoń do mężczyzny:

– Komisarz Witek, a to mój zastępca, podkomisarz Baran – rzuca swobodnie. Może nawet zbyt swobodnie, przecież nie są na herbatce u cioci, lecz żeby zbadać, czy nie doszło do przestępstwa.

– Cieszę się, że państwo przyjechali. – Kapica mówi do nich, lecz patrzy tylko na kobietę. – Okropny dzień. Najpierw ta sprawa z Ewą, to znaczy, z moją żoną, a teraz to, co odkryłem w domu... Ale może niech sami państwo zerkną.

Nie czekając na odpowiedź, zmierza w kierunku wąskiego korytarza. Śledczy ruszają w ślad za nim. Przejście prowadzi wprost do garażu, gdzie jeden przy drugim stoją zaparkowane dwa samochody. Oba z górnej półki. Żadne tam golfy trójki po Hansie, jakimi wozi się większość ludzi w miasteczku. Tu króluje klasa premium.

Kapica zapala światło w pomieszczeniu. Blask świetlówek odbija się w kropkach deszczu, które lśnią na karoserii.

– Ja jeżdżę tamtym. – Wskazuje na sportowe coupé stojące dalej od wejścia.  
– A SUV należy do Ewy.

– Okej. – Witek wyjmuje z torebki dwie pary jednorazowych rękawiczek, jedno podaje Baranowi, drugie zakłada sama. – Samochód jest otwarty?

– Tak. – Kapica odruchowo robi krok do tyłu, przepuszczając funkcjonariuszy.

Małgośka bez słowa podchodzi do samochodu. Przez chwilę przygląda mu się. Obchodzi dookoła. Auto jest bardzo mocno zabrudzone, nadkola i opony pokrywa gruba warstwa błota. Nawet deszcz nie dał rady go zmyć. Ktoś tu się bawił w *off-road*.

– Jak się otwiera bagażnik?

– Można ze środka, ale jest też przycisk na klapie.

Witek kiwa na Ryśka. Oboje przystają z tyłu samochodu. Jeden ruch i bagażnik SUV-a staje przed nimi otworem. Samochodowa lampka, która włącza się automatycznie, daje niewiele światła, jednak wystarczająco, żeby można dostrzec to, co tak zaniepokoiło Kapicę. Podłogę bagażnika niezbyt dokładnie – może w pośpiechu – zabezpieczono rozdartym niebieskim workiem na śmieci. Na nim leżą jakieś porozrzucane szmaty, w kąt wciśnięto łopatę – oblepioną jasnym, wciąż jeszcze wilgotnym piaskiem. Wokoło wije się bezładnie rozciągnięty sznur. A wszystko to uwalane jest krwią. Niemalą ilością krwi.

Małgośka wsuwa głowę do środka. Wdycha zapachy znajdujące się w samochodzie. Oprócz delikatnej woni ziemi rejestruje jeszcze delikatną nutę perfum. Zapewne właścicielki auta. I to wszystko. Nie wyczuwa specyficznego odoru rozkładającego się ciała – musiało się tu znajdować dość krótko – nie ma też śladu fekaliów, które zwykle wylewają się ze zwłok. Unosi rąbek foliowego worka. Zagląda pod spód, lecz nic tam nie znajduje. Wykładzina jest czysta i tylko tu i ówdzie – w miejscach, gdzie nie została dokładnie przykryta – znajduje się kilka krwawych plamek.

Witek się prostuje.

– Też rzuć okiem – zwraca się do podkomisarza.

Baran powtarza jej czynności. Zagląda we wszystkie zakamarki. Wreszcie odwraca się do przełożonej. Wzrusza nieznacznie ramionami. Widok faktycznie nie należy do najprzyjemniejszych, mógł się Kapica wystraszyć. Na szczęście prócz krwi, wszelkich innych pozostałości organicznych brak. Oczywiście gołym okiem nie wszystko da się wychwycić, technicy muszą pobrać próbki...

Gospodarz obserwuje ruchy śledczych, ale sam nie zbliża się do samochodu. Czeka, aż skończą. Z jego twarzy trudno cokolwiek wyczytać.

A oni bez pośpiechu jeszcze przez chwilę badają wnętrze bagażnika, później oglądają kabinę pasażerską, zaglądają do schowków, pod fotele – w środku panuje idealny porządek, może z wyjątkiem dywanika kierowcy, który upaprany jest takim samym jasnym piaskiem, jaki znaleźli przy łopacie.

Wreszcie Baran zamyka wszystkie drzwi.

– Czy znalazł pan coś jeszcze? Coś nietypowego, co pana zaniepokoiło? – Komisarz Witek podchodzi do mężczyzny, ściągając rękawiczki.

– W zasadzie nie.

– W takim razie może przejdziemy do domu. Tutaj niepotrzebnie



zadeptujemy ślady. Poza tym musimy zadać kilka pytań.

– A samochód? – pyta zdziwiony. – Takie pobieżne oględziny wystarczą? Myślałem...

– Naturalnie, że nie wystarczą. – Małgośka przerywa mu twardo. W jej głosie słychać poirytowanie.

Normalnie na pewno rzuciłaby mięsem, jednak podczas działań operacyjnych zwykle się hamuje. Ludzie i bez jej przeklinania mają nie najlepsze zdanie o pracy policji. Przetyka cisnącą się na usta inwektywę.

– ...Zaraz powinna być tu nasza ekipa techniczna. Pobiorą odciski palców i próbki. Zrobią zdjęcia. Postaramy się jak najszybciej wykonać analizę tego, co tu znajdziemy, a do tego czasu musimy się powstrzymać od wysuwania ostatecznych wniosków.

– Rozumiem. Zatem proszę.

Facet przepuszcza Witek i Barana w drzwiach. Przechodzą z powrotem do części mieszkalnej. Po wielkiej przestrzeni dziennej nieprzyjemnie niesie się każdy dźwięk, łącząc się z szumem deszczu uderzającego o szyby.

Dookoła wysmakowany minimalizm. W salonie zaledwie kilka sprzętów. Prosty kominek, przy nim ściana, którą po sufit wypełniają idealnie poukładane drewniane pieńki. Kino domowe. Jakaś prosta komoda. Dalej kuchnia – na granitowych, wypolerowanych na błysk blatach, oprócz ekspresu, próżno szukać jakichkolwiek innych podobnych sprzętów, jakby nikt tu nigdy niczego nie gotował. Wszędzie dominuje biel i szarość z wyjątkiem jednej ze ścian, która stanowi różnobarwny kolaż grzbietów książek. Druga plama koloru to kanapa i dwa fotele, krzyczące wściekłą czerwienią.

Gospodarz zaprasza, by goście usiedli. Witek zajmuje miejsce na kanapie, mężczyźni zasiadają w fotelach.

– Napiją się państwo czegoś?

Komisarz odpowiada w imieniu swoim i Ryśka:

– Dziękujemy, nie traćmy czasu. A więc mówi pan, że zastał dzisiaj żonę nieprzytomną w domu? O której to było? Wspominał pan, że przyjechał z Lublina, czy tak?

– Studiuję zaocznie. Kiedy mam zjazdy, zatrzymuję się na weekend u znajomych. Dzisiaj o siódmej zorientowałem się, że zapomniałem zabrać notatki dla kolegi. Obiecałam mu je zwrócić, jesteśmy właśnie w trakcie sesji, więc postanowiłem, że szybko wpadnę po nie do domu. Egzamin miałem dopiero o dziesiątej, uznałem więc, że się wyrobię, w końcu to zaledwie trzydzieści pięć kilometrów, przy małym ruchu w trzydzieści minut byłbym na miejscu. Myślę, że dotarłem tu przed ósmą. – Milknie.

– I co dalej? – Witek nie ma zamiaru niczego facetowi ułatwiać. Nawet jeżeli go skądś zna, nie da taryfy ulgowej. Jest profesjonalna, chłodna, skupiona.

On patrzy na nią trochę zmieszany. Cedzi z namysłem:

– Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Zaparkowałem przed bramą. Specjalnie nie wjeżdżałem na podjazd, żeby nie narobić hałasu. I w ogóle zachowywałem się najciszej, jak to możliwe, żeby nie obudzić żony. Podejrzywałem, że może jeszcze spać o tej porze. W tym domu dobrze słychać każdy szelest, również na górze, gdzie są sypialnie. Ale gdy tu wszedłem, od razu dostrzegłem ją na kanapie. Tu, gdzie pani teraz siedzi.

Na Witek nie robi to widocznie wrażenia, bo trwa w bezruchu.

– ...Obok stała butelka wina. Uznałem, że może żona wypila trochę wczoraj wieczorem i zasnęła przed telewizorem.

– Ma problem z alkoholem?

– Raczej nie. Może...? Pije nie więcej niż my wszyscy. Wiecie państwo, ona ma dosyć stresującą pracę, eksponowane stanowisko, sporo problemów na głowie. Czasami musi wyluzować.

– Czyli nie zdziwiła pana ta butelka?

– Nie.

– Kiedy pan się zorientował, że coś jest nie tak?

– Przeszedłem szybko do gabinetu, tam trzymam wszystkie papiery, materiały ze studiów, znalazłem to, po co przyjechałem i zawróciłem do drzwi. Spieszyłem się. Już wychodziłem, kiedy z ręki wypadły mi klucze. Gruchnęły o podłogę z takim impetem, że aż echo zadzwoniło. No więc zerkam na Ewę śpiącą na kanapie, wystraszony, czy jej nie obudziłem, ale ona nawet nie drgnęła. Wtedy dopiero podszedłem bliżej.

– I?

– Od razu zrozumiałem, że coś tu nie gra. Na podłodze były wymiociny, a ona miała zupełnie sine usta. Jedna ręka bezwładnie opadała na podłogę. Wino w kieliszku niedopite do końca. Obok jakaś kartka. Zbadałem jej puls, całkiem nieźle znam się na pierwszej pomocy. Jestem po AWF, a tam w programie są z tego zajęcia... No więc zbadałem jej ten puls i ledwie go wyczułem. Zacząłem masaż serca, w międzyczasie zadzwoniłem po pogotowie. Mimo moich działań, Ewa nie odzyskała przytomności. Na chwilę uchyliła oczy, nadal jednak przelewała mi się przez ręce. W pierwszej chwili uznałem, że to może wylew albo zator. Wyglądała jak zamroczona... Na szczęście karetka przyjechała niemal natychmiast. Jeszcze tu na miejscu ją zaintubowali i od razu zabrali do szpitala. Dopiero wtedy wziąłem kartkę leżącą na stoliku do ręki i zrozumiałem, że to nie przypadek. Że Ewa sama...

– Może nam go pan pokazać?

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Kapica wyciąga złożoną na pół kartkę papieru, zwykłą, wydartą z notatnika, i podaje komisarz Witek.

– Może pani przeczytać, ale tu nic istotnego nie ma. Ewa przeprasza,

tłumaczy, że musiała to zrobić, ale nie wyjaśnia dlaczego.

Witek przebiega wzrokiem po linijkach odręcznie spisanego tekstu. Podaje papier Baranowi. Sama wraca do zadawania pytań.

– To na pewno jej pismo?

– Na pewno.

– Dosyć lakonicznie napisany, jak na list pożegnalny. – Zauważa.

– Ale w jej stylu. Ewa nigdy nie była wylewna. Taka już jest – tłumaczy.

Małgośka kiwa głową.

– Tak czy inaczej list będziemy musieli zabrać. Na razie zostanie dołączony do dokumentacji sprawy. Być może będzie potrzebna analiza grafologiczna.

– Po co? – Kapica się dziwi.

– Jeżeli się okaże, że w pana domu doszło do popełnienia przestępstwa, będziemy go potrzebowali do śledztwa.

– Rozumiem.

Witek odbiera kartkę z rąk Barana. Chowa ją do kieszeni.

– Co było potem? – Wraca do przesłuchania.

– Lekarz, podobnie jak ja, podejrzewał, że Ewa coś zażyła. Zadał kilka pytań. Kazał mi się rozejrzeć po domu, czy nigdzie nie ma opakowań po lekach, które mogła wziąć. Sprawdzałem nawet w śmietniku, ale nic nie znalazłem. To mogło być cokolwiek, jakieś dopalacze, narkotyki, nie znam się na tym...

Ostatnie słowa Kapicy zagłusza dzwonek domofonu. Jego przeraźliwy jazgot wypełnia wnętrze. Gospodarz podrywa się na równe nogi.

– To pewnie technicy, proszę im otworzyć – stwierdza spokojnie Witek, również się podnosząc. – Ty, Ryszard, poczekaj – zwraca się do Barana. – Ja to z chłopakami załatwię.

Podąża za gospodarzem do holu. Kapica patrzy w ekran wideodomofonu. Przed bramą mokną dwaj smutni faceci. Zerka pytająco na komisarz, która przystanęła obok.

– Tak, to ludzie od nas, z wydziału technicznego – potwierdza. – Niech pan ich wpuści.

Mężczyzna przyciska właściwy guzik, otwiera drzwi i czeka, aż nowo przybyli dotrą spod furtki. Małgośka nie rusza się z miejsca.

– Nareszcie, coś długo się zbieraliście – rzuca kwaśno, gdy przekraczają próg.

Funkcjonariusze z ekipy technicznej, zupełnie przemoczeni, obładowani mnóstwem przeróżnego sprzętu: walizkami, statywami fotograficznymi, nie wyglądają na zadowolonych z nagłego wezwania do pracy.

– Od matki z imieninowego obiadu musiałem wyjść – stwierdza z wyrzutem jeden z nich.

Jest niski, chudy, zasuszony, z dwudniowym zarostem na poszarzałej,

mokrej twarzy. Źle skrojony garnitur, który zapewne miał przydawać mu elegancji – wszak imieniny mamusi do czegoś zobowiązują – podkreśla dodatkowo mizerię sylwetki.

Witek ignoruje słowa kolegi.

– Kierownik komórki technicznej, Mariusz Radomski. – Przedstawia go bez wstępów. – A to szef laboratorium kryminalistycznego, Adam Wojda. – Wskazuje na drugiego z policjantów, który z kolei, odziany w wyciągnięty dres, wygląda, jakby przed chwilą wstał z łóżka. Małgośka patrzy na kolegów, nie kryjąc niezadowolenia z ich lekko wczorajszej formy, bierze oddech i kończy wzajemną prezentację: – A to pan Szymon Kapica, który zgłosił sprawę. Pozwoli pan, że nie będziemy tracić czasu i od razu przejdziemy do garażu. Pan niech zostanie z podkomisarzem, sami trafimy do garażu, Okej?

Nie czekając na pozwolenie, rusza w głąb korytarza. Obładowani sprzętem technicy posłusznie wędrują za nią. Kapica z nieco zdezorientowaną miną zostaje w holu. Jest niezbyt szczęśliwy z faktu, że po jego domu kręcić się będą jacyś dziwni ludzie, jednak nie oponuje. Komisarz Witek wykonująca swoją pracę wzbudza w nim respekt. Wraca zatem do salonu, gdzie nadal siedzi Baran.

– Może jednak czegoś się pan napije? – pyta bezbarwnym tonem.

– Nie, dzięki. – Rysiek stara się zająć jak najwygodniejszą pozycję w fotelu.

Z zasady każdy fotel powinien być wygodny, a ten nie jest. Jest zbyt fikuśny. Na pewno stworzony przez jakiegoś znanego designera. Szatański mebel – tyłek Ryśka ledwie się w nim mieści. Z drugiej strony, może to i lepiej, komfort nie sprzyja skupieniu, a szum deszczu, który nieprzerwanie leje za oknem i rozpryskuje na szybach, działa na niego usypiająco. Dzięki niewygodzie policjant zachowuje czujność. Obserwuje Kapicę. W facecie jest coś, co go zastanawia. Niby sprawia wrażenie silnego, ale równocześnie jest w nim pewna miękkość, coś niedopowiedzianego. Kiedy Rysiek poznał go na siłowni, mężczyzna sprawiał wrażenie typowego mięśniaka, wyluzowanego, nieznającego strachu, a teraz wydaje się być – nawet zważywszy na okoliczności – ponadnormatywnie spięty.

– Ale ja, jeśli pan pozwoli, zrobię sobie kawę – stwierdza i odchodzi w stronę kuchni.

Rysiek śledzi każdy jego ruch. Kapica nabija kawę sitko w ekspresie. Umieszcza je we właściwym miejscu. Po chwili wewnątrz wypełniają postękiwania maszyny, aż wreszcie słychać przeciągły syk. Z dyszy wylewa się aromatyczna smoła. Odurzający zapach unosi się w powietrzu.

Gospodarz wraca z filiżanką i zajmuje swoje poprzednie miejsce. Widocznie jemu niewygodna nowoczesnego fotela nie dokucza. Przez moment między mężczyznami panuje niezręczna cisza.

Przerywa ją Kapica:

– Chyba niełatwo pracować pod dowodzeniem takiej kobiety? – zagaja.

Baran unosi brwi.

– Że niby jakiej?

– Proszę nie udawać. – Cień uśmiechu przebiega przez usta mężczyzny. – Jest atrakcyjna, mimo że trochę zbyt sztywna.

– Przywykłem. Komisarz Witek zna się na rzeczy, to, jak wygląda, nie ma znaczenia. Nie postrzegam jej w ten sposób.

– Taak... – Przytakuje zamyślony. – Ale twarda z niej sztuka, chociaż nie wygląda na taką.

– Tak pan uważa?

– Nie sądziłem, że jest glina.

Użycie czasu przeszłego sprawia, że Baran wbija w niego uważne spojrzenie. Kapica chyba orientuje się, że chlapnął o słowo za dużo. Pokrywa niezręczność uśmiechem i zanurza usta w filiżance.

Tymczasem z korytarza prowadzącego do garażu wyłania się Witek, energicznie pokonuje odległość dzielącą ją od kanapy.

– No dobra. – Z impetem zajmuje swoje miejsce, nie zwracając uwagi na dziwny wyraz twarzy obu mężczyzn. – Poinstruowałam chłopaków, co mają robić. Kiedy skończą przy samochodzie, będą musieli pobrać także materiał z reszty domu. Rozumiem, że nie będzie miał pan nic przeciwko. – Nie daje Kapicy dojść do słowa i na tym samym wydechu wraca do wątku, który przerwało nadejście techników. – Proszę powiedzieć, czy żona miała jakikolwiek powód, żeby targnąć się na swoje życie.

Kapica wydaje się zbity z tropu. Odstawia filiżankę na stolik. Zbiera myśli. Wzdycha.

– Czy ja wiem... – Zastanawia się. – Chyba nie.

– A jak się państwu układało w małżeństwie?

– Dobrze.

– Mielście ostatnio jakieś problemy?

– Nie. – W głosie mężczyzny drga wahanie. Nie wytrzymuje spojrzenia kobiety, wbija oczy w zaciśnięte dłonie, które trzyma na kolanach. – Jesteśmy zgodnym małżeństwem. Oczywiście bywają gorsze chwile. Jesteśmy ze sobą już od piętnastu lat, ale to nie są konflikty, które mogłyby skłonić Ewę do tak szalonego kroku.

Małgośka nie wygląda na przekonaną, pyta dalej:

– A w pracy?

– Ona jest dobrym burmistrzem. Uwielbia to, co robi. Pomaganie ludziom, działalność na rzecz naszej społeczności traktuje jako swego rodzaju powołanie...

Z ust Kapicy wylewają się wizerunkowe banały, które zwykle można wyczytać na plakatach wyborczych. Powinien jeszcze dodać, że największym marzeniem jego żony jest pokój na świecie.

Na twarzy Małgośki na ułamek sekundy pojawia się kpiący wyraz, ale nie przerywa przesłuchania.

– Jakże ma pan zatem przypuszczenia?

– Ja? A czy to ma znaczenie?

– Naturalnie.

– Hmm... Myślę, że musiało zdarzyć się coś... – urywa. Krew uderza mu do twarzy.

Witek wzdycha zniechęcona.

– Pan coś wie, ale nie chce nam powiedzieć.

– Nie. Skąd?!

– To mogłoby nam pomóc.

– Ale ja naprawdę...

– Okej. Sądziłam, że panu zależy, tak jak nam, żeby czym prędzej wyjaśnić tę sprawę. Jeżeli nie, to trudno, w takim razie poczekamy na to, co powiedzą w laboratorium. – Małgośka piorunuje faceta wzrokiem. Atmosfera w pomieszczeniu gęstnieje, jednak Kapica nie daje się złamać.

– Czy to wszystko? – pyta po chwili. – Chciałbym, jak najszybciej wrócić do Ewy, do szpitala. Na pewno państwo rozumieją.

– Wszystko...? – Witek mruży oczy. Ignoruje uwagę Kapicy na temat żony. Wygląda, jakby się zawiesiła. Przenosi wzrok za okno i wpatruje w las. Odzywa się dopiero po kolejnych paru sekundach: – W sumie, to nie. Prawda, Ryszardzie?

– Tak, bo widzi pan, ja także mam do pana kilka pytań.

– Wszystko już chyba państwu powiedziałem, nic więcej nie wiem. – Gospodarz wygląda na znużonego.

Rysiek nie ustępuje:

– Chciałem zapytać, czy zna pan Karola Górskiego?

Szymon Kapica zamiera. Jest kompletnie zaskoczony pytaniem. Teraz dla odmiany krew odpływa mu z twarzy. Jest biały jak papier. Nerwowo przełyka ślinę. Zaciska dłonie na kolanach.

– Naturalnie. To mój uczeń. Teraz już były uczeń. W tym roku zdawał maturę, skończył szkołę.

– Dziś rano matka zgłosiła jego zaginięcie.

Zapada cisza.

– I co ja mam z tym wspólnego? – pyta powoli, bez emocji, a wyraz jego twarzy się zmienia.

Ryśka zastanawia reakcja mężczyzny. Najpierw na wzmiankę o chłopaku jest wyraźnie poruszony, jednak na wieść o jego zaginięciu reaguje zupełnym spokojem.

– Po prostu chciałem się od pana czegoś o nim dowiedzieć. Na temat jego relacji z kolegami, cech charakteru, zwyczajów, tego, jak się uczył... Takie tam,

rutynowe pytania.

Kapica na wyjaśnienia policjanta wypuszcza powietrze.

– Niewiele o nim wiem.

– Ale był pan jego wychowawcą?

– Tak.

– Podobno Karol przeniósł się do liceum z zawodówki?

– To prawda. Jego matka... Może już państwo ją poznali, jego matka to trochę taka... Chyba za dużo pije, rozumieją państwo? W szkole pokazała się zaledwie raz, na jednej z pierwszych wywiadówek. Później sprawami szkolnymi Karola interesowała się już wyłącznie babka. Karol nie ma ojca, po jego śmierci babcia postanowiła zająć się wychowywaniem wnuka, żeby go wyrwać z tej patologii przy Wyzwolenia.

– Tak, to już wiem. – Rysiek mu przerywa. – Bardziej mnie interesują jego szkolne sprawy. Jak się uczył? Czy był lubiany? Może miał jakichś wrogów?

– Nie miał problemów, jeśli o to pan pyta. Uczył się bardzo dobrze. Zdolny dzieciak i bardzo pracowity. Trochę słabiej mu szło z przedmiotami ścisłymi. Denerwował się tym, bo jest aż do przesady ambitny, jednak z polskim, z językami, historią radził sobie dobrze. Typowy humanista. No i plastyka. Jest niezwykle uzdolniony manualnie. Z tego, co wiem, zdaje na akademię.

– A w kontaktach z rówieśnikami jaki był?

– U nas w szkole jest przewaga dziewczyn. W każdej klasie co najwyżej jedną trzecią stanowią chłopcy. Tutaj, w mieście, chłopaki częściej wybierają technikum, bo to od razu daje jakiś zawód. Do liceum przychodzą wyłącznie ci, którzy planują później studia. Nasi chłopcy, jak nietrudno się domyślić, mają się w szkole jak pączki w maśle.

– To znaczy?

– Mają powodzenie. Nawet te największe ofermy. Jak to mówią: na bezrybiu i rak ryba.

– Karol był takim oferumą?

– Tego nie powiedziałem. On być może za takiego chciał uchodzić przed nauczycielami: spokojnego kujona. Ale to chyba tylko poza. To typ czarusia. Gdy miał problemy z jakimś przedmiotem, to zawsze nadrabiał miną, potrafił sobie jedną czy drugą panią profesor owinąć wokół palca. Z matematyki w którymś roku groziła mu trójka, dla niego koniec świata, ale jakoś wyprosił lepszą ocenę. Zresztą wszystko uchodziło mu płazem, nawet jak go któraś z nauczycielek złapała na gorącym uczynku.

– Jakim na przykład?

– Na ściąganiu albo paleniu.

Rysiek kiwa ze zrozumieniem.

– ...Karol jest z tych, co to ich się nie da nie lubić. Dziewczyny ze szkoły

latały za nim jak głupie. Poza tym, że dobrze się uczył, to był jeszcze przystojny. Nie to, żebym się znał na męskiej urodzie, ale sędzę, że płci przeciwnej musi się podobać. Wysoki, dobrze zbudowany, nordycki typ. Poza tym jest starszy od reszty uczniów. Taki bardziej... męski. Więc co i raz widywałem go z inną dziewczyną.

– A z chłopakami? Przyjaźnił się z którymś?

– Szorstką przyjaźnią... – Kapica uśmiecha się krzywo. – Karol z chłopakami był w umiarkowanie dobrych stosunkach. Dziewczyny lecą na intelektualistów, kolegom tym nie imponował. Zawsze przygotowany do klasówek, zawsze wymądrzający się na lekcjach. Na każdy temat miał coś do powiedzenia. Z drugiej strony, w piłkę po lekcjach raczej z chłopakami nie kopał. Niektórzy koledzy na pewno go nie rozumieli.

– Co pan ma na myśli?

– Karol jest trochę ekscentryczny. Młody artysta. Pyskaty. Lubił się popisywać erudycją. Miał nietypowe zainteresowania.

– Jakie na przykład?

– Niech pomyślę... Kiedyś na godzinie wychowawczej każdy z uczniów miał opowiedzieć o swoim ulubionym artyście. Wszyscy mówili o aktorach, muzykach, a Karol zrobił nam wykład o Hieronimie Bosch i prymitywizmie niderlandzkim.

Małgośka rzuca wymowne spojrzenie Ryškowi. Myślą o tym samym: o tle na fejsbukowym profilu Górskiego.

– ...Do tego ubierał się inaczej niż reszta dzieciaków. W życiu go nie widziałem w bluzie czy w dżinsach. Zawsze koszula, marynarka. Stylizacja na ucznia Eton. Mały książę. Trochę to śmieszne było. Ale widocznie chciał uchodzić za poważniejszego, dojrzałego niż rówieśnicy. Lubił się wyróżniać. Dziewczynom na pewno to się podobało. Zresztą, gdyby nie one, można by uznać, że Karol jest, no wiecie, państwo... gejem. W każdym razie chłopakom ze szkoły trudno było akceptować jego odmienność.

– I z żadnym się nie kumpłował.

– Trzymał się trochę bliżej z Kubą Braszkiewiczem. Chociaż zawsze mnie to dziwiło. Braszkiewicz to straszny leser... Mogę dać państwu namiar na niego.

– Nie trzeba, mam jego adres od babci Karola. – Baran nie reagując na uniesione brwi mężczyzny, wraca do zadawania pytań: – A czy Karol był z kimś mocniej skonfliktowany?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A z panem?

Kapica marszczy czoło.

– Co ze mną? Czy ja z nim byłem w kiepskich stosunkach?

– Jak się układały pana relacje z Karolem?

– Normalnie. Przez trzy lata byłem jego wychowawcą, ale to nie znaczy, że



dobrze go znam. Nie byliśmy szczególnie blisko. Inni chłopcy z klasy czasem zostawali po lekcji, pogadali ze mną. Wpadali też na siłownię, bo wiedzieli, że dostaną zniżkę, a on trzymał dystans. Nie zwierzał mi się z problemów. Z nauką szło mu bardzo dobrze, nie musiałem się nim jakoś szczególnie zajmować. O swoich domowych sprawach nigdy nie opowiadał. Może trochę się wstydził tej swojej matki i faktu, że im się w domu nie przelewa, jednak ze mną o tym nigdy nie rozmawiał. Ja go też nie ciągnąłem za język. Zresztą, jak już mówiłem, on nie tylko ze mną nie utrzymywał głębszej relacji, ale z większością klasy nie potrafił się zintegrować.

– A czy według pana miał powód, żeby uciekać z domu?

– Nie wiem. Chyba nie. A może...? Jego babka przychodziła na wywiadówki, lecz nigdy nie rozmawialiśmy osobiście, nie było takiej potrzeby. Co do niej, z tego, co zauważyłem, to specyficzna kobieta. Bardzo wyniosła. Zamknięta. Zasadnicza. Na pewno trzymała wnuka krótko i chowała twardą ręką. Może Karol miał tego dosyć? Może było mu ciężko? Nie wiem, to wyłącznie moje przypuszczenie. Podkreślam, nie znałem go prywatnie, chyba nigdy nie rozmawialiśmy sam na sam, szkoła implikuje pewne ograniczenia w relacjach uczeń–nauczyciel. – Wpatruje się w swoje kolana. Zdejmuje ze spodni nieistniejący paproch.

– Nawet podczas szkolnych wycieczek? Wtedy chyba jest okazja, żeby zbliżyć się z uczniami?

– Karol przez trzy lata nigdzie z nami nie wyjechał. U niego w domu się nie przelewa. Nie wiem, gdzie pracuje matka, ale pewnie fizycznie, jeśli w ogóle, a babki z emerytury nie było stać.

Rysiek siedzi zamyślony. Analizuje słowa nauczyciela.

– To dziwne – mówi po namyśle. – Twierdzi pan, że nie miał okazji z nim rozmawiać w cztery oczy, a cieć z liceum powiedział mi, że nie dalej, jak w zeszłym tygodniu, widział pana z Karolem pod szkołą.

Cisza. Konsternacja. Witek wpatruje się w Szymona w skupieniu. Jego źrenice lekko się rozszerzają. Prawa powieka nieznacznie drży.

– Cieć mnie widział z Karolem? Nie... To niemożliwe. Może pomylił go z jakimś innym uczniem. Zresztą po co Karol miałby przychodzić do szkoły? Ma już wolne.

– No tak, cieć pewnie się pomylił.

Milkną. Dopiero Kapica przerywa ciszę:

– Karol się znajdzie. Pewnie za dużo wypił wczoraj na ognisku i jak wytrzeźwieje, wróci.

– Możliwe.

Od strony korytarza prowadzącego do garażu dochodzą głosy. Po chwili do salonu wchodzi technicy niosący sprzęt. Gdy docierają do salonu, Radomski

zwraca się do Witek:

– W garażu już skończyliśmy.

– Super. – Kobieta podnosi się z kanapy. – My już też chyba wszystko wiemy, prawda, Ryszardzie? – rzuca do kolegi, a następnie odwraca głowę w stronę gospodarza. – Będziemy powoli lecieć. Chłopcy zbiorą z reszty domu odciski palców, pobiorą je też od pana.

Technicy rozstawiają swoje walizy w pokoju. Kapica podnosi się z fotela.

– Oczywiście. Proszę robić, co trzeba, byle szybko. Chciałbym czym prędzej jechać do szpitala.

Małgośka rusza w stronę drzwi, kiwając na Ryśka. Zatrzymuje się w pół kroku.

– Ach, i zapomniałam, poproszę o numer do tych znajomych, u których pan dzisiaj nocował w Lublinie.

– Jestem podejrzany?

– Wszyscy jesteście podejrzani. – Zażartowała bez uśmiechu.

Kapica sięga po swoją komórkę, dyktuje właściwy numer Małgośce. Ta wklepuje go do swojego telefonu.

– I jeszcze telefon żony – dorzuca.

– Co z nim?

– Ma go pan?

– Mam, leżał na stole, kiedy znalazłem Ewę.

– Czy mogłabym w takim razie o niego poprosić?

Kapica nie wygląda na zadowolonego, ale z kieszeni spodni wyjmuje smartfona z logo jabłka.

– Ma blokadę, raczej nie uda się państwu dostać do danych.

– Mimo wszystko poproszę go...

Kapica daje za wygraną. Komisarz Witek uśmiecha się do niego krzywo:

– Proszę nas nie odprowadzać do drzwi. Na razie nie będziemy się żegnać, być może jeszcze się dzisiaj zobaczymy.

[23] Ibidem.

## 22.

*Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo! [24]*

Mózg to niezwykły organ. Pozornie zwyczajna glutowata masa, a jednak wystarczy szarpnąć za właściwą strunę wspomnień, aby reszta melodii popłynęła zupełnie swobodnie.

Nie działają moje ręce ani nogi, płuca też zrobiły sobie wolne, a mimo to szare zwoje nadal pracują. Dzięki temu wciąż tu jestem, unoszę się na granicy jawy i snu. Niby nic nie pamiętam, a jednak wraca do mnie coraz więcej szczegółów. Jeszcze nie wiem, jak się tu znalazłam, dlaczego śpię spętana przewodami, rurkami i kablami, dlaczego oddycham – chociaż właściwie nie oddycham – jednak to, co było, to, co przywiodło mnie do tego miejsca, do białej sali bez okien, staje się coraz bardziej wyraźne. Wszystko staje się jasne.

I znowu mam przed oczami tamtą zimę. Znowu widzę naszą pierwszą noc.

Wieczór na początku lutego, mroczny i wilgotny. Spływający mokrym śniegiem do studzienek. I znowu podążam wąską ciemną ulicą na leśnym osiedlu. I spotykam jego, idącego z gołą głową, w płaszczu, którego poły rozwiewał wiatr.

Zabrałam go wtedy do samochodu. Zabrałam do siebie. Dla siebie. Powiozłam do domu. Jakbym uprowadzała. Młodocianego. To było bardzo nierozsądne. Mimo że sosny bronią mojej prywatności, jednak zawsze jakiś ciekawski sąsiad może zobaczyć coś, czego nie powinien. Mógł też niespodziewanie wrócić Szymon. Mogło nam stanąć na przeszkodzie tysiąc innych rzeczy, ale żaden straszny scenariusz się nie spełnił.

Wiedziałam, że nie mamy najmniejszych szans, aby kiedykolwiek wyjść z ukrycia. To uczucie było zakazane i nie powinno było się zdarzyć. Jeżeli w naszym bogobojnym mieście ktoś się o tym dowie, stracę wszystko: stanowisko, dobre imię, być może także majątek. Dorobek całego życia. Za noc w jego ramionach byłam w stanie zapłacić taką cenę. Tak wtedy uważałam.

Nic się nie liczyło. Istniało jedynie tu i teraz.

Wyłącznie jego dłonie.

Kiedy wiozłam Karola na Kamienną, żadne z nas już się nie odezwało. Ani

wtedy, ani później, kiedy wprowadziłam go do ciemnego wnętrza domu. Nie zapaliłam świec, zamknęłam tylko drzwi na klucz i pociągnęłam go na górę. Chciałam się z nim kochać od razu. Jeżeli miało się to w ogóle stać, musiało wydarzyć się natychmiast. W innym wypadku być może rozmyślałabym się, wycofała, uciekła.

Jeszcze na schodach zrzuciłam buty i płaszcz. On podążył za mną. Wpadliśmy do sypialni. Oparłam się plecami o drzwi.

Rozbierając go niecierpliwie, nie myślałam o tym wszystkim, co nas dzieli. O tym, że robimy coś niewłaściwego, czego nikt nie zaakceptuje. Pewnie gdyby role się odwróciły, i to Karol był starszy o dwadzieścia lat ode mnie, świat by to jakoś przełknął – nawet starzec ma prawo uprawiać seks z dwudziestolatką – ale dojrzała kobieta i chłopiec? To dla większości zbyt kontrowersyjne. To zbrodnia. Powinnam lepić pierogi i gotować rosół, wychowywać dzieci, gdybym je posiadała, i dbać o męża, a w niedzielę spowiadać się z grzesznych myśli, z tłumionych pragnień, niezrealizowanych fantazji... Nie byłam jednak tego typu kobietą – dobrą żoną, kucharką – nawet zanim poznałam Karola. Dlaczego miałabym się nią stać właśnie teraz? W imię czego?

Z wprawą zdejmował ze mnie ubranie. Przez okno do sypialni wpadało skąpe światło zimowego wieczoru. Oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności. Staliśmy przed sobą nadzy, długo się sobie przyglądając. On, w rozkwicie męskiej siły, w uwerturze życia, tak nieziemsko piękny, doskonały. Ja na chwilę przed przekwitnięciem. Moje ciało zdawało się wydawać łabędzi śpiew. Wprawdzie nadal zachowałam figurę, lecz skóra nie była już tak napięta, gładka, jak przed laty.

Karol sprawiał wrażenie, że tego nie dostrzega. Z zachwytem błędził spojrzeniem po liniach mojego ciała. A wreszcie zbliżył się i przywarł do mnie. Poczulałam wypukłości jego mięśni i ciepły, nabrzmiały członek... Poczulałam jego wargi na skroni, policzku, szyi i ustach. Dłonie błędziły po moich pośladkach i piersiach, wszędzie, wszędzie, coraz szybciej i szybciej, zachłannie. Traciłam oddech. Podniecenie odbierało mi władzę w nogach. Pociągnęłam go na podłogę. Już! Teraz, natychmiast, chciałam, żeby mnie sobą wypełnił.

Wszedł we mnie mocno, niedelikatnie. Zachłannie. Przygryzłam wargi, zdusiłam jęk, przymknęłam oczy... Karol poruszał się szybko, jakby i jego trawiła niecierpliwłość, jakby chciał mnie pochłonać. Bezlitośnie wybijał ze mnie biodrami resztki wyrzutów sumienia i obrazy tej ostatniej, strasznej zimy, cynicznych uśmiechów ludzi z rady powiatu i zobojętniałej twarzy Szymona, zajętego wyłącznie sobą, swoimi studiami, fitnessami, dietami, kochankami... Wszystko uleciało. Wyrwana jego dotykiem z kontekstu szarej codzienności, poczułam się cudownie wolna, znowu piękna, podziwiana, pożądana. Zacisnęłam dłonie na twardych pośladkach i pozwoliłam, by wszedł we mnie jeszcze głębiej, stał się mną. A wreszcie w moim ciele coś implodowało, rozsypało się na milion

kawałków, pełznąć po kręgosłupie i docierając do każdego nerwu, każdej komórki ciała. *La petite morte* rozszarpała moje wnętrze. Młody kochanek dołączył do mnie po chwili w akcie małej śmierci. Krople potu na naszych ciałach zmieszały się ze sobą...

[24] *Ibidem.*

23.

*Pokaż mi jaki ideał dziewczęcy,*

*Będzie—ż on dla mnie w istocie czym więcej*

*Jak przypomnieniem, że jest piękność inna,*

*Przed którą ta by ukłęknać powinna?[25]*

Nie rozumiem, dlaczego się wtedy nie pieprzyliśmy. Powinniśmy. Całowała mnie jak szalona. Wciskała język do ust, do gardła. Gryzła i szarpała. Nie pozostawałem jej dłużny, chociaż z początku zaskoczyła mnie jej dzikość. Wbiłem się w nią. Przycisnąłem. Dotykałem jej biodra, pośladki, piersi. Wcisnąłem dłonie pod spódnicę. Chciałem jej ściągnąć majtki i przelecieć tutaj, pod szkolną ścianą, na mrozie i w śniegu. Jej zapach był obezwładniający, jej ciało jak pułapka. Płonałem.

Wtedy mnie odepchnęła. Zupełnie nieoczekiwanie. Mocno i stanowczo, że prawie poleciałem tyłkiem na śnieg.

– Musimy wracać – powiedziała.

Poprawiła fryzurę. Obciągnęła sukienkę.

– Pójdę pierwsza. Ty przyjdiesz za chwilę.

Głos jej drżał. Piersi unosiły się w rytm przyśpieszonego oddechu, ale mówiła w taki sposób, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie zniesie sprzeciwu. Otarłem pot z czoła i zrobiłem krok w jej kierunku.

– Przecież tego chcesz – powiedziałem.

– Otrzyj szminkę, zanim wrócisz – stwierdziła, jakby mnie nie słyszała. – Chociaż ty, to właściwie nie musisz.

Poszedłem za nią. Aż do drzwi liceum. Przystanęliśmy tam i spojrzeliśmy na

siebie, trochę zdziwieni tym, co zaszło, trochę zażenowani. Ona pewnie dlatego, że jestem taki młody. Wstyd jej było? Ja natomiast tym, że nie udało mi się jej zatrzymać. Powinienem wtedy coś zrobić. Przytrzymać ją, powiedzieć coś. Pocałować raz jeszcze. Ale moment minął. Mogliśmy się tylko rozstać bez słowa.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam nawet, jak i kiedy wróciłem do domu.

Najgorsze było to, że ta noc powinna zmienić wszystko, a nie zmieniła nic. Dalej o niej myślałem, nawet więcej niż do tej pory i dalej nie mogłem się do niej zbliżyć. Przychodziłem nad rzekę, ale ona przestała się tam pojawiać.

Musiałem do niej dotrzeć. Kompletna szajba. Szukałem jej na fejsie, ale nie znalazłem. Nic dziwnego. Była burmistrzem. Politykiem. Nie chciała się wygłupiać. Potem by jej ktoś wyciągnął, że polajkowała jakąś durną stronkę czy mema. Miała za to oficjalną skrzynkę pocztową w urzędzie miasta. Ale co jej tam miałem napisać? „Szanowna Pani Burmistrz, piszę do Pani jako zatroskany obywatel naszego pięknego miasta, który uważa, że ogólny poziom życia mieszkańców podniósłby się znacząco, gdybyśmy poszli się pieprzyć”... Okej. Przez chwilę nawet to rozważałem. Ale nie odważyłem się.

W szkole uważnie obserwowałem Kapicę. To, jak na mnie reaguje. Jak się zachowuje. Co mówi o mnie i do mnie. Starłem się wychwycić, czy Ewa coś mu powiedziała na temat tego, co się stało na studniówce. Mógł się wściec, próbować się na mnie zemścić. Lub, co wydawało mi się najgorsze, mógł sobie ze mnie drwić, jeśli oboje traktowali to jako formę żartu. Istniało prawdopodobieństwo, że byli jedną z tych par, które traktują takie gierki jako formę afrodyzjaku. Ale na szczęście nic się nie zmieniło. Uznałem, że o niczym nie wie. Że o niczym mu nie powiedziała.

Czym w takim razie było to zdarzenie na studniówce? Tylko wynikiem działania alkoholu i trawy? Chwilą szczerości, jak wtedy nad rzeką? Musiałem się przekonać, jeszcze raz z nią porozmawiać. Spotkać się. Tylko jak? Najprostsza rzecz – pójść do Urzędu Miasta. Dobra. Tylko jak ja przekonam durnych urzędników, że mam interes do ważnej pani burmistrz? Nie dopuszczą mnie do niej. A jeśli nawet, to zwrócę na siebie uwagę. A jednego byłem pewien, nie chciała żadnych plotek. Trzeba to było załatwić dyskretnie. Drugi pomysł, pójść do Kapicy. Wydobyć od niego numer telefoniczny do żony. Tylko pod jakim pretekstem? Co miałbym mu powiedzieć? No i poza tym, to już byłoby mocno bezczelne. Nie. On też nie powinien się o niczym dowiedzieć. To spotkanie musiało wyglądać na zupełny przypadek. Trzeba się było zdać na los, ale lekko mu przy tym pomagając.

Wiedziałem mniej więcej, gdzie mieszka. Zmieniłem swoją trasę ze szkoły do domu tak, żeby jak najbardziej pokrywała się z jej. Specjalnie szedłem jak najwolniej. Czasami się cofałem, żeby pójść nią jeszcze raz. Dać nam więcej szans. Totalne wariactwo. Droga, która normalnie zajmuje mi dwadzieścia minut, teraz

zajmowała czasami nawet dwie godziny. Przez prawie tydzień się nie spotkaliśmy. Nawet ani razu jej nie widziałem. Ale nie traciłem nadziei.

W lutym przysłała odwilż. Miasteczko przestało wyglądać jak z obrazka i przybrało swoje naturalne, szare barwy. Było mokro, zimno i błotniście. Syf, od którego chciało się płakać. Miałem przemoczone całe buty. Czułem, jak woda chlupocze mi przy każdym kroku. Dygotałem z zimna. Ale zawziętem się w sobie. Przejście trasą. Dyskretny powrót. Potem jeszcze raz. Może tym razem się uda. Może to będzie ten dzień.

W pewnym momencie jeden z samochodów zaczął hamować i zamiast mnie minąć, zatrzymał się, a potem powoli ruszył za mną. Odwróciłem się dyskretnie i zerknąłem przez ramię. To był jej wóz. A raczej ich. Nie wiedziałem, kto siedzi w środku. On czy ona? Ale jeśli on, to czemu się zatrzymał? Czyżby jednak wiedział? Domyślał się? Chciał załatwić sprawę po męsku? Szedłem dalej, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Samochód ruszył za mną. Zwolniłem kroku. Poczekalem, aż się ze mną zrówna i przystanąłem.

Patrzyłem w swoje odbicie w ciemnej szybie samochodu. On czy ona? Szybka decyzja, że to właściwie nie ma znaczenia. Wsiadłem do środka. Najpierw usłyszałem muzykę. Coldplay i *Paradise*. Tyle wystarczyło. Już wiedziałem, że trafiłem. Była tam. Na siedzeniu z tyłu leżała siata z mrożonką i butelką wina. Wtedy sobie przypomniałem, że przecież Kapica zaraz po lekcjach wyjechał do Lublina na zajęcia.

– Zazwyczaj tędy nie chodzę. – Zacząłem powoli – Wybieram drogę na skrót, przez most kolejowy i wzdłuż rzeki, stamtąd mam bliżej na Podleśną. Ale wiem, że pani... – zaciąłem się. Po co jej to wszystko mówiłem? Brzmiało to dość żałośnie. Jakbym się jej tłumaczył. Ale powiedziałem „a”, trzeba było powiedzieć „b”. – Że ty jeździsz właśnie tędy i miałem nadzieję, że wreszcie na siebie wpadniemy.

– Spotkać mnie? – spytała z niedowierzaniem. Ale takim radosnym. Jakbym jej sprawił miłą niespodziankę.

– Wiem, że mieszkasz niedaleko.

– Po co chciałeś mnie spotkać?

– Przecież wiesz.

Wiedziała? Musiała wiedzieć. Nie mogła udawać. Ja też nie.

– Nie wiem.

Broniła się. Nie rozumiałem, dlaczego. Byłem tu ja. Była tu ona. Chcieliśmy tego samego. Wiedziałem o tym. Wystarczyło spojrzeć na jej zbiele od trzymania kierownicy knykcie.

– Obserwuję cię. Od dawna. Widywałem cię, kiedy po pracy zamiast do domu, jechałaś nad rzekę. Wiele razy zostawiałaś samochód tam, na skarpie, gdzie kończy się ulica, a zaczyna polna droga i szłaś nad brzeg. Długo wpatrywałaś się



w nurt, czasami ze złością rzucałaś kamienie do wody, czasami płakałaś. Innym razem, myśląc, że nikt cię nie słyszy, krzyczałaś... Tak było niemal codziennie, przez całą ubiegłą jesień i teraz zimą. Stałem wtedy w lesie i patrzyłem na ciebie. Chciałem podejść, porozmawiać, zapytać, co się stało, jak mogę ci pomóc, ale nie miałem odwagi, nie śmiałem się zbliżyć. Wiem przecież, kim jesteś, widziałem cię parę razy z mężem na mieście i u nas w szkole na rozpoczęciu roku, i na obchodach Dnia Niepodległości... Jesteś tu kimś. Ja jestem nikim.

Wyrzucałem z siebie słowa. Nie. Raczej wylewały się ze mnie. Bo byłem wściekły. Na nią. Na całą tę sytuację. Na to uczucie, które nie pozwalało mi żyć i które nie pozwalało na spełnienie. Przyszedł czas, żeby powiedzieć wszystko. Od początku do końca. Niczego nie ukrywać. I chociaż czasami czułem, że nie panuję nad słowami tak, jak chciałbym. Że nie jestem w stanie wyrazić mową wszystkich moich myśli i wszystkich moich uczuć. Że czasami gadam wyświechtane slogany. Nie przestawałem. Stanie się to, co się stanie.

Nigdy w życiu nie czułem się aż tak nagi. Taki bezbronny. Ale miałem to gdzieś. Bo nigdy też nie byłem tak odważny.

A kiedy już wszystko zostało powiedziane, pojechaliśmy do niej. Do jej pięknego, bogatego domu, gdzie do głowy przychodziło tylko jedno pytanie: czy burmistrz naprawdę tyle zarabia? Moja odpowiedź – mam to gdzieś. Rozbierała mnie szybko, łapczywie, tak samo, jak całowała. Ale wtedy się zatrzymała. Nie tym razem. Nie zamierzałem pozwolić jej uciec, rozmyślić się, odtrącić mnie po raz kolejny. Upadliśmy na podłogę. Wszedłem w nią. Natychmiast, mocno, ostro. Nie była jeszcze w pełni wilgotna. Przełamałem jej opór pomimo bólu. Ale po kilku ruchach dopasowaliśmy się do siebie. Aż otworzyła się przede mną zupełnie.

Nie czułem już siebie. Czułem ją. Jej ruchy, ciało, oddech, podniecenie. Jej orgazm.

A może mój.

Następne dni to najlepszy czas w moim życiu. Zapomniałem o Wyzwoleniu, zapomniałem o Piaskach. Ledwo pamiętałem o szkole, Akademii Sztuk Pięknych, całym moim życiu. Była tylko ona. Seks. Niesamowity. Zupełnie niepodobny do tego z moimi rówieśniczkami. One potrafiły zachowywać się tylko jak kłody i leżeć bez ruchu, aż skończę, albo jak dziwki z Redtube, za głośno jęczeć, za mocno się ruszać, odgrywać role, które zupełnie im się przecież nie podobały, ale które ciągnęły, bo wydawało im się, że tak trzeba. Ewa natomiast była kobietą, która wiedziała, czego chce. I brała to z czarującą łapczywością. Po raz pierwszy czułem, że ktoś mnie naprawdę pragnie. Coś absolutnie niesamowitego. Rzucała się na mnie, jakbym był wodą i powietrzem. Jakby miała umrzeć beze mnie. Ale to działało też w drugą stronę. Te chwile, kiedy oddawała się. Kiedy była dla mnie. Na sto procent, zupełnie, bez kalkulacji i zastanowienia. Byłem wtedy jej panem i władcą, a ona była szczęśliwa. I ja też.

Dużo rysowałem i malowałem. Głównie Ewę. Miałem tyle rozsądku, żeby nie rysować jej twarzy. Chociaż żałowałem, jak cholera. Bo bez jej spojrzenia, uśmiechu, rozmarzenia, spełnienia w oczach nie były kompletne. Wiedziałem, że są dobre, ale równocześnie wydawały mi się zepsute. Wkurzało mnie to, że nie mogłem malować wszystkiego. Że musiałem okaleczać moją sztukę w imię zachowania tajemnicy. Ale była to tylko mała rysa na tym, co się działo między nami. Ale wiecie, jak to jest z małymi rysami? Nim się obejrzysz, zmieniają się w wielkie pęknięcia.

Wiedziałem, że będzie trudniej i nasz związek nie jest normalny. Pytanie, co obecnie to słowo znaczy. Zapytacie kogoś na ulicy, czy moja matka i babka są normalne, a na 99 procent odpowiedziałyby, że tak. Tylko że to nie byłaby prawda. Wierzcie mi. Znam je obie aż za dobrze.

Okej. Nie miało być tak, jak u innych. Godziłem się z tym. I było to nawet zajebiste. Przychodziłem do szkoły. Mówiłem „dzień dobry” Kapicy, mojemu wychowawcy i równocześnie nie potrafiłem przestać dodawać w myślach: „Pierdolę się z twoją żoną”. Czasami bałem się, że nie powstrzymam się i kiedyś powiem to głośno. Strasznie się pilnowałem. Przygryzałem wargę na sam jego widok. Ale szerokiego uśmiechu powstrzymać nie potrafiłem.

– Co się tak szczerzysz? – zapytał pewnego razu. – Cieszysz się, że niedługo kończysz szkołę?

– Tak, proszę pana – potwierdziłem grzecznie.

– Gdzie się potem wybierasz? – zapytał, jakby nie wiedział.

– Do Akademii Sztuk Pięknych.

– Aaa!!! Dobrze, dobrze. Tam jest dużo fajnych, chętnych dup, nie? – zażartował, bo przecież obaj byliśmy dorośli.

„Nie tak fajnych, jak pańska żona” chciałem odpowiedzieć, ale oczywiście zamiast tego tylko pokiwałem głową, udając rozbawienie.

Tak. Ta tajemnica. To, że musieliśmy się ukrywać. Szukać okazji do bzykania i wykorzystywać je w stu procentach. To wszystko było fajne. Na razie było super. Na razie byliśmy szczęśliwi. Nawet moja babka i matka zauważyły różnicę. Przyglądały mi się podejrzliwie, niepewne i chyba lekko przestraszone. Jakby moje zadowolenie zakłócało normalny bieg ich życia. Szczególnie matkę to gryzło. Krążyła wokół mnie. Oglądała to z jednej, to z drugiej strony. Niespodziewanie wpadała do pokoju, kiedy u niej byłem, a potem wychodziła bez słowa chyba rozczarowana tym, że nie złapała mnie z igłą wbitą w żyłę lub wachającego rozpuszczalnik z plastikowej torebki (tak, to ciągle było popularne hobby na Wyzwoleniu!). Jestem pewien, że go przeszukała pod moją nieobecność. Nic nie znalazła, bo wszystko, co cenne, trzymam u babki. Inaczej matka lub któryś z jej gachów by mi to zabrali i wymienili na wódkę. Nie żartuję. Już to przerabialiśmy. Dobra, ale znowu robię jakąś dygresję. Ciekawe, że to jednak

babka postanowiła ze mną porozmawiać. Pewnego dnia zawołała mnie do salonu. Pachnącego naftaliną pokoju pełnego wspomnień. Siedziała za potężnym, dębowym stołem. Na białej, świeżo wypranej serwetce stały dwie filiżanki herbaty. Na środku porcelanowy imbryczek z błękitnymi zdobieniami.

– Usiądź, proszę – powiedziała i wskazała mi miejsce naprzeciwko siebie. Głos miała grobowy. Przez chwilę szczerze przestraszyłem się tego, że zamierza mi powiedzieć, że umiera. Byłoby mi przykro, bo pomimo jej wszystkich wad – lubiłem babkę. No i musiałbym wrócić na Wyzwolenie.

Zająłem miejsce na niewygodnym krześle. Chrząknęła. Potem jeszcze raz, z głębi gardła, aż załapałem, o co jej chodzi. Rozlałem nam herbaty.

– Cukru, babciu?

– Łyzeczkę.

Nasypałem tyle, ile prosiła. Sam piłem gorzką. Nie dlatego, że lubiłem, ale dlatego, że ona uznawała, że właśnie taką powinni pić prawdziwi mężczyźni (wspominałem, że nie była normalna?). Milczeliśmy.

– O co chodzi? – zapytałem, pękając pierwszy i momentalnie się za to znienawidziłem.

Babka chwyciła za łyżeczkę. Zamieszała cukier w filiżance.

– Obserwuję cię z pewnym niepokojem, Karolku – powiedziała. – Ostatnimi czasy wydajesz się taki nieswój. Taki... roztargniony.

– Być może, babciu – przyznałem półgębkiem. – Ale to z powodu nauki. Zbliżają się egzaminy, matura. Trzeba też przygotować teczkę do akademii.

Nauka, akademia, egzaminy – potrójna ściema, którą zawsze łykała.

– Właśnie, kochanie. To jest ten moment w twoim życiu, kiedy powinieneś być maksymalnie skupiony. Skoncentrowany. Czeka cię wielka przyszłość, kochanie.

– Dobrze, babciu.

Napiła się herbaty.

– Mieszkasz pod moim dachem – stwierdziła – więc uważam, że mam prawo o to zapytać. Czy w grę wchodzi NAR–KO–TY–KI?

Miałem ochotę się roześmiać. Babka kiedyś weszła do mojego pokoju tuż po tym, kiedy skończyłem palić trawkę. Zapach unoszący się w powietrzu był tak silny, że policyjne psy chyba zesrałyby się z nadmiaru bodźców. Ona natomiast albo nic nie poczuła, albo go nie rozpoznała. Ale jestem pewien, że później miała wesołe sny.

– W żadnym wypadku, babciu.

– To może dziewczyna?

– Też nie – skłamałem gładko. – Nie mam teraz do nich głowy.

Świdrowała mnie wzrokiem.

– To dobrze – stwierdziła po chwili. – Z dziewczynami trzeba uważać.

Pamiętaj, jak skończył twój ojciec.

Mówiła to najzupełniej poważnie. Jakby zupełnie zapomniała o tym, że owocem tego, „jak skończył” mój ojciec, jestem ja.

– Dziękuję za radę – powiedziałem jak grzeczny chłopiec.

Uniosła filiżankę do ust. Raz jeszcze obejrzała mnie dokładnie to z jednej, to z drugiej strony. Potem nachyliła się do mnie i delikatnie pogłaskała po policzku.

– Możesz iść, Karolku.

Podziękowałem. Wstałem i poszedłem do siebie.

Tamtej nocy chciałem się wymknąć z domu. Pójść do Ewy, spotkać się z nią i przelecieć porządnie. Zapomnieć o wszystkich kłopotach, pieszcząc jej piersi i pośladki. Ale nie mogłem. Kapica był w mieście.

[25] Ibidem.

24.

*Przysięgam, że cię nie skrzywdziłem.*

*Kocham cię bardziej,*

*niż zdołasz zrozumieć*

*nie znając powodu*

*mojej miłości[26].*

Brama wjazdowa do domu Kapiców zatrząskuje się za plecami śledczych. Muszą pogadać, dlatego Małgośka zamiast do swojego samochodu, wsiada z Ryszardem. Zatrząskuje drzwi, strzepuje deszczówkę z ubrania. Otwiera osłonę przeciwsłoneczną i sprawdza w lusterku, czy się nie rozmazała.

– Facet jest w to umoczony – stwierdza, podnosząc oprawkę okularów i wycierając opuszką palca nieznacznie rozpuszczony pod okiem cień.

Rysiek przypatruje się szefowej z rozbawieniem. Że też baby zawsze znajdują chwilę, żeby się przejrzeć.

– Mnie też coś tu nie pasuje, ale nie rozumiem, po co by nas wzywał i się podkładał? – zastanawia się.

Małgośka chyba jest już usatysfakcjonowana swoim wyglądem, ponieważ zatrząskuje osłonę i wbija spojrzenie w kolegę.

– Nie wiem po co, wiem, że coś ukrywa.

– Kłamał?

– Raczej nie mówił wszystkiego. – Wyjmuje z kieszeni płaszcza telefon Ewy Kapicy i odruchowo zaczyna się nim bawić. – Parę razy nieświadomie się wsypał.

- Co dokładnie masz na myśli?
- No na przykład wtedy, kiedy stwierdził, że Górski się znajdzie, gdy wytrzeźwieje.
- No i?
- Chyba jednak powinieneś przenieść się do drogówki. – Fuka z pogardą. – Człowieku, przecież ty mu nie wspomniałeś o tym klasowym ognisku, powiedziałaś jedynie, że matka dzisiaj zgłosiła zaginięcie, zatem skąd Kapica wiedział, że dzieciak poszedł na imprezę?
- Może któryś z uczniów mu powiedział?
- Daj spokój. Po co? I od kiedy to uczniowie spowiadają się nauczycielowi, że idą w piątkowy wieczór zaliczyć banię? Poza tym Kapica nie miał chyba okazji z nikim o tym pogadać. Zapomniałeś, że egzaminy maturalne już się skończyły? Jego klasa już nie przychodzi do szkoły.
- Może masz rację. Ale czego to według ciebie dowodzi?
- To może wskazywać, że zna chłopaka lepiej, niż twierdzi. Widziałeś jego reakcję, kiedy pierwszy raz padło w rozmowie nazwisko Karola? I później, gdy wspomniałeś, że cieć ze szkoły ich widział?
- Spiał się?
- Jak baranie jaja. A z kolei informacją, że dzieciak zaginął, nie przejął się w ogóle. Jakby go to kompletnie nie obeszło...
- Albo wiedział o tym wcześniej.
- Brawo, Sherloku!
- Ale co to ma wspólnego z krwią w bagażniku?
- Nie mam pojęcia. Dopóki nie otrzymamy analizy krwi i nie wiemy, do kogo należy, możemy zaledwie gdybać. – Małgośka zamyślona wiedzie palcem wzdłuż krawędzi trzymanego w dłoni telefonu. – Złóżmy do kupy to, co już mamy: kiedy z horyzontu znika Karol Górski?
- Podobno dość szybko urwał się z ogniska.
- ...Zatem opuszcza ognisko i znika, a rano Ewa Kapica z jakiegoś powodu próbuje się zabić. W tym czasie Szymona Kapicy podobno nie ma w mieście. Podobno, bo jego alibi koniecznie musimy sprawdzić. – Witek na moment milknie, zbierając myśli. – Zakładając jednak, że facet nigdzie nie wyjechał, to będąc łącznikiem pomiędzy żoną i chłopakiem, możemy przyjąć, że jest w sprawę zamieszany. Załóżmy na przykład taki scenariusz: Kapica miał z chłopakiem jakiś zatarg, spotkali się wczoraj po ognisku, doszło do szarpaniny, chłopak zarobił w łeb, więc pan wychowawca gdzieś go wywiózł za miasto. I zakopał.
- Dlaczego użył samochodu żony? Ma swoją furę.
- Po pierwsze, jego samochód jest charakterystyczny, ktoś mógłby go zobaczyć na ulicy, a jego przecież miało nie być w mieście, a po drugie, mógłby chcieć ściągnąć podejrzenia na żonę.

– No dobrze, ale jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Kapicowa i dlaczego próbowała popełnić samobójstwo?

– Zakładając, że nim było. Wiesz, Rysiek, równie dobrze ktoś mógł jej coś podać. Na przykład dosypać do wina. Ktoś bliski? Mąż?

– Ale po co?

– To akurat proste. – Witek uśmiecha się przebiegle. – Kogo widziałeś na obrazach w domu babki Karola?

– Jakąś dojrzałą babkę.

– No to założmy, że to właśnie miłościwie nam panująca pani burmistrz... I co, nie układa ci się to wszystko w całość?

Baran wpatruje się w spływające po szybie krople deszczu.

– Mnie taka hipoteza też przyszła do głowy, ale...

– No?

– Na razie nie wiemy, czy Kapicowa faktycznie miała z dzieciakiem romans. Wiesz, to jednak trochę dziwne, żeby taki młody chłopak miał ochotę na starą babę.

– Weź przestań. Często ją przecież widziałeś. Dobrze wygląda, pewnie jest dopiero co po czterdziestce. Uważasz, że data przydatności wagi wygasa po tym terminie?

– Jesteś wulgarna.

– Taa...

– W każdym razie – Baran ciągnie swoje rozważania – nawet jeżeli romans miał miejsce i mąż w akcie zazdrości coś zrobił chłopakowi, a później jeszcze, z chęci zemsty, otrął swoją starą, to dlaczego nas wezwał? Mógł sprzątnąć syf w bagażniku i byłoby po sprawie.

– Chyba że postanowił wmanewrować w to żonę. Ona teraz i tak nic nie powie.

– No nie wiem, to się kompletnie nie trzyma kupy.

Małgośka nerwowo przygryza wargę.

– Według mnie się trzyma.

Rysiek przygląda jej się uważnie.

– Strasznie jakaś cięta jesteś na tego kolesia. Nie ma jeszcze wyników analizy krwi, w sumie żadnych twardych dowodów, żeby go sądzić, a ty już wydałaś wyrok.

– Wcale nie. Po prostu dedukuję.

– I w tej dedukcji zawsze ci wychodzi, że facet ma coś za uszami, nie? A ja po prostu uważam, że jesteś do niego uprzedzona.

– Bzdury pleciesz.

– Zresztą sądzę, że go znasz.

– Powaliło cię, skąd takie przypuszczenie? – Małgośka nie patrzy na Barana.

Z twarzą sfinksa dalej bawi się telefonem.

– Gosiunia, nie rób ze mnie wała, przecież widziałem, jak na siebie patrzyliście. Gość zgłupiał, kiedy nas zobaczył w drzwiach.

– Widocznie tak działał na mężczyzn. – Próbuje żartować.

– Jasne. Oniemiał na twój widok. Spałaś z nim?

Komisarz Witek nabiera powietrza.

– Nie twój interes.

– Oczywiście, że mój. Jeżeli masz z nim romans, to...

– Nie mam, a miałam – przerywa mu szorstko. – I romans to zbyt szumne określenie. Chcesz szczegółów...? Poznałam go zaraz po tym, jak mnie tu przesunęli z Lublina. U niego na siłowni. Nie wiedziałam jeszcze, kim Kapica jest, i że jego żona sprawuje tu urząd burmistrza. Zagadnął mnie, dał parę rad odnośnie ćwiczeń i jakoś tak wyszło. Spaliśmy ze sobą dwa razy. W szatni po treningu. To był czysty seks. Niezły jest. Później przestałam tam przychodzić, bo nie miałam ochoty się w nic wplątywać, on widocznie również, bo chociaż znał mój numer, nigdy więcej się nie odezwał. Pewnie takich, jak ja, ma tam na siłce więcej. Układ był prosty, nikt nie wyszedł z tego stratny. To wszystko. Zadowolony? – Kończy z wściekłością.

– Nie bardzo, nawet jeżeli wasza znajomość to już przeszłość, na pewno wpływa na twój obiektywizm.

– Głupoty pierdolisz, Rysiu.

Baran puszcza uwagę mimo uszu. Nie odrywa od niej oczu, czekając, aż Małgośka jeszcze coś powie, ale ona ostentacyjnie zaciska usta. Wkurzyła się, jednak oboje wiedzą, że takie sytuacje nie są zdrowe. Nawet jeżeli Witek umie oddzielić życie prywatne od pracy. Wcześniejsza znajomość z osobą zamiesznaną w śledztwo zawsze w jakiś sposób kładzie się cieniem na percepcję faktów.

– Rysiu, serio, łączył nas wyłącznie seks, nawet nie za wiele z Kapicą rozmawiałam. To w żaden sposób nie wpłynie na moje opinie w śledztwie.

– Ja pierdzielę, Małgośka! – Kręci głową niezadowolony.

– Co „Małgośka”?

– Gównno. Nie powinnaś prowadzić tej sprawy.

– Daj spokój. Będzie dobrze, tylko nikomu nie mów, a problemu nie będzie.

Rysiu...

Podkomisarz Baran wzdycha ciężko.

– A jeżeli naprawdę się okaże, że Kapica jest umoczony w zniknięcie Górskiego i będzie próbował wykorzystać waszą znajomość albo w jakiś sposób wywierać na tobie presję, to co wtedy?

– On nic nie powie. Gdyby chciał, mógł puścić farbę już w chwili, gdy mnie zobaczył. Myślę, że jemu bardzo zależy, żeby wizerunek ich małżeństwa nie został nadszarpnięty.



Rysiek ze skrzywioną miną stuka nerwowo palcami o kierownicę.

– Okej, na razie zachowam to dla siebie. Ale ty masz działać uczciwie. Jasne? Nic jeszcze na gościa nie mamy. Nie uprzedzaj faktów.

– Słowo – rzuca bez uśmiechu. Nie w smak jej, że Baran próbuje przejąć nad nią kontrolę, że się wymądrza, wydaje jej polecenia. Nie zamierza ustępować z pola walki. To ona jest tu szefem. – Do czasu, aż nie będziemy mieli wyników analizy krwi z bagażnika i nie porównamy ich pozytywnie z próbką DNA Górskiego, nie będę nic insynuować. Nie podoba mi się Kapica, ale masz rację, na razie jeszcze nie ma podstaw, żeby mu postawić zarzuty.

– A co robimy w sprawie zaginięcia? Zostajemy przy dwojce, czy zmieniamy kategorię na jedynekę[27]?

– Czekamy na laboratorium i wtedy... Próbkę do badania DNA masz?

– W bagażniku. Mogę ci je zaraz dać.

– Dobrze. Po drodze do szpitala podrzucę je na komendę. Ty w tym czasie pojedź do tego kolegi z klasy Górskiego i do dziewczyny, o której wspominałeś. Masz córkę, to lepiej wiesz, jak się z dziećmi obchodzić. Ja pogadam w szpitalu z lekarzem Kapicowej, może już wiadomo, czym się otręła.

Baran potakuje. Małgośka znowu jest w swoim żywiole. Rozpogadza się.

– Będę lecieć.

Zbiera się do opuszczenia samochodu. Chwyta telefon Ewy Kapicy, żeby schować go na powrót do kieszeni. Przelotnie zerka na jego wyświetlacz: – *O fuck*, zobacz, Rysiek. Musiałam przypadkiem go włączyć. – Podsuwa ekran pod nos Barana.

– To jest ten, no... – Rysiek się zacina.

– Dokładnie ten. Hieronim Bosch!

Na wyświetlaczu widnieje ten sam obraz, który widzieli na fejsbukowej tablicy Karola Górskiego. Na dole ekranu miga komunikat: „Aby odblokować, naciśnij Początek”. Małgośka przesuwając po nim palcem, bezskutecznie, na ekranie wyświetla się klawiatura numeryczna i tekst: „Użyj Touch ID lub podaj kod”.

– Teraz tego nie odblokujemy – stwierdza rozczarowana. – Ale właściwy palec jest w szpitalu.

– Myślisz, że znajdziesz coś istotnego w środku?

– Właściwie chyba już nie muszę zaglądać głębiej. Nie sądzisz?

Uśmiecha się szelmowsko, patrząc na nagie, lubieżne postaci zatracające się w ziemskich rozkoszach na tle zielonego ogrodu.

[26] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, tłum. Jerzy S. Sito, *op. cit.*

[27] Według policyjnej klasyfikacji zaginionych kategoria I dotyczy osób,

które opuściły miejsce zamieszkania nagle i zachodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia na ich szkodę przestępstwa.

25.

*Zaczekaj! krzywdę byś mi sprawił,*

*Gdybyś mą przyjaźń z kwitkiem tak zostawił[28].*

Taki deszcz. Taki deszcz! I nie zanosi się, żeby szybko przestało padać.

Zgłupieć można od bezustannego szumu, a na dodatek Rysiek jest głodny. Chłop głodny to zły. Lecz na razie nie ma możliwości, żeby Witek zwolniła go ze służby. Z zajadłością inkwizytora tępiącego herezję, będzie dusiła sprawę tak długo, aż ją rozwiąże, uparta jest i nigdy nie odpuszcza. Zatem podkomisarz Baran też jeszcze nie wróci do domu. Przesłucha, kogo trzeba, wszystkiego się dowie i zbawi świat – dopiero później schabowy. Schabowy i miękkie piersi Hanuśki...

Na pierwszy ogień pójdzie ten chłopak, Kuba. Mieszka bliżej niż ruda Sońka, bo na Parcelach, w rejonie miasta, gdzie jeszcze dwadzieścia lat temu rozciągały się sady. Pośród nich wyrastało wtedy zaledwie kilka drewnianych chałup. Teraz stoi już regularne osiedle, a jedynym świadectwem dawnych lat są wystające tu i ówdzie grusze i jabłonki, skarłowaciałe i przygniecione do ziemi reumatyzmem starości.

Rysiek dobrze zna te tereny, ponieważ wieki temu spotykał się z dziewczyną, która tu mieszkała. Miał wtedy siedemnaście lat i hormony buzowały mu w spodniach. Tamta panna nawet nie była ładna, ale kumple mówili, że jest łatwa. W domu miała nieklawo – ojciec lubił spuścić jej łomot – więc najchętniej wymykała się z domu i ciągała Ryśka na długie spacery. Całymi dniami szwendali się po okolicy. Całowali się, a czasami nawet pozwoliła włożyć sobie rękę w majtki. Lecz dopiero po jakichś trzystu przedreptanych kilometrach Ryś zasłużył na pełną nagrodę. Wtedy jeszcze nie było tu tylu domów, a więcej owocowych drzew, i właśnie pod jednym z nich któregoś czerwcowego wieczoru, parnego, rozmigotanego gwiazdami, w trawie miękkiej i woniejącej młodym latem, Rysiek utracił dziewictwo. Piękne to były chwile i pięknie wyglądały wtedy Parcele. Nie to, co dziś – zabetonowane i zalane deszczem. Zresztą nie ma już

nawet starego rozchybotanego domku, w którym mieszkała tamta dziewczyna i nie ma dziewczyny. Po ukończeniu zawodówki wyjechała do Niemiec i Rysiek już nigdy więcej jej nie zobaczył...

Myśli o tym, docierając do celu. Właściwy adres znajduje się na końcu ulicy. Jeszcze raz upewnia się, że jest w dobrym miejscu. Sprawdza notatkę, którą pięknym pismem wykaligrafowała mu na kartce Elżbieta Górka – to na pewno tu.

Dom jest nowy, wygląda na dostatni, ale bardziej swojski niż twierdza Kopiców na Piaskach. Trochę w stylu pałacowym. Na ścianie od frontu widnieje tablica informująca, że w środku znajduje się gabinet stomatologiczny doktor Grażyny Braszkiewicz. Podkomisarz odruchowo dotyka językiem pobolewającej go górnej piątki, do której wyleczenia nie może się zabrać – borowania boi się jak diabeł święconej wody – i parkuje przy krawężniku. Wysiada. Furtka jest otwarta, zapewne przez wzgląd na pacjentów. Chodnik rozchodzi się w dwie strony. Strzałka: „Do gabinetu” prowadzi w kierunku przybudówki, Rysiek wybiera drogę wprost do głównego wejścia. Pokonuje kilka schodków i chowa się pod zadaszeniem. Przyciśnięty dzwonek wydaje z siebie mechaniczny śpiew skowronka. Słysząc go nawet na zewnątrz, podobnie jak odgłos szybkich kroków zbliżających się do drzwi.

– Dzień dobry.

Kobieta, która pojawia się w progu, jest nieatrakcyjną, nieco przy kości, świńsko-różową blondynką, o wyjątkowo równych i białych zębach, które szczerzy w uśmiechu na widok nieznanego.

– Pan na wizytę? – Nie daje dojść Baranowi do słowa, wylewając z siebie słodki trel, który bardzo przypomina dźwięk dzwonka. – Właściwie dzisiaj gabinet jest nieczynny, ale jeżeli pan z bólem, to oczywiście przyjmę. – Mruga słodko zupełnie białymi rzęsami.

– Nie. – Ryśka nagle zaczynają boleć wszystkie zęby, nawet te, które już dawno stracił. Wyciąga odznakę. – Jestem z policji.

– Z policji? – Uśmiech z okrągłej twarzy znika w jednej sekundzie. – Coś się stało?

– Czy mieszka tu Jakub Braszkiewicz?

– Tak... – odpowiada z ociąganiem. – Jestem jego matką. Boże, czy Kubuś coś przeskrobał?

– Nie, proszę się nie denerwować. – Teraz uśmiecha się Baran. – Chodzi o jego kolegę. Muszę Kubie zadać kilka pytań. Czy syn jest w domu?

Kobieta odpowiada, równocześnie gestem zapraszając go do środka:

– Jest u siebie w pokoju, ale chyba śpi. Wie pan, on wczoraj był ze znajomymi na imprezie. Wrócił nad ranem, jak już dobrze padało.

Ryszard wchodzi do środka.

Grażyna Braszkiewicz chyba lubi czuć się niczym królowa, bo wnętrze

wystrojem przypomina salę balową w warszawskim Zamku Królewskim. Suto drapowane firany, meble stylizowane na Ludwika XVI, dywany w motywy kwiatowe, a na każdym sprzęcie wazony i porcelanowe misy zdobione arkadyjskimi scenkami. Na podłogach mozaika, pod sufitem gipsowa rozeta, z której spływa mosiężny żyrandol kapiący kryształkami. Istny barok.

Rysiek patrzy na ten teatralny przepych nieco skonfundowany. Gospodyni patrzy na Ryśka z niesmakiem. A właściwie na jego zabłocone mokasyny. Baran podchwytuje aluzję i ściąga buty – widocznie pani dentystka, inaczej niż Elżbieta Górka, uważa, że w męskich skarpetach nie ma nic niestosownego.

– Syn jest na górze, u siebie. – Prowadzi podkomisarza na schody. – A czy można wiedzieć, o co dokładnie chodzi?

Rysiek mógłby udzielić jej odpowiedzi, jednak baba, nie wiedząc czemu, działa mu na system, dlatego mówi z wystudiowanym żalem:

– Niestety, bardzo mi przykro, ze względu na dobro śledztwa nie mogę na ten temat rozmawiać.

Kobieta trochę rozczarowana potakuje głową.

– No tak, rozumiem...

Zatrzymują się przed drzwiami na końcu korytarza. Matka bez pukania otwiera drzwi.

– Kubuś, Kubusiu, pan do ciebie...

W pokoju unosi się specyficzny zapach przetrawionego alkoholu. Na tapczanie pod oknem, tępo wgapiając się w telewizor, poleguje chłopak. Toczka w toczkę pani Grażyna. Blondyn, przyszczaty, o rozmytych nieładnych rysach, tylko jeszcze bardziej przy kości. Na pierwszy rzut oka widać, że nieboraka męczy kac gigant. Na widok gościa marszczy czoło. Podnosi się z ociąganiem z rozmemłanej pościeli.

– Pan jest z policji, synku.

– Z policji? – W chłopaka wstępuje życie. Siada na łóżku, prostuje się.

Rysiek spogląda na dentystkę, wyczekując.

– No tak... – Chwyta niewyartykułowaną prośbę. – To ja pana tu zostawiam. Jakby czegoś było potrzeba, jestem na dole. Kubuś, weź no, kochany, chociaż ten barłóg uprzątnij – ofukuje chłopaka i zamyka za sobą drzwi.

Zostają sami. Na ekranie telewizora powtórka powtórki – Magda Gessler w złotych lokach i złotych butach, rzucając talerzami i mięsem, doprowadza jakąś kucharkę z niemodną trwałą do łez.

– Ścis�, proszę, telewizor. – Baran postępuje kilka kroków do przodu, zapadając się w miękki dywan. Styl w pokoju jest może mniej królewski, ale nawiązuje do wystroju reszty domu. Młody Braszkievicz żyje jak regent. Polski regent. Narodowy. Bowiem zamiast tapet w kwiatki, tutaj ściany zdobią biało-czerwone flagi i symbole ONR-u. Nad drzwiami krucyfiks. Jezus na pewno

cierpi w tym smrodzie. – Jestem podkomisarz Ryszard Baran. – Bez zaproszenia siada na obrotowym krześle stojącym przy biurku. – Przyjechałem tu, bo muszę ci zadać kilka pytań.

– Co się stało? – Chłopak wygładza wymięty T-shirt. – Źle zaparkowałem?

– Nie o to chodzi. Wczoraj po ognisku jeden z twoich kolegów nie wrócił do domu. Szukamy go.

– Który?

– Karol Górski.

– A, Charlie. – Na pełnych, zbyt kobiecych ustach Kuby rozkwita uśmiech.

– Charlie? – powtarza za nim Baran, mrużąc oczy.

– Karolek, Charlie.

– Słucham?

– Ksywa taka.

– Rozumiem, a dlaczego Charlie?

– Bo z niego taki angielski lord. Znaczy się, lubi marynarki i spodnie w kant.

– Młody bez skrępowania dłubie w nosie, wyciera gile o pościel, a wreszcie sięga po butelkę kefiru stojącą przy łóżku. Upija łyk. Wokół ust zostaje mu nieapetyczna biała obwódka. Przeciera ją wierzchem dłoni. – Stara Górka dzwoniła do mnie bladym świtem i wypytywała o niego. Myślałem, że już po sprawie.

– Niestety nie jest po sprawie. Nadal się nie znalazł. Jego matka zgłosiła zaginięcie. Dlatego tu jestem.

– Czyli u matki też go nie ma? To może u rudej?

– Sońki Kowalskiej? To jego dziewczyna?

– A tam, dziewczyna – prycha z pogardą. – Prawosławna piczka. Daje mu w antraktach.

– To znaczy? – Baran udaje, że nie słyszy nacjonalistycznej uwagi chłopaka.

– W jakich antraktach?

Dzieciak kontynuuje.

– W przerwach. – Grubas przewraca oczami, jakby komuś ułomnemu tłumaczył oczywistą oczywistość. – Pomiedzy jedną wielką miłością a kolejną. Sońka liże mu rany. Ma kompletnego pierdolca... – Łapie się za usta z rozbawieniem. – Ups, najserdeczniej pana władzę przepraszam. Sońka ma kompletnie nawalone pod kopułą na punkcie Charliego. A on ją traktuje z buta. Zresztą jak większość lasek.

– No tak... – Baran, zasłuchany, kiwa się na krześle. – Oczywiście do tej dziewczyny też pojedziemy, ale najpierw chciałbym dowiedzieć się kilku rzeczy od ciebie.

– Do usług.

Gówniarz jest strasznie zmanierowany, wkurza Barana, ale stara się nie dać tego po sobie poznać.

– No dobrze, to na początek powiedz mi, co to była za impreza, ta wczoraj?  
– Po prostu: impreza. Ostatnie ustne się skończyły, więc postanowiliśmy to uczcić.

– Nad rzeką?

– Tak. Nikt nie miał wolnej chaty, dlatego zrobiliśmy ognisko. Wczoraj jeszcze była w porządku pogoda.

– Kto tam był?

– Ludzie od nas z klasy, trochę osób spoza. Niektórzy poprzychodzili ze swoimi dziewczynami, chłopakami. Pewnie ze czterdzieści osób.

– A Karol?

– Był oczywiście.

– Sam?

– Sam, ale Sońka też przyszła. Ktoś ją widocznie zaprosił, chociaż ona jest rok młodsza.

– Co się tam działo?

– Nic, piliśmy. Była jakaś muza, potańczyliśmy.

– A rozmawiałeś z Karolem?

– Z Charliem? Chwilę.

– Dlaczego tylko chwilę?

– Powiedział, że się spieszy.

– Dokąd?

– Nie mówił, a ja nie dopytywałem.

– Zachowywał się inaczej niż zwykle?

– Nie. Chociaż może... Prawie nie pił. W ogóle spięty był.

– Pamiętasz, w co był ubrany?

– Jakieś ciemne spodnie. Wyjątkowo był bez marynarki, tylko w sportowej koszuli w kratkę. Jak nie on. Ale w końcu to ognisko. Jeszcze by się gdzieś upaprał. Miał ze sobą plecak. Nie rozstawał się z nim.

– Jaki plecak?

– No właśnie całkiem spory... Może trzymał w nim browary, nie wiem.

– Podobno wspominałeś jego babci, że wyszedł wcześniej. I sam.

– W sumie, to dokładnie nie wiem, czy sam. Ale na pewno nie z Sońką, bo jak on już zniknął, to jeszcze ją widziałem. Kompletnie się wczoraj zalała – śmieje się. – A Charlie, to zniknął, kiedy jeszcze byliśmy jako tako trzeźwi, więc może koło dziewiątej albo wpół do dziesiątej, coś koło tego... Nawet nie zdążył potańczyć, bo impreza dopiero później się rozkręciła.

– Nie zdziwiło cię to?

– Mnie, jeśli chodzi o Charliego, niewiele dziwi.

– Dobrze znasz Ka... Charliego? – Poprawia się. – Przyjaźnicie się?

– E, takie tam...

- Wasz wychowawca powiedział mi, że z tobą Charlie trzyma się najbliżej.
- Gadaliście już z Kapicą? – Dziwi się Kuba.
- Tak.

- No to pewnie wszystko wam o Górskim powiedział.
- No właśnie nie bardzo.

Chłopak uśmiecha się pod nosem. Milczy. Coś wie?

– My z Karolem, to jesteśmy tacy raczej koledzy z przypadku. U nas w klasie jest zaledwie sześciu chłopaków. Jeszcze na początku, w pierwszej klasie, potworzyły się pary, sojusze. Ładni z ładnymi, mądrzy z mądrymi, bogaci z bogatymi, wiadomo. Chłopaki jakoś się już zgadali, więc mnie przypadł Charlie. Zupełnie do siebie nie pasujemy, on jest na maksa wykrecony, dziwak, lewak, a dla mnie Bóg, Honor i Ojczyzna. Mam swoje zasady – dodaje z dumą. – Jednak jakoś przez te trzy lata trzymaliśmy się razem.

- Jest lubiany w klasie?

Kuba się śmieje.

– No dobra, powiem panu... Chłopaki, to raczej z niego darli łacha, wszyscy na początku myśleli, że to pedał. Stroił się, zawsze w te tweedy i kto normalny tak się ubiera? My wszyscy w bluzach, w adidasach, a on jak lord. Myślę, że taką stylówę sobie wymyślił z braku hajsu. Bo on wszystkie szmaty na wagę kupował. Ale dupy na to leciały. Jak na lep. Że on niby taki inny, bo artysta. Awangarda, jego mać. No i cały czas gadał o sztuce, malarstwie i o tych swoich komiksach. Nikogo to nie interesowało, raczej irytowało... Chociaż ja raz widziałem jeden jego komiks i powiem panu, fajnie to zrobił, ale fabuła pokręcona zupełnie, jak on... No. W każdym razie z dziewczynami miał spoko, ale z chłopakami trzymał się na dystans.

- A ty?

- Co ja?

- No jak wyglądają twoje relacje z Charliem?

– Ja to jestem, jak pan widzi, gruby, przyszczaty i brzydki, a i w szkole szło mi tak sobie. Gdyby matka za darmo połowie nauczycieli zębów nie zaplombowała, to dawno by mnie z ogólniaka wykotłowali. A Charlie może odszczepieniec, spadochroniarz z zawodówki, ale jest z tych bardziej ślicznych i mądrych. Jesteśmy z innej bajki. Ja mam matkę dentystkę, on matkę pijaczkę. Ja mam hajs, on dziury w butach. Po prostu idealnie do siebie pasujemy, nie? – Śmieje się nieprzyjemnie. – Czasami pisał dla mnie wypracowania z polaka za kasę. Tak potrafił styl zmienić, że nawet się profesorka dawała nabrać, że to niby ja taki mądry. Bywało też, że po prostu coś mu odpalałem, on mnie za to ciągał ze sobą w różne miejsca, poznawał z dziewczynami. Na mnie by w życiu żaden lachon nie poleciał, gdyby nie to, że się przy Charliem kręciłem. Taka umowa wiązana. Nadaża pan?



– Raczej... A powiedz mi, jeżeli Karol był w szkole takim outsiderem, to może miał z kimś na pieńku?

– Nie. To jest śliski gość.

– Co masz na myśli?

– Jest w nim coś takiego... Nie wiem, jak to opisać. Czasami się śmiałem, że jeżeli nie zostanie malarzem czy tam rysownikiem, to skończy jako psychopata. Taki Hannibal Lecter.

– Skąd taka myśl?

– Cholernie jest inteligentny, niby miły, kulturalny, słodki chłopiec, ale myślę, że tylko takiego gra. Lepiej się do niego nie odwracać plecami, bo może kosę wbić. Potrafi manipulować ludźmi. Jak mu nawet ktoś prosto w oczy by napluł, to Charlie powiedziałaby, że pada deszcz. Odegrałby się, ale na chłodno, po cichu. Niby taki niewinny, z nikim nie zadzierał, ale wszyscy się go trochę obawiali. I w każdej sytuacji potrafił się ustawić. Na przykład z psorami...

– No właśnie, w jakich stosunkach był z nauczycielami?

– Wśród nauczycielek to miał prawdziwy fejm.

– To znaczy?

– Sławę. To z angielskiego. Nie zna pan? – pyta kpiąco.

– Czyli, że go lubiły?

– No. Na przykład taka Ostra Kobra, to kompletnie dała mu sobie wejść na łeb.

– Kto?!

– Babka od matmy.

– Jak się naprawdę nazywa?

– Profesor Koterska.

– To skąd ta kobra?

– Jadowita bardzo.

– Dlaczego dała sobie wejść na łeb?

– Charlie z matmy to tak słabiotko, trójkowo. Dla mnie szczyt marzeń, a on miał doła, kiedy z klasówki nie dostał co najmniej czwórki. Ta matma mu psuła średnią. Więc tak przy Kobrze skakał, tak jej w dupę włożył: „Może pani profesor dziennik ponieść? Może tablicę zetrzeć? Ale pani dzisiaj pięknie wygląda...”. – Kuba przedrzeźnia kolegę. – I takie tam. A Kobra to wygląda z twarzy jak ofiara nożownika, więc rozumie pan. Łasa na dobre słowo. Więc Karolek ją tymi komplementami i wciskaniem kitów owinął wokół palca. Z matmy piąteczka na świadectwie maturalnym.

Baran kiwa głową.

– A wiesz, co porabiał po szkole?

– Po szkole rzadko się spotykaliśmy, miał swoje sprawy, szczególnie w ostatnim czasie.

– Jakie sprawy?

Kuba wierci się na łóżku. Nie odpowiada. Baran czeka. Może czas wytoczyć działo.

– Zapytam wprost: czy Karol, to znaczy Charlie, związał się z kimś... Z kimś spoza szkoły? Z kobietą? Dojrzałą?

Róż na twarzy chłopaka zmienia się w szkarłat, tym intensywniejszy, że odcina się od białych włosów.

– Nie wiem... – duka.

– A ja myślę, że wiesz... – Podkomisarz uśmiecha się ciepło, zachęcając chłopaka do zwierzeń.

– Nie, naprawdę.

– Słuchaj, dzieciaku, Karol Górski zaginął, ty jesteś jego najlepszym kumplem, co więcej, widziałeś go jako jedna z ostatnich osób. Jeśli nie podoba ci się ta rozmowa w pałacu twojej matki, z przyjemnością cię zakuję i zawiozę na komendę. Mamy tam bardzo przytulny pokój przesłuchań. Więc jak? Miał kogoś?

– Miał. Ale ja naprawdę nie znam szczegółów. Charlie mi się z takich spraw nie zwierzał. On jest cholernie skryty. Sońka pewnie wie więcej. Raz widziałem, jak mu robiła o to awanturę. To było już dawno. Jakoś po feriach. Wyszliśmy na fajkę i Sońka przyszła. Darła się, że wszystkiego się domyśliła, wie, kim jest ta jego nowa, i że Karol jest zwykłą kurwą, utrzymankiem.

– To znaczy?

– Karol nagle zaczął mieć więcej kasy. Z tego, co pamiętam, zauważyłem to niedługo po studniówce. Najpierw powiedział, że na ferie jedzie w góry. On, co nigdy nawet na wycieczkę szkolną nie pojechał, bo nie miał za co. Później zaczął lepiej się ubierać. W tym samym stylu, ale już nie w lumpeksie. Miał fajne nowe ciuchy. Marynarki z Zary, koszule Hugo Bossa. A wreszcie w szkole pokazał się z najnowszym iPhone'em. To jest sprzęt za cztery koła. Nawet mi matka nie chciała kupić. Mam starą piątkę. A on nagle wyskoczył z takim odjechanym sprzętem.

– Pytałeś, skąd wziął na to pieniądze?

– No pewnie. Powiedział mi, że jakiś wydawca przyjął jego komiks, i że dostał zaliczkę autorską.

– Dlaczego mu nie uwierzyłeś? Widziałeś jego prace, uważasz, że nie mógłby ich sprzedać?

– Nie wiem. Ja się na rysunku nie znam. Ale jeśli mam być szczery, to nie sądzę. Przecież nawet teczki mu nie przyjęli na ASP.

– Słucham?! – Baran jest kompletnie zaskoczony.

– No nie przyjęli. Wkurwił się jak zły. O, *pardon!* – Znowu się mityguje. – Niby on taki zdolny, a tu dupa blada. Podobno powiedzieli mu, że jeszcze musi popracować nad techniką, że to, co umie, to za mało na akademię, i może powinien

pochodzić na kursy przygotowawcze organizowane przez uczelnię, to wtedy za rok, kto wie, kto wie...

– Kiedy to było?

– W tamtym tygodniu. Tak się nastukał po tej wiadomości, że rzygał jak kot. Aż się bałem, że mu się łeb urwie.

– Załamał się?

– On nie z tych. On się nie załamał. On się właśnie...

– Wkurwił. – Rysiek wyręcza chłopaka.

– Dokładnie. Powiedział, że w dupie ma ich opinię, że zna swoją wartość, a tam w komisji, to same stare cioły, którym trzeba było po prostu posmarować. Też tak uważam, ale on, idiota, chciał być w porządku, chciał wszystko osiągnąć sam, swoim talentem, naiwniak... Przecież wiadomo, że jak człowiek nie wybuli przynajmniej na te organizowane przez uczelnię kursy, to się nie dostanie. Kasa! Charlie jednak o żadnym jeżdżeniu do Warszawy i przygotowywaniu się nie myślał. Był pewien, że przyjmą jego prace, bo jest takim samorodnym talentem. Podobno jego dziadek też malował i nawet jakieś szkoły w tym kierunku pokończył. Charlie uważał, że ma sztukę w genach i to da mu przepustkę na studia, że indeks ma już w kieszeni. A wiadomo, że na państwowe, żeby się dostać, to komuś trzeba dać w łapę. Ja nawet nie próbowałem papierów w takie miejsca składać, matka od razu powiedziała, że zapłaci za prywatne...

– Rozmawiałem z jego babcią, ona twierdzi, że przyjęto jego prace.

– Pewnie się bał jej powiedzieć. Przecież to jest prawdziwa wiedźma. Strasznie Charliego tresowała. Szczerze? Wcale się nie dziwię, że wymeldował się z chaty. Ja tam byłem raz i nie wiem, co by mi musieli dać, żebym z taką babką wytrzymał. Ona inaczej do Charliego nie mówiła, jak: „Proszę Karola”, „Karolu, czy będziesz łaskaw”, „Karolu, azali zechcesz wypić dziś ze mną herbatkę”... Pojebana jakaś.

Rysiek już nie zwraca uwagi na język chłopaka. Bardziej interesuje go to, czego się o Karolu, czyli Charliem dowiedział.

Przez chwilę się nad czymś zastanawia.

– Zatem uważasz, że żaden wydawca nie przyjął jego rysunków?

– No pewka.

– To skąd kasa na ciuchy, wyjazdy, telefon?

– Niech pan sobie sam odpowie.

– Karol zdradził ci jakieś szczegóły?

– Nie bardzo, sam doszedłem, o co kaman. To było pod koniec pierwszego semestru. Akurat z nikim nie był. Znowu wziął Sońkę na tapet. Niezła dupa, nie powiem, mimo że ruska.

– Ona nie jest Rosjanką, jest pół-Ukrainką.

– Wszystko jedno. Ja mam na ten temat sprecyzowane poglądy i wszystkich

tych... ruskich, ciapatych, Żydów, to bym stąd wyp...

Rysiek odruchowo zerka na zbrojne ramię Falangi widniejące nad łóżkiem chłopaka. Nie znosi wszelkich ekstremizmów i przejawu fanatyzmu. Chętnie naprostowałby dzieciakowi światopogląd, ale nie ma teraz na to czasu.

– ...Nieważne. Wtedy, zimą, któregoś razu po kilku browarach, zaczął mi opowiadać, że poznał zajebistą babkę, że kompletnie na jej punkcie mu odważyło, że chyba wreszcie naprawdę się zakochał. Zlałem to, bo on zawsze się w kimś zakochiwał na zabój. Artysta! Ale może faktycznie coś było na rzeczy, bo przez jakiś czas chodził jak struty. A później, nagle, jak ręką odjął: rzyganie tęczą, cukiereczki-ciasteczka. Nie chciał puścić pary z gęby, skąd ta zmiana, ale raz go zapytałem wprost, czy wyhaczył tę swoją wielką miłość, że taki zadowolony, i czy wreszcie powie, kto to. A on się jedynie uśmiechnął, jakoś tak dziwnie, i powiedział, że bym się w to nie wpięprzał. I że w życiu bym nie zgadł, kto to jest. Opuściłem. Ale później pojawiły się te ciuchy, prezenty i zrozumiałem, że to nie może być lala w naszym wieku, że Charlie musiał dorwać jakąś babę z grubym portfelem. Nie trudno zgadnąć, że raczej nie w naszym wieku.

– I co dalej?

– Skąd mam wiedzieć? Matura przyszła, ostry zapierdół, co mnie tam jakaś dziunia Charliego mogła obchodzić... Chyba że to z nią teraz prysnął.

– I nic by nie powiedział matce ani babce?

– Kto go tam wie, mówiłem panu, że to niezły pojeb. Matkę to on zawsze miał w dupie, wstydził się jej. Zresztą nie dziwne, ją pół Osiedla Wyzwolenia dupczy. A babki chyba miał już dosyć. Zamordystka. Facet dwadzieścia lat na karku, a ta stara rozporządzała nim, jakby był jej własnością. Każdy miałby dość. Na studia się nie dostał... Na jego miejscu też bym uciekł. – Zamyśla się, drapie po wydatnym brzuchu. – Pewnie z tą swoją babą gdzieś wyjechał, bo sam nie miałby przecież za co.

„No właśnie: za co?” – zastanawia się Rysiek.

Młody Braszkievicz tymczasem znowu sięga po kefir i kręci zniesmaczony głową:

– ...Ale w sumie, to kawał świni z Charliego, żeby mnie, niby najlepszemu kumplowi, słowa nie pisnąć i ot tak sobie wyjechać. Teraz to już w ogóle nie będę miał z kim na browara skoczyć.

26.

*Czy ty mię kochasz? Wiem, że powiesz: tak jest;*

*I ja—ć uwierzę; mimo przysięg jednak*

*Możesz mię zawieść. Z wiarołomstwa mężczyzn*

*Śmieje się, mówią, Jowisz. O! Romeo!*

*Jeśli mię kochasz, wyrzecz to rzetelnie...[29]*

Znowu jest przy mnie. Wanda. Wróciła. Zamyślona, posępna, zmartwiona. Chociaż nie czuję zimna, troskliwie mnie okrywa, wsuwa ciepłe skarpety na stopy, rozciera dłonie. Kochana... Trwa na posterunku, kiedy ja zmagam się ze wspomnieniami.

Wiem o sobie coraz więcej, coraz lepiej rozumiem swoje położenie, jednak to, co odkrywam, nie bardzo mnie cieszy.

Co się ze mną stało? Dlaczego tak bezmyślnie rozegrałam swoje życie – osobliwe uczucie pustki potęguje się, wypełnia mnie wraz z każdą odtworzoną sceną z przeszłości. Przecież nie zawsze byłam złym człowiekiem, polityczną hieną, wyrachowaną, obojętną żoną. Zrozpaczoną brakiem celu, rozczarowaną ludźmi i światem czterdziestolatką. Jak to się stało, że dotarłam do miejsca, w którym własne odbicie w lustrze wprawia w obrzydzenie, w którym dojmującym staje się uczucie pogardy dla samego siebie?

Powoli rozwiążuję gordyjski węzeł przyczyn i skutków. W tym przypadku nic nie da krótkie cięcie. Pod zamkniętymi powiekami rozgrywają się kolejne akty przedstawienia. W miejscu, w którym teraz się znajduję, zupełnie zmienia się

optyka minionych wydarzeń. Nic nie jest białe ani czarne, chociaż takie mogłoby się wydawać z pozoru. To, co mnie cieszyło, teraz zmusza do refleksji... Dzięki obecności Wandy łatwiej wszystko znieść, ale i tak czuję się pogubiona. Nachodzą mnie wątpliwości.

Jednak wtedy, pod koniec lutego, gdy wylądowaliśmy z Karolem w łóżku, czułam tylko radość. Jakby w naszym zachowaniu nie było niczego niestosownego, godnego potępienia, niezwykłego. Nienaturalnego – i nie mam tu na myśli różnicy wieku.

Tamtej pierwszej nocy wciąż nienasyceń kochaliśmy się wiele razy, a rano, jak gdyby nigdy nic, zjedliśmy śniadanie. Później długo rozmawialiśmy. Chciał mówić, a ja chciałam słuchać. Byłam go ciekawa. Opowiadał o sobie, o swoim nieżyjącym ojcu, apodyktycznej babce, z którą mieszka i matce, której nie szanuje, do której czuje obrzydzenie. A także o tym, że maluje, tworzy komiksy i chciałby studiować na akademii. Mówił, że marzy, żeby stąd uciec, bo nie pasuje do tego miejsca, nie potrafi znieść dusznej atmosfery miasta, panującej tu hipokryzji.

Był nad wiek dojrzały, fascynujący, zabawny. Słuchałam go jak urzeczona i z każdym słowem przepadałam coraz bardziej. Było jasne, że nasza znajomość nie skończy się na jednej nocy... I byłam szczęśliwa. Nieopisanie szczęśliwa! Nie zastanawiałam się nad tym, że robię coś, czego robić nie powinnam. Po prostu dałam się ponieść fali. Tamtej pierwszej nocy i we wszystkie kolejne, które przeżyłam z Charliem...

A wszystko potoczyło się tak szybko. Straciłam nad tym kontrolę. I dobrze mi z tym było, przecież właśnie stagnacja, nuda oraz deficyt szaleństwa zepchnęły moje małżeństwo z Szymonem na boczny tor, na stację „rozpad”. A teraz nagle czułam się jak dzikuska, niefrasobliwa nastolatka, królowa na balu życia. Kiedy Karol pisał do mnie czułe wiadomości przez Facebooka, z emocji dostawałam wypieków na twarzy. Rozmawialiśmy o filmach, książkach, o sztuce i jego fascynacji malarstwem flamandzkim, o wystawach, na które chciałby pojechać, i o ulubionych rysownikach komiksów – wszystkich tych rzeczach, o których nigdy nie mogłam podyskutować z Szymonem.

Byłam zauroczona. Zakochana? I czułam się kochana – zupełnie tak jak wtedy, przed wielu laty, gdy któregoś letniego dnia poznałam Szymona.

Lecz tamtego Szymona już nie było, teraz istniał wyłącznie mój młody kochanek i nasz miłosny haj. Małe, słodkie implozje pożądania.

Pomysł wyjazdu w góry wpadł mi do głowy zupełnie spontanicznie. Tydzień po naszej pierwszej nocy zaczynały się ferie. Od miesięcy nigdzie nie byłam, należał mi się urlop. W ratuszu nikt nie oponował. Góry, Boże, jak ja potrzebowałam wyjechać w góry! Szymona nie zdziwiła moja niespodziewana decyzja. Nawet się ucieszył. Stwierdził, że wakacje dobrze mi zrobią – tyle że on, niestety, nie może jechać, bo sesja, bo mnóstwo roboty, a na dodatek pracownik,

którego zatrudnia na siłowni, właśnie się rozchorował. Ach, jak mi przykro... Wcale nie było mi przykro, wszystko układało się po mojej myśli. Karol, a właściwie Charlie – podobno wszyscy tak do niego mówili, więc zaczęłam i ja – z radością przyjął moje zaproszenie.

Do Lublina dojechał autobusem, tam zabrałam go do samochodu. Bawiła nas konspiracja, nasz mały wspólny sekret. Karol był podekscytowany. Nigdy nie był w górach, nigdy nie był w Zakopanem, zatem miałam zostać jego przewodniczką. Przez całą drogę opowiadałam o graniach, dolinach, przełęczach i wodospadach, o każdym miejscu, w które go zabiorę. Tłumaczyłam, którymi szlakami powędrujemy i jakie zdobędziemy szczyty.

I rzeczywiście podczas tego wyjazdu szczytowaliśmy wiele razy, lecz nie zdobyliśmy żadnej góry. Już pierwszego dnia po przyjeździe na Podhale rozhulał się taki halny, że o jakichkolwiek wycieczkach nie mogło być mowy. Zagospodarowaliśmy ten czas – niemal nie wychodziliśmy z pensjonatu, nie wychodziliśmy z łóżka.

Do restauracji na Krupówkach poszliśmy zaledwie raz. I nie tylko przez to, że nie znoszę przasnej ludycznej atmosfery, która panuje na góralskim deptaku, lecz dlatego, że w tłumie turystów dostrzegłam znajomą z naszego miasta. To kompletnie mnie rozbiło. Zdałam sobie sprawę, że nawet daleko od domu, nawet jeśli uciekniemy z Karolem na drugi koniec Polski, nigdy nie pozbędę się poczucia zagrożenia. Już zawsze będę musiała być czujna, w każdej chwili trzeba będzie uważać. To popsuło mi humor. Podobnie, jak incydent, który zdarzył się zaraz po przyjeździe. Meldowaliśmy się w hotelu. Recepcjonistka zapytała, czy chcemy z synem osobne pokoje, czy może być jeden z dwoma łózkami. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię, że nie zniosę tego upokorzenia. Lecz wtedy ciepła dłoń Karola zacisnęła się na mojej dłoni. Rozgoryczenie rozpląnęło się w jego krzepiącym uścisku.

Mimo tych dwóch małych zgrzytów, wyjazd okazał się cudowny. Pięć dni. Wyłącznie ja i on. Znowu miałam dwadzieścia lat. Znowu chciało mi się śmiać, krzyczeć ze szczęścia, płakać. Chciało mi się żyć. Chyba żadna terapia u psychologa ani żaden xanax nie dałyby mi tyle, co tych parę dni.

A później trzeba było wrócić do rzeczywistości. Ale to już była inna rzeczywistość. Lepsza, jakaś taka... bardziej przyjazna, łatwiejsza do przełknięcia. Istnieliśmy z Charliem poza czasem, poza otaczającym nas światem. Zawsze gdy Szymon wyjeżdżał do Lublina, spędzaliśmy wspólny weekend. Nadrabialiśmy stracone dni. Bez problemu wrywał się z domu. Babce mówił, że jest w tym czasie u matki i odwrotnie. Podobno nie znosiły się nawzajem i nigdy do siebie nie dzwoniły. Prawdopodobieństwo wpadki było niewielkie. A my mieliśmy niemal całe dwa dni dla siebie. Często podczas pobytu u mnie malował. Pozowałam mu. Mówił wtedy, że jestem jego muzą, że jestem niezwykła... Nie znam się na sztuce,

ale uważałam, że ma talent, że jeśli oszlifować by diament, Charlie miałby szansę odnieść w przyszłości sukces...

Oprócz tych weekendów pozostawały nam rozmowy przez Facebooka. Lecz czasami tęskniliśmy za sobą tak bardzo, że po pracy porywałam go gdzieś za miasto. Jechaliśmy do lasu, daleko, parkowałam na uboczu, gdzie nikt nie mógł nas nakryć i kochaliśmy się szybko, mocno, żarłocznie, jak opętani. To był kompletny odlot.

Przez jakieś pierwsze dwa miesiące Szymon chyba się nie domyślał. Cieszył się, że dobrze wyglądam, że lepiej się czuję, że znowu się uśmiecham. Uważał, że to dzięki wiosnie, która powoli zaczęła rozkwitać dookoła.

Nie wyprowadzałam go z błędu.

Paradoksalnie, gdy straciłam głowę dla Charliego, zaczęłam lepiej się z Szymonem dogadywać. Momentami było tak, jak przed kryzysem. Przestaliśmy wymieniać między sobą monosylaby, a zaczęliśmy normalnie rozmawiać. Opowiadał mi o tym, co się działo na jego studiach, o tym, że latem po zdobyciu dyplomu zacznie rozbudowę centrum fitnessu. Był tym tak podekscytowany, zaaferowany planami, że powody mojej metamorfozy widocznie mu umykały...

Raz tylko zrobiło się gorąco i wydawało mi się, że coś podejrzewa. Kiedyś przypadkiem zauważył tapetę na moim telefonie. Charlie jakiś czas temu wrzucił na nią swój ulubiony obraz Boscha – żebym za każdym razem, gdy będę włączała komórkę, pomyślała sobie o nim. Dziwny obraz przykuł uwagę mojego męża.

– Lubisz Boscha? – spytał z dziwnym wyrazem twarzy.

– Skąd wiesz, że to Bosch? Myślałam, że nie interesuje cię sztuka. – Byłam naprawdę zdziwiona.

– Zawsze miałaś mnie za głupka – skwitował jedynie i wrzucił ramionami.

Wtedy przez chwilę pomyślałam, że on coś wie, ale może mi się wydawało.

Tymczasem Wandzie nic nie umknęło. Nie dała się zwieść i dość szybko zorientowała się, co jest grane. Któregoś dnia wpadła do mnie po pracy i wyciągnęła na spacer.

Był słoneczny dzień, koniec marca. Jeszcze nie zielono, ale już nie szaro. Zachowywałam się jak pijana, jakby ta wiosna pączkowała nie tylko na drzewach, na trawnikach, lecz i we mnie. Poszliśmy nad rzekę. Tutaj przychodziłam, zanim poznałam Charliego, żeby się wypłakać, wykrzyczeć. Tutaj mnie obserwował. Tutaj wszystko się zaczęło.

– Kto to jest? – zapytała prosto z mostu.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Grałam na czas.

– Daj spokój, nie rób ze mnie idiotki. Nawet najlepsze psychotropy nie dają takiego kopa. A ty ostatnio niemal nie dotykasz nogami ziemi. Więc pytam, kto cię tak uskrzydla?

– Może Szymon? – drażniłam się z nią.



– Przestań. – Nie miała ochoty na żarty. – Prędzej uwierzę, że postanowiłaś wreszcie zakończyć ten związek, niż że na powrót zakochałaś się w mężu.

– Dlaczego?

– Bo nigdy do siebie nie pasowaliście. I nie wiem, co musiałyby się stać, żeby to się zmieniło.

Wanda nigdy nie przepadała za Szymonem, uważała, że stać mnie na kogoś lepszego. Łączyły ich poprawne, lecz niezbyt ciepłe stosunki. Być może ucieszyłaby się, gdybym odeszła od męża. Wiedziałam jednak, że z mojego nowego wybranka będzie zadowolona jeszcze mniej.

– ...Zatem kto jest tym królewiczem, który wybudził cię ze snu?

– To ci się nie spodoba.

– Jest szansa, że go znam? – Wiedziałam, że nie odpuści.

– Raczej nie.

– Mam nadzieję, że nie uwikłałaś się w romans z jakimś dzieciatym i żonatym facetem. Wiesz, co myślę o kobietach, które rozbijają cudze związki.

Wiedziałam aż za dobrze.

– Możesz być spokojna. On nie ma żony, ale i tak nie będziesz zadowolona.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

– Może będę, a może nie. Co to ma za znaczenie? Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Zawsze akceptowałam twoje wybory. Nawet to nieszczęsne małżeństwo z Kapicą.

– To jest jego uczeń – wypaliłam. Chciałam mieć to już za sobą.

Wanda stanęła jak wryta. Zmarszczyła czoło. Nie rozumiała. Nie chciała zrozumieć, co do niej powiedziałam.

– Słucham?

– Mam romans z chłopakiem z klasy Szymona.

– Oszalałaś?! – Resztki łagodności spelzły z twarzy mojej kochanej Wandy.

– Uwiodłaś dziecko?!

– Nie dramatyzuj. On ma dwadzieścia lat.

– I co z tego? To czyni go dorosłym?

– Uwierz, w pewnych sprawach jest nad wyraz dorosły. – Uśmiechnęłam się dwuznacznie, lecz mój żart nie wywołał w niej rozbawienia.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz?! – spytała chłodno. – Jak możesz wykorzystywać niedojrzałość jakiegoś dzieciaka?

– To nie tak...

– A jak?! – Naprawdę wyglądała na wstrząśniętą. – Nigdy cię nie pouczałam, kiedy zdradzałaś Szymona. Wiedziałam, że jesteś w tym związku nieszczęśliwa, sama nie jestem święta, ale nie przyklasnę związkowi z jakimś małolatem. Przełknęłam twoją zabawę w politykę, nie komentowałam nawet tej błazenady z nagłym nawróceniem, ale czegoś takiego nie przemilczę. Ewka, co ty

wyprawiasz?!

Krzyczała. Na mnie? Wanda, oaza cierpliwości, mistrzyni stoicyzmu mówiła tak głośno, że echo jej słów niosło się po wodzie. Rozejrzałam się dookoła, w obawie, że jeszcze ktoś nas usłyszy.

Nie spodziewałam się, że zareaguje aż tak impulsywnie, że wywołam w niej taki gniew.

– Jesteś mistrzynią komplikowania sobie życia – kontynuowała. – Nie wiem, w którym miejscu, wychowując cię, popełniłam błąd. Może dałam ci za dużo swobody, może z dzieckiem nie powinno się budować partnerskich relacji, lecz wymagać i stawiać wyraźne granice? Może dlatego teraz zachowujesz się tak nieodpowiedzialnie? Nie mogę patrzeć, jak znowu rozwalasz sobie życie, pakując się w związek bez przyszłości. To się nie powinno było zdarzyć!

Słuchałam jej i czułam, jak narasta we mnie sprzeciw. Wiem, że trudno zrozumieć związek taki, jak mój z Charliem, ale do diabła, to była Wanda, moja Wanda! Taka nowoczesna, liberalna, wyzwolona, niepoddająca się konwenansom. Która zawsze mnie rozgrzeszała, która twierdziła, że najważniejsze jest moje szczęście. Czy naprawdę nie miałam prawa do miłości? Co z tego, że Karol ma dwadzieścia lat, a ja dwa razy tyle? Przecież go nie uwiodłam, nie zniewoliłam, nie wymusiłam niczego. Dlaczego ona tego nie rozumie?! Dlaczego się ode mnie odwraca?

Byłam na nią wściekła.

– Nie masz prawa mnie oceniać. Co ty wiesz o związkach? Nigdy żadnego nie udało ci się utrzymać. Czy ty w ogóle jesteś zdolna do miłości? – Jechałam zbyt ostro, ale mleko już się rozlało, a ja nigdy nie umiałam ugryźć się w język we właściwym momencie. – Kiedy raz w życiu, dosłownie raz, miałaś możliwość stworzenia prawdziwego domu, wtedy z Konarskim, to wycofałaś się rakiem. Taka byłaś szlachetna. Taka wielkoduszna, bo on miał żonę i dzieci. I co z tego dzisiaj masz? Jesteś sama. Dobiegasz sześćdziesiątki, a w życiu nie zaznałaś normalności. Jak można tak wegetować? – Wanda była blada jak prześcieradło. Te słowa były niepotrzebne. – Nie zamierzam żyć tak jak ty, jak jakaś cholerna mniszka! Będę szczęśliwa. Rozumiesz?

Stała w bezruchu, z ramionami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Obraziłam ją. Powinna była mną potrząsnąć, strzelić w pysk na odlew, ale niczego takiego nie uczyniła.

– Będiesz szczęśliwa? – rzekła po chwili, uśmiechając się cierpko. – A niby w jaki sposób? Tutaj? W tym piekielku? Zlinczują cię. Nie zdajesz sobie sprawy, jaką cenę zapłacisz. Rozniosą cię na językach. Niechże ta sprawa wyjdzie na jaw... Wpędzisz w kłopoty nie tylko siebie, ale i tego chłopaka.

– Jeżeli będzie trzeba, to stąd wyjadę. – Nadal byłam harda.

– To utopia. – Prychnęła cicho. – Nawet jeżeli odejdziesz od Szymona

i wyjedziesz z miasta, pewnych rzeczy nie przeskoczysz.

– Niby jakich?

– Czasu. Kiedy ty będziesz blisko sześćdziesięcioletnią kobietą, on będzie miał trzydzieści pięć lat. Myślisz, że go przy sobie zatrzymasz, nadal będziesz dla niego atrakcyjna? – Patrzyła na mnie wyczekująco, jednak nie odpowiedziałam. – Może on cię nawet darzy w tej chwili jakimś uczuciem, chociaż sędzę, że na razie dajesz mu po prostu więcej wrażeń, niżby mogły mu zaoferować rówieśnice, lecz za jakiś czas twoje ciało będzie miało coraz mniej do zaoferowania. Pomyślałaś, co się wtedy stanie?

– Nic nie rozumiesz.

– Nie, Ewa, to ty nic nie rozumiesz.

– Kochamy się. – Chciałam, żeby ta deklaracja zabrzmiała twardo, wiarygodnie, a jednak wyszło jakoś żałośnie.

– Być może nie wiem, co to miłość, ale ty ją mylisz z pożądaniem.

Po tej rozmowie nie odzywałyśmy się do siebie przez ponad dwa tygodnie, co w naszym przypadku stanowi sytuację niecodzienną. Nie miewamy cichych dni. Rzadko bywają sprawy, które mogłyby nas głęboko poróżnić. Wanda dotąd jedynie dwa razy obraziła się na mnie na tak długo. Za pierwszym to było wtedy, gdy jej powiedziałam, że jestem w ciąży i zamierzam wyjść za syna byłego robotnika z huty, za chłopaka po AWF-ie, który pracuje u ojca w komisie samochodowym. Była zła i rozczarowana. Nie takiego człowieka widziała u mojego boku. Uważała, że to poroniony pomysł, że zmarnuję sobie życie. Że ślub nie jest potrzebny. Mogę urodzić, ale po co mam się wikłać w związek z prostaczkiem w dresowej bluzie i sportowych butach, z którym nie mam wspólnych tematów. Mimo niezadowolenia, dała wtedy za wygraną.

Drugi raz wkurzyła się na mnie, gdy doszły ją plotki, że nie do końca właściwie wykorzystuję moją władzę i stanowisko. Usłyszała od kogoś „życzliwego”, że przyjmuję łapówki, że za kasę wszystko załatwię. Ona taka kryształowo czysta, prawa, nie mogła ścierpieć, że jej siostrzenica – krew z krwi – dopuszcza się czynów niezupełnie moralnych. Cóż, widocznie zapomniała, że w moich żyłach płynie także krew pierwszego sekretarza.

Wtedy uspokoiliam ją, że wieści, które do niej dotarły, są wysoce przesadzone. Ludzie gadają. Zawsze gadali. Z zazdrości, z nudów. Nie wiem, czy uwierzyła, ale po kilku dniach dąsów wszystko wróciło do normy.

W przypadku romansu z Charliem pozostała jednak nieugięta. Nie chciała zaakceptować mojego wyboru. Wprawdzie po dwóch tygodniach od awantury zadzwoniłam, żeby spytać, co u niej, lecz nasze relacje miały pozostać napięte.

Pewnie dlatego Szymon zaczął się czegoś domyślać. Był naprawdę zaniepokojony. Czuł, że jest coś na rzeczy. Stał się podejrzliwy. Wydaje mi się, że zaglądał do mojej torebki i być może próbował dostać się do telefonu – zmieniłam

więc PIN i dodałam blokadę na odcisk palca. Może mnie śledził, może coś podsłuchał? W każdym razie czułam, że wie.

Nabrałam pewności, kiedy wyskoczył z propozycją, żebyśmy wyjechali w maju na długi weekend z jego nowymi znajomymi z dietetyki.

To był jakiś kompletny absurd! Nie znałam tych ludzi, nie miałam ochoty ich poznawać. Pomysł Szymona kompletnie mnie zaskoczył. Nie byliśmy nigdzie razem od ponad dwóch lat. Miałam wątpliwość, ale on nalegał jak nigdy. Na początku maja wypadają moje urodziny, mamił mnie, że mogłabym je spędzić nad jeziorem. Opowiadał, że wynajmiemy jakiś uroczy dom nad Mamrami, że odpocznę, poleniuchujemy, że tort, świeczki, szampan, zero telefonów, zero Internetu... Ci znajomi ze studiów, to naprawdę sympatyczni ludzie. Dwie fajne pary. Trochę młodszy od nas, ale przypadniemy sobie do gustu. Muszę się trochę otworzyć na nowe znajomości, poszerzyć grono przyjaciół, bo przecież nie mam ich zbyt wielu – od czasu kiedy zaczęłam być burmistrzem, moje relacje z dawnymi znajomymi trochę się rozluźniły, natomiast ci, którym nagle zaczęło zależeć na mojej przyjaźni, nie byli tego warci.

„Będzie sympatycznie, będzie jak dawniej...” – namawiał mnie.

Wiedziałam, że w ten sposób chce mnie odciągnąć od Charliego. I w pewien sposób... – wiem, to idiotyczne – ta jego nieoczekiwana zazdrość łechtala moją próżność. Szymon zabiegał o mnie. Próbował powstrzymać.

Zgodziłam się. Dla świętego spokoju, ale też dlatego, żeby nie przeszkadzać Charliemu w nauce. Na początku maja zaczynała się matura, więc całymi dniami siedział z nosem w książkach. Oczywiście wkurzył się, gdy powiedziałam, że wyjeżdżamy, ale na zmianę decyzji było już za późno.

Pojechaliliśmy. Las, jezioro, szuwary wciąż żółte po zimie. Łódek na wodzie jak na lekarstwo, jak w „Nożu w wodzie”. I dziwna sprawa, naprawdę dobrze się bawiłam. Ci znajomi Szymona okazali się wyjątkowo wyluzowani. Wynajęliśmy pięknie położony dom nad samym jeziorem. W ciągu dnia siedzieliśmy na pomoście, łowiliśmy ryby, moczyliśmy nogi, chwytając wiosenne słońce. Wiezorami na tarasie, chociaż bywało jeszcze chłodno, piliśmy wino, jedliśmy kolację. Dookoła cykały świerszcze... Myślałam o Charliem, o naszej trudnej miłości, o tym, co dalej. I patrzyłam ze zdziwieniem na mojego męża, który w towarzystwie nowych przyjaciół rozkwitał, dowcipkował, śmiał się. Dawno go takim nie widziałam. A później zapadła noc.

W domu na Piaskach mamy osobne sypialnie. Tu każda z par zajęła po jednym pokoju. Nie spałam z Szymonem od wielu miesięcy, co najmniej od zeszłej jesieni. A może lata? A teraz nie mogłam uciec. I chyba wcale nie chciałam. Pewnie dlatego, że nie wymuszała na mnie bliskości.

Pierwszej nocy do niczego nie doszło – byliśmy sobą oneśmieleni. Nie próbował mnie całować, rozbierać. Po prostu położyliśmy się do łóżka. On przez

jakiś czas jeszcze czytał, ja szybko zapadłam w głęboki, mocny sen. Dopiero nad ranem, kiedy na dworze było jeszcze szaro, zdałam sobie sprawę, że Szymon mnie przytula. Mogłam wysunąć się z jego ramion, ale tego nie uczyniłam. Znajomy zapach ciała sprawił, że zrobiło mi się przyjemnie, dobrze. Znowu zasnęłam, a kiedy się obudziłam, był już dzień, a głos Szymona dochodził z dołu z kuchni. Przygotowywał ze znajomymi śniadanie.

Później były moje urodziny. Wieczorem wypiliśmy szampana, były prezenty, życzenia. Szymon zamówił tort w Węgorzewie, ktoś puścił muzykę z laptopa. Tańczyliśmy pod rozgwieżdżonym pruskim niebem. Wokoło pierwsze komary. Niebo tonęło w jeziorze. Ja tonęłam w ramionach Szymona. Czterdzieste pierwsze urodziny. Rocznicą bez znaczenia, a jednak było inaczej niż zwykle, donioślej. Dawno tego nie czułam. Nie przeszkadzały mi jego dłonie. Pragnęłam ich dotyku.

A później w nocy sprowokowałam go. Stało się. Zdradziłam kochanka z mężem. Kuriozum! Miałam wyrzuty sumienia. Czułam do siebie obrzydzenie. Tym większe, że naprawdę było mi z Szymonem dobrze. Niemal tak jak kiedyś, wieki temu, gdy się poznaliśmy. Tak bardzo się od siebie odsunęliśmy, dzieliła nas taka przepaść czasu, że teraz miałam wrażenie, jakbym robiła to z Szymonem pierwszy raz. Było w tym coś świeżego, zaskakującego...

Kolejnej nocy scenariusz się powtórzył.

I kolejnej...

W ciągu dnia udawaliśmy, że nic się nie stało. Pomost, ryby, wino, słońce tańczące na tafli jeziora. Chciałam to przegadać, ale zabrakło mi odwagi. Szymon nawet nie próbował poruszać tematu. Jak zawsze przy ludziach odgrywaliśmy spektakl, wchodząc w rolę zgodnego małżeństwa. Szymon był dla mnie miły, ale zachowywał dystans. Jakby chciał przez to powiedzieć: „Te noce nic nie znaczą”. Postanowiłam przyjąć jego strategię. Miał rację. Nic się nie stało. Nic nas nie łączy.

W domu czekał na mnie Charlie.

Czekał odmieniony. Naburmuszony. Zły. Wkurzała go nawet moja opalenizna, bo przypominała, że ostatnie dni spędziłam bez niego. Z tamtym. Jego zazdrość sprawiała mi przyjemność. Naprawdę musiał mnie kochać. Jakżeby inaczej. W innym wypadku przecież nie byłby na mnie wkurzony za ten wyjazd. Tak myślałam...

Na przeprosiny kupiłam mu aparat. Kiedyś wspominał, że chciałby zacząć fotografować, że go to interesuje, ale nie ma kasy na sprzęt. Kupiłam najdroższy model, jaki dostępny był w sklepie. Charlie się ucieszył. Wszystko wróciło do normy. Byłam zakochana. Był maj. Nocne incydenty z Mazur zamiotłam pod dywan niepamięci.

Chciałam tylko Charliego.

Chciałam...?

[29] *Ibidem.*

27.

*A ona, głucha na moje namowy,*

*Rozpaczą zdjęta, pozostała w miejscu*

*I, jak się zdaje, cios zadała sobie.*

*Oto jest wszystko, co wiem; o małżeństwie...[30]*

Prawdopodobne wersje, różne hipotezy, postępowanie przygotowawcze. Prokuratura? Na razie trzeba się z tym wstrzymać.

Witek, jak po ogień, ledwie na moment wpada na komendę, zostawia próbkę DNA Karola Górskiego dla techników, a sama gna dalej, do szpitala.

Jest w swoim żywiole. Jest w transie. Myśli w zawrotnym tempie przelatują jej przez głowę. Wszystko wydaje się takie logiczne. Układanka niemal kompletna. Rozszyfrowana enigma.

Zakazana miłość Karola i Ewy Kapicy. Zazdrosny mąż morduje kochankę żony, a ją samą otruwa. Symuluje samobójstwo, fabrykuje list pożegnalny. Na domiar wszystkiego skierowuje na biedaczkę podejrzenia związane ze zniknięciem chłopaka. To takie banalne! Trzeba jedynie znaleźć ciało. Śledztwo, poszlakowe, bez głównego *corpus delicti*, zawsze nastęrcza trudności. Małgośka lubi trudności. I z przyjemnością wypełni dowodami wszystkie wyłomy tej teorii.

Alibi, list, trucizna.

Witek w drodze do szpitala raz po raz dzwoni pod lubelski numer znajomych Szymona Kapicy. Nikt nie odbiera, ale Małgośka już teraz wie, że go tam nie było. Nigdzie nie wyjechał. Trzeba więc tylko to potwierdzić, a facet będzie umoczony. I jeszcze list pożegnalny. W jego wiarygodność Małgośka też nie wierzy, musi dla grafologa zdobyć próbki pisma z niezależnego źródła. Z ratusza? Tam na pewno

znajduje się sporo dokumentów spisanych ręką Ewy. Ale najpierw rozmowa z lekarzem – w szpitalu na pewno już wiedzą, co sprawiło, że Ewa Kapica jest w śpiączce.

Na koniec wyniki analizy krwi i mogą ściągać prokuratora. Będzie się działo. Małgośka czuje, jak podnosi się jej ciśnienie, niemal czuje zapach krwi...

A może jednak uwzięła się na faceta? Może nieświadomie ma mu za złe, że wtedy, przed dwoma laty, nie zadzwonił? Oczywiście, że nie ma. Nie jest małostkowa. Jest twarda, uodporniona na takie pierdoły, i nie potrzebuje męskiej uwagi, czułych słówek, pustych gestów. To był wyłącznie seks, a ona po mistrzowsku potrafi oddzielić uczucie od pożądania. Dlatego spłynęło po niej... Na pewno. Baran nie ma racji. Absolutnie. – Małgośka dodaje gazu, woda tryska spod kół, zalewając opustoszałe chodniki.

Wreszcie szpital. Szare budynki obłożone – dla ozdoby? – jakimiś dziwnymi musztardowymi płytami. Dekoratorski wymysł lat siedemdziesiątych. Kruszące się, zajęte dziwnym nalotem elewacje przywodzą Małgośce na myśl gnijący Pałac Kultury z Konwickiego.

W środku kapsuła czasu przenosząca do ubiegłego wieku. Wszystko z epoki Gierka, tylko okna nowe, tanie, plastikowe. I pachnie specyficznie. Trochę jak na basenie, ale bardziej mdlawo. Po wytartych tysiącami butów podłogach sennie przesuwiają się aktorzy niemego szpitalnego spektaklu. Nikt nie mówi, wszyscy szepczą. Szum przytłumionych głosów dobywa się z ust strwożonych odwiedzających, znudzonych lekarzy, zrezygnowanych pielęgniarek – nikt się nie uśmiecha. W ośrodkach takich jak ten, na peryferiach Polski B, nikt i nic nie wygląda jak w serialowej Leśnej Górze. Skomplikowane przypadki wysyła się do Lublina albo jeszcze dalej, do stolicy, a tutaj to wyłącznie nagłe schorzenia: złamanie, ataki serca, pęcherzyki żółciowe, porody... Pieniądzy brak na wszystko. Dyrekcja od trzech lat sądzi się o nadwykonania, bo środki z kontraktu z NFZ kończą się już pod koniec października. Później lepiej nie chorować albo od razu umrzeć.

Witek pyta jakąś napotkaną przy wejściu kobietę, gdzie jest OIT. Na drugim piętrze w prawo i do końca korytarza. Podąża zgodnie ze wskazówkami. W głąb Hadesu. Na korytarzach łózka, na nich ludzie o szarych twarzach... Wreszcie oszklona przegroda. Na mlecznej szybie czarne litery wieszczą, że dotarła do celu. Nie pyta o zgodę, nie zakłada jednorazowych foliowych worków na buty, nie narzuca na ubranie zielonkawego drelichu. Wchodzi.

W środku wszystko zahibernowane ciszą. Szum został gdzieś z tyłu. Przestrzeń wypełnia jedynie jednostajne pikanie sprzętów medycznych, które przesiąka na korytarz przez drzwi separatek. Pielęgniarka o twarzy kogoś, kto widział w życiu już wszystko, zatrzymuje Witek z gromiącym spojrzeniem:

– Tu nie wolno wchodzić. Tu jest OIT! – mówi dużymi literami.



Na Goście upomnienie nie robi wrażenia.

– Jestem z policji. Szukam ordynatora. Dziś rano trafiła do państwa Ewa Kapica, ja w tej sprawie.

Kobieta nie odpowiada, wygląda, jakby trzymała w ustach wszystkie gorzkie pigułki świata, zamiast tego władczym gestem – królowej oddziału – wskazuje na jedne z drzwi.

„Dr Tadeusz Konarski, ordynator” – wieści tabliczka. Małgośka puka, a gdy z wnętrza dochodzi zaproszenie, chwyta za klamkę, otwiera drzwi. W środku mężczyzna w kitlu. Unosi głowę znad papierów, którymi zasłane jest jego biurko:

– Słucham? – pyta z wyraźnym niezadowoleniem i typową dla lekarzy manierą wyższości.

– Komisarz Witek, komenda powiatowa policji.

– Pewnie w sprawie Ewy Kapicy, czy tak? – Od razu rozszyfrowuje powody jej wizyty.

Małgośka przytakuje.

– Proszę usiąść.

Krzesło, jak wszystko wokół, pamięta lepsze czasy. Gdy Witek siada, chybota drewniana rama niebezpiecznie trzeszczy.

– Panie doktorze, od razu przejdę do rzeczy. Istnieje podejrzenie, że Ewa Kapica wcale nie próbowała popełnić samobójstwa. Podkreślam, to na razie hipoteza, jednak w jej domu być może doszło do przestępstwa. Właśnie stamtąd wracam...

– Co pani sugeruje?

– Istnieje przypuszczenie, że nie otruła się sama.

– Wykluczone. – Na twarzy lekarza nie drga żaden mięsień.

– Nie rozumiem?

Konarski przesuwając jakiś papier w jej stronę i stukając w czarne robaczki liter.

– Nie wiem, co pani znalazła w domu mojej pacjentki i szczerze mówiąc, zupełnie mnie to nie obchodzi, ale ja przed chwilą dostałem wyniki analizy krwi pani Ewy.

– I?

– Tak jak przypuszczaliśmy, i jak sugerowała jej ciotka, we krwi pani burmistrz znaleźliśmy pochodne benzodiazepin.

– Co to jest?

– Alprazolam, czy może bardziej medialnie: xanax, mówi to pani coś?

– Lek na depresję?

– Tak. Działa przeciwlękowo, nasennie, uspokajająco. Jest niespecjalnie groźny, oczywiście jeżeli będzie dawkowany według wytycznych lekarza prowadzącego. To nie są cukierki. W dużej ilości, a przede wszystkim w połączeniu z alkoholem, może wywoływać zaburzenia mowy, senność,

niewydolność oddechową, niezborność ruchów i ostatecznie śpiączkę.

– Ktoś mógł jej to podrzucić? Podać w winie albo czymś takim? – Komisarz Małgorzata Witek nie traci nadziei. Ta sprawa nie może się tak skończyć.

– Przykro mi, że podważam wysnute przez panią teorie – mówi z lekką drwiną. – Jednak to całkowicie niemożliwe. Nie mówimy tu o, dajmy na to: kropelce toksyny w drinku, jak to zazwyczaj pokazują na filmach. Dawka, którą przyjęła pani Ewa, była sporej objętości. Garści tabletek, nawet po pokruszeniu, nie można by przełknąć bez świadomości.

– Ale skąd miała te leki?

– Jej ciotka Wanda skontaktowała się z lekarzem psychiatrą z Lublina, u którego pani Ewa była jakiś czas temu. To on zapisał leki. Widocznie pacjentka nie przyjęła ich zgodnie z zaleceniem, ale sobie zostawiła. Nasze badania potwierdziły kilkakrotnie wyższe stężenie benzodiazepin w organizmie pani Ewy, niż wynosi dopuszczalna dzienna dawka. Wszystko by się zgadzało.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. To bez wątpienia była próba samobójcza. – Na ustach lekarza rozkwita pogardliwy uśmiech.

Komisarz Witek wzdycha. Cóż za rozczarowanie! Cały misterny plan psu na budę. Została oszukana, wystrychnięta na dudka. Cały dzień w plecy. Zwykle samobójstwo? Ale w takim razie czyja krew jest w samochodzie? O co w tym wszystkim chodzi? Znowu nici z wielkiej sprawy, z emocji, z powrotu do pierwszej ligi...

– Wie pan, jednak tam w domu naprawdę zdarzyło się coś niedobrego. Nie mogę wyjawić szczegółów, ale sądziliśmy, że może...

– Cóż, w naszym przypadku sprawa jest jasna. – Konarski przerywa jej zniecierpliwiony. Wygląda na poirytowanego. Wymownie spogląda na rozłożone na biurku papiery. – Proszę nie szukać dziury w całym. Jeśli to wszystko, czego pani ode mnie chciała, to przepraszam, ale mam pracę.

Komisarz Witek chętnie rzuciłaby przekleństwem – wkurza ją lekceważący ton mężczyzny – jednak panuje nad nerwami. Zanim wyjdzie, musi zapytać o coś jeszcze:

– A jak ona się w ogóle czuje, to znaczy, w jakim dokładnie stanie jest Ewa Kapica? Czy ewentualnie będzie można z nią porozmawiać?

– Porozmawiać? Pani Ewa jest w stanie głębokiej komy.

– Czego?

– Śpiączki.

– Jest szansa, że się wybudzi?

– Zawsze jest szansa. Niestety w takich sytuacjach dochodzą różne powikłania, zachłystowe zapalenie płuc... Pani Ewa może wybudzić się za kilka dni, ale równie dobrze może pozostać w tym stanie przez długie tygodnie. Albo

umrzeć.

– Umrzeć?

– Cóż, nadal nie jest stabilna. Pozostaje nam czekanie.

– Nic innego nie da się zrobić?

– Podajemy jej flumazenil, lek odtruwający, podtrzymujemy funkcje życiowe i czekamy, wierząc, że jej organizm jest wystarczająco silny. To wszystko. Poza tym chory też musi chcieć się obudzić, musi sam walczyć. Jeśli ktoś wierzy, może się jeszcze pomodlić.

Witek analizuje słowa doktora.

– A jej ciotka, nie wie pan, gdzie ją znajdę? Jeżeli to możliwe, chciałabym z nią zamienić kilka słów.

– Wanda? Jest przy Ewie.

– Tutaj?

– Tak.

– Będę mogła tam wejść?

– No nie wiem, nie mam obowiązku pani wpuszczać...

– Bardzo pana proszę. – Witek, gdy chce, potrafi być miła. Patrzy na mężczyznę przymilnie. Uśmiecha się delikatnie. Jest słodka jak czekoladowa pralina.

Ordynator nie jest nieczuły na kobiecy urok, rzuca zrezygnowany:

– Niech już będzie, ale niechże tam pani nie siedzi zbyt długo. Chora potrzebuje spokoju. I proszę chociaż ochraniacze założyć na buty, tu nie wolno wnosić zarazków...

Komisarz Witek żegna się i posłusznie wraca na korytarz. Wędruje wprost do dystrybutora z ochraniaczami, który stoi przed wejściem na oddział. Niecierpliwie szuka drobnych po kieszeniach. W końcu znajduje odpowiedni nominał. Wtyka go w paszczę automatu, a on w podzięcie wypluwa jajko z turkusową niespodzianką. Małgośka zakłada worki na buty. Obcasy od razu dziurawią folię. Wygląda w tym idiotycznie, ale trudno.

Zatem z powrotem na OIT i do sali numer dwa. Witek chwilę się waha. Zawsze trochę trudno stawać twarzą w twarz z chorobą, ze śmiercią. Wreszcie jednak łapie za klamkę i bezgłośnie uchyla drzwi.

Na łóżku leży kobieta. Całkiem młoda, całkiem ładna. Na poduszce rozsypane jasne włosy. Można by pomyśleć, że śpi, gdyby nie to, że podłączona jest pod respirator i kroplówkę, a kolor jej skóry zlewa się z bielą prześcieradła. Małgośkę coś kłuje w klatce piersiowej. Być może to wyrzuty sumienia – dotykała ciała, które powinno należeć jedynie do tej kobiety, dotykała jej męża. Małgośka nie jest sentymalna, niespecjalnie wierzy w świętość i nienaruszalność sakramentu małżeństwa, i w normalnych warunkach nic by pewnie nie poczuła, lecz nieruchome ciało Ewy Kapicy wprawia ją w zakłopotanie, w rodzaj

psychicznego dyskomfortu.

Przy łóżku, plecami do drzwi siedzi druga kobieta. Szczupłe plecy w opiekuńczym geście wyginają się w łuk nad chorą. Odwraca się, słysząc dźwięk kroków.

Witek postępuje niepewnie do przodu. Schyla głowę w powitaniu:

– Pani Wanda? – pyta szeptem, jakby bała się zbudzić Ewę.

– Tak. A pani kim jest?

Małgośka podchodzi bliżej. Foliowe ochraniacze szeleszczą przy każdym stąpieniu.

– Małgorzata Witek, jestem z wydziału kryminalnego miejscowej policji.

Spodziewa się, że swoim najściem wprawi kobietę w zdziwienie, tymczasem twarz tamtej pozostaje nieruchoma.

– Czekałam na kogoś od państwa, dobrze, że Tadeusz panią wpuścił. Musimy porozmawiać. Wydaje mi się, że popełniłam błąd.

[30] *Ibidem.*

28.

*Prawię o marzeniach,*

*Które w istocie niczym innym nie są*

*Jak wylęglymi w chorobliwym mózgu*

*Dziećmi fantazji; ta zaś jest pierwiastku*

*Tak subtelne go właśnie jak powietrze;*

*Bardziej niestała niż wiatr, który już to*

*Mroźną całuje północ, już to z wstrętem*

*Rzuca ją, dążąc w objęcia południa[31].*

Wanda trwa przy mnie. Trzyma mnie za rękę. Trzyma mnie przy życiu. Chciałabym jej powiedzieć, że jestem tu, że jej obecność przynosi mi ulgę, lecz moje ciało mnie nie słucha. Odrętwiałe członki ani drgną. Usta milczą.

Siedzimy więc w ciszy, w pokoju bez czasu. Bez światła dnia i ciemności nocy. Wydaje mi się, jakbym trwała w tym stanie już od bardzo dawna, jakby nic nie było poza tą chwilą i minęły miesiące, a nawet lata.

Co jakiś czas przychodzi pielęgniarka – ta miła o empatycznym spojrzeniu –

sprawdza, czy nic się nie dzieje. Czy niczego nam nie potrzeba. Potrzeba nam bardzo wiele, ale ona nam tego nie da. Więc wychodzi.

I znowu wraca.

Dlatego teraz, gdy drzwi się uchylają, także myślę, że to ona. A może Szymon? Mój mąż? Dlaczego go tu nie ma? Czemu chcę, żeby był?

Jednak to ani nie pielęgniarka, ani nie mój mąż. Do pomieszczenia wchodzi kobieta, która zamiast kitla, ma na sobie białą koszulę i jeansy. Jest ode mnie trochę młodsza. Ma piwne, przenikliwe oczy i bardzo jasne włosy zebrane wysoko w kucyk. Zadbana, wysportowana, trzyma się prosto. Pewnie uprawia jakieś sporty, może biega. Mnie też Szymon nieraz namawiał, lecz nie miałam wystarczająco dużo siły woli... Nosi okulary w czarnych oprawkach, a na nogach szpilki w turkusowych ochraniaczach. Niepewnie przekracza próg.

Czego się boisz, wchodź.

Czy skądś ją znam? Nie przypominam sobie, ale moja pamięć jest teraz dziurawa jak budżet tego miasta. Musi upłynąć jeszcze trochę czasu, żebym uzupełniła wszystkie luki. Wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałam. Zastanawiam się, gdzie... Może służbowo, a może nie? Nie mam pamięci do twarzy.

Kobieta się przedstawia. Jest z policji? „Na co tu, u diabła, policja?!” – zastanawiam się, dryfując nad swoim ciałem pomiędzy Wandą a nieznajomą. Ja się dziwię, ale moja ciotka nie dziwi się tej wizycie. Wygląda nawet, jakby była z niej zadowolona. Prosi, żeby ta kobieta usiadła, więc tamta siada i patrzy to na Wandę, to na mnie. Ciotka mówi coś o jakimś wezwaniu, że to ona kazała Szymonowi, że była pewna jego winy. A teraz czuje, że się myliła...

Nic nie rozumiem z jej wyvodu.

Czy coś wczoraj zrobiłam, czy Szymon coś złego zrobił, a może Charlie?

Nadal nie pamiętam, jak się tu znalazłam, jak do tego doszło.

Ostatni miesiąc, maj, miłosny haj. A może uczucia powoli zaczęły wygasać? Muszę sobie przypomnieć...

Dlatego znowu przeglądam klisze wspomnień. Znowu znika separotka. Jestem na dachu.

Na dachu mojego domu. Jest bezchmurna majowa noc. Jest gorąco. Leżę na kocu na tarasie w ramionach Charliego. Wyciągam rękę i dotykam czerniejących na tle nieba czubków sosen. Dotykam gwiazd.

Mój kochanek ma ciepłą, aksamitną skórę. Mój kochanek jest smutny. Jest w trakcie egzaminów maturalnych, jest zestresowany. Boi się, czy jego teczka zostanie dobrze przyjęta na akademii, czy zaproszą go na egzamin. Uspokajam go...

To właśnie tej nocy coś poszło nie tak. Zrozumiałam, że coś się zmieniło. Kochaliśmy się kilka razy, do utraty sił, na tarasie mojego domu, a później w przerwie, otuleni kocem, piliśmy wino, paliliśmy jointy i rozmawialiśmy.

Pozornie wszystko było po staremu, a jednak rejestrowałam w Charliem dziwną zmianę. Od czasu mojego powrotu z Mazur wytworzyła się między nami szklana ściana niedopowiedzeń. Nie zapytał, czy podczas wyjazdu spałam z mężem. W ogóle był daleki, milczący.

Tamtej nocy czułam to wyraźnie. Może chciałam go sprowokować, wy badać sytuację, przyspieszyć rozwój wypadków. Gdy po wszystkim zmęczeni opadliśmy na plecy, rzuciłam zupełnie spokojnie:

– Ucieknijmy.

– Słucham?

– Zaraz skończy się matura, a wtedy już nic nie będzie cię tu trzymać. – Wymyślałam na poczekaniu.

Przenikając mrok, wpatrywałam się w jego twarz. Chciałam dostrzec na niej chociaż cień entuzjazmu, ale mój kochanek jej nie przejawiał. Zdawał się całkowicie skupiony na tej chwili, na odległych impulsach orgazmu, wibrujących jeszcze pod skórą. Przesuwając dłonią po moim nagim ramieniu, wymruczał:

– Ewa... To nie takie proste.

– Mnie to mówisz? To ja mam męża, robotę w ratuszu... To ja najwięcej ryzykuję.

– Dlatego uważam, że na razie nic nie powinnaś zmieniać.

– Ale ja już nie chcę się dłużej ukrywać. Nie mam siły tak żyć. Ucieknijmy stąd! – Zapalałam się do konceptu, chociaż w głębi duszy wiedziałam, że to utopia.

– Wyjedźmy do Warszawy. Wszystko dałoby się jakoś ułożyć. Wynajęłabym mieszkanie niedaleko akademii. Bylibyśmy razem.

– I co, ja pójdę na studia, a ty będziesz mi gotowała obiady i prasowała koszule?

– Na to nie licz. – Żachnęłam się z uśmiechem. – Na pewno znalazłabym jakąś pracę, przecież jestem z wykształcenia prawnikiem. W Warszawie jest mnóstwo możliwości. I więcej tolerancji.

– Zawsze mówiłaś, że nie znosisz Warszawy. – Przymknął oczy.

Nie wierzyłam. Wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany tematem i najchętniej by się zdrzemnął. Echo słów Wandy sprzed zaledwie dwóch miesięcy rozdzwoniło mi się w głowie. Charlie nie widział naszej wspólnej przyszłości. A czy ja ją dostrzegałam? Czy naprawdę wierzyłam, że miłosny odlot trwać będzie już zawsze?

– Wtedy nie było tam ciebie. – Stwierdziłam chłodno.

Na tembr mojego głosu otworzył oczy i odwrócił do mnie głowę. Przyglądał mi się, milcząc, jakby chciał rozstrzygnąć, czy to, co przed chwilą usłyszał, powiedziałam na serio, czy tylko próbowałam go wy badać.

– Nie działajmy pochopnie – rzekł pojednawczym tonem.

Gdzie się podziewał mój szalony, beztrocki chłopiec? Co się z nim stało?

Dlaczego odsuwał się ode mnie? Czy to może ja się odsuwałam? Kochamy się? Naprawdę? Jeszcze chciałam się trzymać tej myśli. Jeszcze w nią wierzyłam. Lecz słodki różowy lukier, którym pokryłam własne wyobrażenia o Charliem, o naszej metafizycznej bliskości, o naszej wyjątkowości, zaczął się kruszyć i opadać.

– Myślałam, że się ucieszysz.

– Cieszę się, porozmawiajmy o tym jutro – odparł bezbarwnie i ziewnął.

Minutę później kołysały go już ramiona Morfeusza.

[31] *Ibidem.*



## 29.

*Ślepym w miłości ciemność jest najmiłsza[32].*

Pierwszy telefon do córki:

– Paulinka, potrzebuję adresu tej twojej koleżanki z podstawówki. Tej Soni Kowalskiej.

– Rudej? A na co ci to, tatuś?

– Muszę z nią porozmawiać. Służbowo.

– A kiedy wrócisz do domu? Mama pyta, czy już może wstawiać obiad?

Na wspomnienie o jedzeniu Baranowi burczy w brzuchu. Zerka na zegar na desce rozdzielczej: dochodzi szesnasta. Właśnie powinien zejść z dyżuru. Marzenie ściętej głowy.

– Nie wiem. Wyszła mi pilna sprawa w pracy. Jeżdżę po mieście. Pewnie jeszcze trochę to potrwa. Powiedz mamie, żeby nie czekała na mnie. Zjedzcie same. Jak będę wiedział, o której mnie wypuszczą, zadzwonię. To jak, podasz mi ten adres?

A potem jeszcze jeden telefon.

Kolejne sygnały wibrują w uchu, wreszcie trzask i uruchomienie się poczty głosowej. Baran już wszystko wie, no, prawie wszystko. Układanka jest niemal kompletna. Małgośka się myli i musi jej to powiedzieć, tylko ona, jak na złość, nie odbiera, a Ryś przecież nie będzie gadał z automatem. Witek pewnie jest w szpitalu, rozmawia z lekarzami Ewy Kapicy... W takim razie Baran zadzwoni do niej później, a teraz pojedzie do centrum.

Na zewnątrz jakby trochę mniej padało, a może po prostu już się przyzwyczaił. Wszystko jest napuchnięte, nabrzmięte od wody. Na murawie mijanego orlika stoją wielkie mętne bajora. Tuż obok oślizgła elewacja kościoła Świętego Piotra i Pawła błyszczy się i mieni jak pancierz żuka gnojarka. Miasto jest dzisiaj jakieś osobliwe, takie nieprawdziwe, rozmazane. A może to nie przez deszcz, lecz przez głód rozchwiała się percepcja podkomisarza?

Nawet okolice własnego domu wydają mu się dzisiaj dziwnie obce. Osiedle mieszkaniowe „Przyszłość”. Trzypiętrowe bloki usytuowane w niedużej odległości

od rynku. Kameralnie tu, zacisznie i całkiem przyjemnie. Wielka-mała płyta z zadbaną zielenią wokół. Tu w głębi, w trzeciej linii zabudowy, w bloku pod numerem ósmym, na trzecim piętrze mieszka podkomisarz Baran z żoną i córką. Tu, przy przecznicy z ulicą Lubelską, w bloku pod numerem pierwszym, na drugim piętrze mieszka rudowłosa dziewczyna, z którą podkomisarz Baran musi pogadać.

Zanim jednak to zrobi, najpierw trochę prywaty. Bliskość domu i niemożność pójścia na obiad wzmaga w nim głód. Zatem osiedlowy sklepik. W środku jasno, więc otwarte. Jakaś sucha buła albo baton jako erzac schabowego, teraz to już wszystko jedno. Jeżeli Rysiek zaraz nie przyjmie węglowodanów, niechybnie padnie pokotem.

Ochoczo przemierza chodnik w stronę blaszaka. Na dachu szyld „U Andrzeja”. W środku nie ma Andrzeja, jest za to małżonka. A na półkach, jak to w osiedlowym sklepiku, artykuły pierwszej potrzeby: cała ściana zastawiona czteropakami piwa – widocznie Andrzej nie dostał koncesji na mocniejsze trunki – do tego chipsy i tanie wafelki. Normalnych produktów spożywczych jak na lekarstwo. W chłodni jakiś samotny serek topiony, butelka kefiru, ser żółty w plasterkach, mortadela i metka. Na drucianym regale kilka bochenków krojonego chleba i obeschnięte drożdżówki. Napoje gazowane w kolorach, które naturalnie nie występują w naturze – na zapojkę, żeby to czerstwe pieczywo jakoś przełknąć. Za ladą Andrzejowa, koło pięćdziesiątki z silnym zarostem nad górną wargą, przed ladą... Ruda?

Kiedy Rysiek podchodzi bliżej, dziewczyna właśnie kładzie na kontuarze pieniądze za zakupy. Przenosi spojrzenie z kasjerki na znajomego policjanta. Zaskoczona, uśmiecha się przelotnie.

– Dzień dobry. – Kłania się uprzejmie, niczym grzeczna dziewczynka, którą była w czasach, gdy uczęszczała z córką podkomisarza do jednej klasy.

Tyle że Sońka na pewno nie jest już małą dziewczynką. Baran wpatruje się zdziwiony w nastolatkę. Niby z jego Paulinką są równolatkami, lecz tamta wciąż wydaje się Ryśkowi dzieckiem, a ta jest kobietą. Prawdziwą, pełnokrwistą kobietą, która nieświadomie roztacza wokół siebie zwierzęcy słowiański czar. Jest posągowa, bardzo zgrabna, ma małe, idealnie okrągłe piersi. Pociągająca, mimo że ruda i piegowata.

– Dzień dobry, Soniu – rzuca pogodnie w odpowiedzi, starając się nie myśleć o jej ciele. – Co tam słychać? Rzadko do nas wpadasz ostatnio.

– Koniec roku szkolnego. Dużo nauki – tłumaczy dziewczyna, odbierając od kasjerki z wąsami resztę i chowając do cienkiej reklamówki dwa piwa oraz cytrynę. Przepuszcza podkomisarza do kasy, robiąc krok w stronę wyjścia. – To ja już lecę. Ojciec czeka na piwo – wyjaśnia, widząc wzrok Barana utkwiony w jej zakupach.

– Nie, nie. – Ryś przytomnieje. – Poczekaj, bo widzisz... Właściwie, to dobrze, że na ciebie wpadłem. Wybierałem się do ciebie do domu. Muszę z tobą

porozmawiać.

– Ze mną? – Ruda robi wielkie oczy. W szarych tęczęwkach odbija się zimne sklepowe światło.

– Tak.

– Nie rozumiem... Coś z Pauliną?

– Nie. Poczekasz? Zaraz ci wszystko wyjaśnię, wezmę tylko coś do jedzenia.

Wąsata sprzedawczyni nadstawia uszu, lecz Rysiek już nic więcej nie mówi. Wybiera najmniej obeszniętą bułkę z budyniem ze stojaka i płaci.

Gdy drzwi blaszaka zamykają się za ich plecami, dziewczyna przyciskając reklamówkę do piersi, pyta zaniepokojona:

– Czy to coś ważnego, bo naprawdę się spieszę?

– Soniu... Jestem tu służbowo, chodzi o Karola.

Nie musi dodawać nazwiska. Tamta w mig chwyta, o kim mowa.

– O Charliego?

– Tak.

– Coś mu się stało? – W jej głosie wibruje strach.

– Nie wiem. Nie wrócił do domu po wczorajszym ognisku.

– Nie wrócił... – powtarza jak echo.

– Myślałem, że może ty będziesz coś wiedziała?

– Ja nic nie wiem. Nie wiem, gdzie on jest. Prawie go nie znam. – Kłamiąc, wije się jak piskorz.

Półkolisty daszek z pleksiglasu nad wejściem daje mizerną ochronę przed deszczówką, a rudowłosa dziewczyna jest w samej bluzce, trzęsie się. Z zimna? Ze strachu?

– Rozumiem... Ale może pójdziemy do ciebie do domu i tam porozmawiamy?

Ruda energicznie kręci głową.

– Wolę nie. Rodzice są. Jeżeli mam panu cokolwiek powiedzieć, to już lepiej tutaj. – Na pokrytej złotymi plamkami twarzy rysuje się desperacja.

– W takim razie chodźmy do mojego samochodu. – Wskazuje na skodę zaparkowaną kilka metrów dalej. – To zajmie zaledwie kilka minut...

Sońka bez słowa rusza za podkomisarzem. Wsuwa się na miejsce pasażera. Między szczupłymi nogami ustawia reklamówkę z piwem, odgarnia z twarzy mokre kosmyki.

Rysiek siada za kierownicą. Od razu przystępuje do ataku. Drożdżówka ląduje na desce rozdzielczej, okruchy kruszonki rozsypują się po kokpicie. Będzie musiał jeszcze poczekać z konsumpcją.

– Soniu – zaczyna spokojnie. – W sprawie zniknięcia Karola rozmawiałem już dzisiaj z kilkoma osobami, ale sadzę, że jeśli ktoś nam może pomóc wyjaśnić, co się naprawdę stało, to właśnie ty.

Sońka rozgląda się po wnętrzu policyjnego samochodu, jakby się czegoś bała. Broda lekko jej się trzęsie.

– Ja naprawdę nic nie wiem.

– Kuba Braszkiewicz powiedział mi...

– Braszkiewicz to dureń! – Nastolatka niespodziewanie się unosi. – Straszliwy plotkarz. Do tego ma zupełnie zryty beret, bo za dużo jara.

– Trawy?

– Nie wiem. Czegoś tam... Ja się na tym nie znam. Od tego mu się wszystko w głowie miesza.

– Kuba jednak twierdzi, że jesteś blisko z Karolem.

– W jakim sensie?

– Powiedział, że ciebie i Karola łączy, czy też łączył, pewien układ, że gdy Charlie rozstawał się z kolejnymi dziewczynami, wówczas zawsze pojawiałaś się ty. Na otarcie łez.

– Kuba nic nie wie. On mnie uważa za ukraińską dziwkę. Nacjonalista! Idiota! Nie zna prawdy. W ogóle nie zna Karola.

– A jaka jest prawda?

– Inna.

– Kuba sugerował, że sypiałaś z Karolem.

– Ja...? To nieprawda. – Zalewa ją rumieniec. Czerwona twarz i płomienne włosy stapiają się w jedno.

Podkomisarz wzdycha:

– Słuchaj, ja co prawda wolałbym, żeby takie dzieci, jak ty czy moja Paulina, poczekały z podobnymi sprawami, ale nie jestem naiwny, żyjemy w chorych czasach, pokus jest pod dostatkiem, to krew buzuje... Ale nie musisz mi ściemniać. Nie jestem księdzem ani twoim ojcem, żeby cię umoralniać. Zależy mi jedynie na odnalezieniu chłopaka, muszę wiedzieć o nim jak najwięcej, rozumiesz? – Rysiek nawet na sekundę nie podnosi głosu. Jest spokojny. Jest krainą łagodności. – Dlatego powiedz mi, Soniu, co cię z nim łączyło?

Sońka bawi się uchami reklamówki. Zbiera się na odwagę.

– Okej, powiedzmy, że coś do Charliego czuję, ale ja naprawdę nigdy z nim nie spałam. On chciał, ale ja nie. Nie tak. Myślałam, że jak będę zawsze blisko, to on wreszcie mnie doceni, że też mnie...

– Pokocha? – Baran kończy za dziewczyną.

– Tak – przyznaje z melancholią w głosie.

– Ale tak się nie stało?

– Wstydzę się o tym mówić.

– Nie masz się czego wstydzić, Soniu. Ja nikomu nie powiem.

Dziewczyna zaciska usta. Wygląda, jakby zaraz miała się rozplakać.

– On by się we mnie w końcu zakochał, jestem tego pewna. Te jego

wszystkie dziewczyny... Nigdy żadnej tak naprawdę nie kochał. Zawsze brał sobie te najbardziej dziane w szkole, żeby mu stawiały piwo. A on je tylko wykorzystywał. Sypiał z nimi, a później zostawiał. Szybko się nudził. W tamtym roku szkolnym był chyba w trzech czy czterech podobnych związkach...

– Opowiadał ci o tym?

– Często mi się zwierzał. Niby Kuba jest jego najlepszym kumplem, ale wiedział, że nie może mu ufać, że tamten robi w szkole za tubę. Świński ryj! – rzuca z pogardą. – Charlie o swoich sekretach opowiadał jedynie mnie.

– Jakich na przykład?

– O tej swojej matce mi opowiadał, że od czasu, jak zginął jego ojciec, to ona co i rusz jakiegoś nowego wujka sprowadzała. A oni czasami tłukli nie tylko ją, ale i jego. A jeden to nawet po pijaku z łapami się do niego sunął i próbował go... No wie pan.

– Molestował go?

– Coś tak jakby.

– Nie zgłosił tego na policję?

– Żartuje pan? I ja to panu też teraz wszystko w tajemnicy mówię... Jakby się Charlie dowiedział, to więcej by się do mnie nie odezwał. On się wstydził tej meliny u matki na Wyzwolenia. Tej patologii. Zresztą to dawne dzieje, jeszcze z czasów gimnazjum. Później, jak się stara Górka zorientowała, co tam się wyprawia, to go zabrała na Piaski. Chociaż u niej wcale nie miał lepiej, bo babka miała odbicia w drugą stronę. Niby dawała mu poczucie bezpieczeństwa, ale w zamian żądała całkowitego posłuszeństwa. Jest bardzo wymagająca. Wbiła sobie do głowy, że zrobi z niego dzentelmena, dlatego biedak nigdy nie mógł być przy niej sobą...

– Ciężko mu pewnie?

– Myślę, że bardzo. Na przykład to jego malowanie. Lubi to, ale dużo chętniej rysuje te swoje komiksy. Jego babka tego nie rozumie, dla niej to nie jest sztuka. Okropną presję na nim wywiera, że niby Charlie musi kultywować dzieło dziadka i zostać malarzem z prawdziwego zdarzenia. Nie wiem, czy pan słyszał, ale ten jego dziadek był ponoć uznanym artystą... I pani Górka wbiła sobie do głowy, że Charlie musi pójść tą drogą. Zresztą ona sama przed laty była tłumaczką, nawet literaturę podobno tłumaczyła, sama też coś tam próbowała pisać. Rozumie pan, niespełniona pisarka z przerostem ego i niespełnionymi ambicjami, które przelewa na biednego Karola. A on miał tego z czasem serdecznie dosyć, po kryjomu rysował plansze komiksów, a przed babką udawał grzecznego chłopca. Szkoda mi go. Musi ciągle udawać kogoś lepszego, niż jest w rzeczywistości.

Dziewczyna wpatruje się swoje gołe kolana. Myśli. Baran się nie odzywa. Niech się z niej wyleje cały nagromadzony żal.

– Trochę mu współczułam. I może dlatego się w nim... Dlatego czekałam,

aż wreszcie przejrzy na oczy i zrozumie, że te wszystkie panienki nie są nic warte, że jedynie na mnie może polegać, że możemy być kimś więcej niż tylko przyjaciółmi. Ale się nie doczekałam.

Podkomisarz obserwuje tanie tenisówki na stopach dziewczyny, zwykle chińskie tenisówki, w drobne kwiatki. Takie, co to można kupić za dwie dychy w sklepie przy rynku, z którego w cieplejsze dni na pół ulicy roznosi się zapach taniej gumy i plastikowej skóry. Teraz te tenisówki są zupełnie przemoczone. Baran nie bardzo pamięta, co robią rodzice Sońki, ale ojciec, zdaje się, pracował na budowach, a matka, Ukrainka, która przyjechała tu za pracą w latach dziewięćdziesiątych, jest krawcową czy kimś takim. Uczciwi ludzie, ale luksusów u nich nie ma. Sońka raczej nie kupiłaby Charliemu nowego iPhone'a.

– ...Kiedy rozstał się z Agatą, jakoś w październiku, myślałam, że tym razem już mnie zechce, że dojrzał do tego. Był naprawdę taki miły dla mnie. Całymi wieczorami gadaliśmy na fejsie. A później znowu się odsunął. Zaczął mi opowiadać, że spotkał kogoś, ale to nie jego liga, że nie ma szans. Nie chciał powiedzieć, o kogo chodzi. Strasznie był zagadkowy, a przecież dotąd nie miał przede mną tajemnic.

– I co, udało mu się zdobyć tę tajemniczą dziewczynę?

– Tak. Zorientowałam się jakoś wkrótce po studniówce. Miał do mnie przyjść któregoś wieczoru. Zawsze spotykaliśmy się na mieście albo u mnie, bo on nie bardzo mógł przyprowadzać znajomych na Piaski, do domu babci. Jednak tamtego dnia nie przyszedł, tylko później mi napisał, że stało się coś cudownego i że to kompletny odlot.

Sonia się otworzyła, Rysiek musi to wykorzystać. Strzela ostrą amunicją:

– Kiedy się domyśliłaś, że chodzi o Ewę Kapicę?

Dziewczyna odwraca głowę w stronę podkomisarza, patrzy na niego w osłupieniu.

– To pan wie?!

– Wiem. A ty kiedy się zorientowałaś?

– Szybko. Pani burmistrz zabrała Charliego na kilka dni w czasie ferii do Zakopanego.

– Powiedział ci, że to z nią właśnie jedzie?!

– Skąd. Przypadkiem się zorientowałam. Ciotka pani Ewy, nie wiem, czy pan kojarzy, taka lekarka, pani Wanda, od lat szyje sobie ubrania u mojej mamy. W ferie siedziałam w domu, kiedy ta pani przyszła do przymiarki. Rozmawiały z mamą o tym i o tamtym, jak to u krawcowej, i wtedy pani Wanda powiedziała, że jej siostrzenica jest właśnie w Zakopanem, a ona się o nią martwi, bo tam teraz podobno halny strasznie wieje, dachy w Kościelisku zrywa... Dobrze pamiętam tamtą rozmowę, bo później w telewizji pokazywali, jak wiatr w górach połamał drzewa. Taki smutny widok, jak zapalki połamane. Cały las...

– Ale dlaczego przyszło ci do głowy, że Ewa Kapica jest w tym Zakopanem właśnie z Karolem?

– Jeszcze przed jego wyjazdem zapytałam, skąd ma na to kasę. Odkąd go znam, on nawet na wakacjach nigdzie nie był, nigdy groszem nie śmierdział, a tu nagle taki wypad. W Zakopanem chyba nie jest tanio. Tak sędzę, bo nigdy nie byłam...

– Kubie Baraszkiewiczowi mówił, że to od jakiegoś wydawcy za komiks.

– A tam... Kuba! Jemu Charlie dużo różnego kitu wciskał. Mnie powiedział, że wyjazd sponsoruje mu ta dziewczyna. Tylko niech mi pan powie, którą nastolatkę u nas w mieście stać, żeby zabierać chłopaka na wakacje za swoją kasę? A rodzice takiej panny też by chyba nie dofinansowywali obcego chłopaka... Dlatego już wtedy zaczęłam podejrzewać, że ta wielka miłość to jest jakaś dziwna sprawa. Gdyby zaczął się spotykać z dziewczyną w naszym wieku, od razu wiedziałabym, która to. Dodałam sobie dwa do dwóch i zrozumiałam, że to musi być ktoś straszny od nas. Ktoś z dużą kasą. Pani burmistrz idealnie pasowała do układanki.

– Powiedziałaś mu, że wiesz?

– Niedługo po tym, gdy wrócił. Spotkaliśmy się na papierosie... – milknie przestraszona. – Pan nie powie rodzicom, że palę? Ojciec by mi nogi z tyłka powyrywał.

– Powiniennem, ale nie powiem.

Sońka uśmiecha się z wdzięcznością, po czym znowu smutnieje.

– Wtedy na fajce powiedziałam, co o nim myślę, że jest utrzymankiem, że to, co robi, to jest, za przeproszeniem, zwykłe kurewstwo i tym razem przegiął...

– I co on na to?

– Nic. Jak to on. Powiedział, żebym się odpieprzyła od niego, że to nie moja sprawa. – Wzrusza ramionami. – Potem przyszedł jeszcze ten cały Kuba i temat się skończył.

– Nie rozmawialiście o tym więcej?

– Charlie przestał się do mnie odzywać. Pisałam do niego wiadomości na fejsie, ale nie raczył odpowiedzieć. Dopiero jakoś w maju...

– Co się wtedy stało?

– Chyba idylla z panią burmistrz się skończyła.

Rysiek zamienia się w słuch.

– Jak to?

– Którejś nocy napisał do mnie, że się boi, że jego wychowawca chyba coś podejrzewa.

– Karol bał się Szymona Kapicy?

– Pan by się nie bał? Facet sporo ćwicz, myślę, że jakby chciał Charliemu spuścić łomot, to nie zawahałby się. I nawet by się przy tym nie spocił. – Przez

moment zastanawia się nad czymś. – Karol chyba chciał się z tego układu wymiksować. Nie wiem, może prezenty, które od niej dostawał, już mu nie wystarczały? Stało się to, co zawsze: szybko się zadurzył, a jeszcze szybciej mu przeszło. Tylko co innego rzucić jakąś zwykłą dziunię, a co innego odejść od takiej kobiety jak nasza burmistrz. Myślę, że Charlie nieźle się w tym pogubił. Za bardzo uwikłał...

Podkomisarz przytakuje, a wreszcie pyta:

– Sonia, czemu ty się w nim kochasz, przecież to nie jest dobry chłopak? Niewart ciebie.

Dziewczyna wzdycha. W jej oczach maluje się wyraz gorzkiej zadumy, w kącikach ust drga rozczarowanie.

– Czy ja wiem? Ja go nie oceniam. Wiem, co on czuje, dlaczego stał się wyrachowany. Znamy się od dwóch lat. Oboje wiemy, jak to jest, kiedy się nie ma kablówki, dobrego smartfona i ciuchów z Zary czy Mango. Charlie nie jest zły z natury, ale każdy walczy o swoje. Jak się światu nie wyszarpie tego, co tam człowiek sobie wymarzy, to zostaje się na zawsze w takiej dziurze jak nasza. Bez perspektyw. Co tu można robić? Niech pan się rozejrzy. Bez kasy człowiek nic nie znaczy. Mam szyc szmaty, jak matka? Moje dzieci też w przyszłości będą najtańszy badziew z promocji w biedrze jadły? Niby głodni nie chodzimy, to jeszcze nie nędza, ale w telewizji człowiek widzi, że świat wygląda inaczej. Nie żeby gdzieś daleko, za granicą, ale nawet w takiej Warszawie... Ludzie jakoś inaczej tam żyją, jakby w innym świecie. Do kawiarni pójda, do teatru, spotkają się na mieście. A my tu wyłącznie pracujemy, śpimy, jemy. Kilka knajp, gdzie się można piwka nażłopać, ale nawet kina nie ma, a w księgarni to tylko podręczniki i kolorowanki. Jak człowiek pomyśli, ile rzeczy go omija, to trudno o twarde kręgosłup. Może gdyby mnie jakiś stary gach z forszą przygarnął, też bym zrobiła to, co Charlie?

Ryśkowi gul podchodzi do gardła. Próbuje zrozumieć Sońkę. Za jego czasów było równie biednie i szaro, a jednak nieco normalniej. Pewnie dlatego, że nikt go nie mamił kolorowym mirażem lepszego świata w Internecie. Nikt nie wciskał wizji życia na bogato w telewizji. Dwadzieścia parę lat temu stolica była równie byle jaka i prowincjonalna, jak to miasto.

Zerka na dziewczynę. Jest śliczna, mogłaby być modelką, ale z takim podejściem za parę lat skończy pewnie jako dziwka...

Ucieka od gorzkiej konkluzji, zmienia temat:

– A wczoraj? Jak się Charlie zachowywał?

– Na ognisku to w ogóle był jakiś dziwny, nieswój. Podniecony. Wystraszony? Przyszło sporo ludzi, nie miałam za dużo okazji, żeby pogadać z nim sam na sam. Ledwie na chwilę wziął mnie na bok. Miły był. Przepraszał, że tak głupio między nami wyszło i że bym się na niego nie gniewała. Myślałam, że się



ujarał, bo od dawna tak do mnie nie mówił. Wreszcie powiedział, że to koniec i poszedł sobie.

– Koniec?

– Wczoraj myślałam, że postanowił rozstać się ostatecznie z panią burmistrz, ale teraz nic już nie wiem. Jeżeli nie wrócił do domu... To pewnie razem gdzieś uciekli.

– Ewa Kapica jest w szpitalu, wczoraj próbowała popełnić samobójstwo.

[32] *Ibidem.*

### 30.

*Ponieważ tedy rzecz tak stoi, sądzę,*

*Że nic lepszego nie masz do zrobienia[33].*

Ta ładna policjantka wreszcie wyszła. Wyglądała na niepokojoną tym, co usłyszała. Przy pożegnaniu oddała Wandzie mój telefon – dlaczego go miała? – i jakąś złożoną na pół kartkę. Doskonale rozpoznałam kremowy papier i zaokrąglone rogi. Kartka została wyrwana z moleskine'a. Mojego? Ale po co? To ja ją wyrwałam? Nie pamiętam...

Wanda czyta to, co tam napisane i płacze.

„Nie płacz” – chciałabym jej powiedzieć. Chciałabym ją pocieszyć.

Chciałabym ją pogłaskać po plecach, otrzeć łzy z twarzy. Gdyby moje ręce chciały się obudzić, gdybym tu była. A może wcale bym tego nie zrobiła? To osobliwe, lecz chociaż zawsze byliśmy sobie wyjątkowo bliskie, Wanda zachowywała wobec mnie fizyczny dystans. Nawet gdy byłam malutka. Typowy dla matki i dziecka rodzaj czułości nie istniał w naszych relacjach. Kochała mnie, a jednak nie brała na kolana, nie głaskała, nie całowała. Jakby widziała w tym coś niestosownego albo uważała, że nie ma prawa, bo nie jestem jej dzieckiem. Ojciec, zanim umarł, też tego nie robił. Jedyne pocałunki, jakie pamiętam, to te przy imieninowych życzeniach, gdy na swój sposób skrępowany, wypowiadał formułkę życzeń: „Wszystkiego najlepszego, Ewo”. Trzy naprzemienne krótkie muśnięcia w policzek – oto cały wachlarz bliskości, jakiego zaznałam, dopóki nie zrozumiałam, że z ciała można zrobić naprawdę dobry użytek. Przez ten niedobór w dorosłym życiu tak bardzo pragnęłam dotyku. Dlatego fizyczna część mojego związku z Szymonem wszystko zdominowała. Chciałam ów deficyt z lat dziecięcych jakoś wypełnić. Zrekompensować czas, gdy nikt mnie nie przytulał, nie głaskał. Teraz chciałam być zagłaskana.

Tak było również w związku z Charliem. Oddawałam mu się w pełni, a moje bezustanne nienasycenie bardzo mu się podobało. Gdzie jest teraz?

Dlaczego nie ma go przy mnie?

Nie ma go teraz, czy wysunął się moich objęć już wcześniej?

Już po tamtej nocy na dachu coś między nami pękło. Czułam to, ale nie pozwalałam się tej myśli rozwinąć. Pielęgnowałam w sobie wyidealizowany obraz naszej miłości. Miłości? A może znowu pożądanie pomyliłam z uczuciem. Nie chciałam w to uwierzyć. Jeszcze dwa tygodnie temu spędziliśmy wspólnie weekend. Ale wtedy już prawie nie rozmawialiśmy. Trochę mu pozowałam, później wziął mnie pod prysznicem, a po zjedzeniu kolacji kochaliśmy się jeszcze na podłodze w jadalni. W nocy każde z nas zasnęło po swojej stronie łóżka. Charlie twierdził, że jest zmęczony, musi odespać tydzień. Następnego dnia rano, kiedy jeszcze spałam, poczułam, jak we mnie wchodzi. Niecierpliwie, bez czułości, jak wtedy zimą, na początku naszego związku. Myślałam, że przerwaliśmy nieoczekiwany impas w naszych relacjach, lecz tego drugiego dnia Charlie nadal myślami był daleko ode mnie. Pytałam, czy dzieje się coś złego? Ma kłopoty? Czy może kiepsko mu poszedł któryś z egzaminów? Nie chciał na ten temat rozmawiać. Zbywał mnie. Zamykał usta pocałunkami, wciąż jednak pozostając obok. Słowem nie wspomniał o mojej propozycji, byśmy wspólnie uciekli. Jakby tamtej rozmowy na dachu nigdy nie było.

W niedzielę spakował swoje rzeczy, zabrał niedokończony obraz i wyszedł wcześniej niż zwykle. Szymon miał być dopiero około szesnastej, ale Charlie uciekł już po śniadaniu. Wykręcał się, że ma sporo nauki, że zaraz zaczynają się egzaminy na akademię i musi się przygotowywać. Chciałam wierzyć, że właśnie to wygania go ode mnie tak szybko.

Przed wyjściem pocałował mnie z taką pasją, jakbyśmy mieli się już więcej nie zobaczyć. Wszystko z pozoru było jak zwykle, ale nic nie było jak wcześniej. Czułam to, czułam, że i we mnie zachodzi jakaś trudna do opisanie zmiana. Recepcja ostatnich miesięcy zaczęła się zakrzywiać. Jeszcze nie chciałam tego zaakceptować, jeszcze próbowałam to naprawić.

Pisałam więc do Charliego wiadomości na Messengerze. Do tej pory zawsze odpowiadał od razu – przecież nawet porządny telefon mu kupiłam, żeby miał dostęp do Internetu – ale teraz czekałam godzinami. Później tłumaczył, że był zajęty.

Więc ja też postanowiłam się czymś zająć.

Mój stan – zakochania, oszołomienia – miał skutki uboczne. Negatywne? Pozytywne? Trudno stwierdzić. W każdym razie w ostatnim czasie zmięklam, straciłam polityczny pazur, instynkt samozachowawczy...

To było zaraz po tamtej rozmowie na dachu. Którejś nocy nie mogłam spać. Było duszno, gorąco. Zbyt gorąco, jak na koniec maja. Słuchałam, jak Szymon chodzi po swoim pokoju. Widocznie on także nie mógł zasnąć. Mój pot wnikał w prześcieradło. Zimna woda nie dawała ukojenia. Zastanawiałam się, jakby to

było, gdybym rzeczywiście uciekła z Charliem. Gdybym stąd wyjechała i musiała zamknąć za sobą wszystkie drzwi. Czy szkoda by mi było tego, na co pracowałam tyle lat, pięknego domu, wysokiego stanowiska? Nie tak łatwo zrezygnować z władzy. Chociaż nie byłam dobrym burmistrzem. Pod przykrywką różnych prospołecznych działań ukręciłam niejedne lody. Gdybym teraz nagle porzuciła urząd, zostawiłabym po sobie niezły bajzel, plotki o malwersacjach, niesmaczne wspomnienie zawartych pokątnie układów... Dziurawe jezdnie, rozsypujący się szpital i bezrobocie – naszymu regionowi daleko do mazowieckich statystyk. Uporczywe myśli na ten temat nie dawały mi zasnąć.

Gdzieś w środku nocy nad Pisakami rozpętała się burza, błyskawice tłukły w czubki drzew, a mnie olśniło. Dawno nie czułam w sobie takiej siły, niezachwianego przekonania, że przecież wszystko zależy ode mnie. Że jeśli chcę coś zmienić, to nic mnie nie powstrzyma. Postanowiłam zrobić coś szalonego i kompletnie głupiego z punktu widzenia polityka.

Już następnego dnia, wzbudzając poruszenie w ratuszu, poprosiłam sekretarkę, żeby odszukała numer telefonu do inwestora, którego spławiłam zimą. Bałam się, czy temat nadal jest aktualny, ale okazało się, że tak. Zaprosiłam tych ludzi, by do nas przyjechali i abyśmy rozpoczęli negocjacje, tym samym przekreślając swoje szanse na reelekcję. Zadarłam z panami w czarnych sukienkach. Wiedziałam, jakie poniosę konsekwencje.

I poczułam ulgę.

[33] *Ibidem.*

## 31.

*Tak się rzecz miała: jeżeli się minął*

*Z prawdą, bodajem ciężką śmiercią zginął[34].*

Trwało to znacznie dłużej, niż przypuszczał, nareszcie jednak wyszli. Z ulgą zamknął za nimi drzwi.

Dom tonie w półmroku i teraz, gdy został sam, dziwnie cichy jest i martwy. Ulewa chyba chwilowo się zmęczyła, bo zaledwie mży. Dochodzi siedemnasta, ale na dworze jest niemal ciemno. Stalowe chmury zawisły nad światem, oparły ciężkie brzuszyska na czubkach drzew – może gdyby nie one, niebo runęłoby dzisiaj na ziemię.

Szymon ogarnia spojrzeniem bałagan po technikach. Wszystko wokół upieprzone proszkiem daktyloskopijnym, podłogi zdeptane buciorami. Nie ma siły tego sprzątać. Powinien coś przekąsić, zanim wróci do szpitala – od rana nic nie jadł – lecz nie ma głowy, żeby myśleć teraz o podobnych duperelach. Natłok różnych myśli pulsuje w nim i rozsadza czaszkę.

Bagażnik, krew, Karol – przeklęty gnojek, który stąd zniknął lub zniknął w ogóle – i Ewa w śpiączce. Szymon nic z tego nie rozumie. Do głowy przychodzą mu jednak najczarniejsze scenariusze. To oczywiste, każdemu człowiekowi zawsze najpierw przychodzą na myśl najprostsze i najbardziej makabryczne rozwiązania. Każdy nieświadomie lubi poonanizować się grozą, najlepiej taką, która dotknęła kogoś innego. Dlatego tok myślenia Szymona łatwy jest do przewidzenia. W tym przypadku najbanalniej i najkrwawiej byłoby założyć, że tamten tu przyszedł, powiedział Ewie o wszystkim, a ona pod wpływem impulsu zdzieliła go czymś w głowę. Zdzieliła zbyt mocno, dlatego wywiozła go gdzieś i ukryła, zakopała, a później z rozpaczy, przez wyrzuty sumienia, zabiła siebie. Wprawdzie nie do końca jej się to udało, lecz wyłącznie dlatego, że Szymon zjawił się zbyt wcześnie. Wszystko to wydaje się niedorzeczne, a jednak nie jest niemożliwe.

Szymon podchodzi do szklanej ściany, za którą rozpościera się widok na las.

Po szybie meandrują drobne krople. Opiera o nią czoło. Spływa na niego przyjemny chłód, kojący nerwy i strach. Kiedyś wszystko było prostsze, zanim się z Ewką pogubili. Kiedyś – przymyka oczy...

Pod jego powiekami rozsypuje się rzeczny piasek miejskiej plaży, skąpanej w słońcu i obmywanej przez gorące fale ukrytych wakacyjnych pragnień. To tam spotkał ją po raz pierwszy. Dziwne, że w takim małym mieście nigdy wcześniej na siebie nie wpadli. A może wpadli, lecz nie zwrócili na siebie uwagi? Chodzili do różnych szkół, różnymi ścieżkami. Mieli innych znajomych. Obracali się na orbitach dwu różnych planet w odległych od siebie galaktykach, gdyż jej ojciec był wielkim imperatorem, okrutnym Palpatinem, a jego rodzicom w tamtym czasie bliżej było do Jedi. Resortowa panienska Ewa, córka pierwszego sekretarza z miejscowego komitetu, nie zadawała się z synem zwykłej pielęgniarki i robotnika z huty, na domiar złego solidarnościowego wichrzyciela. Nie było takiego miejsca, gdzie mógłby na nią wpaść, w kościele przecież także nie bywała – wtedy jeszcze nie miała interesu, by grzać ławę.

Wszystko się zmieniło, gdy oboje wrócili do miasta po studiach. Nie było już pierwszego sekretarza, nie było huty. Był koniec lat dziewięćdziesiątych. Były wakacje. Ich drogi wreszcie się skrzyżowały...

Tamto spotkanie na plaży nad rzeką było dla Szymona jak trzęsienie ziemi. Pamięta każdy detal. Ewa miała na sobie skąpy dwuczęściowy kostium w drobne paseczki – nawet teraz ma go przed oczami. I ją w nim. Niebieskie, białe i czerwone paski i opalona skóra, jasny drobny puch na przedramionach, na nosie kilka piegów. Znalazł się nad rzeką nieprzypadkowo, zaraz po obronie dyplomu wrócił do miasta i od razu, na czas wakacji, zaczął się na plaży jako ratownik. Ona przyszła tam z koleżanką. Nie wchodziła do wody, czytała książkę, leżąc na ręczniku, a Szymon zamiast obserwować kąpielisko, wgapiał się w nią przez pół dnia. Myślał, że robi to dyskretnie, że ona tego nie widzi, jednak kiedy słońce zaczęło zachodzić, a leniwy dzień wytopił się z żaru, podeszła do wieżyczki ratowniczej i zadarła głowę ku niemu. Niesforny blond kosmyk opadł jej na czoło, na ustach rozkwitł łobuzerski uśmiech.

– Cześć – rzuciła lekko, a jemu serce przestało na moment bić. – Idziemy z koleżanką wieczorem na dyskotekę do Romy, może też masz ochotę?

Miał wielką ochotę. Nie na tańce, ale na nią – by dotknąć jej gładkiej skóry. Pozwoliła mu na to szybciej, niż przypuszczał, jeszcze tego samego wieczoru.

Najpierw tańczyli, szaleli w stroboskopowym świetle, które zdawało się pulsować równie szybko, co krew w żyłach Szymona. Koleżanka, z którą Ewa przyszła, najpierw patrzyła na nich zniesmaczona, a później chyba zrozumiała, że do niczego nie jest tu potrzebna, bo nie wiadomo kiedy ulotniła się do domu. Nikt za nią nie płakał, nikt nie zauważył jej nieobecności. Oni tańczyli dalej, a w przerwach, już tylko we dwoje, pili piwo chrzczone wodą. I znowu tańczyli,

ich ciała były coraz bliżej i coraz śmielej ocierali się o siebie. A później całowali się na parkiecie. Tak głęboko, intensywnie, jak to robią ludzie, którzy nie mają nadziei na dalszy ciąg... Tymczasem ona po dyskotecce wzięła go za rękę i zaprowadziła do swojego domu. Powiedziała, że ma wolną chatę, bo ciotka, lekarka, musiała jechać do jakiegoś nagłego wypadku do Lublina i na pewno szybko nie wróci.

To było czyste szaleństwo.

Szymon był z wieloma dziewczynami na studiach, zawsze miał powodzenie, jednak takiej eksplozji namiętności, takiej zachłanności, jaka była w Ewie, nie zaznał nigdy wcześniej. Zakochał się w niej już tej pierwszej nocy.

Była kwintesencją męskich pragnień: wyzwolona, swobodna, bezpruderyjna. Była apoteozą życzenia, którego Szymon dotąd nie miał śmiałości wypowiedzieć na głos. Bo przecież jakie istniało prawdopodobieństwo, że ktoś taki jak ona zechce kogoś takiego jak on? Skończyła prawo, pochodziła z dobrego domu i używała niezrozumiałych dla niego słów, jak: „egalitaryzm”, „indyferentny” i „ambivalencja”. Tymczasem w jego rodzinie to Szymon jako pierwszy poszedł na studia. W domu prawie nie było książek – za to na honorowym miejscu stała Biblia i obrazek uśmiechniętego Jana Pawła II. Matka nadal pracowała w przychodni, ojciec po upadku huty, ponieważ znał się trochę na mechanice, zajął się handlem samochodami, które sprowadzał z Niemiec, a później własnoręcznie klepał, polerował i puszczał dalej w świat. Kasy się na tym dorobił, ale prestiżu raczej nie. Mimo zasobnego konta, garnitur nigdy się na nim dobrze nie ułożył, niby na palcu błyszczał sygnet, jednak za paznokcie na stałe wżarł się smar.

Szymon nie miał kompleksów, jednak znał swoje ograniczenia. Plany, żeby zostać zawodowym sportowcem, nie wypaliły, już na pierwszym zgrupowaniu lekkoatletycznym zrozumiał, że jest zbyt wygodny i leniwy, by w pełni poświęcić się treningom, toteż po studiach postanowił wrócić i pomóc ojcu w prowadzeniu komisji. A później może założyć jakiś własny biznes, gdzieś po drodze poznać ładną i nieskomplikowaną dziewczynę, ożenić się, kupić mieszkanie na kredyt, spłodzić dzieci, a kiedyś pojechać do Egiptu lub Tunezji.

I nagle zjawiała się ona. Jak z innej planety. Oczytana, mądra, fascynująca – gwiazdka z nieba. Na zewnątrz wesoła i towarzyska, w głębi duszy refleksyjna, zamknięta w sobie, tajemnicza, z dobrze zakamuflowanym kompleksem osieroconego zbyt wcześnie dziecka i ogromnym niedoborem czułości. Nie za bardzo wiedział, o czym z nią rozmawiać, ale na szczęście Ewie wcale na tych rozmowach nie zależało. Pożądała jego ciała. Eksploatowała je do granic możliwości, przekraczała granice, lubieżnie, do pomieszania zmysłów. Nie odrywała od niego rąk, godzinami błędziła językiem po wypukłościach mięśni. Mówiła, że wygląda jak grecki posąg, jak dyskobol Myrona. Szymon nie znał starożytnej sztuki, w sumie żadnej sztuki nie znał, lecz czuł, że w jej ustach to

komplement. Spragniony jej akceptacji, spijał z warg każde dobre słowo.

Przez jakiś czas udało się zachować w sekrecie ich spotkania. Oboje podskórnie czuli, że nikt nie pochwali tego związku. Koledzy Szymona nie zrozumieliby, co kumpel widzi w dziwnie gadającej pannie, co to nie lubi disco polo i nie nosi białych kozaczków. Z kolei znajomi Ewy chłopaków w typie Szymona uważali za prostaków i dresiarzy. Nie inaczej miały się sprawy z ich rodzinami. Jego ojciec darzył komunistów – bandytów i złodziei! – czystą katolicką nienawiścią, a ich dzieci uważał za szatańskie pomioty. Matka, popadająca z wiekiem w coraz głębszą bigoterię, nie przeżyłaby, że jej syn sypia z kimś bez ślubu... Dobrze przynajmniej, że ojciec Ewy już nie żył. Zgodnie z głoszoną ideologią, powinien był warstwę chłoporobotniczą cenić i szanować, lecz w głębi duszy nią pogardzał. Dla niego ludzie z Osiedla Wyzwolenia – a rodzice Szymona wyprowadzili się z huckich bloków dopiero w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych – to była hołota i margines.

No i jeszcze Wanda. Niby wyrozumiała, światła, a jednak ludzie pokroju Kopiców – tacy, którzy w życiu nie byli w teatrze czy operze, nie czytali książek, za to gorliwie wierzyli w kościelne gusła – po prostu nie istnieli. Nie mieli wstępu do jej świata, bo niby o czym miałyby z nimi rozmawiać?

Gorący romans przez jakiś czas został tajemnicą. Weronia niczego się nie domyśliła.

Aż wreszcie wybuchła bomba.

Po roku miłosnego maratonu Ewa zaszła w ciążę. Kopicowie w pierwszej chwili wpadli w szal. Ojciec Szymona pół nocy desperował, że mógł sobie jego syn jedyny – spadkobierca Solidarności i walki o Polskę niepodległą – inną cipę znaleźć. Matka zaczęła się modlić o odpuszczenie grzechów albo żeby może dobry Bóg swymi mocami niebieskimi spędził jakoś ten płód niechciany, który hańbę przynosi jej domowi.

Szymon był najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi.

Teraz już na zawsze będą z Ewą razem i zbiegną się tory ich planet. Teraz Ewa mu nie ucieknie, chociaż tyle ich dzieli. Rodzicom kiedyś złość przejdzie. A oni będą mieli dziecko i kupią to mieszkanie na kredyt, i będą żyli długo i szczęśliwie, tylko może zamiast do Tunezji, pojedą do Toskanii, bo Ewa bardzo by chciała odwiedzić jakieś muzeum we Florencji, o którym istnieniu Szymon nawet do niedawna nie wiedział...

Starym faktycznie szybko przeszło. Nie było czasu do stracenia, żeby panna młoda przed ołtarzem nie epatowała brzuchem. W końcu jak jest dziecko, to musi być ślub, musi Szymek tę swoją dziwną pannę o rękę poprosić. Niech będzie ich strata, oni weselisko urządzą. Do pełni szczęścia potrzeba było Szymonowi tylko zgody oblubienicy. Jej ciotka była przeciwna, ale Ewa podeszła do tematu rozsądnie i pierścioneł przyjęła.



Potem było wesele, morze wódki i mały rodzinny skandal, bo siostra pana młodego puściła się w damskiej toalecie z jednym z gości, na co weszła babcia. Żeby to jeszcze jakoś po bożemu, ale oni na stojaka, ona o umywalkę oparta, z kiecką zarzuconą na ufryzowany łeb, a tamten posuwał ją od tyłu. Babcia niemal ducha wyzionęła, po czym z krzykiem wypadła na salę, próbując zetrzeć wspomnienie nieczyste spod powiek. Trochę było wyrzekania na rozpustę i to kurewstwo jawne, wszyscy pokręcili nosem, ale alkohol stonował oburzenie. Jak wiadomo: wódka jak nic innego łagodzi obyczaje. Ewa chyba nawet się o incydencie nie dowiedziała. W białej koronkowej bezie na kole tańczyła do rana. Wirowała na parkiecie, jakby odprawiała jakiś chocholi taniec. Może podobnie jak Szymon, chciała wierzyć, że przeciwności się przyciągają, a uśmiech dziecka jakoś zbliży do siebie ich rodziny.

Jednak dziecko się nie urodziło, a właściwie urodziło się, lecz ciut za wcześniej. O sześć miesięcy za wcześniej.

Ewa płakała przez kilka dni, nie pozwalając się dotknąć, pocieszyć, a później po prosu przestała na ten temat mówić. Jakby tamtej ciąży po prostu nie było, jakby nic się nie wydarzyło. Z jeszcze większą zachłannością rzuciła się w jego objęcia. Nienasycona, pragnęła go wciąż i wciąż, bez ustanku. Teraz już zupełnie legalnie, jako żona przed ołtarzem zaślubiona. Czuł się szczęśliwy, wszystko było jak należy, a jednak po pewnym czasie zaczął zauważać, że czegoś mu brakuje, że w tej – zdawałoby się z męskiego punktu widzenia – idealnej relacji, coś kuleje. Po kilku kolejnych latach i kolejnych utraconych ciążach zrozumiał, co to było. Ewa dawała mu jedynie swoje ciało. Miał je na każde zawołanie, o każdej porze dnia i nocy. Znał każdy centymetr jej skóry, z pamięci mógłby wyrysować konstelacje pieprzyków na jej brzuchu, pośladkach, plecach, ale nadal nie miał jej całej. Posiadał na własność waginę, łechtaczkę i piersi, lecz dwa organy – mózg i serce – wciąż pozostawały poza jego zasięgiem.

Sądził, że to dlatego, że jest od niej głupszy, mniej wie, umie i rozumie, toteż postanowił dorównać do jej poziomu. Zaczął czytać to, co ona, słuchać tego, co ona, interesować się polityką, historią i sztuką. Dowiedział się, kto to Myron i co oznacza ambiwalencja. Przestał nawet oglądać mecze piłkarskie, bo uważała, że to pusta rozrywka. Nie lubiła jego rodziny – ograniczył wspólne spotkania do niezbędnego minimum. Nie przepadała za jego znajomymi, więc zaczęli się spotykać tylko z jej przyjaciółmi. Uważała, że powinien zmienić styl ubierania, gdyż nosi się nazbyt sportowo, zaczął kupować marynarki i swetry w serek. Rozpaczliwie potrzebował jej akceptacji, pozwolił więc, żeby ulepiła go na nowo, na swój obraz i podobieństwo. Poddał się temu, a jednak ona wciąż nie była z niego zadowolona. Szymon nadal nie był do końca taki, jakby sobie życzyła; taki, jakim mogłaby go pokochać.

Zaczęła robić karierę i dobrze zarabiać, więc on również rzucił się w wir

pracy. Zakładał kolejne firmy, prowadził kolejne interesy. Żeby jej wreszcie zaimponować, zasłużyć na aprobatę. Zasłużyć na miłość. Przeżywał porażkę za porażką, a ona niczym wyrozumiała matka, patrzyła na wszystkie niepowodzenia przez palce. I stawała się coraz bardziej odległa, nieosiągalna, obca. Wyślizgiwała mu się z rąk. Nie mówiła tego głośno, nie wypominała straconych pieniędzy, lecz po cichu na pewno zaczęła nim gardzić. Chciała silnego dyskobola, samca alfa, a on pod twardą umięśnioną powłoką okazał się delikatny, miękki.

Brak dziecka przelał czarę. Ewa nie doczekała się różowego, słodkiego niemowlaka, toteż Szymon nie doczekał się jej miłości. Już nie przychodziła do niego spragniona w ciągu dnia, rozpalona żądzą nie zaciągała do łazienki podczas rodzinnych obiadów, nie brała w usta w samochodzie podczas jazdy. Pożądanie się wypaliło. Zostało przywiązanie, wspólne konto, dom na Piaskach i dwa luksusowe samochody w garażu. Na rozstanie było już za późno. Z takim trudem zbudowany obraz doskonałego małżeństwa, dostatku i spełnienia szkoda było im zburzyć. Ewa chciała zachować stanowisko radnej, później burmistrza, rozwódce niełatwo byłoby utrzymać poparcie. Szymon dzięki żonie wszedł na wyższy stopień społecznej drabiny. Nie miał ochoty wracać na dół.

Może to wyrachowane, lecz Ewa także od dawna nie była święta – chociaż, paradoks!, wtedy właśnie zaczęła chodzić do kościoła. Od chwili, kiedy uwikłała się w politykę, coraz mniej ją poznawał. Kobieta, która została urzędnikiem państwowym, lawirującym między różnymi opcjami w ratuszu, umiejąca wziąć łapówkę, nie miała nic wspólnego z czarującą dziewczyną poznaną na plaży, z idealistką pracującą w UOKIK-u. Nowa Ewa, pani burmistrz Ewa Kapica, była mu obca.

Najzdrowiej byłoby po prostu to zakończyć, jednak ich układ był taki wygodny... Nawet na inne kobiety, które zaczęły się pojawiać w jego łóżku, wielkodusznie przymykała oko. On także przymykał. Świadomość, że ktoś jej dotyka, była nieznośna, najbardziej jednak bolał pierwszy raz. Dowiedział się przypadkiem. Ewa poprosiła go, żeby podał jej coś z torebki, a on przy okazji znalazł prezerwatywy. Oni ich nie używali, nie było po co. Zrozumiał, że ktoś jest. Zabolało. Bardzo. Ale przełknął i to. W końcu zdradził ją pierwszy, teraz byli kwita. Później byli kwita jeszcze wiele razy.

Dopiero ostatniej zimy wszystko zaczęło się sypać. Podgryzali się jak wygłodniałe, bezpańskie psy – rany wydawały się niespecjalnie głębokie – lecz Ewa popadła w apatię. Straciła animusz, opuściła ręce, odpuściła gardę. Podejrzewał, że ma problemy w pracy, że może tym razem przegięła i czekają ją kłopoty. Chciał, żeby sama mu powiedziała. Nie zrobiła tego. Zimna wojna nadal trwała. Mała wojna w czterech ścianach – chodziło o drobne kurewstwa, które napięły postronki ich nerwów zbyt mocno, więc pękły. Bolało, ale nie umiał mówić o bólu. Mężczyźni nie potrafią o takich sprawach rozmawiać, świat narzuca im

pevien komplet zachowań, poza które ciężko wyjść – trzeba być twardym! Trzeba być pozbawionym uczuć chujem! Zatem Szymon zagryzał wargi i z kamienną twarzą grał swoją pieśń samotnego wojownika. Jak zawsze...

Tamten pojawił się w idealnym czasie i wykorzystał to. Wykorzystał ją. Gdy Szymon się zorientował, co jest grane, sprawy zaszły już za daleko. Musiał coś zrobić. Znał przeciwnika, znał jego czułe punkty, wiedział, jak rozegrać tę zabawę.

Tak w każdym razie wydawało mu się do dzisiaj.

Odsuwa się od szyby. W miejscu, gdzie opierał głowę, na wysokości ust został kolisty ślad po jego oddechu. Szymon patrzy, jak ślad znika. „Jest już za późno, nie jest za późno...”. Musi do niej jechać. Natychmiast!

[34] *Ibidem.*

32.

*Do nowej zbrodni pchają złości dawne,*

*Plamiąc szlachetną krwią szlachetne dłonie[35].*

Bufet pachnie jak szkolna stołówka – starym olejem, brudną szmatą, a także wszystkimi pomidorowymi i ogórkowymi świata. Trochę tu schludniej niż w reszcie gmachu szpitala; mniej Gierka, a więcej tandety lat dziewięćdziesiątych. Do połowy ścian plastikowe lamperie, na podłodze przemysłowe linoleum w kolorze łososiowym. Przy stolikach na chromowanych nogach sporo ludzi. Nie tylko odwiedzający, ale również chorzy w kapciach oraz piżamach. Pierwszych przywiodło tu współczucie i niepokój o bliskich, drugich głód –ienne racje żywnościowe obfitują w dwie kromki suchego chleba i najtańszą margarynę, która mogłaby się zmieścić na łyżeczce do herbaty, więc kogo stać, jada tutaj.

Komisarz Witek siedzi przy stoliku oddzielnym od reszty pomieszczenia drewnianą kratką, po której wije się plastikowy bluszcz. Ma stąd dobry widok na salę i okno. Za mięsistą firaną – niepraną co najmniej od czasów, kiedy Pollenę 2000 reklamowano w telewizji buńczucznym hasłem: „Ojciec prac!” – szarość deszczowego popołudnia rozlewa się po podjeździe dla karet. Przed Małgością na wytartym plastikowym blacie stoi filiżanka z duraleksu, której ścianki oblepiają fusy kawy plujki. Na talerzyku okruchy po serniku. Witek z naburmuszoną miną raz po raz spoglądając na zegarek, podsłuchuje rozmowę przy stoliku obok. Starsza babka – o twarzy przewodniczącej kółka różańcowego i burzy fioletowych włosów – teatralnym szeptem sprzedaje młodszej kobiecie plotki z oddziału, na którym leży.

– Powiem ci, córcia, że, chwalić Boga, że mną lepiej. Ale tu tyle nieszczęścia wkoło. Taka pani Jadzia, dajmy na to; tydzień temu ją na kardiologii położyli z podejrzeniem zawału, a rodzina do dzisiaj się do niej nie pofatygowała. Ona to ze wsi prosta kobiecina, ale żeby tak dzieci matki nie odwiedziły, że niby w gospodarstwie robota... To mnie, proszę ja ciebie, w głowie się nie mieści. A tu

taka nuda. Nic całymi dniami się nie dzieje. Telewizora w pokoju nie ma, ileż można krzyżówki rozwiązywać? Oczy za słabe, żeby co przeczytać. Tylko tych jęków się nasłucham, i gadania ludzkiego, i plotek. Jak choćby dziś. Wyobraź sobie, córca, co za skandal. Podobno naszą burmistrzową na intensywną terapię przywieźli. Cały szpital huczy, że zabić się chciała. Ktoś od salowej słyszał. Żyły sobie podcięła. Cała wanna krwi. Taka ładna babeczka. W kościele ją parę razy widziałam. Bardzo rozmodlona. Musi być dobry człowiek, a tu taki dramat. Może ją mąż zdradzał? Okropna historia, co? Aż wierzyć się nie chce...

Małgośka nie słucha dalszego słowotoku kobiety, bo wreszcie w drzwiach dostrzega Barana. Macha do niego zza drewnianego przepierzenia. Rysiek zauważa ją, uśmiecha się, podchodzi do stolika i opada ciężko na wolne krzesło.

– Daję tu coś do jedzenia? – Patrzy wygłodniałym wzrokiem na opróżnioną filiżankę i resztki ciasta rozsypane na talerzyku.

– Nie mają ekspresu, kawa tylko parzona, a sernik mógłby posłużyć jako broń biologiczna.

– Czyli raczej nie polecasz.

– Polecam, żebyś poczekał na obiad w domu.

– Do tego czasu zginę śmiercią głodową. Już wieczór, a ja jestem na śniadaniu i jakiejś suchej bule.

Małgośka uśmiecha się pod nosem. Nigdy nie rozumiała, dlaczego dla niektórych jedzenie jest tak istotnym elementem istnienia. Ona należy do grupy osób, które jedzą, żeby żyć. Rysiek odwrotnie.

– Raczej nie umrzesz. Myślę, że już po sprawie.

– Serio?

– Piętnaście minut temu dzwonił do mnie Radomski z laboratorium.

– I jak, wiedzą coś?

– Właściwie wiedzą już wszystko. Krew w bagażniku Ewy Kapicy na pewno nie należy do Karola Górskiego.

– To do kogo?

– W sumie do nikogo. Raczej do czegoś. To krew zwierzęca.

Rysiek, kompletnie zbity z tropu, wygląda, jakby zeszło z niego powietrze.

– ...Zresztą pod warstwą błota, na podwoziu i jednym z nadkoli, także znaleziono ślady wskazujące, że samochód w coś uderzył.

– Potrąciła coś?

– Na to wygląda. Może coś jej wybiegło w lesie, dzik, sarna albo po prostu pies. W każdym razie coś niedużego.

Baran kiwa głową.

– Jednym słowem morderstwo odpada.

– Na tę chwilę możemy przyjąć, że wczoraj wieczorem Kapicowa puknęła w jakiegoś zwierzaka, a następnie zgarnęła go z drogi i gdzieś zakopała.

Małgośka urywa. Odruchowo zaczyna rozgrzebywać fusy łyżeczką.

– Wyglądasz na zmartwioną, a to przecież dobrze, że krew nie należy do zaginionego.

– Dobrze... Zajeście dobrze – rzuca z przekąsem. Nie patrząc na niego, dalej wróży z fusów. – Jednak myślałam, że szykuje się coś ciekawego, tymczasem znowu dupa zbita...

– Ale chłopaka nadal nie mamy.

– No właśnie. – Znudzona porzuca łyżeczkę w kubku i wbija spojrzenie w kolegę. – Czego dowiedziałaś się od jego znajomych?

– Tak, jak podejrzewaliśmy: Kapicowa miała z Górskim romans. Banalna sprawa. Zachciało się starej babie młodego galanta. On jej co jakiś czas robił dobrze, ona dawała mu drogie prezenty, może nawet się zakochała.

– A on?

– Pytasz, czy on też był w niej zakochany? Daj spokój. Nie doszukiwałbym się tutaj żadnego romantyzmu. Moim zdaniem Karol wykorzystywał jej słabość. Nie miał zbyt łatwego życia. W domu jego matki, to, zdaje się, jest gorszy burdel, niż na początku sądziłem. Koleżanka sugerowała, że Karol mógł być w dzieciństwie molestowany. U babki miał krzyż pański, goniła go do nauki, wysoko zawieszała poprzeczkę. Każdy normalny chłopak w tym wieku miałby dość. Poza tym u niego była bieda, a tu trafiła się fajna babka z forszą, więc się do niej przykleił. Ładny był, powodzenie miał...

– Cynik?

– Mały wyrachowany dupek.

– Myślisz, że uciekł z chaty?

– Tak sądzę. Podobno niedawno dowiedział się, że jednak nie dostanie się na studia. Babce słowa o tym nie pisał. Na pewno nie byłaby zachwycona. Myślę, że na razie absolutnie nie ma podstaw, żeby zmieniać jego przypadek na „dwójkę”. Chłopak prędzej czy później da znać. Co myślisz?

– Sądzę, że Kapicowa nie stoi za jego zniknięciem. W każdym razie nie bezpośrednio. Rozmawiałam z jej ciotką, z panią Wandą. Jest tutaj, w szpitalu, czuwa przy siostrzenicy.

– Co ci powiedziała?

– Ciekawe rzeczy. Tak naprawdę, to ona zauważyła krew w bagażniku i ona zmusiła Szymona Kapicę, żeby nas o tym zawiadomił. Uważała, że Ewa nie mogła się na siebie targnąć i jeszcze ta krew. Uznała, że tam doszło do czegoś niedobrego, i że Kapica jest w to zamieszany. Nie przepada za mężem Ewy, zresztą z wzajemnością.

– Pierzemy rodzinne brudy?

– Pani Wanda opowiedziała mi co nieco o małżeństwie Kapiców, o tym, co tam się ostatnio działo. No i sielanka to to nie była.

– Zdradzali się? – Baran puszcza oko do szefowej, ale ona nie reaguje na zaczepkę.

Mówi dalej:

– Podobno tam na początku była wielka miłość, chociaż pani Wanda uważała, że siostrzenica nie powinna się wiązać z kimś pokroju Kapicy. Wiesz, cała ich rodzina na poziomie, wykształcona. Ciotka lekarka, nasza niedoszła samobójczyni jest prawnikiem, a ten cały Szymon, to był taki trochę... dresiarz, którego ojciec, były robotnik, dorobił się na handlu niemieckim złodem. Kiepska partia.

– Że niby mezalians, tak? Myślałem, że ludzie już nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

– Zdziwiłbyś się. W każdym razie wszystko było dobrze, tylko Ewa nie mogła urodzić dziecka, więc wszystko zaczęło się sypać.

– Mogli się rozstać.

– Widocznie było im wygodnie w takim układzie. Zresztą Kapicowa zaczęła bawić się w politykę, pewnie rozwód nie był jej na rękę. Więc żyli tak trochę obok siebie. Nie oni jedni... A później zjawiał się Górski.

– I namieszał.

– Pani Wanda mówi, że była wściekła na siostrzenicę, ale nie dało jej się przetłumaczyć, że powinna zakończyć romans.

– Więc może postanowił to zakończyć Szymon Kapica?

– Może?

– Koleżanka Karola twierdzi, że on bał się wychowawcy. Martwił się, że jeśli sprawa się wyda, to zazdrosny mąż spuści mu łomot.

– W zasadzie powinien.

– A może spuścił? Może uszkodził chłopaka albo nawet zamordował?

– A masz na to dowody? Dopóki Ewa Kapica śpi, niczego więcej się nie dowiemy. Chyba że Karolek sam zechce się odezwać... Skłaniam się ku wersji, że po prostu rzucił Kapicową i wyjechał.

– A ona z tej rozpaczki postanowiła ze sobą skończyć? Szczerze? Słabe to.

– A masz inne wyjaśnienie? Może się zakochała... Sama nie wiem.

Milkną, wokół szum. Baba z fioletowymi włosami streszcza córce historię życia tej pacjentki z sali, co to ma wyrodne dzieci i gospodarstwo. Bufetowa drze się na całe gardło: „Schabowe!”. Ryśkowi ślina wypełnia usta. Przelyka ją. Pociera czoło. Coś mu się jednak nie klei w tej układance.

– A jednak Kapica dziś podczas rozmowy ostro kręcił. Wiesz, mowa ciała, to dało się wyczuć...

– Zakładając, że nie brał udziału w zniknięciu chłopaka, ale wiedział o romansie żony, to po tym, jak znalazł ją na wpół żywą, a w jej bagażniku odkrył krew, pomyślał pewnie, że stara wkurzyła się na kochanka, zamordowała go

i zakopała w ogródku. A po wszystkim, niczym w brazylijskiej telenoweli, postanowiła ze sobą skończyć. Podczas naszej rozmowy był dziwny, bo próbował ją kryć.

– Ale dlaczego? Nie chciał zemsty? Przecież go zdradzała.

– Nie wiem, Rysiu. – Wygląda na zmęczoną. – Może nadal ją kocha?

Baran trawi jej słowa. Krzyżuje ręce na brzuchu... Wzdycha. On też czuje się wypompowany – całym tym dniem i lataniem po mieście na głodniaka. A wszystko o kant dupy potłuc.

– Jeżeli twoja hipoteza jest słuszna, to to jest na maksa banalna historia, nie?

Witek przechyla głowę. Patrzy na niego bezbarwnym spojrzeniem.

– Wiesz, im dłużej tu mieszkam, tym głębszego nabieram przekonania, że w tym mieście wszystko takie jest.

– Jakie?

– Nijakie.

Baran drapie się po brodzie. Małgośka chyba ma rację. Cały dzień latania po ludziach, wypytywania, i wszystko na marne. Ani zbrodni, ani prawdziwego zaginięcia. W takim Sopocie czy Poznaniu, gdy ludzie zginą, to cała Polska śledzi na żywo relacje z działań policji, a stąd to wszyscy sami, z własnej woli wyjeżdżają. Uciekają. I nawet morderstwa normalne się nie zdarzają, co najwyżej psa ktoś potrafi... Teraz tylko czekać, jak Andżela Górską zadzwoni, że dzieciak się znalazł.

Jedynie tej Kapicowej szkoda. Młoda jeszcze, a kto wie, czy z tego wyjdzie. Przez takiego małolata się truć... W poniedziałek, kiedy wieści się rozniosą, miasto zatrząsie się od plotek. Nie wróci pani burmistrz na swój stołek. I mąż na pewno od niej teraz odejdzie. Po takim skandalu... Dobrze, że oni z Hanusią zwyczajnie, po bożemu żyją, że na boki nie chodzą. Lepsza ich nuda niż problemy Kapiców. Wprawdzie Rysiek nie ma chałupy na Piaskach, ale kiedyś na pewno awansuje na komisarza i może dostanie dodatek specjalny... A wtedy domek z kolumnkami, z wykuszami i czerwoną dachówką, i z pelargoniami, a z okna zapach smażonego kotleta...

– Patrz. – Witek wrywając go zamyślenia, wskazuje w stronę poszarzałej firanki. – Chyba przestało padać.

[35] *Ibidem.*



### 33.

*Przybądź i naucz mię niemym wyrazem,*

*Jak się to traci i wygrywa razem[36].*

Jesteś!

Nie wiem czemu, a jednak czuję ulgę, gdy Szymon staje w drzwiach separatki. Wanda podnosi się z krzesła. Mój mąż jest przy niej tak potężny, że mógłby zmieść ją z powierzchni ziemi pstryknięciem palców, przetrącić kark jednym ruchem. Wrogowie. Mierzą się wzrokiem. Trwa to tak długo, że w którymś momencie zastanawiam się, czy to nie scena z filmu, i czy ktoś właśnie nie włączył pauzy. Ale nie. Pompa respiratora, zasysając powietrze, postępuje niezmiennie. Kap, kap, kap, spadają krople w butelce z kroplówką. Czas płynie i tylko oni zastygli, znieruchomieli.

Dlaczego tak stoją? Szukam niechęci na ich twarzach – wiem, że od zawsze się nie znoszą – jednak w całym wachlarzu emocji, który u nich dostrzegam, tej jednej teraz brakuje. Wanda jest zakłopotana, niepewna, wycofana. I zmęczona – sprawia wrażenie, jakby od rana postarzała się o co najmniej dziesięć lat. Mój mąż jakiś taki... zrezygnowany, przybity, wystraszony. On, niby taki silny, uparty i zdecydowany, przypomina małego bezradnego chłopca, któremu brak tylko krótkich spodenek na szelkach i podkolanówek.

I nagle między tą dwójką dzieje się coś niepojętego. Moja ciotka, nigdy nie intronizowana do roli matki, podchodzi do mojego dawno zdetronizowanego męża i opiera głowę o jego pierś. A on, zamiast ją odepchnąć, przygarnia do siebie. Zamyka w ramionach z delikatnością, z jaką obejmuje się strwożone dziecko.

I znowu trwają tak przez długi czas, a ja zachodzę w głowę, co ta scena właściwie oznacza. Kiedy wreszcie odsuwają się od siebie, Wanda ma mokre oczy. Szymon ma oczy suche, lecz czerwone jak u królika. Pociera je jeszcze dodatkowo, nerwowym ruchem – chcąc być może zetrzeć ślady wzruszenia, na które ostatecznie sobie nie pozwolił.

Wanda zerka na mnie przez ramię. Odzywa się pierwsza. Mówi Szymonowi, że już wie, iż to nie jego wina, bo przed chwilą była tutaj jeszcze raz tamta policjantka i powiedziała, że krew w bagażniku należy do zwierzęcia. I dodaje, że już wiadomo, że sama sobie to zrobiłam, ponieważ leki, które wzięłam, dawno temu zapisał mi lekarz.

Kiedy tłumaczy się Szymonowi, on zamyślony wpatruje się w jeden punkt na pościeli, w okolicach moich nóg, gdzie widnieje czerwony ślad szpitalnej pieczętki na poszewce. Patrzy na nią, jakby z drobnych rozmytych liter pragnął odczytać nasz dalszy los.

A wtedy z ust Wandy pada imię Karola. Szymon odrywa wzrok od moich nóg. Przenosi go na Wandę, która przyznaje, że wiedziała o moim kochanku i przywołuje scenę, gdy prosiła mnie, abym to skończyła. Mówi o zaginięciu Charliego i o tym, że policja jednak nie podejrzewa ani mnie, ani Szymona, tylko po prostu sądzi, że on uciekł z domu.

Wandzie jest przykro, że osądziła Szymona. Osądziła. Jest jej przykro, że sprawy między nami przybrały tak fatalny obrót. Przykro, że pozwoliła mi brnąć w szaleństwo z tamtym chłopakiem. Że zawsze o wszystko obwiniała Szymona i traktowała go z góry... A teraz, z powodu tych wszystkich gorzkich lat, niedopowiedzeń, przez nagromadzenie złych, bezsensownych emocji, ja leżę tutaj i nie wiadomo, czy z tego wyjdę. A ona nic nie może zrobić, czuje się bezradna i nie przeżyje, jeśli umrę...

Mój mąż kiwa głową, ale się nie odzywa. Jest chyba zawstydzony szczerością Wandy. Znają się kilkanaście lat, a nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali. I nagle dzisiaj, przez mój niespodziewany czyn, przez ten niecodzienny splot okoliczności, stoją tu razem, połączeni jedną obawą, jednym strachem, a moja ciotka posypuje głowę popiołem.

„Niczemu nie jesteś winna!”, krzyczę, choć ona nie słyszy. Żadne z was nie jest winne. Tylko ja.

I Charlie. Przeklęty Charlie o oczach w kolorze pruskiego błękitu...

Już wszystko wiem, wszystko rozumiem.

Wszystko pamiętam.

Pamiętam, że wczoraj przyszedł bardzo późno.

Myślałam, że nie przyjdzie. Nie odpisał na wiadomości, które wysyłałam mu w tygodniu. Odrzucał połączenia, gdy dzwoniłam. Starłam się udawać sama przed sobą, że mnie to nie boli. Starłam się skupić na pracy. Cały ostatni dzień negocjowałam umowę sprzedaży ziemi na magazyny sieci handlowej. Z sukcesem. Inwestor zgodził się nawet pokryć koszty budowy nowych dróg dojazdowych. W ratuszu zapanował szczególny rodzaj podniecenia. Jeszcze nie podpisaliśmy ostatecznych umów, ale już odtrąbiono sukces. Kilku moich współpracowników planowało nawet jakąś wspólną wódkę wieczorem. Wymigałam się z tego. Byłam

zmęczona i chciałam pobyć sama, przemyśleć wszystko, przetrwać sprawę Charliego. Jego milczenie... Podświadomie miałam nadzieję, że jednak wieczorem się u mnie pojawi. Nawet jeżeli to, co między nami jest – było? – ma odejść do lamusa, powinno się zakończyć w cywilizowany sposób.

Wracając na Piaski, zajęłam po wino, zrobiłam też zakupy w centrum ogrodniczym – w następnym tygodniu miał przyjść człowiek, żeby uprzątnąć działkę, skosić trawę i takie tam... Z pozoru wszystko było na swoim miejscu. Zwyczajny piątek. Szymon już jakiś czas temu wyjechał do Lublina, więc dom zastałam pusty.

Dzień dogasał, a ja czekałam, chociaż bez większej nadziei.

Czekałam.

Wieczór był przyjemny, ciepły, pachniał nadchodzącym latem. Wprawdzie zapowiadano załamanie pogody, ale na razie nic na to nie wskazywało. Rozsiadłam się na leżaku na tyłach domu. Nade mną sosny strzeliste, wyprostowane, nieruchome. Nad nimi powoli przesunęły się chmury. Od rzeki niósł się rechot żab. Powietrze drżało od ich odgłosów. Popijałam orzeźwiające białe wino i czytałam książkę – o chłopaku, w którym rodzi się zło, który zabija bez powodu najpierw swojego kuzyna, a później sąsiadkę. Mrok opowieści zlewał się w jedno z zapadającym w lesie zmierzchem i idealnie harmonizował z moim wisielczym humorem.

Czułam, jak wypełnia mnie przygnębienie. Już wiedziałam, że to koniec. Odsuwałam od siebie tę myśl przez ostatnie dwa tygodnie, od chwili, gdy widziałam go po raz ostatni, jednak ona uporczywie wracała. Sprzeciw mieszał się we mnie z poczuciem klęski. Byłam zła na siebie, na niego. Na cały świat. Gdy przymykałam oczy, znowu słyszałam echo niebieskiego bluesa. Depresja, dawna przyjaciółka, ponownie pukała do moich drzwi.

Sądziłam, że dłużej utrzymam się na fali, że mój wyidealizowany kochanek, mój słodki Charlie nie znudzi się mną tak szybko. A przecież Wanda mnie ostrzegała. Czterdziestoletnie panie nie mogą kochać się w licealistach. Podobne historie nigdy dobrze się nie kończą. Moja nie tyle kończyła się źle, co żałośnie... Wlewałam w siebie trzeci kieliszek znieczulenia w postaci kwiatowego *petit chablis*, gdy usłyszałam ruch przy bramie, a później dźwięk domofonu. A więc przyszedł.

Poczułam ulgę, mimo że wiedziałam, jak będzie wyglądał scenariusz wieczoru. Porzuciłam książkę, kieliszek przewrócił się, wino wylało w trawę. Celowo nie zapaliłam światła przy wjeździe, żeby nie wzbudzać podejrzeń sąsiadów. Nacisnęłam guzik domofonu, otworzyłam drzwi i stanęłam w progu. Zobaczyłam zarys sylwetki Charliego. Szedł od furki. Wyglądała trochę inaczej niż zwykle. Był bez marynarki, tylko w koszuli w kratę, miał ze sobą plecak. Nieznacznie kulał. Gdy jego postać wreszcie w całości wyłoniła się z mroku,

zrozumiałam, dlaczego.

Pod okiem ciemniał mu siniec wielkości śliwki węgierki, pół twarzy miał we krwi, której czerniejące ślady zaschły także na koszuli. Włosy, zawsze idealnie ułożone, teraz przypominały ptasie gniazdo.

Krzyknęłam na jego widok i zaczęłam histerycznie dopytywać, co się stało. Co mu jest? Kto mu to zrobił? Ale on wchodząc do środka, przesunął mnie tylko jak przedmiot na bok. Gdy zamknęłam drzwi, zaklął siarczyście i wysyczał przez zęby, żebym z łaski swojej przymknęła jadaczkę i pozwoliła mu się doprowadzić do ładu. Był zimny, obcesowy – jakby to ode mnie pochodziły razy, którym zawdzięczał swój stan. Uznałam, że jest w szoku i stąd agresja. O nic więcej nie pytając, zaprowadziłam go do łazienki na dole. Kazał mi wyjść i zamknął się na klucz. Czekałam na kanapie, nie rozumiejąc, co się dzieje. Kto go pobił? Co się wydarzyło?

Siedział w środku niemal godzinę. Słyszałam, jak brał prysznic, otwierał szafki. Później nastąpiła cisza. Zaczęłam podejrzewać, że może stracił przytomność. Powinnam sprawdzić, czy wszystko z nim dobrze, lecz wtedy w końcu wyszedł. Wyglądał już dużo lepiej. Zaprał plamy na koszuli, zmył krew z twarzy. Górną wargę i nos miał nieco opuchnięte, lecz oko wyglądało już prawie normalnie – byłam pewna, że zamaskował ślady używając mojego fluidu, który znalazł w łazience.

Usiadł w fotelu naprzeciwko mnie. Przy nogach postawił plecak.

– Dasz mi wody? – Zażądał.

Byłam zdezorientowana jego tonem, nagłą przemianą, ale przyniosłam szklankę z kuchni. Upił kilka łyków, wykrzywiając usta, wyraźnie sprawiało mu to ból.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytałam, wracając na miejsce.

– Gdyby nie twój cholerny mąż, nie zobaczylibyśmy się dzisiaj – wycharczał, nie odpowiadając na pytanie.

Nie rozumiałam, co Szymon miał z tym wspólnego?

– Musiałem doprowadzić się do porządku. Wyjeżdżam – dodał.

– Słucham? Jak to? Gdzie?

Przeczesał palcami mokre włosy. Nawet teraz, taki pokiereszowany, dbał, żeby dobrze się prezentować. Nieraz śmiałam się, że jest narcyzem, lecz wtedy mi to nie przeszkadzało, teraz irytowało.

– Charlie...

– Błagam, Ewa, tylko nie dramatyzuj.

Był spokojny, niezwykle opanowany, a przy tym, w jakiś niepojęty dla mnie sposób, wrogi. Nie znałam go takim. Charlie, chłopak siedzący w moim salonie, na pewno nie był tamtym, którego pokochałam. Czy może wydawało mi się, że kocham. Teraz już niczego nie byłam pewna.

– Wy, bogaci, zepsuci, zawsze trzymacie się razem, co? – stwierdził zniecierpliwiony, nie przestając przyglądać włosów na bokach. – Lubicie się nami bawić, wykorzystywać. Ty i twój mąż wcale nie jesteście lepsi. Poprosiłaś, żeby mi to zrobił, czy może sam wyszedł z inicjatywą? – Chwycił szklankę stojącą na blacie stolika i przyłożył ją sobie do skroni.

– Charlie... – Co on sugerował?

– Co, kurwa, Charlie? – przedrzeźniał mnie. – Przecież wiem, że się mną znudziłaś. Sądzisz, że się nie domyśliłem, co robiłaś z nim na Mazurach?

– On jest moim mężem – tłumaczyłam, chociaż wiedziałam, że argument, którego użył Karol, to tylko pretekst do rozstania.

– ...Ale okej – ciągnął. – Mam spierdalać, to spierdałam, nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą.

– Naprawdę, nie rozumiem, o czym mówisz.

– Nie rozumiesz? – Uśmiechnął się krzywo, odruchowo dotykając pękniętej wargi. – To zapytaj tego swojego przygłupiego męża. Może opowie ci, co dzisiaj zrobił. W sumie powinienem od razu iść na policję...

– Pobił cię?

– Nie, kurwa. Uderzyłem się o szafkę w kuchni.

– Hamuj język z łaski swojej. – Mimo że przez swój stan wzbudzał we mnie współczucie, jego prostackie zachowanie zaczynało wkurzać.

– Okej. Nie ma co tego dalej ciągnąć. – Podniósł się ciężko z fotela, zarzucił plecak na ramię.

– Wychodzisz?

– Jak widzisz.

– Tak po prostu?

– Ewka, proszę... Jesteś dużą dziewczynką. Dałem ci to, czego potrzebowałaś. Mnie też było miło. Dobrze się bawiliśmy, nie? – Z dwuznacznym uśmiechem wskazał na miejsce na podłodze w części jadalnej, gdzie przed niespełna dwoma tygodniami się kochaliśmy.

Kochaliśmy, czy może po prostu mnie pieprzył? Poczulałam, że robi mi się niedobrze.

– ...Oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nie będzie. Chciałem się usunąć po cichu, opuścić salon po angielsku, zniknąć z twojego życia, ale nie, kurwa... Twój mądry małżonek nagle postanowił zmanifestować niechęć do mojej osoby, naturalnie w jedyny znany sobie sposób, czyli siłowo. Pojeb. Gdyby nie on i nie fakt, że musiałem się gdzieś doprowadzić do porządku, na pewno by mnie tutaj dzisiaj nie było. Już teraz rozumiesz?

– Nic nie rozumiem.

Od jego niepojętego zachowania, ordynarnych słów i wypitego wina kręciło mi się w głowie. Patrzyłam na Charliego w osłupieniu. Nie wierzyłam, że to

doskonale ciało może skrywać takie szambo. Zło? Jak to możliwe, że do tej pory tego nie zauważyłam? Znałam matkę i babkę Charliego tylko z jego opowieści, jednak teraz byłam pewna, że oto stoi przede mną kompilacja najgorszych cech osobowości obu tych kobiet.

– Nie mogłem iść w takim stanie do domu. Tam także nie planuję się więcej pokazywać.

Spojrzałam na jego wypchany plecak.

– Co zamierzasz, gdzie się wybierasz? Twoja babcia wie...?

– Mam dwadzieścia lat, nie muszę się nikomu spowiadać.

– A studia...?

– Jakie studia? – fuknął drwiąco. – W dupie mam te całe studia. To moja babka marzyła o akademii. Ja chcę rysować komiksy, nie potrzebuję do tego papierów.

– I zamierzasz utrzymywać się z rysowania? Nie poradzisz sobie, nie masz nawet wydawcy.

– To go znajdę, zresztą... To już, moja droga, raczej nie twój interes.

Powoli, utykając, szedł w stronę drzwi. Był ode mnie kilka metrów, kiedy zawahał się, zatrzymał w pół kroku.

– A może w ramach naszej dawnej zażyłości odwiozłabyś mnie na przystanek? Ten twój osiłek trochę mnie poturbował i nie najlepiej się czuję.

Nie wiem, czemu to zrobiłam, może przez wstrząs, którego doznawałam? Może nie chciałam, żeby wyszedł ot tak, żeby ta historia skończyła się już w tamtym momencie? Był bezczelny, lecz zadziałałam impulsywnie. Chociaż nie powinnam prowadzić, przecież piłam, to zamiast wykopać go za drzwi, wzięłam torebkę i kluczyki od samochodu.

Bez słowa przeszliśmy do garażu. Otworzyłam drzwi, wyjechaliśmy w cichy las. Piaski pogrążone były w ciemnościach. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał parę minut po dwunastej. Żadne autobusy już nie kursowały.

– Nic nie jeździ o tej porze – stwierdziłam.

– Wysadź mnie po prostu na drodze do Lublina. Złapię coś.

– Ale...

– Zrób, o co proszę – rzekł twardo.

Jechaliśmy w kompletnej ciszy. Po paru minutach dotarliśmy do drogi krajowej. Zatrzymałam się tam, gdzie wskazał. Widocznie uznał, że jednak jest mi coś winien, bo zanim wysiadł, nagle odwrócił się do mnie i uchwycił twarz w dłonie. Pocałował tak zachłannie, z pasją, jak wtedy pod szkołą, wiele miesięcy temu w noc studniówki. Nic we mnie nie zadrzało, nic się nie odezwało. W ustach poczułam tylko jego krew. Wreszcie oderwał się ode mnie, uśmiechnął sztubacko, i przetaił kciukiem ranę na swojej wardze.

Kiedy trzasnął drzwiami, o szybę uderzyły pierwsze krople deszczu.

Wycieraczki włączyły się automatycznie. Nie wiedziałam, co robić. Prosić, żeby wsiadł z powrotem? Czekać tu, aż złapie stopa? Nie zdążyłam wykonać żadnego ruchu, kiedy z ciemności wyłoniły się ogromne światła tira. Na przedniej szybie zamigotała tabliczka z imieniem Zbyszek. Charlie zamachał mu, zwalista sylwetka zatrzymała się na poboczu. Wsiadł do szoferki i zaraz potem odjechał.

Odjechał...

Deszcz coraz intensywniej uderzał o szybę. Ruszyłam z powrotem na Kamienną. Nie dowierzając, że wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie półtorej godziny, naprawdę miało miejsce. W mojej głowie kotłowały myśli. W żyłach krążyły cząsteczki alkoholu. Ten wieczór wydawał się równie nierealny, jak tamten zimowy, kiedy spotkałam Charliego w nocy na ulicy. Myślałam o tym. O wszystkim, co się wydarzyło. O rzeczach pierwszych i rzeczach ostatnich. Deszcz lał coraz intensywniej. A może to ja płakałam? Wszystko, co w mojej relacji z Charliem wydawało się tak uroczo skomplikowane, jedyne w swoim rodzaju, niezwykle, piękne, co nas łączyło, teraz okazywało się niezdolnie prymitywne i błahe. Świat zna tysiące podobnych historii.

Skręciłam w las, aby drogą na skróty wrócić na Piaski i jak najprędzej zaszyć się w domu. Docisnęłam pedał gazu. Silnik zagrał przyjemnie pod maską.

Jechałam szybko. Zbyt szybko. Nic nie zauważyłam, usłyszałam tylko głuchy dźwięk uderzenia i poczułam, że po czymś przejeżdżam. Zahamowałam z piskiem. W jednej chwili poczułam, jak po moich plecach kropla po kropli spływa zimny pot.

Co to było?!

Przejechałam kogoś?!

W panice spojrzałam we wsteczne lusterko. Przez ciemności posiekane strugami deszczu nie byłam w stanie nic zobaczyć.

W pierwszym odruchu pomyślałam, żeby uciec. Wokoło żadnych samochodów, nikt mnie na pewno nie widział. Byłam sama. Byłam pijana. Jeżeli potrąciłam człowieka, pójdę siedzieć... Widocznie jednak wciąż pozostały we mnie jakieś resztki przyzwoitości, ponieważ po chwili wahania, zostawiwszy włączony silnik, wysiadłam z auta. Czułam, jak oszalałe serce wali mi w piersi. Cała się trzęsłam. Deszcz zalewał mi oczy. W słabym świetle tylnych lamp zobaczyłam swoją ofiarę.

Koźlę sarny leżało na asfalcie kilkanaście metrów za samochodem. Walcząc ze strachem, podeszłam bliżej i przykucnęłam przy zwierzęciu – było takie malutkie. Musiało pochodzić z tegorocznego miotu, pewnie miało nie więcej niż miesiąc. Jego połamane nóżki trzęsły się spastycznie w przedśmiertnych skurczach, z dziury we wgniecionej czaszce lała się krew. Lecz zwierzę nadal żyło. Wpatrywało się we mnie wielkimi okrągłymi oczami, w których odbijały się światła samochodu. Czarne gładkie kamienie sarnich oczu, utkwione we mnie...

Był w nich dojmujący smutek, przerażenie i zdziwienie. Przeglądałam się w nich jak w lustrze i miałam wrażenie, jakbym to ja sama leżała na tym asfalcie, jakby to do mnie należało umierające ciało. Rozsypałam się w środku. Poczułam przyływ współczucia dla koziołka. Dotknęłam dłonią jego wciąż ciepłego brzucha, w środku migotało małe serduszko. Bezwiednie ściągnęłam z siebie przemoczony sweter i przykryłam zastygające członki. Kałuża krwi szybko się rozrastała, mieszając się z deszczówką. Bezwarunkowe odruchy racic powoli ustawały, spojrzenie sarny tężało, aż wreszcie zgasło. Gdzieś za plecami, z ciemności lasu doszedł mnie dźwięk łamanych gałęzi. Wiedziałam, że to matka sarny. Obserwowała nas do tej pory, a teraz widocznie wyczuła swym dzikim matczynym instynktem, że może odejść, że już po wszystkim.

Nie mogłam go tam zostawić. Byłam winna. Zabiłam. Nie sądziłam, że tak mną poruszy ta bezsensowna, chociaż w sumie nic nieznacząca, mała śmierć. Nie zastanawiałam się, co robię. Podniosłam truchło z ziemi – nic nie ważyło – i odruchowo ruszyłam do samochodu. Działalam bez planu, dopiero zbliżając się do auta przypomniałam sobie, że przecież w bagażniku wciąż mam zakupy z ogrodniczego; jakąś łopatę, bo stara, która była w domu, ostatnio się złamała, a także różne sznurki, worki, o które prosił ogrodnik – jeden z nich rozłożyłam na podłodze bagażnika, żeby nie zabrudzić go krwią.

Ciało zakopałam niedaleko wylotu polnej drogi, nad rzeką. Tu, gdzie kiedyś obserwował mnie Charlie. Tutaj wszystko się zaczęło i tutaj miało się skończyć. Nie wiem, czemu wybrałam to miejsce. Lubiłam je, za dnia było bardzo urokliwe. Chociaż tyle mogłam dać mojej ofierze. Łopata bez trudu wchodziła w piaszczysty mokry grunt. Kopiąc grób, myślałam o chłopaku, który odjechał tirem w stronę Lublina. Zamierzałam pamięć o nim pochować razem z ciałem przejechanej sarny.

Kiedy wróciłam do domu, mokra i brudna, było około drugiej nad ranem. Umyłam się, przebrałam, odkorkowałam kolejne wino. Siedziałam wpatrzona w noc spływającą po szybach. Mijały minuty i godziny. Sen nie nadchodził. Zastanawiałam się, co teraz, co dalej. Powinnam rozpacząć po odejściu Charliego, a jednak niczego podobnego nie czułam. Ogarnął mnie stupor, przedziwne zubożenie. Może wcale nie kochałam Karola, może kochałam jedynie wyobrażenie o nim? Tak bardzo kogoś potrzebowałam – ostatnia zima spustoszyła moje serce, mój umysł – że zatraciłabym się z każdym, kto stanąłby na mojej drodze. Tym kimś okazał się Charlie. Był taki, jakim chciałam, żeby był. Bez trudu wyczuł moje potrzeby i dopasował się do nich, a ja wbiłam sobie do głowy, że żar w okolicach krocza to miłość.

A miłości nie ma. Takiej filmowej, huraganowej, szarpiącej postronki nerwów, obezwładniającej. Niemal całe dorosłe życie w to wierzyłam.

Nie ma?

Moje myśli bezwiednie poszybowały w stronę Szymona.



Zdałam sobie sprawę, że chciałabym do niego zadzwonić. Porozmawiać o tym, co się wydarzyło – czy naprawdę w akcie zemsty, w szale zazdrości pobił swojego ucznia? Od dnia, gdy mnie poznał, a dresy zmienił na marynarki, nie wdał się w żadną bójkę. Osiedlowy łobuz przeistoczył się w rozsądnego dorosłego faceta. A teraz wybuchł. Doprowadziłam do tego. Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Co bym mu powiedziała, gdyby odebrał telefon? „Szymon, to, co się stało na majówce, było dla mnie ważne”? Czy może: „Przepraszam”? „Przepraszam za Charliego. To się nie powinno wydarzyć...”? Z drugiej strony, gdyby się nie wydarzyło, nadal nie otworzyłabym oczu i ogarnięta niemocą, w poczuciu, że przegrałam życie, trwałabym schowana w ciemnej norze apatii. I może wtedy nic na Mazurach by się nie wydarzyło. Nie dałabym się nawet namówić na wyjazd. Nie zaczęłyby mną targać wątpliwości.

Naprawdę chciałam do niego zadzwonić, mimo że pora była nieodpowiednia. Zadzwoniłabym, ale się wystraszyłam. Przecież wszystko już za nami. Wszystko zmarnowałam. Tym razem sprawy zaszły za daleko. Szymon mnie opuści. Doszliśmy do ściany.

Powoli za oknem zaczął wstawać dzień. Rzeczywistość rozmazywała mi się przed oczami, pokój falował. Powinnam była się przespać. Lecz za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam lśniące oczy umierającej sarny. Sarna uśmiechała się ustami Charliego. Krew sączyła się z jej rany. Krew buzowała w moich żyłach...

I wtedy przypomniałam sobie o tabletkach ukrytych w komodzie w sypialni. Chwiejnym krokiem poszłam na górę – były na swoim miejscu, pomiędzy koronkowymi majtkami i jedwabnymi pończochami. Dawno temu wyjęłam je z blistra i ukryłam w miseczce nienoszonego stanika. Nie wiem czemu... Teraz uchwyciłam je garścią i schowałam do kieszeni spodni.

Później, już na dole, nalałam sobie resztkę wina. Najpierw połknęłam tylko jedną – na uspokojenie, żeby wreszcie odpocząć. Poczekałam kilka minut, ale tabletką nie zadziałała. Może lek się przeterminował? Myślałam, że takie środki dla wariatów to łup! – z miejsca zwalają z nóg, a tu nic. Zatem wzięłam kolejne dwie tabletki. Na pewno nie zaszkodzą. Poczułam w ustach gorzyc, lecz ciągle nic się nie działo. Wydobyłam z kieszeni wszystkie i ułożyłam w rzędzie na stoliku. Chwyciłam jeszcze jedną i kolejną. Połykałam je jak w transie. W przeświadczeniu, że sen to jedyne, co teraz mnie ukoi. Długi, dobry, miękki sen. Miękkie nic. Chciałabym zasnąć na dłużej, na bardzo długo... Na zawsze? Może właśnie to było najlepszym rozwiązaniem. Szymon mi nie wybaczy. Naszego małżeństwa nie da się już uratować, poskładać do kupy. Zatem jeszcze jedna tabletką. Wszystko zepsułam swoim egoizmem. Kolejny łyk wina i kolejna pigułka. Najlepiej byłoby, żebym po prostu zniknęła. Kolejna... Tak będzie

najlepiej dla wszystkich. Sporo namieszałam, brzydko pogrywałam z losem, ale z tym koniec... Ta będzie ostatnia, ostatni łyk... Ostatnie trzy naraz... Gdybym miała szansę przeżyć życie jeszcze raz, znowu byłabym z tobą...

Wreszcie zasypiam. Zasnęłam.

Wreszcie spokój.

Śpię.

[36] *Ibidem.*

34.

*Pieszczoto*

*Odpychająca! Poważna pustoto!*

*Szpetny chaosie wdzięków! Ciężki puchu!*

*Jasna mgło! Zimny żarze! Martwy ruchu!*

*Śnie bez snu! Taką to w sobie zawilość,*

*Taką nielączność łączy moja miłość[37].*

Ewa śpi. Nadal śpi.

Wanda wyszła do bufetu po kawę.

Szymon siedząc przy łóżku żony, myśli o słowach jej ciotki. Zaskoczyła go swoim zachowaniem. Zawsze go lekceważyła. On odpłacał jej niechęcią – uważał, że ta kobieta nie ma nerwów, że nie ma uczuć. Jedyne, jakie w niej kiedykolwiek istniały, przelała na Ewę. Prócz tego była głazem. Martwa w środku, martwa za życia. Nieprzyjemna, oschła, zbyt zasadnicza. Nie dziwił się, że po rezygnacji z pracy w tutejszym szpitalu przyjęła wakat w lubelskiej kostnicy. Z żywymi pacjentami trudniej się dogadać niż z martwymi. A dzisiaj nagle fajerwerki emocji, płacz. Paradoksalnie, kiedy Ewa postanowiła umrzeć, jej ciotka nagle zaczęła żyć. Zaczęła przejawiać ludzkie odruchy.

Szymon myśli o Wandzie, jeszcze nie ciepło – na całkowite przebaczenie, zasypanie okopów, przyjdzie czas – ale już bez wrogości. Ewa, która dotąd ich

dzieliła, teraz sprawiła, że niespodziewanie znaleźli się w jednej drużynie. Wszystko zaczęło nabierać nowej perspektywy. Wystarczyły dwa dni. Dzisiejszy – dzień zmiany. I wczorajszy – dzień sądu. Dzień gniewu. *Dies irae*. Szymon rozciera prawą dłoń. Na kostkach ma delikatne obtarcia.

Tam nad rzeką zadziałał instynktownie. Nie planował tego, nie miał zamiaru bić chłopaka. Pałał do niego głęboką niechęcią, niemniej dawno wyrósł z afirmowania przemocy jako jedyne sposobu rozstrzygania konfliktów. Kiedyś, wieki temu, zanim poznał Ewę, lubił się poszturczać z kumplami spod bloku. Na Osiedlu Wyzwolenia prawo pięści było jedynym obowiązującym prawem. Lecz potem zamieszkał w innej części miasta i spotkał ją, a ona uważała, że cywilizowany człowiek wobec antagonistów używa siły argumentów, a nie argumentu siły. Szymon nadmiar energii wypacał na siłowni, nerwy rozładowywał, biegając po lesie albo prowadząc lekcje na sali gimnastycznej.

Szymon nie chciał uderzyć, a jednak instynkt okazał się silniejszy. Poczł głęboki, niedający się niczym pohamować imperatyw, by zetrzeć cyniczny uśmiezek z twarzy Górskiego.

Pierwszy prosty wyszedł jakoś tak naturalnie, od serca, bez kalkulacji – z nosa przeciwnika chlusnęła krew – drugi okazał się czystą przyjemnością. I może po nim już by Szymonowi wystarczyło emocji, lecz endorfiny i testosteron rozszalały się w radosnym tańcu zemsty do tego stopnia, że ostatni cios – sierpowy w brzuch – po prostu musiał paść. Karol także padł. Jak długi. Na betonową płytę nabrzeża.

Szymon przez chwilę stał nad nim, na szeroko rozstawionych nogach, wsłuchując się w muzykę niosącą się po wodzie. Czekał, aż tamten dojdzie do siebie. Tymczasem z uszkodzonego nosa Charliego ciekła krew, zalewając mu usta i brodę. Szymon czuł jej lepkość także na swoich dłoniach.

– Wstawaj – rzucił bez sentymentów, kiedy chłopak się ocknął.

Karol z trudem podniósł się z ziemi. Już się nie uśmiechał. Lekko zgięty, trzymając się za brzuch, spode łba spojrział na byłego wychowawcę. Bał się, a jego strach sprawiał Szymonowi niewypowiedzianą przyjemność.

– Masz, wytrzymaj nos. – Podał mu jednorazową chusteczkę.

– Złamałeś mi go, kurwa! – wysyczał wściekle, przykładając chustkę do twarzy.

– Nie złamałem. Nie panikuj. To raptem pęknięte naczynko. Zaraz ci przejdzie. Przechyl głowę do tyłu – instruował go spokojnie.

– Zapłacisz mi za to! – Gdyby Charlie był Bazyliszkiem, Szymon właśnie padłby martwy.

– Oczywiście, że zapłacę. Przecież po to się spotkaliśmy, czyż nie? – Mówiąc to, dobył z wewnętrznej strony marynarki opasłą szarą kopertę. Rzucił ją chłopakowi pod nogi. – Tak jak się umawialiśmy, pięćdziesiąt tysięcy. Bierzesz

i nigdy więcej cię tu nie widzę. Wyjeżdżasz i nie wracasz. I zero jakichkolwiek kontaktów z Ewą. Przez telefon ani internet. Masz zniknąć z naszego życia. Zrozumiano?

Chłopak z trudem schylił się, by podnieść z ziemi paczkę. Zajrzał do środka i przesunął opuszką palca po brzegu banknotów.

– Zrozumiano? – powtórzył Szymon.

– Powiniennem iść na policję.

– Żeby się poskarżyć, że dostałeś w gębę od męża kochanki? Nie bądź żaloszny. Miej choć trochę honoru. Gdybym naprawdę chciał cię uszkodzić, nadal byś tu, gnoju, leżał. To było zaledwie delikatne upomnienie.

Charlie schował kopertę do plecaka i zarzucił go sobie na plecy.

– Pierdolę was – rzucił, wycofując się. – Pierdolę ciebie i twoją żonę. To główniane miasto też pierdolę. Możesz być spokojny, na pewno więcej się nie zobaczymy. – Odwrócił się, uszedł kilka kroków, po czym dodał przez ramię: – A następnym razem lepiej pilnuj żony...

Nie czekając na reakcję Szymona, kulejąc, ruszył pod górę skarpy. Po jakimś czasie rozmył się w mroku.

Szymon miał ogromną ochotę ruszyć w ślad za nim i dokończyć to, co zaczął, ręka wciąż go świerbiła, jednak odpuścił. Było po sprawie, czuł satysfakcję, ogarnął go spokój.

Wsiadł do samochodu, wytarł ręce z krwi i włączył silnik. Miał ochotę pojechać z powrotem do domu. Zamiast do Lublina, wrócić do niej, porozmawiać. Powiedzieć, że jeszcze wszystko da się naprawić, że mogliby sobie dać szansę. Nie wszystko w życiu ułożyło się po ich myśli, nie ma dziecka, które na pewno by ich w jakiś sposób scaliło. Może nie byli dla siebie stworzeni, dzieliło ich naprawdę wiele, lecz on nadal jest jej mężem i nadal coś do niej czuje. Mogliby spróbować...

Chciał do niej pojechać, ale się na to nie zdobył. Bał się rozczarowania w oczach Ewy, kiedy w drzwiach ujrzy nie tego, na którego czeka. Uznał, że może lepiej, żeby dziś została sama. Kiedy zrozumie, że kochanek nie przyjdzie, będzie przybita, zła, rozgoryczona, a nadszarpniętą dumę łatwiej leczyć w samotności. Szymon postanowił dać Ewie czas, żeby w spokoju przetrawiła w sobie odejście Charliego. A on zobaczy ją pojutrze. Może kupi jej kwiaty albo jakiś drobiazg w Lublinie...? To byłby miły gest. Od dawna brakowało podobnych w ich związku.

Na pewno dojdą do porozumienia. Przecież wtedy, na Mazurach, to ona wyciągnęła rękę, to ona znowu zapragnęła Szymona. Po pierwszej nocy miał nadzieję, że Ewa zechce z nim porozmawiać na temat tego, co zaszło. Jednak coś sprawiło, że do takiej rozmowy nie doszło. Może strach albo wstyd? A może głównym winowajcą był jednak Karol Górski? Ewa nadal uważała, że coś czuje do tego dzieciaka. Dlatego on musiał zniknąć z ich życia, Szymon musiał go z ich

życia wyprosić.

Przedstawił ofertę nie do odrzucenia. Znał Karola od trzech lat i wiedział, czego najbardziej mu brakuje, na co się połasi. Wtedy, gdy rozmawiali pod szkołą, wymieniając kwotę, sądził, że Górski będzie stawiał warunki, że podbije stawkę, ale on wydawał się w pełni usatysfakcjonowany. Nie targował się. Bez mrugnięcia okiem przehandlował Ewę za garść srebrników. Tyle warta była jego wielka miłość.

A teraz wziął, co miał do wzięcia i odszedł. Wyparował, zniknął. Szymon odbuduje swoje życie, odbudują je z Ewą – tak myślał, jadąc nocą w stronę Lublina.

Spokój. Pewność i spokój. Właśnie to wtedy czuł. Nie przewidział, że ona tak mocno przeżyje odejście kochanka. Powinien był wtedy zawrócić, pojechać do domu, ocalić ją przed nią samą. Dlaczego tego nie zrobił? Gdyby pojechał do niej od razu... To on był winien, że teraz leżała tu nieruchoma, balansując na granicy życia.

Ewa, jego żona.

Musi się obudzić. Jeżeli tak się stanie, wszystko zaczną od nowa.

Szymon chwytą wiotką dłoń, z której sterczy wenflon – może czasami trzeba trochę umrzeć, żeby móc dalej żyć? Ona musi żyć! Musi otworzyć oczy. Mimo wszystko. Mimo całego zła, które sobie nawzajem wyrządzali, w tym właśnie leży istota miłości – w śnie bez snu, w szpetnym chaosie dźwięków, w ciężkim puchu, w zawilości. W umiejętności wybaczenia. Gdyby miał przeżyć życie jeszcze raz, znowu byłby z Ewą.

– Ewka... – W separacie słycać jego szept. – Wróc...

[37] *Ibidem.*

35.

*(...) owa ukochana,*

*Niczym już dla cię? Miłość więc młodzieży*

*W oczach jedynie, a nie w sercu leży?[38]*

Nawet teraz mam tę kopertę przy sobie. Nie z sentymentu, ale ze względów praktycznych. Nie mogłem ryzykować tego, żeby babka ją znalazła. A zniszczyć jakoś nie potrafiłem. Bo pewnego dnia będę miał wielką pracownię, wielką, nasłonecznioną, z najlepszymi materiałami i jakimś pedałem w czarnym sweterku, którego jedynym zajęciem będzie parzenie mi kawy. I tam będą do mnie przychodzić na wywiady dziennikarze, wydawcy negocjujący kontrakty, wilgotne z podniecenia fanki. Właśnie tam, w centralnym miejscu, gdzieś, gdzie wszyscy będą go mogli zobaczyć, będzie wisiał ten list. Oprawiony w elegancką antyramę. Symbol tego, jak kiedyś ktoś się zajebiście pomylił.

Ale kiedy do mnie przyszedł, wcale nie myślałem, że to się tak skończy. Nie jestem głupi. Mam dobry gust. Przyznam, kiedy coś spierdołę, a kiedy robię dobrze. Bez samooszukiwania się. I dlatego wiem, że moje portfolio było świetne. Przepracowane, ciekawe, intrygujące, świeże! Z tego powodu biorąc kopertę do ręki, czułem się bardzo pewnie. Przez chwilę zastanawiałem się nawet nad tym, czy jej nie otworzyć przy babce. Ot, taka rodzinna chwila szczęścia, melodramatyczny gest, żeby się jej miło zrobiło. Ale babka na szczęście poszła wtedy do jakiejś swojej koleżanki na herbatkę czy na cmentarz, żeby świeże kwiaty położyć. Jedno z dwojga. Raczej to drugie, bo niewiele osób ją lubiło. Cóż poradzę – taka smutna prawda.

Byłem więc w domu sam. Wziąłem kopertę, rozdarłem i zacząłem czytać. Zdębiałem i zakręciło mi się w głowie. Musiałem usiąść, oprzeć głowę o zagłówek kanapy, żeby nie zemdleć, a plecy miałem mokre od potu. Co napisali? Że nie. Bo

co prawda doceniają i w niektórych aspektach widać przebijającą się wrażliwość, artystyczność i potencjał, ale jednak niedojrzałość, braki warsztatowe, wtórność pomysłów. Zalecamy dalszą samodzielną pracę lub udział w warsztatach mistrzowskich i spróbowanie w przyszłym roku.

Warsztaty mistrzowskie – pewnie dlatego mnie uwalili. Nie jeździłem na żadne plenery, kursy przygotowawcze, indywidualne spotkania, czyli nie napchałem kieszeni żadnemu z tych durnych staruchów, którzy tam rządzą, nie posmarowałem banknotami ich lepkich rączek, nie dałem zarobić na ośmiorniczki i rodzinne wakacje we Włoszech.

Byłem zły. Straszliwie. Ale co było najgorsze? Nie to, że się nie udało. Nie mnie pierwszemu, nie ostatniemu. Nie to, że babka potem będzie patrzeć na mnie z gorzkim wyrzutem, pociągać znacząco nosem, kiedy tylko będą ją mijać i szeptać pod nosem (tak, żebym ją jednak usłyszał) słowa o zmarnowanym talencie. Nawet nie to, że matka będzie mieć trudną do ukrycia satysfakcję, bo na nic innego nie czeka, jak na to, aż powinie mi się noga i będę zmuszony do niej wrócić z podkulonym ogonem. Najgorsze było to, że będę musiał spędzić na tym zadupiu kolejne dwanaście miesięcy. A jedyna dobra rzecz, jaka tu była, to Ewa. Ale to też zaczęło się zmieniać.

Zacząło się od naszego wyjazdu do Zakopanego. To był jej pomysł, na który chętnie przystałem. Po pierwsze, nigdy nie byłem w Tatrach. Po drugie, każda okazja, żeby wyrwać się choć na chwilę z tej dziury, to skarb. Na początek ta cholerna konspiracja. Czyli pojechałem do Lublina, upewniłem się, że w okolicy nie ma nikogo znajomego i dopiero wtedy wsiadłem do jej samochodu.

Pobyt w Zakopcu zaczął się fatalnie. Najpierw ta głupia recepcjonistka i jej uwaga na temat „syna”. Takie baby powinny się nauczyć, że mają tylko mówić dzień dobry, do widzenia i ładnie się uśmiechać. Kretynka. Na szczęście wynagrodziłem to Ewie w łóżku. Wydawała się o wszystkim zapomnieć.

Wieczorem, wykończeni po godzinach dobrego seksu, wyszliśmy na miasto. Chcieliśmy coś zjeść, napić się, odpocząć. Zakopane w zimie jest zajebiste. Tłum ludzi na Krupówkach. Harmider, muzyka, iluminacja. Życie. Ale my wróciliśmy do pensjonatu po piętnastu minutach. Ewa dostrzegła w tej masie jakąś swoją znajomą. Przestraszyła się. Nie wiem, czego. Chryste. Przecież szansa na to, że spotkalibyśmy się z nią po raz kolejny była jak jedna do miliona. A nawet jakby do tego doszło, wymyślilibyśmy jakieś kłamstwo. Ja byłem uczniem na feriach, ona żoną mojego wychowawcy. Mogliśmy się spotkać przypadkiem. Omawiać jakieś szkolne sprawy. Albo wcisnęlibyśmy kit, że chcę się zapisać na praktyki do Urzędu Miasta. Ale nie. Nalegała, żebyśmy wrócili do pokoju. I jak zawsze zrobiliśmy to, co chciała. Żeby nie było. Nie żałowałem jakoś bardzo tego wyjazdu. Tygodniowy pobyt w zamkniętym pokoju z napaloną kobietą, która za wszystko płaci nie jest jakąś wielką katorgą. Dopiero po powrocie dotarło do mnie, jak bardzo to było nie



tak. Nawet tam, nawet w Zakopanem nie mogliśmy być sobą. Co oznaczało, że nigdzie nie było to możliwe. Czy na drugim krańcu Polski, czy w Gdańsku, Szczecinie, Wrocławiu, Suwałkach, kurwa, niech będzie i w Londynie, Nowym Jorku, Tokio znajdzie się jakiś jej znajomy. A jeśli się nie znajdzie, to ona będzie drzeć z obawy, że ktoś ją zobaczy. Odniosłem wrażenie, że się mnie wstydziła.

Widziała, że po powrocie z gór byłem trochę markotny, więc na poprawę humoru kupiła mi nowego iPhone'a. Nie wiem, dlaczego myślała, że to mi pomoże. Okej, może dlatego, że naprawdę się ucieszyłem, ale każdy by się ucieszył, gdyby dostał taki sprzęt. Ale nie sypiałem z nią dla drogich prezentów. Często mnie wręcz wkurzały. Na przykład ciuchy. To, jak mi je wręczała. Taka zadowolona z siebie. Mówiąca: „W końcu będziesz miał jakąś porządną koszulę”. Tutaj spodnie, bluza, wzmianka o tym, że przydałby mi się nowy zegarek. Każdym takim gestem dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że coś jest ze mną nie tak. Albo inaczej, traktowała mnie jak zabawkę. Lalkę, którą trzeba ładnie ubrać, umalować, żeby nie przyniosła wstydu. Byłem dla niej, jak to miasto – bezwolny obiekt, który ma się poddać jej woli i dać urobić według jej gustu.

Jak ona mogła tak myśleć? Z naszej dwójki, to ja byłem ten lepszy! To ja miałem przed sobą przyszłość. To ona, a nie ja, utknęła w tej dziurze z Kapicą u boku. Powinna mi dziękować, powinna być mi wdzięczna, a nie traktować tak, jakbym był zwykłą dziwką.

Pomimo tego wszystkiego ciągle chciałem być z nią. Byłem gotów być z nią. Ale ona się wahała. Na jakimś poziomie ją rozumiałem. Nie. Wtedy nie. Byłem zaślepiiony. Może teraz ją rozumiem. Miała ten swój dom, męża z siłownią, stanowisko burmistrza. Nie chciała tego wszystkiego zaprzepaścić. Tylko że w tym układzie, ja byłem tylko przelotnym romanssem. Sposobem na zabicie małomiasteczkowej nudy. Mogła mi to od razu powiedzieć.

Pewnego razu, to było po jej powrocie z Mazur, gdzie pojechała z mężem. Pieprzyła się tam z nim, swoją drogą. I było jej dobrze. Poznałem to od razu, kiedy ją zobaczyłem. Wystarczył wyraz jej twarzy. Ten wstyd, odwracanie wzroku, kiedy rozmawialiśmy. Wściekłem się. Nie dlatego, że to zrobiła. Kurwa, był jej mężem w końcu. Czasami trzeba dopuścić knura, prawda? Ale dlatego, że mi o tym nie powiedziała. Bo zrobił jej dobrze, odpowiedziałem sobie. A ona rozumiała, ile by straciła, gdyby go zostawiła. Całkiem możliwe.

Dobra. Leżymy na jej tarasie. Jej osobista sekszabawka i ona. Pijemy nieprzyzwoicie drogie wino (gdyby wymienić jego równowartość na tanie bełty, połowa Wyzwolenia chodziłaby nawalona przez weekend), palimy jointy.

– Ucieknijmy – rzuca ona w pewnym momencie. Jestem totalnie zaskoczony, bo nic tego nie zapowiadało. A ona cała podniecona, policzki zaróżowione jak u emeryta przed spotkaniem z Ojcem Dyrektorem.

– Słucham?

– Zaraz skończy się matura, a wtedy już nic nie będzie cię tu trzymać – wymyśla na poczekaniu. A ja już wiem, że to nie jest żadna przemyślana propozycja, tylko efekt połączenia procentów, THC i seksualnej endorfiny. I już jestem wkurwiony, bo myślałem, że kiedy o tym porozmawiamy, to to będzie na poważnie. A nie tak na chybcika, bo jej nagle wpadło do głowy.

– Ewa... To nie takie proste – stwierdzam rzecz oczywistą.

– Mnie to mówisz? To ja mam męża, robotę w ratuszu... To ja najwięcej ryzykuję.

Jakbym tego nie wiedział. Czasami traktuje mnie jak jakiegoś debila.

– Dlatego uważam, że na razie nic nie powinnaś zmieniać – mówię jej, bo chyba właśnie to chce usłyszeć. I równocześnie mam ochotę sam sobie przypierdolić. Ale ta ochota zaraz mi przechodzi, bo wtedy słyszę to:

– Ale ja już nie chcę się dłużej ukrywać. Nie mam siły tak żyć. Ucieknijmy stąd! Wyjedźmy do Warszawy. Wszystko dałoby się jakoś ułożyć. Wynajęłabym mieszkanie niedaleko akademii. Bylibyśmy razem.

Wtedy już nie było żadnej akademii. Nawet jej o tym nie powiedziałem. Dlaczego? Bo na pewno uzalałaby się nade mną, a potem kupiła na pocieszenie konsolę lub nowy rower. Nie potrzebowałem tego gówna. Zresztą, to nie było ważne. Ważne było to, że opowiadała pierdoły prosto z *Domu nad rozlewiskiem* czy innego romansidla. Wymyślała naprędce, byle jak i bez sensu. I kto to robił? Moja Ewa. Kobieta, która od lat rządziła tym miastem. Która kręciła tyle lodów, że Grycanowi by się zakręciło w głowie, a pomimo tego nikt nie potrafił złapać jej za rękę. Wyruchwała na tysiąc sposobów starych samorządowców, którzy wydawali się być przyspawani do stołków i różnych młodych ambitnych wilczków, którzy sądzili, że mogą ją wygryźć z posady. Zniszczyła każdego, kto jej podpadł. Była królową powiatowych intryg. Ale kiedy przychodziło do nas, do tej najważniejszej decyzji w naszym życiu, to potrafiła tylko rzucić: „Ucieknijmy”. Nawet nie chciało się jej przez pięć minut pomyśleć pomiędzy daniem dupy swojemu mężowi.

Żeby było śmieszniej, ten ciot dowiedział się o nas ode mnie. Nie, że mu powiedziałem. Było tak. Kwiecień, wiosna, kwiatki i słończko, a mną telepie. Wychodziłem od Ewy, kiedy zobaczyłem z daleka jego samochód. Zaskoczył mnie. Miał być na swoich studiach w Lublinie. Pomyślałem, że mamy farta. Przyjechałby pół godziny wcześniej, zastałby nas w trakcie pożegnalnego ruchanka na jego ulubionym fotelu. Ewa jęczała tak głośno, że na pewno nie usłyszelibyśmy, jak wchodzi. Teraz mogłem spokojnie się wycofać i wyjść przez podwórze. Ale potem nagle ta myśl, która wybuchła w mojej głowie i której nie potrafiłem się oprzeć. Wyszedłem furtką z przodu. W taki sposób, żeby mógł mnie zobaczyć i dobrze mi się przyjrzeć. Idąc ulicą, czułem na swoich plecach jego wzrok. To było jedno wielkie pokazanie fucka – Kapicy, temu miastu i przede wszystkim – Ewie.

To teraz była nas już trójka.

Przez kilka dni po moim teatralnym opuszczeniu posesji był spokój. Zastanawiałem się, o co chodzi. Czy Kapica jest równie ślepy, jak głupi? A może coś knuje? Nawet mi ulżyło, kiedy wreszcie położył swoją ciężką łapę na moim ramieniu i powiedział:

– Musimy pogadać.

Myślałem, że mi wpierdoli. Ale nie. Wziął mnie na bok. Grzecznie, kulturalnie. Tłumaczy, że wie o mnie i swojej żonie.

– Ale nie chcę, żebyś sobie coś myślał, młody. Byli przed tobą inni, starsi co prawda, przyznaję, i szybko się nimi znudziła. Z tobą też jej przejdzie. Ewa ma dużo stresów. Musi się czasem wyszaleć... Tylko jedna sprawa – ostrzegawczo wniósł palec w górę – uważaj, młody. Jeśli ja cię widziałem, to inni też mogli. A nie chcemy, żeby ludzie zaczęli gadać.

Uśmiechnął się i mrugnął do mnie porozumiewawczo. Stałem jak zbaraniały, bo wszystkiego się spodziewałem, ale nie tego, że zacznie do mnie gadać jak do najlepszego kumpla.

– I co teraz? – wybąkałem jak głupi.

Westchnął ciężko. Wsadził ręce do kieszeni. Zamyślił się na moment.

– Teraz? I co teraz? – powtarzał pod nosem. – Teraz możemy to załatwić jak dżentelmeni. Bardzo elegancko. Mam dla ciebie propozycję. Zaraz jedziesz na studia, prawda? Na akademię.

– Tak – skłamałem.

– Przyda ci się trochę kasy na start. Żeby się tam urządzić. Pięćdziesiąt tysięcy. Co ty na to?

Pięćdziesiąt kafli. Jakby kutas czytał mi w myślach. Od momentu dostania listu z akademii zastanawiałem się, co powinienem zrobić. W głowie pojawił mi się pewien plan. Chciałem wyjechać do Belgii, do Brukseli. Mekka europejskiego komiksu. Miejsce, gdzie karierę zrobił Rosiński. Byłem dobry. Znałem francuski (za to musiałem babce podziękować, cisnęła na to jak głupia. „Każdy wykształcony człowiek zna francuski” – powtarzała). Poradzę sobie. Był tylko jeden problem – kasa. Tej nie miałem. A za coś trzeba było tam pojechać, gdzieś zamieszkać, coś jeść, ubrać się na spotkania z wydawcami. Pieniądzy ani nie miałem, ani nie wiedziałem, jak je zdobyć. Zacząłem nawet w totolotka grać jak głupi, ale tonący brzytwy się chwyta, nie? A tutaj nagle taki fart. Pięćdziesiąt tysięcy złotych. Jakieś dwanaście tysięcy euro. Powinno wystarczyć na początek.

– Biorę – powiedziałem.

– Tylko jeden warunek. – Podniósł palec do góry. – Przystajesz się widywać z Ewą.

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam. Nawet się długo nie zastanawiałem. Aż sam się zdziwiłem. Chyba po prostu miałem jej już dość.

Wtedy jego oczy zmieniły się w dwie szparki. Cały poczerwieniał, jakbym go obraził. Wzniósł w górę ramię i przestraszyłem się, że chce mnie uderzyć. Ale on tylko poklepał mnie po ramieniu.

– Dobry chłopak – pochwalił mnie i poszedł w stronę sali gimnastycznej.

Spędziłem z Ewą jeszcze jeden weekend. Ryzykowałem wtedy. Gdyby Kapica się dowiedział, mógłby odwołać naszą umowę. Ale potrzebowalem tego. W końcu mogłem ją przeruchać jak mężczyzna. Cokolwiek sobie myślała, niezależnie od tego, czy wysłała do mnie Kapicę, czy nie – teraz to ja byłem górą. Dostałem od nich to, czego chciałem i wychodziłem z tej sytuacji na własnych warunkach. Jej dom opuściłem zaraz po śniadaniu, chociaż planowałem wcześniej. W końcu to tak właśnie zostawia się dziwkę po tym, jak cię obsłuży, prawda?

I taka właśnie była nasza historia. Opowieść o zapracowanej pani burmistrz, która potrzebowała odskoczni i chłopaku, który... Nie potrafię dokończyć tego zdania. Powtarzam je sobie w myślach raz za razem, ale nie potrafię.

Kierowca TIR-a to gruby, łysiejący facet w kraciastej koszuli. Z głośników w kabinie lecą piosenki disco polo, a z CB-Radia co chwila dochodzą do nas namiary z trasy. Głównie informacje, gdzie stoją miśki. Polubiłem faceta. Widzi moją twarz, ślady pobicia, ale nie zadaje żadnych pytań. Woli gadać o sobie. O podróżach na Wschód – dzikiej Rosji, śladach wojny na Ukrainie, panienkach na drogach w byłym sojuszu, co są takie, że palce lizać, ale strach korzystać, bo co druga AIDS-a ma. Jego głędzenie jest monotonne i uspokajające. Za mną zostało Wyzwolenie, Piaski, Kapica i Ewa.

Nasze ostatnie spotkanie. Nieoczekiwane, nieplanowane. Wcale nie musiałem do niej iść. Mogłem się wymyć nad rzeką. Ale Kapica mnie wkurzył. Musiałem pokazać się Ewie. Pokazać jej, że wcale mnie nie złamali. Był taki moment, tam w domu, kiedy bałem się, że jej coś zrobię. Czerwona mgła zasnuła mi oczy, w uszach był tylko szum, irytujący i namolny, a wszystkie mięśnie płonęły. Ale pomyślałem, że nie. Że to byłoby na ICH poziomie. A ja jestem człowiekiem z klasą. I tak to rozegram do końca. Z klasą.

A potem źle się poczułem. Zadzzwoniło mi w głowie i poprosiłem Ewę o podwiezienie. Frajer. Trudno. Co mnie obchodzi, co o mnie myślą? Nic. Już nic.

Dojeżdżamy do Lublina. Nie do centrum. Ciężarówka zatrzymuje się z ciężkim jękiem gdzieś na peryferiach, w okolicy, której nie rozpoznaję. Dziękuję kierowcy za podwiezienie, biorę swój plecak i wyskakuję z kabiny. Chcę już zamykać drzwi, kiedy kierowca mnie powstrzymuje.

– Czeka! Tego jeszcze zapomniałeś! – Pokazuje na zawiniątko leżące na siedzeniu pasażera. Rozpoznaję w nim kopertę, w której znajdują się pieniądze od Kapicy. Musiały mi wypaść z plecaka podczas jazdy.

Tak mało brakowało, myślę, i mógłbym pożegnać się z Brukselą. Kierowca mógłby zamknąć drzwi kabiny, odjechać, a ja może dopiero na dworcu

zorientowałbym się, co się stało.

Mężczyzna patrzy na mnie wyczekująco. Śpieszy mu się w trasę. Nawet nie wie, na jakiego frajera właśnie wyszedł. Na takiego samego jak ja, gdybym wrócił teraz na Wyzwolenie. Wielki przegrany. Cholerny Ikar, który podleciał za blisko słońca.

Uśmiecham się grzecznie, jak babcia uczyła. Dziękuję. Biorę drogocenny pakunek i jeszcze raz się żegnam. Chowam go głęboko do plecaka, żeby tym razem już nie wypadł. Ciężarówka powoli rusza. Kierowca miga mi jeszcze światłami na pożegnanie, a ja mu odmachuję. A potem ruszam w głąb uśpionego Lublina, skąd mam wyruszyć na podbój Europy.

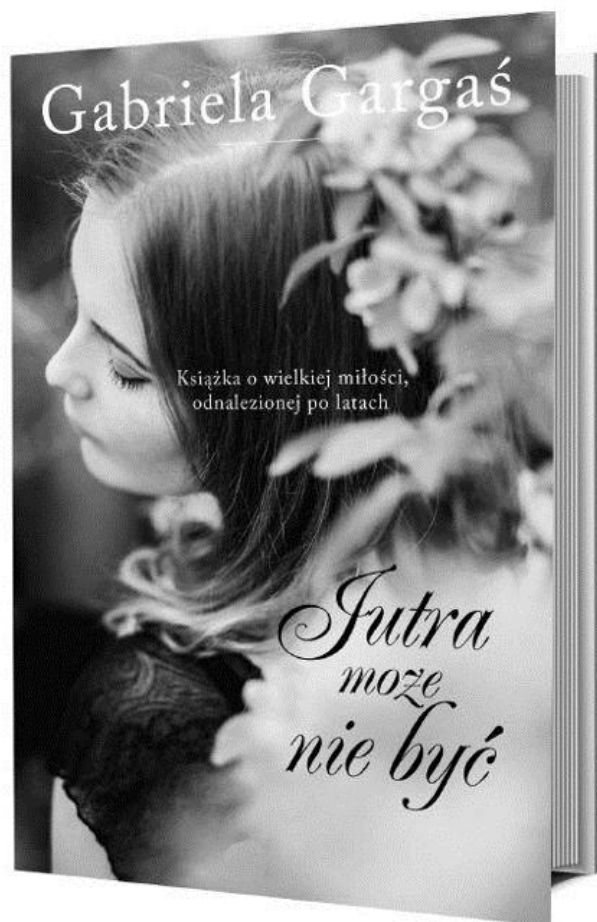
[38] *Ibidem.*



# *Ty jesteś moje imię*

Powieść o miłości  
Basi i Krzysztofa Baczyńskich.  
*Biała magia* w mrocznych czasach wojny.

FILIA



*Jutra może nie być*

---

Książka o wielkiej miłości,  
odnalezionej po latach

**FILIA**

## **Spsi treści**

Okładka

Karta tytułowa

Cytat

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.



13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Katarzyna Zyskowska-Ignaciak, 2016

Copyright © by Wojciech Chmielarz, 2016

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcia na okładce: © Fabrizia Milia / Trevillion Images

Konsultacja medyczna lek. med. Łukasz Zyskowski

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-248-1

# FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Druk i oprawa: Abedik SA